Stanisław Remuszko

„Gazeta Wyborcza”
Początki i okolice
(kalejdoskop)

Oficyna „Rękodzieło”

Stanisław Remuszko

„Gazeta Wyborcza"
Początki i okolice
(kalejdoskop)

Oficyna „Rękodzieło"

Wydanie trzecie jubileuszowe
(na LX urodziny Adama Michnika)

Skład i łamanie
Hubert Stachurski

Korekta
Agnieszka Remuszko

Naświetlanie
Studio Diamond

Druk i oprawa
GOODHILL

ISBN
83-913056-8-6

Oficyna "Rękodzieło"
Dunikowskiego 8, 02-784 Warszawa
tel/fax (22) 648-1948, remuszko@neostrada.pl

Spis treści

Wstęp do III wydania

A właściwie dwa wstępy: formalny i merytoryczny.

Formalny, to wiadomość dla Czytelników, iż w niniejszym wydaniu jest - z dwoma wyjątkami - wszystko to, co było w wydaniu pierwszym i drugim. Brakuje tylko opisu doświadczenia fizycznego pozwalającego odróżnić komunistów, oraz krótkiego kawałka o sondażach. Poza tym nie zmieniono nawet przecinka (choć człek na starość łagodnieje i dziś zapewne stonowałbym niektóre opinie). Przybyło natomiast sporo ważnych tekstów, trochę obrazków i kilka komentarzy. Wszystkie te nowości znalazły się w "Dodatkach do III wydania". Przypomnę, że pierwsza edycja tomiku ukazała się w grudniu 1999, druga zaś w marcu 2003.

Wstęp merytoryczny napisało samo życie. Oto informacja umieszczona pół roku temu na mojej stronie www:

Warszawa, 24 marca 2006

Szanowni Państwo,

Czegoś takiego jeszcze nie widziałem! Przed dwoma laty rozeszły mi się ostatnie egzemplarze drugiego wydania tej książczyny, lecz zamówienia na nią, mimo to, wciąż napływały w najlepsze. Gdy przypadkiem odkryłem w piwnicy zapomniane pudło z setką egzemplarzy wydania pierwszego - internauci wykupili je w ciągu paru miesięcy i nadal zgłaszali swe zapotrzebowanie. Wówczas (luty 2006) bezczelnie zaproponowałem im kupno kilkudziesięciu książek mocno wybrakowanych (tak!), z odbitą na ksero erratą. Ostatni egzemplarz tej makulatury został sprzedany przedwczoraj, a dziś mam już 8 (słownie: osiem) kolejnych zamówień. Niech mnie Pan Bóg skarze, jeślim zełgał albo przekoloryzował choć o jotę. Co robić? (...)

Jakby w odpowiedzi, nadszedł mejl od nieznanego młodego człowieka:

----- Original Message -----
From: "Grzegorz Wszelaczyński" <>
To: "Stanisław Remuszko" <remuszko@neostrada.pl>
Sent: Tuesday, June 06, 2006 8:27 AM
Subject: Od Wszelaczyńskiego

SzPAutorze,

[...] Skorzystam też z okazji i serdecznie podziękuję tutaj za Pańskie książki i postawę, napisany już dawno list nie może doczekać się korekty i wysłania. Jego sednem była próba odpowiedzi na pytanie zadane przez

Pana przy anonsie o sprzedaży ostatnich egzemplarzy książki "GW. Początki i okolice".

Otóż stawiam hipotezę, że książka rozeszła się bo "my" wracamy. My, czyli wasze dzieci - wyrośliśmy już z etapu buntu i negowania wszystkiego co wiązało się z wami i widzimy, że sprzeniewierzone zostały ideały i walka ukochanych Rodziców. Wyrośliśmy już też z obojętności - teraz my zaczynamy walić pięścią w stół i stwierdzać, że tak dalej być nie może. Przetułaliśmy się po emigracji albo ciemnych zakamarkach Polski i doroślismy do patriotyzmu.

Jesteśmy wykształceni, więc chcemy dobrze znać źródła porażki III RP. Podróżujemy, więc wiemy jak to wygląda w krajach o ugruntowanej tradycji, kulturze i prawach. Większość pewnie szuka jeszcze na oślep lub wybiera drogę na skróty, ale tu rola ludzi takich jak Pan jest nieoceniona. Dziękuję.

Grzegorz Wszelaczyński
rocznik 1977
Gdańsk

Wstęp do II wydania

Jesienią '2000 pewien polonijny wydawca zażądał, abym dostarczył jakieś recenzje tej broszurki. Na moją prośbę, zechcieli napisać je Maciej Iłowiecki i Cezary Michalski. Z amerykańskiej edycji nic nie wyszło i oba teksty poszły w zapomnienie.

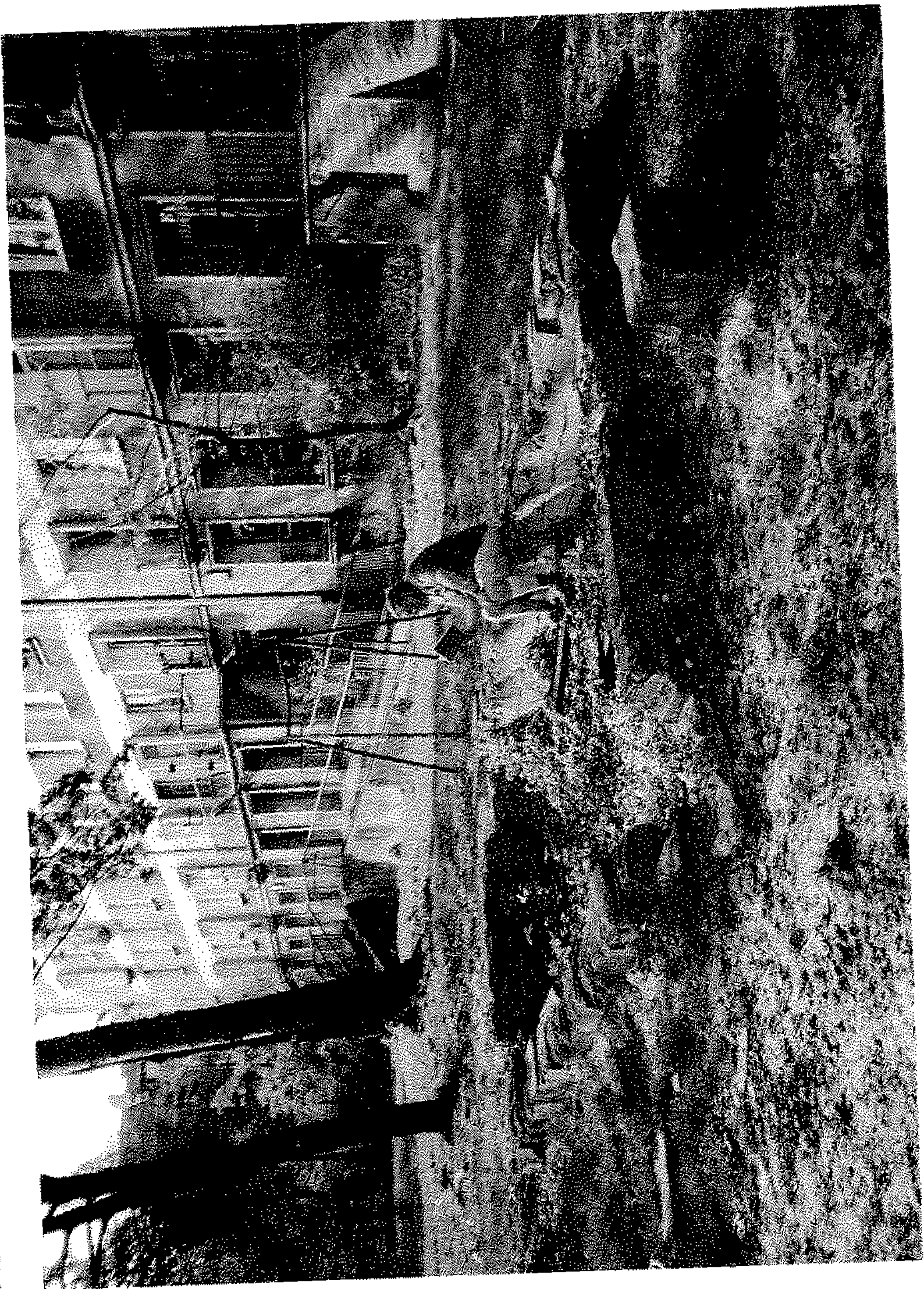
Przed dwoma tygodniami przekonano mnie, że – z tak zwanych oczywistych względów – warto zrobić dodruk niniejszej książczyny, „najlepiej opatrzony jakąś smaczną opowieścią na początku i na końcu". Przeszukując komputer, odnalazłem wówczas powyższe recenzje, przeczytałem je i... poczułem się nieswojo.

Wygląda na to, że Iłowiecki i Michalski w roku 2000 dokładnie przewidzieli, co w dziedzinie mediów wydarzy się w Polsce w ciągu następnych lat. Czy Państwo wierzą w przepowiednie, wieszczby, wróżby i proroctwa? Czy jasnowidztwo rzeczywiście istnieje?

Oba teksty są na końcu, w "Dodatkach II". W zasadzie można by od nich zacząć lekturę tej książki.

Stanisław Remuszko

Warszawa, 8 marca 2003



Medialny skok stulecia

O czym jest ta książka? *Opowiada ona, w jaki sposób (podstępny i nieuczciwy) pewne wąskie środowisko przywłaszczyło sobie i rozbudowało narzędzie, które pozwala mu sprawować – bez żadnej odpowiedzialności przed współobywatelami – część nieformalnej władzy w Polsce, oraz co z tego wynikło dla mojej Ojczyzny, a także kto i jakie ma z tego korzyści* – pisze autor, warszawski dziennikarz Stanisław Remuszko.

Autor uważa, że środowisko „Wyborczej" charakteryzuje pewien specyficzny zestaw cech, do których zalicza w pierwszym rzędzie *mentalność Kalego, klanową solidarność, wyraźnie określoną hierarchię autorytetów, funkcjonalno-organizacyjne podobieństwa do mafii (nie w sensie prawa karnego, rzecz jasna), cenzurowanie inicjatyw, nieuczciwość polemiczną, poczucie własnej wyższości i nieomylności oraz antysemityzmową fobię.*

Stanisławowi Remuszce można wierzyć, bo pracował w „Gazecie" przez pierwszy rok jej istnienia i swe tezy udowadnia na konkretnych przykładach. Z początku ufał Michnikowi, ba, nawet patrzył w niego jak w tęczę, ale – co dokumentuje w swej książce – to zaufanie topniało z miesiąca na miesiąc pod wpływem kolejnych faktów, które widział i słyszał na własne oczy i uszy, „od środka". Właśnie ta „odśrodkowość" jest jedną z głównych zalet narracji, bo co innego przypuszczać, wnioskować i domyślać się z pozycji zewnętrznego obserwatora, a co innego być bezpośrednim świadkiem wydarzeń.

Czym w istocie jest ta licząca 260 stron i dość skromnie wydana ksią¬żecz¬ka? Zbiorem bardzo rozmaitych dokumentów – listów prywatnych i otwartych, oryginalnych notatek i zapisków, pism i zdjęć ilustrujących opisywane wydarzenia sprzed lat, a także opublikowanych i nieopublikowanych artykułów (w tym – odrzuconych przez wewnątrzredakcyjną cenzurę „GW"). Temu wszystkiemu towarzyszą starannie oddzielone dzisiejsze komentarze, w których autor bez ogródek przyznaje się do ówczesnej *bezdennej naiwności*. To wyznanie brzmi szczerze i dodaje wiarygodności przedstawianym relacjom.

Remuszko dał swej książczynie (tak ją nazywa) podtytuł „kalejdoskop", ale chyba odpowiedniejszym słowem byłby „witraż". W miarę bowiem pochłaniania kolejnych stron czytelnik odnosi dojmujące wrażenie oddalania się krok po kroku od wielkiego witrażu. Czytając wstęp, dotykał szkła prawie nosem i widział tylko kolorową plamę pojedynczej szybki; z odległości metra mógł ujrzeć już czyjąś twarz; z pięciu metrów dostrzegł całą postać; teraz,

z jeszcze większego dystansu, zobaczył grupę osób, a pod koniec lektury ujawniają się nie tylko wyraziste kontury i barwy, lecz i dynamika obrazu. To naprawdę wciąga!

W liście z załącznikami, przesłanym ponad stu luminarzom polskiej kultury i politycznym prominentom w grudniu 1991 roku, Stanisław Remuszko napisał znamienne słowa: *Teksty te stanowią tylko mizerną część tych wieści, które powinny dotrzeć jeśli nie do całego czytającego społeczeństwa, to przynajmniej do jego opiniotwórczych środowisk. Teksty te bowiem dają jedynie blade pojęcie o największym w naszej współczesnej historii, mało jeszcze widocznym, lecz jakże skutecznym skoku na władzę, na faktyczna czwartą (media) władzę w państwie – tę władzę, która w pierwszym roku odzyskującej wolność Rzeczypospolitej znaczyła nieporównanie więcej niż obecnie (choć i dziś publikatory w Polsce grają o wiele ważniejsza rolę niż w starych demokracjach Europy i świata). Czy prawda o tym błyskotliwym okpieniu milionów ufnych ludzi ujrzy kiedykolwiek światło dzienne?*

To ostatnie pytanie, mimo upływu czasu, zachowało niestety swą aktualność. Remuszko sprzedał w ciągu miesiąca dziesięć tysięcy egzemplarzy swej książki, w której – jak podkreśla – nikt nie przeklina, nie ma szpiegowskich afer, erotycznych scen ani gangsterskich porachunków. Książka trafiła na pierwsze miejsce list bestsellerów. A mimo to – z nielicznymi wyjątkami – do dziś nie wspomniały o niej ani słowem najważniejsze ogólnopolskie dzienniki i tygodniki, ani wiodące rozgłośnie radiowe i stacje telewizyjne. Czemu? Autor uważa, że w obawie przed zemstą „Gazety Wyborczej" i całego imperium Agory, która jest tak wpływową potęgą, że wszyscy boją się jej podpaść. Niemożliwe? A jednak...

Tę książkę koniecznie trzeba przeczytać! Na jej podstawie mógłby powstać scenariusz znakomitego sensacyjnego filmu z gatunku *political fiction* (pamiętają Państwo „Washington behind closed doors"?). Niestety, autor pokazuje nie fikcję, lecz rzeczywistość. Niestety, ta rzeczywistość w Polsce trwa. Ale to już temat na inną okazję.

Dorota Przypkowska

Warszawa, wrzesień 2000

Wstęp

Lepiej będzie, jeśli wyznam to od razu: jestem zboczeńcem. Tak przynajmniej twierdzi Agnieszka. Ale moja dewiacja ma – co okazało się już dwukrotnie – również dobre strony.

W lipcu 1984 roku, robiącym kipisz w naszym mieszkaniu funkcjonariuszom bezpieki zabłysły oczy, gdy odkryli na pawlaczu trzy pudła, w których równym rzędem stały pękate teczki. Natychmiast też znieśli pudła na podłogę w salonie i zaczęli w nich grzebać. Widząc to, Agnieszka wybuchnęła homerycznym śmiechem. Wtórując jej w duchu, z kamienną twarzą wyjaśniłem esbekom, że małżonka śmieje się... ze mnie, ponieważ zawsze marzyła o takim właśnie rozwoju wypadków.

Pora wyjawić, na czym polega moje dziwactwo. Otóż od trzynastego roku życia (na pierwszej teczce widnieje napis: *Rok 1962 i wcześniejsze*), w odróżnieniu od normalnych ludzi nie wyrzucam wszystkich zdezaktualizowanych „śmieci" na makulaturę, lecz większość z nich na bieżąco gromadzę (niemal jak leci) w górnej szufladzie komódki, skąd pod koniec każdego roku – po lekko odchudzającej selekcji – wędrują do zwykłych kartonowych teczek z napisem „Archiwum prywatne, rok..." (czasem również do odrębnych teczek, poświęconych jakiemuś jednemu tylko tematowi, pojedynczej sprawie, oddzielnemu wydarzeniu, operacji lub przygodzie).

W teczkach najwięcej jest „dokumentów pisanych" – notatek, wycinków, maszynopisów, listów i pocztówek – ale też znajdzie się kaseta z jakimś pamiątkowym nagraniem, bilety do kina, zaproszenie na ślub albo mandat drogowy. Są też drobne przedmioty: a to opaska służby porządkowej ze strajku na UW w marcu 1968 roku (także „tamtejsze" ulotki i nigdzie dotąd nie publikowane wiersze), a to „ściskany w ręku kamyk zielony", z którym przejechałem autostopem pół Polski, aby dotrzeć do ukochanej na Bronowicach, a to matura, indeks i uniwersytecki dyplom, a to pełen strasznych nauczycielskich uwag dzienniczek ucznia klasy IId warszawskiej „Królówki", a to rozmaite zdjęcia czarno-białe i – od kilku lat – kolorowe, a to kalendarze i kalendarzyki gęsto zapisane tylko przeze mnie rozumianymi bazgrołami, a to złamany pilnik od paznokci (kiedyś uratował mnie przed noclegiem pod gołym niebem). Będzie tam także rachunek za kawę, na którą do „Petit Trianon" zaprosiłem jesienią 1989 roku profesora Klemensa Szaniawskiego po jego powrocie z USA, i dwa lata późniejsze menu kolacji spożytej w Sejmie z ówczesnym przewodniczącym OKP Mieczysławem Gilem (na jego koszt), i lista obecności na kolejnym posiedzeniu seminarium konstytucyjnego,

założonego i prowadzonego przeze mnie w 1988 roku w ramach sławnej PiP-y (widnieją odręczne podpisy m.in. Alicji Grześkowiak, Jana Olszewskiego, Adama Strzembosza i Hanny Suchockiej), i nie wrzucona do urny oryginalna karta do głosowania z wyborów prezydenckich w 1995 roku, i "wymięte" notatniki adresowo-telefoniczne (zmieniane raz na parę lat), i...

I tysiące innych karteluszków, świstków, drobiazgów i przedmiocików, z których każdy otwiera jakieś zakurzone drzwiczki w mojej pamięci, przywracając blask, kolor i wyrazistość wyblakłym chwilom sprzed kilkunastu, a nawet kilkudziesięciu lat. Tworząc od młodości ten osobliwy zbiór, podświadomie budowałem sobie – jak teraz jasno widzę – „twardodyskową" protezę dzisiejszych komputerowych systemów mulimedialnych!

Moja żona – tłumaczyłem tamtego wieczoru nieco zdezorientowanym esbekom – od narzeczeństwa twierdzi, że mam bzika na punkcie prywatnych archiwów, które nie tylko są całkowicie bezużyteczne, ale i zawadzają w ciasnym mieszkaniu. Ona – kontynuowałem oskarżycielsko – zawsze życzyła mi nagłej, wielkiej i wnikliwej milicyjnej rewizji, której rezultatem będzie gigantyczny stos porządnie wymieszanych tysięcy „archiwaliów" z kilkudziesięciu różnych teczek, i sam diabeł nie wyzna się już, co z którego roku pochodzi i czego dotyczy. Wtedy – zwierzała mi się małżonka w zachwycie – wraz z dziećmi natychmiast zaniesiemy to wszystko na środek osiedlowego placu, i rozpalimy sobie ogromne ognisko, i zatańczymy wokół niego, a ty nam nic nie zrobisz, bo jak zobaczą, że przechowujesz tak niesamowite ilości starannie posegregowanej makulatury, to na pewno takiego wariata zatrzymają „do wyjaśnienia".

Słowa te, nacechowane wyraźną niechęcią wobec stojącej obok połowicy, musiały chyba wywrzeć na funkcjonariuszach SB tak zwane silne wrażenie, bo przez chwilę jeszcze niemrawo gmerali w pudłach, potem poszeptali między sobą, skłonili się zimno i wyszli. Rzuciliśmy się sobie w objęcia. (Bezpieka, notabene, szukała właśnie mnie, tylko o tym nie wiedziała. Założyciel i redaktor naczelny „Słowa Podziemnego", wspaniały i nieustraszony Edek Kirpluk siedział już na Rakowieckiej, a ja go akurat zastępowałem. Może kiedyś o tym opowiem).

Tak to – za komuny – moje zboczenie ocaliło mi wolność. Teraz – piętnaście lat później – umożliwiło mi skonstruowanie tej broszury. A wszystko zaczęło się na ubiegłorocznych imieninach, czyli 13 listopada (jest to „stary" św. Stanisław-Kostka; do końca życia zostanę przy tym dniu, zupełnie nie pojmując, czemu imieniny z trzystuletnią tradycją Kościół niedawno przeniósł na wrzesień). W pewnym momencie rozmowa zeszła na politykę, z polityki na prasę, z prasy na „Gazetę Wyborczą" i któryś z przyjaciół wykrzyknął: *Boże, przecież od jej powstania minie wiosną już dziesięć lat!* A ktoś inny, znający

moje dziennikarskie losy, dodał: *byłeś przy jej poczęciu i porodzie, dużo widziałeś i pamiętasz, więc może „z okazji" napisałbyś coś większego?*

W pierwszej chwili, jako wrodzony leń i sybaryta, aż żachnąłem się na taką ewentualność, ponieważ zdała mi się absolutnie niewykonalna przez swą czaso- i pracochłonność. Sekundę później doznałem iluminacji: przecież TO JUŻ ISTNIEJE! Wystarczy wyjąć stosowne materiały z archiwów „teczkowych" z lat 1989-1991 i wstukać je do komputera oraz kazać tej pożytecznej maszynie sporządzić listę plików z lat późniejszych (pierwszego peceta kupiliśmy dopiero w roku 1992), zawierających słowa-klucze: *Gazeta Wyborcza, Michnik, Agora, Unia Wolności* etc. Potem trzeba po prostu wszystko wydrukować in extenso w porządku chronologicznym, opatrzyć – w razie potrzeby – objaśnieniami i komentarzem, napisać wstęp i posłowie, dodać indeks nazwisk oraz spis treści – i już! Na dziesięciolecie „Gazety Wyborczej" (8-V-99) będzie jak znalazł!

Dziś, gdy od narodzin pomysłu mija pięć miesięcy, kolejny raz okazuje się, że dobrymi chęciami jest piekło wybrukowane. Trzeba jeszcze mieć sporo wolnego czasu, a tego mi właśnie najbardziej brakuje, ponieważ musimy z żoną ostro pracować, żeby utrzymać siebie i dwoje dorosłych, lecz wciąż jeszcze bezproduktywnych dzieci (matura + I rok studiów). Moja Piękna i Mądra Pani twierdzi nadto, iż – jako Wodnik – nie mogę żyć bez wymyślania i realizacji rozmaitych meliorujących świat przedsięwzięć; *gdybyż jeszcze one* – wzdycha – *przynosiły jakieś dochody...* Istotnie, od szeregu miesięcy jednocześnie: czynię poważne przymiarki do założenia specyficznego towarzystwa ubezpieczeniowego, tworzę ogólnopolski ruch mieszkaniowych spółdzielców oraz organizuję zrzeszający dziennikarzy i lekarzy Klub Przyjaciół Serca (by wymienić tylko „większe rzeczy").

Wszystko to nie sprzyja pracom redakcyjnym. Dziś mam już praktycznie napisany niniejszy wstęp, wymyśliłem tytuł i dedykację, a wydrukowane na domowej laserówce wszystkie „rzeczy główne" (archiwalia oraz wprowadzenia i komentarze) są już po rutynowej korekcie. Więcej: całość przeczytali i krytycznymi uwagami opatrzyli dwaj moi przyjaciele, wybitni dziennikarze. Ale brakuje materiału najważniejszego, czyli POSŁOWIA, które powinno mieć charakter Summy i które zarazem będzie – mam nadzieję – ostatnim tekstem, jaki kiedykolwiek w życiu o "Gazecie Wyborczej" napiszę.

Za wydanie tej stukartkowej (szacunek) broszurki w stu egzemplarzach zacny przyjaciel-poligraf chce tylko zwrotu kosztów, czyli dwudziestu milionów starych złotych. Kiedy przemyśliwałem, skąd pożyczyć tę forsę, problem nieoczekiwanie rozwiązał się sam. Przed paroma dniami „Express Wieczorny", po prawie czteroletnim procesie, znienacka wypłacił mi prawie dwieście milionów starych złotych tytułem odszkodowania. Trzy czwarte tej

kwoty poszło wprawdzie od razu na spłatę długów, ale dzięki reszcie przez dobre dwa miesiące nie muszę od rana do wieczora uganiać się za pieniędzmi, mogę wykańczać ten osobliwy „kalejdoskop" i mam czym zapłacić wydawcy! To się nazywa uśmiech fortuny!!! (15 kwietnia 1999)

Dziś – tydzień później – postanowiłem jednak z wydaniem tych niezwykłych wspomnień poczekać do jesieni. Argumenty są trojakie. Po pierwsze – za kilka dni „Agora" wchodzi na giełdę, a przecież dobrze byłoby podać tu informacje, ile ów koncern jest wart i kim są dziś jego właściciele. Po drugie – zarówno w samej „Wyborczej" jak i w innych mediach zapewne ukażą się po 8 maja 1999 obszerne „materiały jubileuszowe", bez wątpienia warte ciekawych uwag i przytoczeń. Po trzecie, od połowy maja środki masowego przekazu zajmować się będą praktycznie już tylko jednym tematem: zbliżającą się wizytą Jana Pawła II. Potem odbędzie się sama pielgrzymka, a później rozpoczną się wakacje. Nie ma co, wrzesień (najwcześniej!) wychodzi jak byk.

Powiedzmy jeszcze krótko, czym jest ta broszurka. Otóż stanowi ona moje PRYWATNE PUBLICYSTYCZNE ŚWIADECTWO. „Prywatne", ponieważ zawiera teksty albo mojego autorstwa, albo mojego wyboru. „Publicystyczne", gdyż taki jest charakter znakomitej większości tych tekstów. „Świadectwo" wreszcie, bo pasuje jak ulał do drugiej i trzeciej słownikowej definicji tego pojęcia.

Do czego odnosi się to świadectwo? Do tych aspektów historii i roli „Gazety Wyborczej", które osobiście mam za najważniejsze z moralnego, politycznego i dziennikarskiego punktu widzenia.

Nie są to wszystkie materiały, które zachowałem z okresu swej ponad rocznej pracy w "Gazecie", ani też wszystkie późniejsze archiwalne dokumenty, zawierające wspomniane „słowa kluczowe". Musiałem dokonać wyboru, eliminując przedruki i powtórzenia oraz to, co wydało mi się banalne lub słabo związane z określoną w poprzednim akapicie specyfiką tych *miscellanearum*. Rzecz jasna, chętnie udostępnię wszystkie swoje „teczki" historykom-prasoznawcom, jeśliby uznali, że mogą im one na coś się przydać.

[Notabene, przez cały okres istnienia organizacji o nazwie PAX nie udało się jej twórcom ustalić i ogłosić oficjalnej historii tego stowarzyszenia; istniała wprawdzie wersja próbna, ale i tę utajniono. W rezultacie, jedynym obszerniejszym świadectwem narodzin i pierwszych 10 lat działań PAX-u pozostaje do dziś książka „Współrządzić czy nie kłamać", pióra Andrzeja Micewskiego. Ciekaw jestem, czy za następne 10 lat ten mój „kalejdoskop" też będzie taką samotną pozycją na temat „Gazety Wyborczej"...]

Głównym, niejako ideowym założeniem formalnym tej swoistej antologii jest – by tak rzec – autoekspresja czyli samowymowność zamieszczonych w niej

tekstów. Czytelnik musi we własnym sumieniu rozstrzygnąć, które argumenty wydają mu się bardziej przekonujące, oraz suwerennie wyciągnąć tak zwane zasadnicze wnioski. W niczym nie narusza to mojego prawa do opatrywania niektórych tekstów komentarzami, ale komentarze te – choćby stronne, a nawet złośliwe – również podlegają przecie niezależnej ocenie odbiorcy.

Całość – powtórzmy – ułożona jest podług chronologii (z jednym zabawnym wyjątkiem „Rekomendacji") i wedle identycznego schematu: nad każdym tekstem podane jest jego źródło, potem następuje (w razie potrzeby) objaśniająca introdukcja, później idzie sam tekst, a po nim ewentualnie mój komentarz lub uzupełnienia. Każdy tekst zaczyna się od nowej strony. Wprowadzenia, teksty i komentarze są nie tylko wyraźnie od siebie oddzielone, lecz i złożone różnymi czcionkami.

Na koniec: do kogo adresowana jest ta broszura?

Na pewno nie do tych (w pierwszym rzędzie), którzy mają już wyrobiony i utrwalony sąd o "Gazecie" oraz jej środowisku. Jest mało prawdopodobne, aby pod wpływem jakiejkolwiek lektury zmienili poglądy ci, którzy kogoś kochają lub nienawidzą, bowiem pierwszą cechą każdego tak gorącego uczucia jest towarzysząca mu swoista wybiórcza ślepota.

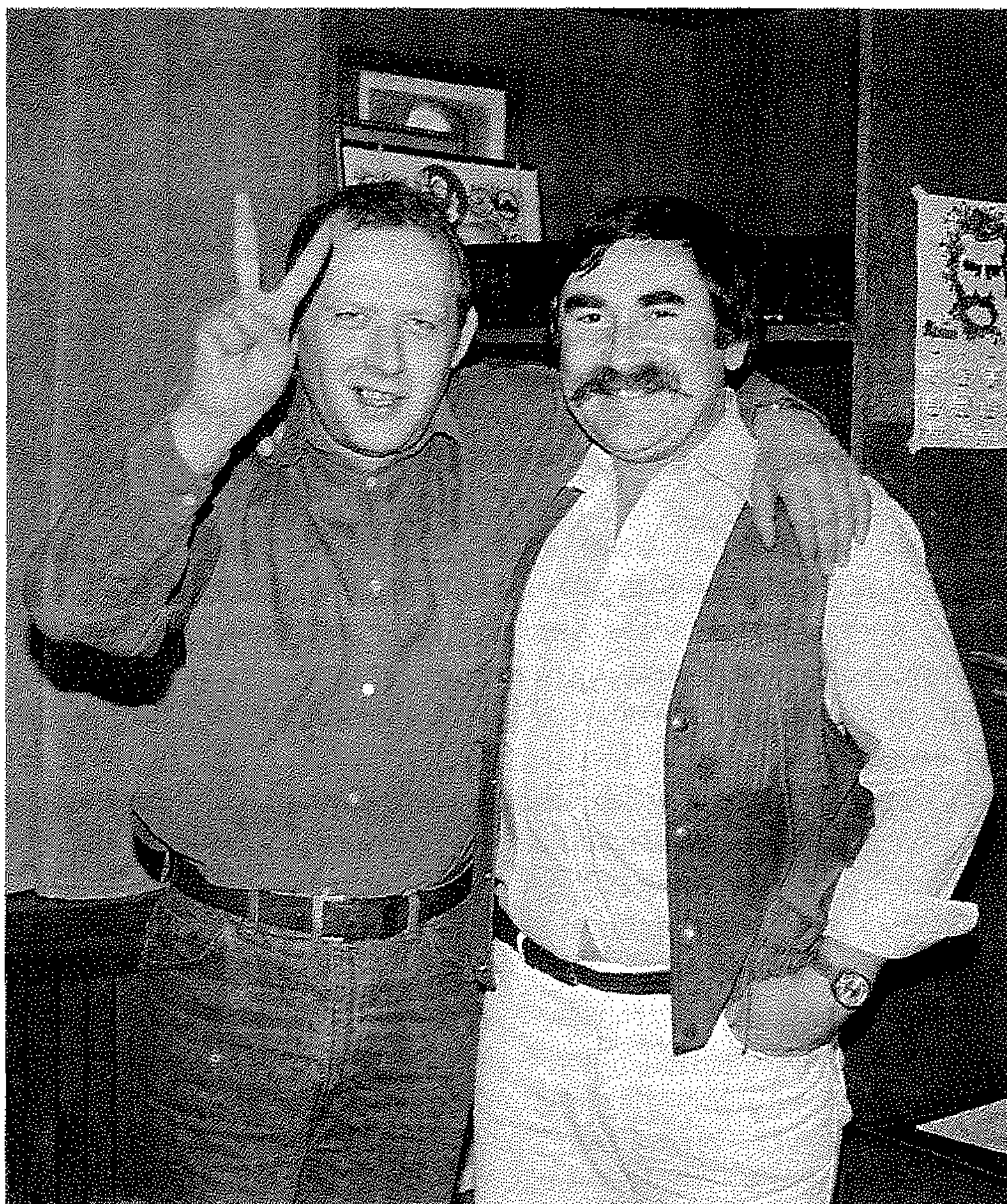
Ta broszurka skierowana jest do ludzi – *primo* – bystrych, *secundo* – uczciwych, *tertio* – bez większych uprzedzeń, *quarto* – intelektualnie niezależnych, oraz – *quinto* – zdolnych do samokrytycznego myślenia. Chciałbym, aby przeczytała ją przede wszystkim „dorosła młodzież", zwłaszcza ludzie interesujący się historią własnego kraju, a także polityką i dziennikarstwem. Jestem już typowym starszym panem (właśnie stuknęła mi pięćdziesiątka), i dlatego dobrze wiem, że do najpiękniejszych przymiotów młodego umysłu należy to, że jest otwarty, wolny i niepodległy, mało co przyjmuje na wiarę, kicha na autorytety, wątpi, buntuje się, szuka i wszystkiego chce sam posmakować. Zarazem nikt, ale to nikt na świecie nie jest bardziej od młodzieży wyczulony na prawdę i fałsz, na dobro i zło, na piękno i brzydotę, na uczciwość, honor i bezinteresowność.

Kim są „młodzi dorośli"? Na ogół za takich uważa się dwudziesto- i trzydziestolatków. Ale to nieprawda. Zawsze powtarzam przyjaciołom, że pozostaniemy młodzi póty, póki zachowamy w sobie trzy umiejętności: dziwienia się, uczenia się i śmiania się. Właśnie takim młodym ludziom – tym, którzy akurat zdają matury i tym, którzy są już na głębokiej emeryturze – dedykuję ten zbiorek. (22 kwietnia 1999)

Minęło siedem miesięcy, podczas których w moim życiu wydarzyło się bardzo wiele (zresztą same dobre rzeczy); chyba też nigdy jeszcze tak intensywnie nie pracowałem. Do „kalejdoskopu" udało mi się dołożyć tu

i ówdzie jakieś inspirowane aktualiami kilka zdań komentarza. Ale napisanie tekstu zasadniczego, czyli *Posłowia*, ciągle przekładałem: „na później", „na przyszły tydzień", „na jutro"... Dziś znowu są moje imieniny. Zrozumiałem, że choć „w temacie" wciąż dzieją się „nowe rzeczy", to ewentualne dołączanie ich do książki nigdy się nie skończy. Zatem – koniec i kropka. Nie będzie już żadnych uzupełnień. Nie będzie żadnej *Summy*. Zwięzłe *Posłowie* napiszę w ciągu najbliższego tygodnia, potem zrobię indeks nazwisk i całościową korektę, zgram wszystko na dyskietki, wydrukuję na folii (ogromna oszczędność pieniędzy!) i do końca miesiąca przekażę przyjacielowi-poligrafowi. Na Gwiazdkę 1999 prezent będzie jak znalazł! (13 listopada 1999)

Stanisław Remuszko



Mój dom, czwarta rano, 27 kwietnia 1987. Kolacja we trójkę (Adam Michnik, Agnieszka i ja). Jako gospodarze, oboje byliśmy bardzo dumni i szczęśliwi, że ten wielki człowiek darzy nas swoją przyjaźnią i że choć trochę jesteśmy dla niego partnerami, skoro ma ochotę przegadać - tylko z nami - cały wieczór i noc. Fotografowała Agnieszka.

Warszawa, wiosna 1989

Rekomendacja

Stanisława Remuszkę znam od lat. Jest to człowiek niezwykły, cokolwiek „nawiedzony". Działalność jego obserwuję z podziwem. Jest to działalność samotna, nosi znamiona pewnej donkiszoterii, bo przywykliśmy u nas do instytucjonalizacji, zespołowości wszelkich przedsięwzięć o charakterze społecznym. A przecież właśnie takie samotne „rajdy", takie indywidualne pomysły i akcje, które od lat Remuszko podejmuje – są najlepszym wzorem społecznej aktywności jednostki w ramach normalnych, demokratycznych warunków życia zbiorowego.

Wciąż wołamy o ludzi z inicjatywą, z pomysłami, o ludzi bezinteresownych, którzy w interesie dobra wspólnego gotowi są tracić czas i energię, wysilać swoje szare komórki, ale jednocześnie ludzi takich nie zauważamy, bo przywykliśmy do wspólnego rajcowania, do niekończących się debat, do grupowych wystąpień. Remuszko nie mieści się jakoś w naszym kolektywistycznym oglądzie świata, traktujemy takich jak on dość lekko, tu i ówdzie wykorzystujemy ich ofiarność i dynamizm, ale ponieważ nie są wystarczająco „przyporządkowani" (albo – co gorsza – „podporządkowani"), więc im orderów nie lubimy przypinać.

Może zatem warto spojrzeć na takich ludzi przychylniejszym okiem? Remuszko czyni wiele. Boryka się samotnie. Lata jak fryga po Warszawie z pomysłami, jedne bywają lepsze, inne gorsze, ale zawsze coś z nich się wykluwa, jakiś pożytek społeczny owocuje. Jeśli zatem mogę coś doradzać – gorąco zachęcam, by Stanisława Remuszkę jakoś zauważyć, jakoś wyróżnić. Będzie to dla niego i podobnych mu ludzi wielka nagroda za całe lata żmudnej, samotnej, nie jeden raz – zgoła heroicznej roboty na społecznej niwie.

Andrzej Szczypiorski

W pełni podzielam opinię Andrzeja Szczypiorskiego.

Jan Józef Szczepański

* * *

Przedziwny zbieg okoliczności. Nic nie wiedziałem o istnieniu tego tekstu. Ktoś zadzwonił i dał mi go... jesienią 1998 roku.

1989

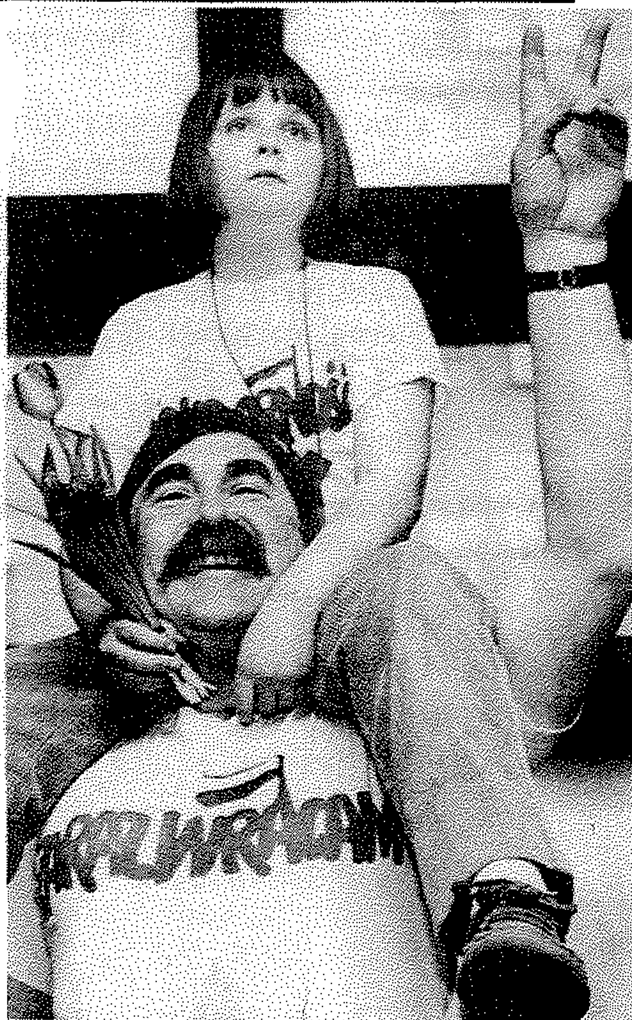
KOMITET ORGANIZACYJNY
przy LECHU WAŁĘSIE
d/s Okrągłego Stołu
Warszawa, ul. Kopernika nr 34

U S P R A W I E D L I W I E N I E

Niniejszym uprzejmie proszę Pana Andrzeja Folanda, kierownika Działu Informacyjno-Bibliograficznego w Centralnej Bibliotece Statystycznej, o łaskawe usprawiedliwienie nieobecności swego podwładnego pracownika, Stanisława Remuszki, który w dniu dzisiejszym był potrzebny [illegible] w innym miejscu w godzinach 12.00 - 15.00.

Warszawa, 11 kwietnia 1989

Po wyrzuceniu mnie w stanie wojennym ze „Słowa Powszechnego", od maja 1983 pracowałem jako kustosz (!) w informatorium Centralnej Biblioteki Statystycznej. Szefem informatorium był pan Andrzej Foland. Nie pamiętam, co 11 kwietnia 1989 robiłem „dla sprawy", ale dokument wydaje mi się ciekawy ze względu na pieczątki.



THE TIMES TUESDAY APRIL 18 1989

s outlawed union back into the legal fold

A jubilant father with his daughter emerging from a Warsaw courtroom yesterday after they witnessed with hundreds of Solidarity supporters the union's reinstatement as a legal body.

(...)

Z tym zdjęciem ciekawa sprawa: nigdy (co ze wstydem wyznaję) nie chodziłem na uliczne manifestacje; noszenie transparentów, szturmówek i związkowych odznak było mi klasowo obce, więc kiedy na 17 kwietnia zapowiedziano relegalizację „Solidarności", wybrałem się tam z Anną

Małgorzatą (córka) w stosownych koszulkach. Okazało się, że tym razem JA byłem jedyną osobą, której do głowy przyszedł jakikolwiek pomysł w demonstracyjnym stylu: salę wypełniło około 200 kombatantów płci obojga w średnim i starszym wieku, w postawie na baczność i z "Jeszcze Polska" na ustach, w solennie ciemno-sztywnych strojach. Stanęliśmy więc z Anią na zewnątrz, na schodach naprzeciw wejścia do sali, i kiedy, już po wszystkim, tłum jął wychodzić, wziąłem córkę na barki, żeby zobaczyła Wałęsę jak żywego i rzuciła weń tulipanem, przede wszystkim zaś – aby wykorzystać tę ostatnią szansę osobistego udziału w politycznej manifestacji.

Jednak Wałęsy w ogóle nie było, kombatanci patrzyli na mnie z życzliwym zdziwieniem, i tylko jakiś facet pięciokrotnie raz po razie oślepił nas fleszem. Myślałem, że to chociaż bezpieka, ale niestety: tydzień później wracający z Londynu przyjaciel przywiózł mi ten egzemplarz „Timesa". Lepszy byłby może kolorowy „Time" (jedna litera, a jaka różnica!), ale pocieszam się, że najstarsza istniejąca gazeta świata, to też nie byle co.

(...)

* * *

Fragment prywatnego listu z 26 sierpnia 1989 do Stanisława Lema, z którym wówczas korespondowałem. Fotografię zamieściło ponoć wiele światowych gazet; przysłano mi odbitki m.in. także z "Le Figaro" i "L.A.T.".

BIURO WYBORCZE
[illegible]
„SOLIDARNOŚĆ”
Warszawa, ul. Fredry nr 6

Pan Dyrektor
Centralnej Biblioteki Statystycznej
Al. Niepodległości 208
00-925 Warszawa

W związku z podjęciem przeze mnie pracy w "Gazecie Wyborczej", uprzejmie proszę o udzielenie mi urlopu bezpłatnego na czas od 2 maja 1989 do 18 czerwca 1989.

Podstawa prawna: Rozporządzenie Rady Ministrów z dnia 26 kwietnia 1989 w sprawie udzielania pracownikom zwolnień od pracy w związku z przygotowaniem wyborów do Sejmu i Senatu PRL.

Stanisław Remuszko

Warszawa, 28 kwietnia 1989

[illegible] Komitetu Obywatelskiego
[illegible]

Sekretariat
CENTRALNA BIBLIOTEKA STATYSTYCZNA
w m. st. Warszawie
Al. Niepodległości 208
00-925 Warszawa
1989.05.02
otrzymałam

„Czynnik pozaekonomiczny"

W świetle ustaleń Okrągłego Stołu, ponownie aktualnym problemem staje się liczba osób wyrzuconych z pracy w pierwszych tygodniach stanu wojennego. Ciekawe rozważania na ten temat zamieścił Tadeusz Tuora w elitarnym, niskonakładowym „Przeglądzie Organizacji" (nr 3/83):

Spadek zatrudnienia w gospodarce uspołecznionej wyniósł w styczniu 1982 roku w stosunku do grudnia 1981 roku około 400 000 osób (...), co stanowi ewenement, gdyż dotychczas największy skok zatrudnienia Z KWARTAŁU NA KWARTAŁ wyniósł niecałe 120 000 (...). Tak silnego spadku nie da się wyjaśnić ani wzmożonymi odejściami na wcześniejsze emerytury, ani tym bardziej redukcjami pracowników z uwagi na reformę gospodarczą. Wynika stąd, że styczniowy spadek zatrudnienia był w poważnej mierze następstwem ingerencji czynnika pozaekonomicznego.

Za przemycenie przez cenzurę owego „czynnika pozaekonomicznego" pan Tuora w pełni zasłużył na tytuł Wielkiego Eufemisty 1983 roku! Wracając zaś do sprawy: autor nie podaje, jaki był wtedy rekord skoku zatrudnienia Z MIESIĄCA NA MIESIĄC. Przyjmijmy ostrożnie, iż stanowił on połowę największego wówczas skoku z kwartału na kwartał, czyli 60 000 osób. Jeśli teraz odejmiemy tę liczbę od przytoczonych 400 000 – okaże się, że dla pacyfikacji pracowniczych nastrojów trzeba było niemal z dnia na dzień przenieść na bruk około 340 000 ludzi.

Jeśli ktoś wykaże nam błąd – chętnie sprostujemy te rachunki.

STAP

* * *

Gotowa do druku nota, przekazana Tomaszowi Burskiemu drugiego dnia wydawania „Gazety" – 9 maja 1989. Dlaczego ten tekścik – niewątpliwie oryginalny, wnoszący nową, rzeczową wiedzę o stanie wojennym – został odrzucony, do dziś nie mam pojęcia.

Weźcie tę gotówkę

1. Na masówkę
2. i 3. Na taksówkę i łapówkę
4. Na kawę
5. Na ławę
6. Na zabawę
7. Na zastępstwo korektorki, która dziś jest chora
8. Na cenzora
9. (czasami) Na wódkę
10. (czasami) Na młódkę
11. Na bolącą głowę
12. Na lekarstwa nasercowe
13. Na obstrukcję TEGO urzędnika
14. Na kłopoty Michnika
15. Na transmisję na żywo
16. Na wszelki wypadek na łuczywo
17. Na Kasię, córkę leśniczego
18. Na drugie śniadanie Skalskiego
19. Na fiskusa
20. Na fikusa
21. Na pomysły z wytwornego lamusa
22. Na codzienne felietony Drawicza
23. Na fajki dla Rawicza
24. Na zupę i (w niej) na skwarki
25. Na suweniry i podarki
26. Na coś dla picu
27. Na skrzynkę zimnego tonicu
28. Na mandaty
29. Na kwiaty
30. Na wędlinę bez kartek – w czwartek
31. Na rachunki bez pieczątek – w piątek
32. Na nową taśmę do maszyny
33. Na smutne miny
34. Na niemiłe, lecz czasem konieczne całowanie w mankiet
35. Na finałowy bankiet
36. Oraz na keks
37. I na seks*

---

* Zgodny z projektowaną ustawą „O seksie".

* * *

Ten wierszyk wisiał przez parę dni na redakcyjnej tablicy. Jakoś „sam mi się złożył".

Bardzo chciałem pomóc startującej „Gazecie" i pomyślałem sobie, że namówię paru znajomych zamożnych ludzi, aby dali trochę gotówki „na sprawę". Pierwszą moją ofiarą stał się pan Witold Lutosławski, który – usłyszawszy propozycję – bez słowa poszedł na górę i wrócił z dwustoma tysiącami złotych i stoma dolarami (albo dwustoma dolarami i stoma tysiącami złotych, nie pamiętam). Dla orientacji: była to równowartość kilku dzisiejszych przeciętnych miesięcznych wynagrodzeń. „Niech pan powie Adasiowi, że bardzo go lubię" – rzekł, wręczając mi te pieniądze. Adama Michnika akurat w redakcji nie było, więc za radą i w obecności Ernesta Skalskiego przekazałem je Helenie Łuczywo.

Z pewnym zaskoczeniem skonstatowałem, że nikt w redakcji nie pochwalił mnie ani nie zganił za tę „prywatną inicjatywę". Gorzej: mimo moich parokrotnych próśb, Adam Michnik nie zadzwonił z podziękowaniami do WL; podziękował wreszcie – dość zdawkowo – dopiero wtedy, gdy któregoś dnia wcisnąłem mu w dłoń słuchawkę, mówiąc, że na drugim końcu linii jest Darczyńca.

Więcej nikogo o finansowe wsparcie dla „Gazety" nie prosiłem.

Masz pomysł?

Dobrych rad nigdy za wiele! Chodzi o wszelkie – także drobne – idee, koncepcje, chwyty, projekty i pomysły merytoryczne i organizacyjne, które mogłyby pomóc w naszej kampanii, które mogłyby usprawnić pracę nie tylko lokalnych komitetów wyborczych, lecz także naszej gazety. Uwagi krytyczne mile widziane!

Wszystkich, którzy chcieliby przekazać nam swoje wnioski i koncepty, uprzejmie prosimy o zwięzłe listy i pilne telefony. Podajemy warszawskie adresy i numery (...).

V.V.

* * *

Pod tekstem widnieje mój energiczny dopisek, uczyniony czarnym tuszem:

Kurcze blade! Jacek Żakowski odrzucił to (jako „zdezaktualizowane w skutkach") jeszcze przed 25 kwietnia, Skalski zlekceważył, Rawicz wziął 9 maja (ale zgubił?), a dziś czytam w "Tygodniku Powszechnym" z 21 maja na stronie drugiej IDENTYCZNĄ co do meritum prośbę autorstwa całego Komitetu Obywatelskiego „Solidarność" (z Fredry 6)! Ręce opadają...

Warszawa, 21-V-89 *S.*

Dziś, 10 lat później, jasno widzę, czemu to mi odrzucono. Chodzi o kolejną charakterystyczną cechę środowiska „Gazety Wyborczej": monopol na inicjatywy (nie każdy może na własną rękę proponować, doradzać i zgłaszać pomysły, choćby nawet miał świętą rację). Patrz również str. 143 i 198.

(Prawdopodobnie pierwsza recenzja w drugim obiegu)

Jest „Gazeta"!

Kilkunastu znajomym, kolegom i sąsiadom, spytanym o ocenę pierwszego tygodnia „Gazety Wyborczej", zdecydowanie nie podobał się numer inauguracyjny; następne dostawały przynajmniej „czwórkę". W pełni podzielam te opinie.

Stała się oto rzecz niemożliwa: w ciągu sześciu tygodni (rekord świata?) zdołano zorganizować i w 150-tysięcznym nakładzie wydać normalny 8-stronicowy dziennik kolportowany w normalnym obiegu, a w dzienniku tym – cenzurowanym, lecz jedynym niezależnym „między Łabą a Pacyfikiem" (Wałęsa) – można pisać o końcu komunizmu tak samo bez ogródek, jak np. w "Kulturze", „Kosie" lub „Krytyce". Wypłacę 10 dobrych prywatnych dolarów każdemu, kto w maju 1988 przewidział drukiem taki bieg wydarzeń.

Twórcami tego niewątpliwego prasowego cudu są przede wszystkim redaktorzy i współpracownicy „Tygodnika Mazowsze", z eteryczno-stalową Heleną Łuczywo na czele. Zamiast jednak prawić im zasłużone komplementy, wymieńmy – z pozycji szarego czytelnika – kilka uwag krytycznych, w przekonaniu, że mogą okazać się po prostu przydatne.

CO WYDAJE SIĘ SŁABE. Pion tytułu pisma oraz – przez swą zbędność – dzialik sportowy.

POTKNIĘCIA. Brak jakiejkolwiek wzmianki o konferencji prasowej Lecha (11-V) w sytuacji, gdy zrelacjonowały ją oficjalne dzienniki. Dubeltowa pochwała ewidentnie fatalnego, niestety, wyborczego debiutu telewizyjnego „S" (notabene – obecność w nim Niemena zakrawała na sabotaż lub prowokację). Drobiazg: dwa razy w tytule Słupia-gate zamiast Słupskgate (to o aferze z podsłuchem). I praktycznie nic więcej!

CO BY SIĘ PRZYDAŁO? Listy od czytelników (ale skąd je wziąć w pierwszych dniach?), klasyczne sondy dziennikarskie (podobno mają być) oraz fotoreportaże (zwłaszcza ze spotkań wyborczych). A także – odrobinę więcej luzu!

Wszystkie kolumny (krajowa, wyborcza, zagraniczna etc.) są porządne, rzetelne, dobre, ale **na mnie osobiście największe wrażenie zrobiła pięciodniowa EWOLUCJA kolumny „wolnomyślicielskiej". Ze względu na głośny spór moralno-polityczny (w dosłownym sensie tego określenia), stronicę tę można było traktować jako test uczciwości, odwagi i wiarygodności**

„Gazety", która – przypomnijmy – po wyborach ma przekształcić się w dziennik „ogólnoopozycyjny". Otóż test ów wypadł nad wyraz pomyślnie – a przecież to zapewne nie koniec!

Redakcja „Gazety" znalazła przejściową (ufajmy) siedzibę w... dziecięcym żłobku. Czy kiedyś zawiśnie tam pamiątkowa tablica? (12 maja 1989)

Stanisław Remuszko

* * *

Odnośnie do wytłuszczonego fragmentu: wyjaśniam młodym Czytelnikom, że ów „głośny spór moralno-polityczny" dotyczył niepełnej reprezentatywności strony solidarnościowo-opozycyjnej w rozmowach Okrągłego Stołu. Przypominam, że z tego powodu swój udział w pracach Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie zawiesiły w pewnym momencie takie postacie, jak Aleksander Hall, Jan Olszewski i Adam Strzembosz. O koniecznych gwarancjach takiej reprezentatywności pisałem m.in. w "Tygodniku Mazowsze".

Prawdopodobnie ze względu na ów „głośny spór", na pierwszej stronie pierwszego numeru „Gazety Wyborczej" znalazło się oficjalne odredakcyjne zapewnienie o historycznym znaczeniu: *Czujemy się związani z "Solidarnością", lecz zamierzamy przedstawiać poglądy i opinie całego niezależnego społeczeństwa, różnych opozycyjnych kierunków.* Dziś, po wszystkim co się stało, nie mam wątpliwości, że kierownictwu „Gazety" chodziło o zmyłkę czyli kamuflaż w najważniejszym dla pisma, bo startowym okresie, kiedy trzeba było od razu zdobyć zaufanie jak największej liczby potencjalnych odbiorców. Ta operacja trwała pierwsze kilka miesięcy i zakończyła się pełnym sukcesem. A gdy już „Gazeta" – w ciągu tych kilku miesięcy – niebywale rozwinęła się, wzrosła, umocniła się i okrzepła, gwarantując sobie zarazem wśród ogólnopolskich dzienników monopol na niezależność – szybko okazało się, CO WARTE było jej cytowane wyżej zapewnienie...

Zróbmy to jak najprędzej!

Część z nich umarła, część wyjechała, większość jednak żyje wśród nas. Przeważnie są to mężczyźni – dziś już starsi, na emeryturze. Trybem życia, wyglądem i zachowaniem nie różnią się zapewne od innych sześćdziesięcio- i siedemdziesięciolatków. A przecież są zasadniczo odmienni, bo obciążają ich ZBRODNIE.

Mówię o stalinowskich oprawcach: o tych funkcjonariuszach UB, MO, wojska, prokuratury, sądów i więziennictwa, którzy osobiście odpowiadają za cierpienia, choroby, kalectwo i śmierć tysięcy niewinnych ludzi, torturowanych i kaźnionych w majestacie państwowego bezprawia lat 1945-1955.

Wszystkim ofiarom stalinizmu – zwłaszcza żyjącym – należy się zadośćuczynienie. Jego fragmentem będą kolejne wyroki w trwających procesach rehabilitacyjnych, a także – miejmy nadzieję – efekty działalności niedawno zarejestrowanego Komitetu Pamięci Ofiar Stalinizmu. Lecz to nie wystarczy – ani poszkodowanym, ani ogółowi Polaków.

Tym, którzy w wyniku zbrodniczych praktyk utracili zdrowie, trzeba bezzwłocznie zapewnić właściwą opiekę medyczną i godziwe warunki życia. Tym, którzy utracili wolność lub majątek, trzeba wypłacić stosowne odszkodowania. Najwyższa wreszcie pora, aby – po trzecie – UKARAĆ SPRAWCÓW tych krzywd i nieszczęść, sprawców bólu, śmierci i łez. Sprawiedliwej kary dla stalinowskich katów maja prawo oczekiwać zarówno ich ofiary, jak i całe społeczeństwo.

Nie chodzi o prymitywną pomstę, o odwet podług zasady „krew za krew". Do europejskiej tradycji prawnej należy instytucja przedawnienia, a Polska jest nieodłączną częścią Starego Kontynentu. Winnych można jednak zawsze pociągnąć do odpowiedzialności MORALNEJ – i jest to, jak się zdaje, minimum, na które czeka opinia publiczna. Jest to przede wszystkim minimum należne ofiarom represji – póki żyją.

Apeluję zatem o rychłe powołanie niezależnego Trybunału Społecznego, który osądzi stalinowskie zbrodnie w naszym kraju. Sądzę, że głównym rezultatem prac Trybunału powinno być opublikowanie Czerwonej Księgi, zawierającej możliwie pełne personalia oficerów, prokuratorów i sędziów bezpośrednio odpowiedzialnych za nieludzkie śledztwa, fałszywe oskarżenia i bezprawne wyroki – a także zawierającej dokładne personalia ich zwierzchników, z najwyższymi włącznie.

Niezależny Trybunał starannie zadba, aby w trakcie całego procesu oskarżeni mieli zagwarantowane prawa, których przed laty odmawiali swoim ofiarom. Trybunał przesłucha świadków, rozpatrzy dowody, przebada archiwalia. Jedyną karą dla winnych będzie umieszczenie ich nazwisk na liście hańby.

Zwracam się do wszystkich demokratycznych środowisk w Polsce, do wszystkich postępowych sił politycznych oraz do niezależnych społecznych autorytetów, aby niezwłocznie przystąpili do dyskusji nad kształtem przyszłego Trybunału. Ufam, że oficjalnego poparcia udzielą tej idei czołowi przedstawiciele dotychczasowych władz, którzy wielokroć deklarowali zamiar definitywnego rozstania się ze stalinizmem, a także nowo wybrany Sejm i Senat.

W Polsce rozpoczyna się nowy rozdział historii. Nie można jednak udanie tworzyć nowego rozdziału bez trwałego zamknięcia rozdziału poprzedniego. Epoki stalinowskiej zaś nie uda się ostatecznie zamknąć bez rozliczenia – do końca – stalinowskich zbrodni. Zróbmy to jak najprędzej! (31 maja 1989)

Stanisław Remuszko

* * *

W połowie roku 1989 (a więc jeszcze w PRL) w ogóle nie przyszło mi do głowy to, co wkrótce potem chyba dla wszystkich stało się oczywiste: mianowicie instytucja przedawnienia może funkcjonować tylko w państwie prawa. Ale i takie ujęcie „tematu rozliczeń" okazało się nie do przyjęcia dla „Gazety Wyborczej": tekst odrzucono bez wahania.

„GAZETA"
Warszawa, ul. [illegible] 9
adres do korespondencji
ul. Iwicka 19, tel. 41-23-69

Pan Dyrektor
Centralnej Biblioteki Statystycznej
Al. Niepodległości 208
00-925 Warszawa

Uprzejmie proszę o wyrażenie zgody na przejście pracownika CBS, pana Stanisława Remuszki, do pracy w "Gazecie Wyborczej" z dniem 1 czerwca 1989 na mocy porozumienia stron.

Z wyrazami szacunku

Redaktor Naczelny
Adam Michnik

Warszawa, 15 czerwca 1989

Adam Michnik

GŁÓWNY URZĄD STATYSTYCZNY

Główny Urząd Statystyczny, Al. Niepodległości 208, 00-925 Warszawa Warszawa 58
Telefony: – Centrala: 25-24-31, 25-32-41

Adres telegr. GUS

" Gazeta "
ul. Iwicka 19
Warszawa

Na pismo; znak z dnia Nasz znak KS-I-12-630/89 Data 1989.06.21

Sprawa:

Biuro Kadr i Szkolenia Głównego Urzędu Statystycznego uprzejmie informuje, że została wyrażona zgoda na przejście Obywatela Stanisława Remuszki do pracy w Waszej Gazecie z dniem 1 czerwca 1989 r. na mocy porozumienia zakładów pracy.

z up. DYREKTOR
Biura Kadr i Szkolenia
[signature]

Sprawdź, czy nie jesteś na liście PRON

Tydzień temu („GW" nr 81) zamieściliśmy listę największych organizacji współtworzących Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego. Na życzenie Czytelników, podajemy dziś nazwy najbardziej znanych spośród pozostałych organizacji – zbiorowych członków PRON:

Federacja Amatorskich Klubów Filmowych • Kościół Adwentystów Dnia Siódmego • Naczelna Rada Adwokacka • Naczelna Rada Spółdzielcza • Naczelna Rada Zrzeszeń Prywatnego Handlu i Usług • Polska Rada Ekumeniczna • Polskie Towarzystwo Ekonomiczne • Polskie Towarzystwo Wydawców Książek • Polski Związek Filatelistów • Polski Związek Łowiecki • Stowarzyszenie Autorów Polskich • Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich • Stowarzyszenie Dziennikarzy PRL • Stowarzyszenie Księgarzy Polskich • Towarzystwo Naukowe Organizacji i Kierownictwa • Towarzystwo Opieki Nad Zwierzętami • Zjednoczenie Patriotyczne „Grunwald" • Zjednoczenie Katolików „Caritas" • Zrzeszenie Prawników Polskich • Zrzeszenie Studentów Polskich • Związek Kynologiczny • Związek Ochotniczych Straży Pożarnych.

Stanisław Remuszko

* * *

Młodszym czytelnikom przypomnę, że Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego – w skrócie PRON (a złośliwie PRON-cie) – był następcą osławionego, jeszcze bierutowskiego Frontu Jedności Narodu, fasadową organizacją utworzoną w 1982 roku przez PZPR, ZSL, SD, PAX i in. dla poparcia polityki stanu wojennego. Przynależność do PRON przynosiła ujmę, jako wyraz politycznego poddaństwa. Wielu ludzi wypisało się ze swoich stowarzyszeń po tym, jak ich kierownictwa oficjalnie zadeklarowały, że przystępują do PRON.

Nie wiem i nigdy się nie dowiem, kogo ze swych przyjaciół w kierownictwie w.w. organizacji chronili przed infamią cenzorzy z "Gazety Wyborczej", odmawiając – już w sierpniu 1989 roku! – publikacji powyższego tekściku. Dziś można przypuszczać, że była to zapowiedź „szerszego zjawiska": negowania sensu wszelkiej lustracji.

Wieszczba

Czeka nas nieuchronna zmiana szyldów i tabliczek. Wieszczę, że za rok nie ostanie się niemal żadna z nazw tych politycznych (quasipolitycznych) ciał, struktur i organizacji, które istniały za Gierka lub wcześniej.

Przyjdzie nam trwale żyć bez PZPR, ZSL, SD, PAX i PRON, bez LWP, MO i SB, bez GUKPPiW, ANS i PRiTV, a także bez PRL.

Zniknie wiele tytułów prasowych, gdyż nie dadzą sobie rady bez dotacji. Zniknie wiele słów, gdyż przestana być używane. W kwiecie wieku odejdą patroni niejednej ulicy, szkoły, akademii, huty i kopani; przechrzczą się też pewnie niektóre miasta oraz niektóre statki naszej floty. Pod nowym samorządem terytorialnym zmyte zostaną z murów i płotów miasteczek i wsi widniejące jeszcze gdzieniegdzie hasła w rodzaju: „Program Partii Programem Narodu", lub: „Czynem Społecznym Budujemy Ojczyznę", albo: „Socjalizm = Dobrobyt"...

Wieszczę: będzie STRASZNO. Dla ludzi, którzy wyjechali z kraju na Trzech Króli 1988, wrócą zaś na Boże Narodzenie 1990 – trzeba będzie zorganizować przyspieszone kursy społeczno-politycznej adaptacji z zastosowaniem najnowocześniejszych metod hipnotycznych, perswazyjnych i hiperwersyjnych.

Mimo to radzę nie przejmować się zbytnio tą perspektywą, gdyż likwidacja nazw nie musi bynajmniej oznaczać likwidacji ich właścicieli. Zamiast PZPR z pewnością będzie działała np. Polska Partia Lewicy, ZSL zmieni się w PSL, SD w PPD (Partię Polskich Demokratów), a PAX w Śmaks. PRiTV podzieli się na PR i TVP, MO przeistoczy w zwykłą policję, a miejsce PRL zajmie Rzeczpospolita Polska.

Tylko PRON-u, tylko PRON-u, tylko PRON-u żal...

Stanisław Remuszko

* * *

Tekst, podobnie jak inne, z niewiadomych dla mnie względów odrzucony przez „GW". Tak potraktowane materiały nosiłem najczęściej do znakomitego „PWA" (pod wodzą jeszcze znakomitszej Stanisławy Domagalskiej), gdzie przeważnie przyjmowano je z tzw. pocałowaniem ręki i drukowano natychmiast. Co charakterystyczne, decydenci z "GW" nigdy nie podawali powodów, dla których tekst nie ukazywał się w druku. Próby dopytania się kończyły się wykrętami albo kolejnymi nie dotrzymywanymi obietnicami. Nie obrażałem się (choć mnie to dziwiło), tylko po tygodniu lub dwóch taki tekst zabierałem i niosłem gdzie indziej.

Normalizacja

„Solidarność" jako związek zawodowy już nie tylko nie wystarcza, ale – jeśli wydarzenia potoczą się w dotychczasowym tempie i kierunku – wkrótce przestanie być społeczno-polityczną siłą numer 1, a za kilka lat zejdzie na drugi plan polskiego życia publicznego. Uważam, że można się z tego tylko cieszyć.

„Solidarność" narodziła się ze WSPÓLNEGO protestu bardzo RÓŻNYCH ludzi. Ciężko doświadczeni, mogli oni w miarę precyzyjnie określić, co winno ulec likwidacji, na co nie ma zgody. Natomiast postulaty konstruktywne z natury rzeczy musiały być ogólne – i to tym bardziej, im powszechniej je aprobowano. Takim właśnie najogólniejszym, choć niekoniecznie zawsze i wszędzie artykułowanym postulatem szarych członków Związku – postulatem nieformalnym, lecz przecież bodaj najważniejszym – była wytęskniona NORMALNOŚĆ, której dość napatrzyli się na świecie. Związek powinien zaprowadzić Polskę do normalności, co zaś później z nim się stanie – miało okazać się samo.

Otóż „później" już jest. Związek w cuglach wygrał wybory, stworzył najsilniejszą frakcję parlamentarną i powołał rząd, który cieszy się bezprecedensowym poparciem praktycznie wszystkich elit politycznych. Tym sposobem „Solidarność" dotarła do szczytu swej potęgi, z którego – jak z każdego szczytu – można tylko zejść.

Kto ją zastąpi? Rolę czysto związkową w dużej części przejmie przyszły akcjonariat, a także rozliczne ciała samorządowe. Rolę zorganizowanego stymulatora i moderatora rozmaitych inicjatyw społecznych – ruch komitetów obywatelskich, którym szczęśliwie odebrano dotychczasowy przydomek i który – równie fortunnie – nie dał sobie założyć odgórnego kagańca. Rolę partii politycznej wreszcie – same partie, które właśnie powstają jak grzyby po deszczu.

Wyzbywszy się pokus totalizmu i spełniwszy narodowe oczekiwania, „Solidarność" – taka, jaką dotąd była – zacznie z wolna przechodzić do historii. Formalnie zostanie po niej tylko związek zawodowy, faktycznie natomiast – cała nasza nowa rzeczywistość, której dzisiejszy Związek-omnibus jest głównym sprawcą. Tak właśnie widzę polską normalizację lat dziewięćdziesiątych. Pamiętajmy, że mądrzy rodzice dają dzieciom – w miarę ich dorastania – coraz więcej swobody, pełne zaś ich usamodzielnienie się traktują nie jako dopust boży, lecz realizację jednego z podstawowych celów własnego życia. (9-X-89).

Stanisław Remuszko

* * *

Odrzucone przez „GW" (patrz komentarz do „Wieszczby" na poprzedniej stronie).

Tekst, napisany wczesną jesienią 1988, został przyjęty do druku przez Jana Kofmana wczesną wiosną 1989. Z powodów całkiem dla mnie niepojętych, Kofman upierał się, by usunąć z tekstu dwa obszerne fragmenty. Zgodziłem się w końcu – pod warunkiem, że cięcia zostana zaznaczone.
Dziś jakby łatwiej mi zrozumieć, czemu JK ocenzurował wtedy tamten artykuł. Zresztą niech Czytelnik sam wyrobi sobie opinię. Oto te fragmenty:

List z Warszawy

(...)

Weźmy dla przykładu (w tym miejscu klęknąłem) sam NSZZ „Solidarność", którego czuję się członkiem. Nikt nie zabierze mu tego, co zrobił nie tylko dla Polski i Polaków, lecz także dla idei wolności i demokracji w ogóle; podejrzewam, że w całych dziejach naszego kraju nie było ruchu, który by TAK WYDAJNIE zmusił umysły i sumienia obywateli do pracy, który tak mocno przeorałby osobowości milionów ludzi w tak krótkim czasie. Również teraz – w nadchodzących miesiącach i latach – Związek ma wielkie pole do społecznego popisu, ważką rolę do odegrania we współkształtowaniu przejściowego polskiego ładu polityczno-gospodarczego. Mimo to nie widzę dlań większej przyszłości w dalszej przyszłości.

Zanim zostanę ukamienowany, proszę o przeczytanie kilku następnych zdań. Sądzę otóż, że kiedy już w Polsce nie stanie komunizmu ani komunistów, związki zawodowe utracą większość swych dzisiejszych racji bytu, a zatem i swego dzisiejszego znaczenia. Jeśli bowiem wszystko pójdzie dobrze – zyskamy szansę odbudowy zrujnowanej gospodarki Z PRZESKOCZENIEM anachronicznego w nowoczesnej ekonomii etapu, na którym tradycyjne ruchy syndykalistyczne są niezbędne dla ochrony interesów pracowniczych. Trzeba tylko będzie w tym celu uwłaszczyć lud – co pójdzie jak z płatka, bo przecież rozda się, sprzeda, pożyczy i wydzierżawi coś, co dotąd nie miało właściciela. Wspomnijcie, proszę, te słowa za 15 lat; jeśli się mylę i będę żył – odszczekam.

(...)

W maju 1988 roku wysłałem listem poleconym – do m. in. pięciu głównych KIK-ów, do „Dziekanii", do „Tygodnika Powszechnego" i "Res Publiki" – a także przekazałem przez kolporterów do „Tygodnika Mazowsze", „KOS-a" i "Małej Polski", pismo takie oto (cytuję *in extenso*):

W sprawie wyborów.

Piszę te słowa na miesiąc przed wyborami do rad narodowych, nie mogąc pojąć gremialnego milczenia – w tej kardynalnej przecież sprawie – polskich środowisk niezależnych. Szczęśliwie doczekaliśmy czasów, gdy jednostki, grupy i organizacje mogą, BEZ obaw o represje, zajmować stanowisko diametralnie odmienne od opinii władz. Skądinąd powszechnie wiadomo, co o obecnej ordynacji wyborczej myślą ludzie cieszący się społecznym zaufaniem. Pytam: czemu nie dają swym poglądom publicznego wyrazu?

Nie trzeba używać sformułowań konfiskowanych przez cenzurę (choć funkcjonują pozacenzuralne kanały) ani ściganych przez prokuratora, by wyrazić swą głęboką moralną i obywatelską dezaprobatę wobec upokarzającego faktu, iż możemy wybierać jedynie pomiędzy tymi kandydatami, na których zgłoszenie nie mieliśmy praktycznie żadnego wpływu. Dlaczego zatem brakuje indywidualnych i zbiorowych protestów przeciwko takiemu stanowi rzeczy?

Gdzie jest głos Klubów Inteligencji Katolickiej? Czemu milczy „Dziekania"? Co robi przewodniczący NSZZ „Solidarność", laureat pokojowej nagrody Nobla Lech Wałęsa? Jakie jest stanowisko „Tygodnika Powszechnego", „Res Publiki" i innych legalnie wydawanych pism? Co mają Polakom do powiedzenia liczne autorytety, których nazwisk przez grzeczność nie wymienię? Czyżby usnęły redakcje takie jak „Tygodnik Mazowsze" albo „Kos" albo „Mała Polska"? Na litość boską, czy apatia i marazm ogarnęły również tych, których postawa i aktywność podtrzymywały nas dotąd na duchu?

Sądzę, że każdy uczciwy i rozumny zarazem człowiek nie tylko powinien zbojkotować TAKIE wybory, lecz również – jeśli ma trochę cywilnej odwagi – w sposób widoczny zademonstrować swój sprzeciw wobec tych punktów ordynacji, które uwłaczają obywatelskiej godności. W tej sprawie milczeć nie wolno.

Stanisław Remuszko

Przykro mówić, ale nic mi nie wiadomo o jakimkolwiek „wyborczym" stanowisku, zajętym PUBLICZNIE przez któregokolwiek z wymienionych adresatów mojej powyższej pisaniny. Jakie zaś były rezultaty czerwcowych wyborów – każdy wie, i to właśnie nazywa się stracić (przegapić) polityczną okazję. To – po pierwsze.

W lutym bieżącego roku „Przegląd Katolicki" opublikował dokument nazwany później od swej formy oraz od liczby sygnatariuszy Apelem Trzydziestu. Jeden z trzech głównych postulatów Apelu mówił o potrzebie podjęcia przez władze rozmów z opozycją.

Ten złożony w Sejmie, a zaadresowany „Do władz PRL" list otwarty (patrz: „Dodatki", str. 186 – SR) podpisało grono osób ze ścisłej elity

intelektualnej kraju – znani pisarze, prawnicy, ekonomiści, dziennikarze, przedstawiciele nauk ścisłych i humanistycznych (21 profesorów, w tym 11 członków PAN) – w sumie reprezentanci 15 profesji. Natychmiast też rzecznik rządu Jerzy Urban znaczną część swej cotygodniowej konferencji prasowej poświęcił krytyce tego dokumentu, a obszerną z nim polemikę na czołowym miejscu zamieścił ogólnopolski dziennik „Życie Warszawy". Potem, w zasadniczym pierwszostronicowym artykule, Apel Trzydziestu cytowała także „Polityka".

Tymczasem Apel powinien i MÓGŁ ukazać się cały rok wcześniej, bo jego tekst narodził się w październiku 1986 (szóstego!) roku i w pierwszych dniach listopada został przedstawiony siedmiu wybitnym przedstawicielom opozycji (m.in. A. Michnikowi, K. Szaniawskiemu, J. J. Szczepańskiemu, A. Szczypiorskiemu) wraz z sugestią pozyskania dlań wielu sygnatariuszy i ofertą zorganizowania takiej zbiórki podpisów. Siedmiu Wspaniałych wystawiło tekstowi przeważnie dobre noty, i na tym by się prawdopodobnie sprawa skończyła, gdyby nie autor owego dokumentu, który, po 12 miesiącach czekania na decyzję Wielkich, machnął ręką i jak samojeden zaczął – tak zebrał podpisy i "dokończył dzieła".

Ten z kolei przypadek nazwałbym dubeltowo: brakiem politycznego wyczucia czasu oraz przykładem skutków niezorganizowania opozycji. To – po drugie.

Wreszcie historia trzecia, najnowsza. Jest chyba bezdyskusyjne, że stworzenie społecznego projektu nowej konstytucji stałoby się istotnym FAKTEM POLITYCZNYM. W ramach warszawskiego koła Towarzystwa Przyjaciół „Powściągliwości i Pracy" (pismo związane z Kościołem) próbujemy zorganizować w listopadzie bieżącego roku seminarium na ten temat. W ostatnich miesiącach odbyłem rozmowy z kilkoma wybitnymi znawcami przedmiotu (historycy i prawnicy-konstytucjonaliści), proponując napisanie i przedstawienie na owym seminarium kilkustronicowego referatu pt. „Ogólne założenia do projektu nowej konstytucji państwa polskiego". Efekt? Cztery razy spotkałem się z odmową – przy jednocześnie ochoczo zgłaszanym udziale w seminaryjnych dysputach... Czy ten przypadek nie świadczy z kolei o (mówiąc eufemistycznie) zbyt wielkiej ostrożności w politycznym angażowaniu się niezależnych autorytetów?

Przytoczyłem te trzy opowieści nie po to, rzecz jasna, aby przyłożyć opozycji, lecz aby dać ilustrację istnienia również słabych jej stron. (...)

List do redakcji

„Krytyka" i krytyka

Pragnę poinformować czytelników „Krytyki", że w moim tekście p.t. „List z Warszawy", który ukazał się w najnowszym, 31. numerze tego kwartalnika, uczyniłem – na prośbę jego redakcji – dwa spore skróty, zawierające krytykę solidarnościowej opozycji („Krytyka" nr 31 miała ukazać się przed czerwcowymi wyborami).

Redakcja dała słowo, że miejsca skrótów zostaną zaznaczone. Z zażenowaniem konstatuję, że tak się nie stało.

Stanisław Remuszko

Zejść z oczu

Jednym z najczęstszych tematów, poruszanych obecnie na łamach prasy, są zmiany personalne w Polskiej Telewizji. Oto moje dwa grosze, dokładniej zaś – dwa główne (moim zdaniem) aspekty tej sprawy.

Po pierwsze – problem moralny. Wyobraźmy sobie sędziego, który przez lata pilnie słuchał politycznych rozkazów, podczas procesów odbierał głos oskarżonym i pozbawiał ich prawa do obrony, wreszcie – skazywał niewinnych. Pytam: czy teraz ów sędzia powinien pozostawać członkiem jednego z wojewódzkich sądów? Nie. Czy miałby wobec tego podjąć pracę w sądzie rejonowym? Przecież w ogóle nie o to chodzi. Myślę, że byłoby najlepiej – dla państwa i dla społeczeństwa – gdyby przeszedł na emeryturę lub zmienił zawód.

Ekstremiści zażądaliby wytoczenia temu sędziemu procesu, terroryści zaś postawiliby go od razu przed plutonem egzekucyjnym. Jestem przeciw ekstremistom i terrorystom.

Po drugie – istnieje problem tzw. rozszerzonej wiarygodności. Wyobraźmy sobie sędziego, który... itp., itd. (patrz wyżej). Pytam: jakie zaufanie można mieć do CAŁEGO sądu, jeśli powszechnie wiadomo, że ów sędzia – niegdyś przekupny i nikczemny, lecz dziś, jak sam twierdzi, rzetelny i niezawisły – nadal feruje wyroki? Więcej: jakie zaufanie można wtedy mieć do całego resortu sprawiedliwości?

I znów: polityczni ortodoksi zażądaliby przeprowadzenia surowej weryfikacji wszystkich bez wyjątku sędziów z tamtych lat, fanatyczni zaś zwolennicy „czystości szeregów" usunęliby z zawodu wszystkich, jak leci. Jestem przeciwny ortodoksom i fanatykom.

Tymczasem słychać głosy, że np. – cytuję – „wyrzucenie z pracy niektórych telewizyjnych dziennikarzy, czyli zniszczenie symbolu, to magiczna praktyka, nic więcej". Uważam, że to nieprawda, gdyż wówczas i Norymberga musiałaby być – *toutes proportions gardeés* – „magiczną praktyką", niczym więcej.

W obecnym wielusetosobowym zespole dziennikarzy polskiej telewizji jest zaledwie kilka (najwyżej kilkanaście) twarzy, które każdemu człowiekowi bez amnezji zawsze będą kojarzyć się z kłamstwem, nienawiścią i obłudą, ze strachem przed pałką, rewizją, aresztowaniem i przesłuchaniem. Otóż ludzie, którzy widzom automatycznie tak się kojarzą, powinni zejść z oczu milionom Polaków (jeśli odczuwają potrzebę ekspiacji, niechże zaspokajają ją poza szklanym ekranem). W przeciwnym razie będzie to ekran mało wiarygodny, a w konsekwencji – również nieskuteczny. (5-X-89).

Stanisław Remuszko

* * *

Kolejny tekst dotykający problemu tak zwanych rozliczeń – odrzucony przez „GW". I to mimo moich wyjątkowo umiarkowanych (dziś powiedziałbym: głupich i niesprawiedliwych) poglądów na temat odpowiedzialności sędziów za swoje czyny.
O usuwaniu skompromitowanych działaczy jako o "magicznej praktyce, niczym więcej", pisał już wtedy na łamach „Wyborczej", o ile pamiętam, Antoni Pawlak.

Adwokaci i lekarze

W liście do redakcji („Gazeta" nr 127) Marek Edelman pisze, że bronienie przed sądami PRL ludzi oskarżonych o przestępstwa polityczne nie jest żadną zasługą, lecz obowiązkiem adwokatów (podobnie jak leczenie wroga jest obowiązkiem lekarza), i w związku z tym nie powinno się tych obrońców premiować jakimś specjalnym poparciem w wyborach do władz państwowych.

Myślę, że Marek Edelman ma rację i nie ma jej zarazem. Ma rację, gdy mówi, że adwokaci powinni, niejako z samej swej natury, bronić politycznych. Nie ma racji, gdy to słuszne założenie odrywa od życia. Ono zaś podpowiada prawdę może trochę wstydliwą, ale prawdziwą przecie: podczas stanu wojennego wśród wielotysięcznej polskiej palestry znalazło się chyba niespełna 20 adwokatów, którzy z pełnym przekonaniem, sami z siebie decydowali się bronić w procesach politycznych.

Nie słyszałem o lekarzu, który byłby represjonowany w PRL za medyczną pomoc udzieloną politycznemu przeciwnikowi. Tymczasem mec. Bednarkiewicz przesiedział – jako pełnomocnik matki Przemyka – pół roku w areszcie właśnie z powodu swego obrończego zaangażowania. Mec. Andrzejewski z podobnych powodów był przez rok pozbawiony prawa wykonywania zawodu. Mec. Kozioł z Łomży i mec. Piotrowski ze Śląska zostali internowani. Dr. Kuratowską też internowano, ale nie dlatego bynajmniej, że jest lekarką...

Sądzę, że podjęcie się obrony oskarżonych o przestępstwa polityczne było jednak – w tamtych czasach – aktem pewnej odwagi, wyborem pewnych wartości moralnych, publiczną demonstracją własnej postawy obywatelskiej. Nikt nie nazywa tych adwokatów narodowymi bohaterami, ale z pewnością zasłużyli na szacunek i zaufanie większe niż wielu innych ludzi. Chyba m.in. dlatego właśnie społeczeństwo poparło kandydatury takich osób w wyborach do różnych władz.

A już na marginesie: pierwszym zadaniem parlamentu jest tworzenie spójnego, logicznego i sprawiedliwego prawa. Zdaje się, że zawodowi prawnicy mają ku temu predyspozycje.

Stanisław Remuszko

* * *

Tekścik złożyłem w sekretariacie redakcji „Gazety Wyborczej" 5-XI-89. Wedle odbitej na nim pieczątki, został on już skierowany do druku (GAZETA – nr 134, kolumny – nr 4-5; na marginesie opisano łamanie – 8/8 punktów, 10 cic.). Dlaczego i przez jakiego czujnego superrewizora drobiazg ów został w ostatniej chwili zdjęty – nie wiem. Może dlatego, że ośmieliłem się polemizować z SAMYM Edelmanem???

1990

Zapiski

1. Czwartek 18 stycznia, ok. 11.30. Skalski „usilnie nalega", abym nie pisywał do Tysola.

2. Piątek. PWA – odpowiedź! (???)

3. Sobota wieczorem. Kwaśniewski-Michnik 6 : 4 (tak sądzę).

4. Niedziela, ok. 16.00. W redakcji pytam się Tomka [Burskiego – SR] i Romka [Kurkiewicza – SR] (w pokoju jest jeszcze maszynistka), co sądzą o telewizyjnym pojedynku. Zapada cisza, a ja z uśmiechem komentuję tę debatę i mówię, że według mnie w paru sprawach to K. ma rację, nie M. Chłopcy jakby w ogóle nie słyszeli: nie patrzą na mnie, nie odpowiadają ani słowem i wracają do czytania tekstów.

5. Niedziela 21 stycznia. Droga powrotna i wieczorem czytam zaległy „Ład" nr 2, a w nim rozmowę z Kaczyńskim pt. „Zrezygnujmy z tematów tabu". Konstatuję, że to ukazało się w kioskach przed ok. 10 dniami, a do dziś – bez repliki żadnej!!!

6. Poniedziałek 22-I. Piszę list do Adama.

7. Czytam pos. Niesiołowskiego w "TP" z uczuciem *déjà vu.*

8. Wtorek. Skalski ostrzega mnie, że „dziś Adam z pianą na ustach pluł na Tysol".

9. Poniedziałek 29-I. Ośw. Lecha.

10. Dalej nic. Działania magiczne.

* * *

Te dziesięć punktów zanotowane jest na niebieskiej okładce 16-kartkowego zeszytu w kratkę, w którym zapisywaliśmy miesięczne domowe wydatki. Przypuszczam, że postanowiłem wtedy po prostu zacząć notować nazbyt już widoczne i powtarzające się (by można je było pominąć) objawy *„złego dziania się w państwie duńskim"*. Najwyraźniej wytrwałości starczyło mi jednak tylko na kilka dni, bo żadnych innych tego typu notatek nie odnalazłem.

A przecież było co notować, „Gazeta" coraz bardziej stawała się STRONĄ (i to niesłuszną) wielkiego polityczno-moralnego sporu, który coraz wyraziściej dzielił myślących Polaków. W lutym i marcu moje wątpliwości jęły zamieniać się w podejrzenia, a te – w następnych miesiącach – przeradzały się w pewność.

Co się tyczy mojego pisywania do „Tygodnika Solidarność": parę dni potem, a więc w początkach lutego 1990 roku, Adam Michnik wziął mnie na bok i powiedział

bez cienia żenady (nie zapomnę tego do końca życia): Jeśli pisujesz do „Tysola", to dlaczego pracujesz w "Gazecie"? A jeśli pracujesz w "Gazecie", to dlaczego pisujesz do „Tysola"?
Czytelnikom należy się wyjaśnienie: w "Tygodniku Solidarność" od 1 stycznia 1990 roku prowadziłem wymyśloną przez siebie, nikomu nic nie wadzącą, neutralną historyczną rubrykę porównawczą pt. „Przed 10 laty • Przed 5 laty • Przed rokiem". Była to zwykła kronika wydarzeń, wzorowana zresztą na Turowiczowskim przeglądzie tygodnia w "TP". Ni w ząb nie mogłem pojąć, jak AM, będąc urodzonym człowiekiem pióra i dotychczas całe życie walczący o wolność słowa, nie wstydził się powiedzieć tego, co powiedział.
Dziś – dziesięć lat później – świta mi w głowie, że wówczas zaczęło z Michnika wychodzić to, co później wielokrotnie dało się obserwować w kierownictwie „Wyborczej" i co uważam za jedną z najbardziej charakterystycznych cech całego jej środowiska. Myślę o autentycznej mentalności Kalego (jak wiadomo, Kali nie dostrzegał w swej postawie niczego dziwnego), połączonej z głębokim przeświadczeniem o własnej wyjątkowości i z równie silnym poczuciem formacyjnej zwartości.
„My, ludzie Gazety Wyborczej" – pisano z okazji piątej rocznicy narodzin dziennika. „My, ludzie Gazety Wyborczej" – pisał Piotr Pacewicz w grudniu 1998 roku. „My, ludzie Gazety Wyborczej" – kiedyś tam. Czy to nie znamienne? W żadnym innym środowisku nie spotykam dziś tego typu autookreśleń. O podobnie idealnych jednostkach – „ludziach Partii" – mawiał Władysław Gomułka, a także Bolesław Piasecki („My, paxowcy").

List do Adama Michnika

Ursynów, 22 stycznia 1990

Adamie Drogi!

Człowiek nie ma już czasu na nic, dlatego dopiero wczoraj wieczorem przeczytałem wywiad z Jarosławem Kaczyńskim w "Ładzie" nr 2 (z 14 stycznia). Nie wiem, czy Ty to czytałeś (załączam), ale przecież oni niemal *expressis verbis* zarzucają Wam – Tobie, Geremkowi, Kuroniowi – że dążycie do zdobycia władzy w Polsce w sposób brzydki, podstępny i niedemokratyczny! Argumentacja tam podana może być przekonująca dla niezorientowanych!! Przejrzałem szybko zszywkę „Gazety", ale pamięć mnie nie zawodzi: żadnej odnośnej repliki w ciągu ostatnich 10 dni nie było!!! Na litość boską, zrobisz co uważasz za stosowne, ale ja sądzę, że nie można tego żadną miarą skwitować milczeniem!!!!!

Oddany Ci, wzburzony

Staszek Remuszko

* * *

Oj, ty ślepy i głuchy, po trzykroć głupi Staszku! Rzecz jasna, żadnej odpowiedzi na ten list nigdy nie dostałem, ani też nie ukazała się w "Gazecie" żadna polemika z tezami Kaczyńskiego.

Co dalej?

Okrągły Stół – zwieńczenie historycznej „Solidarności" – przechodzi wraz z nią do historii.

Zrodzony przed dziesięciu laty Związek był przede wszystkim ruchem protestu przeciwko totalitarnemu ustrojowi. Za główny cel miał jedno: doprowadzić Polskę do normalności – czyli państwu przywrócić niepodległość i demokrację, społeczeństwu pluralizm, jednostce zaś podmiotowe prawa. Uzgodnienia Okrągłego Stołu stanowiły natomiast receptę, która określała, od czego, kiedy i jakimi drogami zacząć leczenie chorego kraju. Dziś można się cieszyć, że niepewna zrazu terapia tak szybko dała tak dobre efekty, jednakże trudno ją bez zmian kontynuować, skoro pacjent tymczasem nabrał sił i rwie się z łóżka.

Różne autorytety, grupy i środowiska – złączone jeszcze wczoraj w jednolitym „NIE" – odmiennie widzą dziś pożądany kształt przyszłej Polski, i to właśnie jest normalne. Nikt przy tym nie odchodzi skrycie od zawartych w Pałacu Namiestnikowskim umów, ani jawnie ich nie łamie. Prawie wszystko, co przed rokiem można było przewidzieć, zapisać i podpisać, zostało zrealizowane. Wyraźnie widoczny dzisiaj sukces Okrągłego Stołu oznacza zarazem naturalną, stopniową dezaktualizację jego LITERY jako prawa regulującego kierunki, zakresy i terminy kolejnych zmian. Jednocześnie coraz cenniejszą i rwalszą wartością staje się DUCH tych porozumień, wyrażający się w przyjętej zasadzie rozstrzygania polskich spraw wspólnie i bez użycia przemocy oraz w dbałości o ewolucyjny charakter politycznych przeobrażeń.

„Solidarność" bezapelacyjnie wygrała czerwcowe wybory i odwróciła koalicje polityczne. Mazowiecki i jego ekipa tworzą chyba jedyny na kuli ziemskiej rząd, który w czasach pokojowych cieszy się nie tylko ogromnym zaufaniem opinii publicznej, ale również poparciem opozycji (!). Zmora ponad czterdziestu powojennych lat – PZPR – została de facto zlikwidowana, a jej personalno-materialna spadkobierczyni nie włada nawet ćwiercią potencjału swej poprzedniczki i nadal widomie traci moc. Trzej najważniejsi generałowie – Jaruzelski, Kiszczak i Siwicki – zachowują się nad wyraz poprawnie i lojalnie: przyjęli symboliczną neutralność, odpolityczniają wojsko i milicję, z parlamentem zaś współpracują wzorowo. Na dodatek sytuacja międzynarodowa rozwija się korzystnie, a sama Polska ma dziś na świecie szczególnie dobrą koniunkturę.

Ów fortunny bieg spraw każe tym mocniej przypomnieć, że kontrakt Okrągłego Stołu wypracowała i sygnowała tylko CZĘŚĆ sił obecnych wtedy, a zwłaszcza dziś, na polskiej arenie politycznej. Niepodważalne racje moralne, intelektualne i dziejowe reprezentują więc ci, którzy, z jednej strony, przestrzegają przed rodzącym się niebezpieczeństwem solidarnościowego totalizmu w skali lokalnej i państwowej, z drugiej zaś nawołują do NORMALIZACJI naszego życia poprzez strukturalne rozdzielenie jego sfery związkowej, politycznej, społecznej i gospodarczej; oznaczałoby to zarazem kres „Solidarności" – takiej, jaką dotąd była.

Sądzę, że nie unikniemy tej drogi, natomiast możemy wstąpić na nią trochę wolniej lub szybciej. Wydarzenia ostatnich tygodni – m.in. zasadnicze publikacje „Ładu" i "Tygodnika Solidarność", telewizyjna dyskusja Kwaśniewskiego z Michnikiem, apel Wałęsy o polityczną aktywność społeczeństwa, spotkanie Halla z przedstawicielami sił pozaparlamentarnych, porozumienie prasy niezależnej – zdają się wskazywać na ten drugi wariant. Skoro jednak Okrągły Stół wędruje do politycznego archiwum, a stara „Solidarność" ma przejść na zasłużoną emeryturę – warto spytać, co dalej.

Uważam, że najwyższa pora, aby gabinetowe dyskusje na ten właśnie temat zastąpić narodową debatą o przyszłości toczoną PUBLICZNIE; jej zgodna nieobecność na łamach wszystkich dzienników i znakomitej większości tygodników – nie mówiąc już o parlamencie – zaczyna niepokoić. Debata ta winna stać się, niejako przy okazji, elementem zarówno kampanii wyborczej do samorządów terytorialnych, jak też i programowej dyskusji przed zjazdem „Solidarności". Wreszcie, najpóźniej po wakacjach, Sejm powinien zadecydować o skróceniu własnej kadencji i wstępnie określić datę przedterminowych wyborów parlamentarnych w roku 1991 (osobiście proponowałbym wiosnę).

Spośród wielu czynników, przemawiających za takim właśnie rozwiązaniem, wymienię dwa. Nowe wybory nie mogą odbyć się zbyt wcześnie, gdyż rozpoczęty dopiero proces formowania się i krystalizacji polskiego krajobrazu politycznego wymaga nieco czasu. Nowe wybory nie mogą odbyć się zbyt późno, gdyż Rzeczypospolitej już teraz jest potrzebna nowa konstytucja, a tej – z przyczyn powszechnie wiadomych – żadną miarą nie może ustanowić obecny parlament.

Stanisław Remuszko

* * *

Tekst odrzucony przez „GW" 9 lutego 1990.

Sonda

1816 przypadkowych przechodniów uczestniczyło w czwartek 29 marca przed południem w błyskawicznej sondzie, przeprowadzonej przez 60 społecznych ankieterów „Gazety" w 37 miastach 31 województw. Pierwsze pytanie brzmiało: **czy powinny odbyć się przedterminowe wybory prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej?**

A oto odpowiedzi: nie – **8%**; tak, jeszcze w tym roku – **53%**; tak, w przyszłym roku – **18%**; tak, za 2-3 lata – **7%**; nie mam zdania – **12%**.

Ankieterzy spytali następnie: **kto powinien wybrać nowego prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej?** Respondenci odrzekli: cały naród – **74%**; Sejm i Senat – **17%**; inna możliwość – **3%**; nie mam zdania – **6%**.

STAP

* * *

Zachowała się kartka A-4 z powyższym tekstem, którą wywiesiłem na redakcyjnej tablicy z uczynionym czerwonym flamastrem odręcznym dopiskiem na górze: *Cenzura żyje!* oraz na dole: *[---], autocenzura „Gazety Wyborczej", 29-III-1990, St. Remuszko.*

Zachował się również (w oryginalnej kopercie!) list od nie znanej mi osobiście pani Elżbiety Sprusińskiej z Łodzi. Cytuję smaczne fragmenty:

Pan Adam Michnik, Redaktor Naczelny „Gazety Wyborczej", Warszawa. Zwracam się z prośbą o publiczne wyjaśnienie powodów niedopuszczenia do druku ogólnopolskiej sondy ulicznej, przeprowadzonej 29 marca br. na temat przedterminowych wyborów.
Jestem doktorem socjologii z ponad dwudziestoletnim stażem. Sądziłam, że gdy doczekaliśmy się ponownie jawnego działania NSZZ „Solidarność", nareszcie naszego rządu i naszych łam wydawniczych – także prasowych – nie powtórzą się już w badaniach społecznych i ujawnianiu ich wyników żadne manipulacje, ani „utajnianie" danych. Tymczasem stało się inaczej!
Całkowicie popieram ideę, aby gabinet Premiera Mazowieckiego mógł pracować w spokoju jeszcze przynajmniej kilkanaście miesięcy. Uważam jednak, że nie wolno stosować w pracy publicystycznej posunięć, jakich dokonał Pan w minionym tygodniu! Rozumiem Pana intencje: wyniki ankiety nie zgadzały się z planami przyszłorocznych wyborów, więc po co umacniać przeciwników politycznych w ich dążeniach?

Współpracuję w zbieraniu danych do „Sondy" od początku jej istnienia i uważam ją za dobrą i pożyteczną działalność dziennikarską, a po części również socjologiczną – odzwierciedla przecież aktualne reakcje opinii publicznej na bieżące wydarzenia społeczne. Sens swojego udziału w tej pracy widzę jednak tylko pod warunkiem, że bez względu na „polityczną jakość" uzyskanych odpowiedzi będą one publikowane. Nie wiem, czy zdecyduje się Pan wydrukować ten list wraz ze swoją nań odpowiedzią (przypuszczam, że usatysfakcjonowałoby to większość społecznych ankieterów „Gazety"), dlatego kopię listu kieruję także do Pana Stanisława Remuszki, który – jak wiem – jest głównym autorem „Sondy" i chwała Mu za to. Elżbieta Sprusińska, Łódź, 5 kwietnia 1990.

Oczywiście Pan Nadredaktor nawet jednej litery z listu pani ES opublikować „nie zdecydował się".
Zachowały się również dwie kartki z podobnie ocenzurowanymi sondami. Pierwsza (12 kwietnia 1990) ujawniała, iż, w opinii szarych ludzi, tempo polskich przemian zarówno politycznych, jak i gospodarczych jest zdecydowanie za wolne; wyniki drugiej (19 kwietnia 1990) były chyba „zbyt korzystne" dla Lecha Wałęsy...

UWAGA!!! • UWAGA!!! • UWAGA!!!

UWAGA!

a kto go upoważnił? ← [illegible] (S.R.) !

Wszyscy zainteresowani utworzeniem w redakcji "Gazety" KOŁA SDP proszeni są o czytelne wpisanie na poniższą listę swego imienia, nazwiska i telefonu lub osobiste zgłoszenie się do Stanisława Remuszki /tel. domowy 641-7190/.

W piątek 30 marca o godzinie 12.00 w Archiwum odbędzie się krótkie zebranie zainteresowanych. "Bicie piany" powinno się zakończyć odpowiednimi decyzjami.

---

01. Grzegorz Polak
02. Madinadki Mirosław 47 47 87 w 345 (dom)
03. Ewa Milewicz, 33 23 81
04. JACEK KALIŃSKI 330370
05. Andrzej Grzyb - 23-59-30
06. Włodzimierz Słowiński 64-11-609
07. [illegible] 27-35-23
08. Szczepaniak Jerzy 336896
09. Janusz R. Konieczny 384852
10. Władysław Dziedzic 40 97 19
11. [illegible]
12. Witold Pasek 44-36-88
13. Elżbieta Cichocka 560384
14. Leon Bójko — " —
15. JACEK MARCZEWSKI.
16. Włodzimierz Kalicki 561145
17. Ernest Skalski - 35-33-40
18. Janina Słusarczyk - 23 17 71
19. Janina Barańska - 21-04-06
20. Robert Sołtyk
21. [illegible] Jerzy 643164

UWAGA: 56 MAJA ZJAZD SDP!

T E L E G R A M

W PONIEDZIAŁEK 9 KWIETNIA O GODZINIE 11.00 W ARCHIWUM ODBĘDĄ SIĘ WYBORY DELEGATÓW NA ZJAZD SDP STOP WYBIERAMY JEDNEGO DELEGATA NA KAŻDYCH DZIESIĘCIU CZŁONKÓW SDP ZRZESZONYCH W NASZYM KOLE STOP ODNOŚNYCH INFORMACJI UDZIELAJĄ KOL. KOL. J. BARAŃSKA, J. MARCZEWSKI, S. REMUSZKO I J. SŁUSZNIAK.

K O M U N I K A T

W piątek 29 marca 1990, w obecności sekretarza Oddziału Warszawskiego SDP, odbyło się w redakcji zapowiedziane zebranie założycielskie Koła SDP przy "Gazecie Wyborczej". Przy jednym głosie wstrzymującym się, wybraliśmy tymczasowego delegata redakcyjnego /kol. Janinę Słuszniak/ oraz tymczasowy zarząd /kol. kol. Janina Barańska, Jacek Marczewski, Stanisław Remuszko/. Jednomyślnie postanowiliśmy, że "kadencja" tego ciała o charakterze usługowym potrwa najdalej do 30 maja. Bylibyśmy szczęśliwi, gdyby udało się wybrać normalny, stały zarząd jak najwcześniej /może już 9 kwietnia?/.

Uprzejmie informuję, że:

1. Ze wstępnych szacunków wynika, iż w naszej redakcji pracuje ok. 50 członków SDP.

2. Informacji związanych z przynależnością do SDP udziela kol. Janina Słuszniak /Dział Listów, codziennie/.

3. Składki przyjmuje kol. Jacek Marczewski /0,5% od stałych zarobków/.

4. W Oddziale Warszawskim SDP /Krucza 36, V p., pokój 510/ są codzienne dyżury w godzinach 10-14. Telefony do sekretarza Oddziału, kol. Małgorzaty Koch ~~[illegible]~~: 280-281 w. 658 /OW SDP/ oraz 288-496 /dom/.

5. Dla Koleżanek i Kolegów, którzy nie chcą lub nie mogą należeć do naszego Koła, w sobotę 7 kwietnia o godzinie 12.00 w Sali Śląskiej UW /Gmach Chemii, wejście od Oboźnej 8/ odbędzie się zebranie członków Koła przy Oddziale Warszawskim SDP, na którym wybrani zostaną delegaci na Walny Zjazd.

Warszawa, 31 marca 1990 Stanisław Remuszko

Ponieważ nikt z kierownictwa „jakoś" nie kwapił się do założenia w "Gazecie" koła Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich ani NSZZ „Solidarność" – choć reaktywacja obu tych organizacji była naszym głównym postulatem przez całe lata osiemdziesiąte... – w marcu 1990 postanowiłem sam założyć koło SDP i wywiesiłem stosowną kartkę na redakcyjnej tablicy. Jak wynika z reprodukcji zamieszczonych na obu poprzednich stronach, inicjatywa ta spotkała się z raczej życzliwym przyjęciem, choć nie zabrakło anonimowego dopisku w stylu PRL: *A kto go upoważnił?*

W poniedziałek 9 kwietnia 1989 roku o godzinie 11.00 nie udało się, niestety wybrać stałego zarządu Koła SDP przy „GW". Poprzestaliśmy na elekcji delegatów na zbliżający się zjazd SDP. Tak wyglądał oryginalny komunikat:

KOMUNIKAT

W dniu 9 kwietnia o godzinie 11.15 w Archiwum odbyło się zebranie Koła SDP przy redakcji „Gazety". Przy 1 głosie wstrzymującym się, wybrano następujących delegatów na Zjazd SDP:

1. Bójko
2. Kalicki
3. [illegible]
4. [illegible]
5. Remuszko

Postanowiono również zwrócić się do księgowości o potrącanie składek członkowskich SDP z poborów.

St. Remuszko

Warszawa, 9-IV-90

List do Kierownictwa

Warszawa, 26 kwietnia 1990

Kierownictwo Redakcji
„Gazety Wyborczej"
w/m

Uprzejmie proszę o pilne rozważenie możliwości zwiększenia w maju z "4" do przynajmniej „5" mnożnika płac i wierszówek, który przez ostatnie cztery miesiące pozostawał nie zmieniony. Wzrost taki wydaje się słuszny tym bardziej, że udział wynagrodzeń w całości kosztów jest bardzo mały, a efektywna inflacja między 1 stycznia a 30 kwietnia wynosi, wg. szacunków, ok. 100%*.

Z wyrazami należnego respektu

Stanisław Remuszko
koło SDP

* Wg GUS (Departament Cen, pani Czajka, tel. 253241 w. 291) wzrost cen w relacji grudzień 1989 – marzec 1990 wyniósł 231,7% (wzrost o 131,7%). Przewidywany przez Ministerstwo Finansów i potwierdzany przez GUS wzrost cen w kwietniu – ok. 6 punktów procentowych. Razem – wzrost o 137,7%. Jeśli od tego odjąć grudniowy wzrost płac w "Gazecie" – niechby nawet o 37,7% – wówczas pozostaje niczym nie pokryta i boleśnie przez nas odczuwana inflacja STUPROCENTOWA...

* * *

To z kolei było pierwsze wystąpienie „z ramienia" SDP do kierownictwa redakcji.

INFORMACJA

Obecni właściciele "Agory" Zbigniew Bujak, Aleksander Paszyński i Andrzej Wajda zgodzili się 30 kwietnia na przekazanie większości udziałów osobom, które doprowadziły do powstania spółki i "Gazety" i dotychczas w niej pracują (jest ich 16: Anna Bikont, Stefan Bratkowski, Tomasz Burski, Zofia Bydlińska, Zofia Floriańczyk, Wojciech Kamiński, Edward Krzemień, Tomasz Kuczborski, Krzysztof Leski, Grzegorz Lindenberg, Helena Łuczywo, Adam Michnik, Piotr Niemczycki, Piotr Pacewicz, Juliusz Rawicz, Ernest Skalski).

"Agora" pozostaje na razie spółką z o.o., tyle że będzie mieć teraz 19 udziałowców (po ok. 5 proc. każdy), zamiast dotychczasowych 3. Jest to pierwszy etap zmian własnościowych, jak wynika z opinii prawników - konieczny.

W następnym etapie planujemy przekształcenie "Agory" w spółkę akcyjną i sprzedaż części akcji pracownikom na uprzywilejowanych warunkach.

Pracujemy nad konkretnymi rozwiązaniami. Jak wskazują np. doświadczenia "Le Monde'u", jest to sprawa skomplikowana. Chodzi nam o wypracowanie takiej struktury decyzji i własności, by uniemożliwić przejęcie firmy przez kapitał z zewnątrz, a zarazem zdobyć środki na dalszy rozwój.

Na razie i, jak sądzę, przez najbliższych kilka lat udziały w "Agorze" nie przyniosą żadnych dochodów. Mamy deficyt pokrywany z kredytu. Jeśli osiągniemy nadwyżkę, będziemy ją przeznaczać na rozwój firmy i "Gazety".

O następnych posunięciach będziemy informować.

Helena Łuczywo

Grzegorz Lindenberg

za pokwitowaniem

(5)

Kierownictwo i Redakcji „GW"
w/m

7 pytań

W nawiązaniu do "INFORMACJI" kolportowanej w redakcji 7 maja, uprzejmie proszę - jako szeregowy pracownik "Gazety" - o równie publiczną odpowiedź na następujące pytania:

1. Jaka była wysokość wkładów założycielskich spółki "Agora", które wnieśli panowie ZB, AP i AW?

2. Kiedy, jakiej wysokości i na ile oprocentowane kredyty zaciągnęła do tej pory spółka "Agora"?

3. Z czego składa się, skąd się wziął i ile jest wart majątek spółki "Agora"?

4. Jakie są konkretne cele operacji zwiększenia liczby udziałów z 3 do 19?

5. Czy udziały w spółce "Agora" mogą mieć jakikolwiek związek z korzyściami materialnymi dla ich posiadaczy?

6. Czy podczas przyszłego podziału /w tym sprzedaży/ akcji spółki "Agora" jedni pracownicy spółki mogą znaleźć się w uprzywilejowanej sytuacji w stosunku do innych pracowników?

7. Po co została sporządzona i rozprowadzona "INFORMACJA"?

Uwaga: udzielenie odpowiedzi na te pytania uważam za niezbędne dla rozwiania wątpliwości i uniknięcia nieporozumień możliwych i niejako naturalnych w tej sytuacji.

Stanisław Remuszko

Stanisław Remuszko

Warszawa, 7 maja 1990

GAZETA WYBORCZA
[illegible]

9.05.1990
Małgorzata [illegible]

W połowie kwietnia 1990 roku Adam Michnik osobiście sprzeciwił się drukowi poniższego tekstu w "Gazecie Wyborczej", motywując to jego rzekomą nieaktualnością. Fałszywość tej argumentacji, oczywista wtedy dla każdego telewidza, radiosłuchacza i czytelnika bieżącej prasy, spowodowała kolejną utratę zaufania do mojego ówczesnego przyjaciela.
Parę dni później bez słowa komentarza posłałem tekst pocztą Jerzemu Turowiczowi. Przyjął go bardzo życzliwie i obiecał niebawem zamieścić. Gdy to nastąpiło, wywiesiłem wycinek na redakcyjnej tablicy ogłoszeń z dopiskiem: *Tekst odrzucony przez „GW" z powodu: „NIEAKTUALNE". Opublikowany jednakowoż przez Turowicza („TP" z 20 maja 1990) kilka tygodni później – widać z czasem nabrał aktualności...*
„W odpowiedzi" Adam Michnik natychmiast dopisał na wycinku własną ręką: *Ten tekst jest po prostu nudny.*

Jak uniknąć „polskiego piekła"

I

Jeśli szef rządu jakiegokolwiek państwa oświadcza publicznie i niespodziewanie, że za rok odbędą się przedterminowe wybory parlamentarne, i jest to zarazem pierwsza oficjalna wypowiedź tej rangi, wówczas krajowe stacje RTV przerywają nadawanie programów, by przekazać ową sensacyjną informację, wszystkie zaś gazety codzienne poświęcają jej nadzwyczajne wydania albo publikują ją na pierwszych stronach.

Tak bywa na świecie, ale nie u nas. W sobotę, 24 marca, premier Mazowiecki oświadczył w Chicago, że wybory parlamentarne w Polsce odbędą się – cytuję – *zapewne wiosną przyszłego roku, a więc szybciej, niż uprzednio przewidywano.* Niedzielne i poniedziałkowe dzienniki radiowe oraz telewizyjne „Wiadomości" (główne wydania) milczały o tym jak grób i tak samo postąpiła poniedziałkowa prasa. Dopiero we wtorek, 27 marca, wieść ta ukazała się w "Gazecie Wyborczej", ale nie jako czołówka, tylko drobnym drukiem na przedostatniej stronie.

Nie koniec na tym. Tydzień później gazety ogólnopolskie solidarnie przemilczały POWTÓRNE opowiedzenie się Tadeusza Mazowieckiego za wiosennymi wyborami w przyszłym roku (pokazane w TV w wieczornej relacji z posiedzenia Komitetu Obywatelskiego 31 marca), następnie zaś TAK SAMO potraktowały identyczną wypowiedź przewodniczącego OKP, profesora Geremka, nadaną w telewizyjnym programie „Interpelacje" 5 kwietnia...

Cała ta nieprawdopodobna historia przejdzie z pewnością do annałów polskiego dziennikarstwa, my natomiast przejdźmy do samych wyborów.

II

Potrzeba wybrania nowych posłów i senatorów nie za 3 lata, lecz wcześniej, wynika przede wszystkim z ogromnej rozbieżności, jaka istnieje dziś między układem politycznych sił, a podziałem sejmowych foteli (35 : 65), ustalonym przy Okrągłym Stole dokładnie rok temu. Rozbieżności tej, ani jej skutków niekorzystnych dla zdrowia polskiego życia politycznego, nie neguje nikt. Spośród argumentów przemawiających za przeprowadzeniem nowych wyborów parlamentarnych JAK NAJSZYBCIEJ, wymieńmy również pilną konieczność uchwalenia Konstytucji RP, czego żadną miarą nie może uczynić – z przyczyn zasadniczych – obecny Sejm.

Inne przesłanki przemawiają wszakże PRZECIW nadmiernemu pośpiechowi. Myślę najpierw o zainicjowanej 1 stycznia 1990 reformie gospodarczej Leszka Balcerowicza, której najważniejszy, niczym nie zakłócony etap musi trwać minimum rok. Myślę także o podobnym okresie, niezbędnym dla kształtowania się rzeczywistego pluralizmu społeczno-politycznego w naszym kraju, a więc dla rozwoju rozmaitych partii, ruchów, związków i stowarzyszeń.

Przypatrzmy się teraz zagadnieniu od strony czysto technicznej. Ze względu na wakacje, wyborów nie organizuje się w lecie, ze względu zaś na krótki dzień oraz możliwe złe warunki atmosferyczne – raczej nie robi się tego zimą. Skoro zatem najbliższa jesień jest terminem zbyt wczesnym – pierwszym terminem realnym wydaje się przyszłoroczna wiosna. Tym bardziej, że za takim rozwiązaniem wypowiada się nie tylko prezes Rady Ministrów RP, ale i szereg innych ważnych osobistości politycznych.

Sądzę, że Sejm i Senat powinny podjąć decyzję o skróceniu własnej kadencji i rozpisaniu nowych wyborów parlamentarnych z półrocznym przynajmniej wyprzedzeniem, a więc już po najbliższych wakacjach. Ów doniosły krok rozstrzygnie wiele niedomówień i niejasności, da wszystkim odpowiedni czas na przygotowania oraz sprawi, że tętno polskiego życia politycznego stanie się, być może, spokojniejsze, bardziej regularne.

III

Napisałem „być może", gdyż jest to moje ŻYCZENIE, nie prognoza. Idą oto miesiące bodaj najtrudniejsze dla takich wartości, jak przyjaźń i braterstwo, lojalność i wierność, jedność i solidarność.

Myślę o nieuniknionych decyzjach i wyborach politycznych, wobec których przyjdzie wkrótce stanąć działaczom dawnej opozycji – co nieuchronnie doprowadzi do znacznie głębszych i trwalszych niż dziś podziałów wśród elit i w ogóle wśród ludzi aktywnych *de publicis*.

Co robić, by ów przez lata wytęskniony, a teraz ucieleśniany pluralizm nie zwaśnił i nie skłócił społeczeństwa, jego poszczególnych środowisk, wspólnot lokalnych, wreszcie pojedynczych obywateli? Co robić, by ów naturalny proces różnicowania się i samoorganizacji sił społecznych nie przekształcił się w "polskie piekło", przed którym zgodnie ostrzegają autorytety?

Nie sądzę, by dało się uczynić WIELE, ponieważ chodzi w pierwszym rzędzie o przeobrażenia w świadomości Polaków, o zmianę naszych stereotypów, nawyków i odruchów, to zaś wymaga dziesięcioleci i – praktycznie – nowych pokoleń. Niewątpliwie jednak COŚ zrobić można, a skoro tak, to oczywiście trzeba. Główna rola bezsprzecznie przypada tu, z jednej strony, przywódcom i kierowniczym gremiom sił politycznych, z drugiej zaś – środkom masowego przekazu, które najszybciej, najpowszechniej i zarazem najskuteczniej potrafią oddziaływać na zbiorowe i pojedyncze zachowania i postawy. Mniemam zatem, iż uniknięcie „piekielnej drogi" zależy od tego, jak prędko i w jakim stopniu politycy i dziennikarze uznają za prawdę cztery następujące twierdzenia:

1. Podziały wynikają z "praw przyrody"; nie uda się ich powstrzymać. W swej ogromnej większości nie są one dopustem bożym ani tragicznym fatum polskiego narodu, lecz odwrotnie – objawem psychicznego ZDROWIA społeczeństwa, dowodem dochodzenia przezeń do NORMALNOŚCI, naturalnym efektem postępów demokracji oraz zwiększania się obszaru ludzkich i obywatelskich swobód. Z patriotycznego punktu widzenia, takie podziały zasługują na respekt i wsparcie.

2. Już nie ten przeciwnik i nie ta wojna. Nie mamy dziś wspólnego WROGA, którego trzeba ZLIKWIDOWAĆ, ale sami, w walce o rząd dusz, staliśmy się konkurentami, którzy powinni wieść między sobą publiczny spór. Nie wolno mylić braku politycznej kultury z grzechem pierworodnym wszelkich totalizmów, czyli pogardą dla demokratycznych sposobów odbierania i sprawowania władzy, zwłaszcza państwowej. Opinie polityczne i opcje programowe – nawet zasadniczo rozbieżne – są póty dopuszczalne i teoretycznie równowartościowe, a ich głosiciele póty zasługują na szacunek – póki za naszym besserwisserstwem nie stoi zgoda na NIENAWIŚĆ, PRZEMOC i BEZPRAWIE. Oto granica! Namawiam po prostu do odrobiny chłodu, obiektywizmu i dystansu: zrozumiała walka obecnych adwersarzy politycznych nie powinna stać się tym samym ani podobnym do tego, czym była walka z komunizmem.

3. Zaciekłość, zajadłość i zawziętość, podobnie jak pełne wyższości milczenie, nie przyczyniają się do nadania politycznym sporom właściwych proporcji i znaczenia. Niesłychana historia opowiedziana na początku jest tylko jednym z wielu znanych mi przykładów magicznej reakcji na wydarzenia (o czym nie mówimy, tego nie ma).

4. Dyskusja, podobnie jak muzyka, łagodzi obyczaje. Uważam, że tylko maksymalna jawność oraz jak najszersza, nieustanna dysputa nad sprawami Polaków dają szanse zmniejszenia emocji, osłabienia napięć, zapobieżenia wybuchom gniewu i nienawiści – czyli ominięcia drogi do „polskiego piekła". Urazy, anse i żale, ciche sojusze i tajne przyjaźnie, ostre wystąpienia, zakulisowe manewry, roszady personalne oraz inne gry polityczne są również „prawem przyrody"; idzie wyłącznie o to, by nie zaczęły dominować nad rozumem i nie wyradzały się w skrajności.

Pamiętając zatem, że KULTURALNE SPORY są dla zdrowia wielkich polskich reform tak samo niezbędne i korzystne jak szkodliwe i groźne byłyby POTĘPIEŃCZE SWARY – wymieńmy kilka tematów, które, jak się zdaje, powinny być wszechobecne (a nie są!) na łamach prasy i falach eteru. **Bez wątpienia należy do nich kwestia przedterminowych wyborów parlamentarnych i prezydenckich, przyszłość „Solidarności", podziały w OKP, rozwój partii politycznych, ruch Komitetów Obywatelskich, bieżąca struk¬tura państwa (instytucje i prawo), założenia nowej konstytucji.** Dobrze byłoby też przyjąć jako regułę, że projekty wszystkich ustaw są publikowane przez „Rzeczpospolitą" zaraz po ich wpłynięciu do laski marszałkowskiej.

Stanisław Remuszko

* * *

Były to czasy, gdy „Tygodnika Powszechnego" nie krępowały jeszcze dzisiejsze więzy obowiązkowej jedności moralno-politycznej z "Gazetą Wyborczą". Czasy, gdy „TP" dopuszczał na swoich łamach znacznie większe różnice poglądów, a z ludźmi myślącymi inaczej nie rozprawiał się przy pomocy metod cenzorskich (jak później z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim czy ostatnio z Jerzym Pilchem).

Komunikat

W środę 30 maja w Archiwum odbyło się zapowiadane zebranie Koła Redakcyjnego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich przy „Gazecie Wyborczej". Wybrano Delegata Redakcyjnego oraz Delegatów na Walne Zgromadzenie Oddziału Warszawskiego SDP (wrzesień), poinformowano zgrubnie o sprawach płacowych (więcej usłyszymy zapewne 4 czerwca od dyr. G. Lindenberga), a także wyłoniono nowy, stały Zarząd Koła (stary, tymczasowy, zgodnie z pierwotnymi ustaleniami pełnił swe obowiązki do 30 maja br.).

Przy oszałamiającej frekwencji wyborczej (w zebraniu uczestniczyło AŻ 16 osób), delegatami na WWW (Walne Wrześniowe Warszawskie) wybrano kol. kol.: Wojciecha Kamińskiego, Jana B. Lipszyca, Janinę Słuszniak, Mariana Orlikowskiego oraz Ewę Waszczyńską-Paczkowską. Naszą Delegatką Redakcyjną została kol. Janina Słuszniak. W skład Zarządu Koła weszli natomiast: M. Orlikowski (członek), St. Remuszko (prezes), J. Słuszniak (sekretarz), Ewa W-Paczkowska (skarbnik) oraz T. Wierzejski (członek).

Uprzejmie informuję P.T. Koleżanki i Kolegów, że w redakcji „GW" pracuje 87 osób, które KIEDYŚ przystąpiły do Stowarzyszenia. Ogromna większość z nich zalega ze składkami. Uzgodniłem z Zarządem OW SDP, że – aby sprawie szybko i skutecznie uciąć łeb – wszyscy zalegający zapłacą MINIMALNĄ stawkę (5 000 zł miesięcznie) i to TYLKO od 1 stycznia 1990 – a więc jednorazowo kwotę 25 000 zł, począwszy zaś od czerwca będą płacić 0,5% swych stałych zarobków (potrącane automatycznie przy wypłacie).

Zaległe składki oraz podpisy aprobujące potrącanie składek przy wypłacie będzie zbierać kol. Ewa W-Paczkowska.

Deklaracje dla osób pragnących wstąpić w szeregi Stowarzyszenia oraz dla członków potwierdzających swą starą przynależność (członków SDP z 1981 roku), a także Statut SDP – ma kol. Janina Słuszniak.

Wszystkie sprawy formalno-finansowe można również załatwiać w OW SDP, Krucza 36, V piętro, tel. 280-281 w. 658, codziennie w godzinach 10-14. Ale LEPIEJ w redakcji, u pań Ewy i Janiny.

Jeśli ktoś chce dostać nowiutką zieloną legitymacje SDP, niech da pani Janinie 5000 zł + zdjęcie z wypisanym na odwrocie imieniem, nazwiskiem, datą urodzenia i adresem. To samo dotyczy międzynarodowych legitymacji dziennikarskich (FIJ) – z tym wszakże zastrzeżeniem, że na razie NIE WIADOMO, kiedy i czy w ogóle takie zamówienie zostanie zrealizowane.

Podaję na koniec telefony domowe członków Zarządu Koła Redakcyjnego SDP przy „GW": M. Orlikowski: 480-174, St. Remuszko: 641-7190, J. Słuszniak: 231-771 oraz E. W.-Paczkowska: 641-8388 (T. Wierzejski nie ma telefonu). Jeśli ktoś MA SPRAWĘ – jesteśmy do dyspozycji.

Stanisław Remuszko

Warszawa, 1 czerwca 1990

* * *

Tak to znienacka zostałem wybrany (jednogłośnie, co sprawiło mi szczerą satysfakcję) prezesem redakcyjnego koła SDP.

Lista prac.

(Niestety, nie *Lista płac...*).
W mojej archiwalnej teczce, lista ta – wydrukowana, jak widzę, chyba na igłowej drukarce i tak jak wyżej odręcznie zatytułowana – leżała tuż obok komunikatów związanych z zakładaniem Koła SDP. Stąd wnoszę, że był to prawdopodobnie spis dziennikarzy pracujących w "Gazecie Wyborczej", o który poprosiłem kadry zaraz po zostaniu „czynnikiem stowarzyszeniowym".
Oto zatem stan zatrudnienia dziennikarzy w "Gazecie" wiosną 1990 (etaty jawne):

1. Barańska Janina, 2. Bendyk Edwin, 3. Berberyusz Ewa, 4. Bielas Katarzyna, 5. Bikont Anna, 6. Blumsztajn Seweryn, 7. Borkowicz Jacek, 8. Bosek Kazimierz, 9. Bójko Leon, 10. Braniecka Olga, 11. Bratkowska Krystyna, 12. Bratkowski Stefan, 13. Burski Tomasz, 14. Cesarski Wojciech, 15. Cichocka-Bójko Jadwiga (tak jest, nie *Elżbieta* – S.R.), 16. Dajbor Agnieszka, 17. Falkowska Wanda, 18. Górny Grzegorz, 19. Górska Małgorzata, 20. Górski Krzysztof, 21. Gzyło Andrzej, 22. Helszer Grażyna, 23. Holender-Staniszewska Agata, 24. Husarska Anna, 25. Jabłonowski Henryk, 26. Jachowicz Jerzy, 27. Jagodziński Andrzej, 28. Jaros Janusz, 29. Kaczyński Andrzej, 30. Kalicki Włodzimierz, 31. Kamiński Wojciech, 32. Katarasińska Iwona, 33. Kledzik Maciej, 34. Kossakowski Marek, 35. Kowalczyk Jacek, 36. Kowalczyk Janusz R., 37. Kozak Jolanta, 38. Krall Hanna, 39. Królak Stanisław, 40. Krzemień Edward, 41. Kuśmierek Józef, 42. Leski Krzysztof, 43. Lindenberg Jarosław, 44. Lipszyc Jan Bazyl, 45. Ławiński Paweł, 46. Łobodziński Filip, 47. Łomanowski Andrzej, 48. Machnacki Mirosław, 49. Marczewski Jacek, 50. Maziarska Ewa, 51. Michnik Adam, 52. Milewicz Ewa, 53. Morżoł-Ogórek Ilona, 54. Niemczycki Piotr, 55. Ogórek Michał, 56. Orlikowski Marian, 57. Ostałowska Lidia, 58. Pasek Witold, 59. Pawlak Antoni, 60. Pawłowski Jan, 61. Piotrowska Elżbieta, 62. Prusinowski Arkadiusz, 63. Przybyłowska Roma, 64. Rakowiecki Jacek, 65. Rapacki Marek, 66. Rawicz-Twaróg (? – S.R.) Juliusz, 67. Reiter Janusz, 68. Remuszko Stanisław, 69. Ruszar Joanna, 70. Sękulska Wanda, 71. Skalski Ernest, 72. Skupiński Zbigniew, 73. Skwiecińska Olena, 74. Słuszniak Janina, 75. Smoleńska Elżbieta, 76. Smoleński Paweł, 77. Sochacki Włodzimierz, 78. Sokolnicka Jadwiga, 79. Soporek Wojciech, 80. Stupkiewicz Stanisław, 81. Sypniewski Tomasz, 82. Szczęsny Jerzy, 83. Szperkowicz Jerzy, 84. Śliwiński

Krzysztof, 85. Waszczyńska-Paczkowska Ewa, 86. Wieczorkowski Aleksander, 87. Wierzejski Tomasz, 89. Wojciechowska Nina

* * *

Jak wytłumaczyć, że na TEJ liście brakuje np. Zofii Bydlińskiej-Czernuszczyk, Zofii Florjańczyk, Grzegorza Lindenberga, Heleny Łuczywo, Wojciecha Krzemińskiego, Tomasza Kuczborskiego albo Piotra Pacewicza – dalibóg, nie wiem...

Moje listy do „Gazety"

Ursynów, 5 czerwca 1990

Szanowni Panowie
E. Skalski i P. Pacewicz

W poniedziałek 4 czerwca po południu w całej Warszawie było już głośno o liście Wałęsy, sugerującym dymisję Michnika. Wieczorem depeszę na ten temat nadała PAP, sumując doniesienia AFP i Reutera. Depeszę tę, liczącą 1800 znaków, zamieściły wszystkie wtorkowe dzienniki.

Oprócz „Gazety Wyborczej" oczywiście. Nos w sos, nogi w pierogi.

We wtorek 5 czerwca koło południa bezskutecznie usiłowałem w redakcji przekonać dwóch Ważnych i Mądrych Kolegów, że postępowanie „Gazety" było błędne. List, gdy wiadomość o nim rozniosła się lotem błyskawicy, stracił tym samym charakter prywatny. Milczenie „Gazety" na jego temat tłumaczono najopaczniej, a niczego nie wyjaśniająca jednozdaniowa notka – na tle enuncjacji pozostałych dzienników – zamiast sprawie ukręcić łeb, dopiero przydała jej rumieńców i rozgłosu, stając się natychmiast asumptem do rozlicznych spekulacji.

To nie było podejście dziennikarskie, tylko partyjne.

Pomijam już fakt, że podobne postępowanie – jak w znanej piosence: *I tylko cicho, tylko cicho, tylko cicho...* – zdarza się „Gazecie" nie po raz pierwszy i nigdy mi się nie podobało (czemu dawałem pisemny wyraz). W tym wszakże przypadku nie chodzi o moje poglądy, lecz o Odbiór Czytelniczy oraz Odniesienia Wałęsowskie.

Co do odbioru: był FATALNY. Należało – mówią ludzie – przynajmniej potwierdzić istnienie listu oraz zapowiedzieć jego druk wraz z Adamową odpowiedzią. Co do Wałęsy: sądzę, że w dyskusji z nim nie ma co bawić się w subtelności, niuanse i intelektualne fajerwerki (bo w oczach przeciętnego czytelnika będziemy wówczas z góry przegrani), ale trzeba używać mowy jasnej, prostej i przekonywającej – z wyraźnym przyznaniem się do grzechów, jeśli były, oraz z jednoznacznym i kontrofensywnym odrzuceniem zarzutów niesłusznych. „Tak, tak" i "nie, nie" – oto, mniemam, najlepszy sposób publicznej (!) rozmowy z Lechem.

Zdaje się, że wszyscy wkraczamy w trudne dni. Szczególnie dużo zależy od tego, czy reakcją stron na ataki będzie – TYLKO – obserwowana właśnie konsolidacja szeregów, nadwrażliwość, niepodatność na argumenty, okopanie się

w neodogmatach i demagogii, czy też – TAKŻE – próby zrozumienia przeciwnika, gesty dobrej woli, więcej jawności, elastyczności i autokrytycyzmu.

Jako nie biorący udziału w grze politycznej, z serca i rozumu zalecam to drugie!

Stanisław Remuszko

Warszawa, 13 czerwca 1990

Kierownictwo Redakcji
„Gazety Wyborczej"
w/m

W związku z raptownie pogarszającą się ostatnio sytuacją zarobkową dziennikarzy zatrudnionych w "Gazecie" oraz w związku z brakiem reakcji na poprzednie moje pismo w tej kwestii – wnoszę o pilne rozpatrzenie poniższych argumentów i podjęcie stosownych decyzji.

Między 1 stycznia a 31 maja bieżącego roku ceny w Polsce wzrosły – podług GUS – o 160%, czyli ponad dwa i pół raza. W tym czasie (w styczniu) mnożnik wynagrodzeń w "Gazecie" został podniesiony tylko z "3" do „4", czyli zwiększył się o 1/3. Innymi słowy, zarabiamy dziś niemal dokładnie 50% tego, co zarabialiśmy w grudniu 1989.

Uważam taki stan rzeczy za niedopuszczalny. Rozumiem wynikającą z reformy konieczność zmniejszenia płac realnych wszystkim obywatelom, ale, na litość boską, nawet Balcerowicz nie żąda aż takich ofiar i wyrzeczeń! O ile wiadomo, kraj nie toczy wojny, nie nawiedziły go też kataklizmy ani zaraza. Proszę pokazać mi grupę zawodową, która pobiera dziś około połowy ubiegłorocznego uposażenia!

Nie jest moim zadaniem wskazywanie przyczyn. Być może błędna jest polityka inwestycyjna, może kredytowa, a może szwankuje organizacja. Od orzekania w tych sprawach są specjaliści. Ale na pewno coś nie gra i trzeba to bezzwłocznie zmienić.

Proszę o podniesienie wskaźnika indeksacji przy najbliższej wypłacie do minimum „6".

Proszę niniejsze pismo traktować jako formalne wystąpienie przedstawiciela Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

Z wyrazami należnego respektu

Stanisław Remuszko

* * *

Ani to, ani żadne inne wystąpienie „z ramienia" nie przyniosło żadnego efektu. Jaki z tego wniosek? Prosty: Remuszko działał NIESKUTECZNIE!

OKŁADKA

gazeta WYBORCZA

Log.nr / ID # =33=

Imię / First Name Stanisław

Nazwisko / Surname REMUSZKO

Funkcja / Position publicysta

Podpis / Signature

PRASA PRESS

do "Bibuły..."

☐ Szukam pracy

• Dziennikarz, były pracownik „Gazety Wyborczej" (maj 1989-sierpień 1990) szuka pracy w swoim zawodzie. Tel. w Warszawie: 641 71 00

W takiej to okładce (potem na pamiątkę nakleiłem sobie na niej późniejszy inserat) piętnaścioro „najważniejszych" koleżanek i kolegów znalazło w lipcu 1990 roku w swoich redakcyjnych skrytkach poniższy tekst p.t. „Bibuła". Byłem już na 90% pewien, że pożegnam się z "Gazetą". No, chyba żeby ów list otwarty spowodował jakieś istotne zmiany...

<u>Do czytania na wakacjach</u> <u>Przeczytaj-podaj dalej</u>

Bibuła
vel
List do KiK (Koleżanek i Kolegów)

W stosunku do większości członków zespołu redakcyjnego „Gazety Wyborczej" mogę wyglądać na człowieka z zewnątrz (co zresztą jest częściowo prawdą, bo nie redaguję naszego dziennika, tylko dlań piszę). Jednak warto mnie wysłuchać, bo często Z ZEWNĄTRZ udaje się dostrzec to, czego nie widać OD ŚRODKA.

Pod koniec marca 1990 zadałem na piśmie czterem wybitnym niezależnym autorytetom intelektualnym i moralnym (Andrzejowi Drawiczowi, Maciejowi Iłowieckiemu, Janowi J. Szczepańskiemu i Henrykowi Wujcowi) dwa następujące prywatne pytania:

1. Czy – rzecz biorąc tylko statystycznie – lata spędzone w prawdziwej demokratycznej opozycji stanowią Samoistna Szczepionkę przeciw przypadłości, o której Rzymianie mawiali, iż *honores mutant mores (sed rare in meliores)*?

2. Czy jest praktycznie możliwe, aby najdzielniejsi z dzielnych Wielkich Demokratycznych Opozycjonistów mogli teraz, w 1990 roku, nie to, że zdradzić wyznawane dotąd ideały (bo to jest oczywiście nieprawdopodobne), ale Zasadniczo Zmienić (w dobrej wierze) dotychczasowy punkt widzenia odnośnie do tempa i kierunków pożądanych bieżących przemian politycznych w Polsce?

Wszyscy indagowani, niezależnie od siebie, odpowiedzieli TAK SAMO na oba pytania: 1. nie, 2. tak.

* * *

W lutym i marcu 1989 obradował Okrągły Stół. Strona opozycyjno-solidarnościowa, choć personalnie ani formalnie nie reprezentowała CAŁEJ opozycji, w swych deklaracjach oraz *de facto* występowała w takiej właśnie

roli, zapewniając nie raz, że jej negocjacyjne wysiłki mają na celu dobro CAŁEGO narodu.

W tym duchu i w tej intencji – jako rezultat kontraktu komunistycznej władzy z niekomunistycznym społeczeństwem – powstała „Gazeta Wyborcza"...

[Kto ciekawy ciągu dalszego *in extenso* – znajdzie go w artykule „Kwestia honoru" (rozdział „Bibuła") na str. 87 – S.R.]

...Pozostaje pytanie, czy w ogóle i jakie mam prawo półpublicznie domagać się wyjaśnień w sprawie „Gazety", której nie jestem ani (współ)właścicielem, ani członkiem kierownictwa. Mówiąc szczerze, miałem pewne obiekcje w tym względzie, ale rozwiała je pani Anna Bikont, tłumacząc Wałęsie („Gazeta" nr 141/90): *To nie jest pana prywatne poletko. To jest publiczne poletko...*

Stanisław Remuszko

Warszawa, 5 lipca 1990

P.S. List niniejszy wraz z załącznikami adresuję – tym razem – do wszystkich moich koleżanek i kolegów z "Gazety". „Tym razem" – ponieważ tekst „O Gazecie – źle!" (załącznik „A"), doręczony Kierownictwu w marcu, został do tego stopnia schowany do szuflady, że nie znają go nawet panowie Krzemiński, Rawicz i Śliwiński (tak mi powiedzieli). Może więc TYM RAZEM dojdzie wreszcie do jakiejś pryncypialnej dyskusji wewnątrzredakcyjnej?

* * *

Nawet dla takiego ostatniego naiwnego idioty, jakim się okazałem, istnieją gdzieś granice wytrzymałości. To właśnie była ta granica. Rezultaty jej przekroczenia znajdzie Czytelnik w dwóch następnych dokumentach.

Stanisław Remuszko
Dunikowskiego 8/44
02-784 Warszawa

"Gazeta Wyborcza"
Dział Polityczny
publicysta

Pan
Dyr. Grzegorz Lindenberg
w/m

Uprzejmie proszę o rozwiązanie - za porozumieniem stron - stosunku pracy między mną a "Agorą" z dniem 31 sierpnia 1990.

Stanisław Remuszko

Warszawa, 13 sierpnia 1990

Wyrażam zgodę
G. [illegible]
13 sierpnia '90

Całokształt

Mazury, 20 sierpnia 1990

W. Pan
Red. Ernest Skalski
„Gazeta Wyborcza"

Właściwie nie powiedziałem prawdy (czy raczej: całej prawdy), odpowiadając: *CAŁOKSZTAŁT...* na Pana pytanie o przyczynę odejścia z "Gazety". W rzeczywistości istniała przysłowiowa kropla, która przelała czarę goryczy, tyle że była to kropla symboliczna. Jeśli mianowicie jedyną reakcją P.T. Kierownictwa na broszurę-bibułę „Redakcyjny bestseller lipca '90", wydaną przeze mnie własnym sumptem w nakładzie 15 egzemplarzy i rozkolportowaną wśród pracowników oraz szefów „Gazety Wyborczej", jest GŁUCHE MILCZENIE – to, zważywszy na rangę wysuniętych w niej zarzutów, nie pozostawało mi nic innego, jak uczynić to, co w Pańskim gabinecie 13 sierpnia uczyniłem. Ponieważ po pewnym czasie zrobiło mi się przykro z powodu okazanego przez Pana zakłopotania składanym przeze mnie wymówieniem (było to wyraźnie widać na Pana zazwyczaj pokerowej twarzy) – stąd niniejsze wyjaśnienie.

Z należnymi wyrazami i życzeniami

Stanisław Remuszko

Trzynaście miesięcy piechotą nie chodzi – do emerytury jak znalazł...

„AGORA" Sp. z o.o.
Warszawa, ul. Fredry 6

(pieczęć nagłówkowa zakładu pracy)

Warszawa 31.08.90r
(miejscowość i data)

Znak sprawy:

ŚWIADECTWO PRACY

Stwierdza się że Obywatel(ka) Stanisław Remuszko

syn—córka Tadeusza urodzony(a) 30 stycznia 1948r
(dzień, miesiąc, rok)

był(a) zatrudniony(a) Spółka "Agora" - red. "Gazety Wyborczej"
(nazwa zakładu pracy)

(w przypadku zatrudnienia w niepełnym wymiarze czasu pracy – podać ten wymiar)

od dnia 1.07. 1989r r. do dnia 31.08. 1990r r.

W wymienionym wyżej okresie pracy Obywatel(ka) zajmował(a) stanowiska

1. publicysty

2.

3.

a ostatnio stanowisko

na którym otrzymywał(a) wynagrodzenie 540.000/ pięćset czterdzieści tys.z/ + 620.623 / sześćset dwadzieścia tys. sześćset dwadzieścia trzy zł/

(stawka płacy zasadniczej wynagrodzenia, uposażenia – wg kategorii – zaszeregowania, grupy wynagrodzenia, uposażenia)

średnia miesięczna za okres zatrudnienia

Stosunek pracy został rozwiązany — za porozumieniem stron
(tryb rozwiązania okoliczności wypełniających stosunku pracy)

Okoliczności uzasadniające wliczenie okresu pracy w zakładzie pracy wystawiającym świadectwo do okresu zatrudnienia, od którego uzależniona będzie długość okresu wypowiedzenia umowy o pracę

Dyrektor Generalny
Grzegorz Lindenberg

(kierownik zakładu pracy lub upoważnionego pracownika)

Pożegnania

Urocze Koleżanki! Mili Koledzy! Szanowna Zwierzchności!

„Gazeta", w której pracowałem ponad rok, ma mnóstwo zalet, a pod paroma względami niewątpliwie góruje nad pozostałą polską prasą codzienną. Jeśli wcześniej nie rozwodziłem się nad tym, a swe dwa teksty „wewnętrzne" poświęciłem niemal wyłącznie negatywnym aspektom redagowania naszego dziennika oraz pewnym propozycjom innowacyjnym – to czyniłem to w mocnym przeświadczeniu, iż TAKA krytyka może jedynie przydać się pismu w pierwszym roku jego istnienia. Nie „jałowe krytykanctwo" zatem i nie „wrodzone malkontenctwo" legło u podstaw „Bibuły", ale troska o dziennik, z którym bardzo chciałem móc się utożsamiać. Jeśli wszakże komuś nadal brakuje dobrego słowa pod adresem „Wyborczej", polecam mu powtórną lekturę pierwszego zdania niniejszego akapitu.

Mistrz mój, św. Lem, zauważył był kiedyś, iż od samego zachcenia nie sposób Uwierzyć ani Pokochać. Podobnie sprawa wygląda w tym przypadku: największy nawet kredyt mojego zaufania, życzliwości i dobrej woli musiał kiedyś się wyczerpać wskutek wielomiesięcznych bezpośrednich obserwacyj codziennej redakcyjnej rzeczywistości – chyba żebym stał się selektywnie głuchy i ślepy.

Do większości Koleżanek i Kolegów czuję jedynie sympatię. Ktoś jednak ponosi – rosnącą – odpowiedzialność za „Gazetę" i jej ewolucję: kilkanaście osób szerokiego kierownictwa, kilka osób ścisłego *staffu*, największą zaś Adam, którego – mówię to ze smutkiem i przykrością – ze względu na RODZAJ i KALIBER stawianych zarzutów nie mogę już uważać za swojego przyjaciela.

Główne merytoryczne powody, dla których zdecydowałem się odejść – fakty i sposób rozumowania oraz POLITETYCZNE® argumenty i zastrzeżenia – zostały precyzyjnie wyłożone w "Bibule", i nie ma potrzeby ich tu nawet zwięźle powtarzać. Ale bardzo istotną wymowę mają również redakcyjne „dzieje" tych tekstów; ponieważ historia ta nie jest znana – oto jej krótki zapis.

„O Gazecie – źle!" przyniosłem panu Skalskiemu w pierwszej połowie marca, prosząc o przekazanie tych refleksji naczelnemu, jego zastępcom i sekretarzowi oraz – ewentualnie – pozostałemu kierownictwu redakcji. Dowiedziawszy się wszakże miesiąc później, że pan Ernest schował tekst do szuflady, natychmiast dałem go Adamowi (wraz z napisanym tymczasem „Dla Gazety – *con amore*"). Kilka dni potem Adam powiedział mi w przelocie, że w tekście jest sporo słuszności oraz że przekazał go pani Łuczywo. Odtąd wszelki słuch o tekście w redakcji zaginął; wiem, bo w maju pokazałem go „na

własną rękę" trzem bardzo ważnym w Firmie osobom (nie miały o nim bladego pojęcia), spytani zaś o jego znajomość – w czerwcu! – panowie Krzemiński, Śliwiński i Rawicz odrzekli, że nic takiego nie czytali i w ogóle nie wiedzą, o czym mówię.

Ponieważ statystyczny człowiek z wiekiem staje się bardziej wytrwały i konsekwentny, przed wyjazdem na urlop napisałem „Bibułę", dodałem do niej w charakterze załączników m.in. oba poprzednie teksty i – odbiwszy całość własnym sumptem w nakładzie 15 egzemplarzy – wręczyłem je 5 lipca 1990 AD (lub włożyłem do redakcyjnych skrytek) piętnastu „co ważniejszym" Koleżankom i Kolegom (w tym – Czołowym Osobistościom). Był tam dopisek: *Redakcyjny bestseller lipca '90! • Przeczytaj! • Podaj dalej!*

Wiem z późniejszych rozmów, że ów „bestseller" podano dalej i że czytało go w "Gazecie" WIELE osób. Gdy jednak pod koniec lipca po powrocie z urlopu pojawiłem się w Firmie – nikt, literalnie NIKT z szerokiego ani ścisłego kierownictwa „Gazety" nie tylko nie napomknął jednym słowem o tej lekturze, lecz również w żaden sposób nie zmienił swego poprzedniego stosunku do mnie – służbowego ni prywatnego. Zrozumiałem wtedy, że to JA muszę złożyć wymówienie, i że powinienem to uczynić jak najprędzej.

brak jakiejkolwiek reakcji ze strony kilkunastu Najważniejszych Gazeciarzy nie jest chyba – chcę wierzyć (*primo*) – lekceważeniem mojej krytyki, lecz raczej wyrazem wstydliwego zakłopotania jej trafnością. Ponieważ z kolei milczenie ŚWIADOME nie tylko jaskrawo i w pełni potwierdzałoby wysunięte zarzuty, ale też fatalnie świadczyłoby o osobistej sylwetce moralnej P.T. Milczków – chcę wierzyć (*secundo*), iż jest to odruch podświadomy (podszyty, notabene, deficytem odwagi cywilnej). I tak oto doszliśmy do sprawy, która boli i żenuje mnie najbardziej, ale o której MUSZĘ na odchodnym powiedzieć, choćby przez wzgląd na starą sympatię do większości z Was.

Otóż miejscami wyglądacie na okropnie zakłamanych! Duch hipokryzji zdaje się często-gęsto unosić nad „Gazetą"! Nie „prawda", nie „cała prawda" i nie „tylko prawda" – to wisząca nad Wami groźba śmiertelna!

• Dlaczego Krzysztof Leski musiał drukować swój komentarz 7 sierpnia 1990 w "Rzeczypospolitej"? Dlaczego „Gazeta" opublikowała 10 sierpnia 1990 artykuł Jarosława Lindenberga, skoro 5 dni wcześniej odrzuciła mój „Kalendarz polityczny" (ukazał się w "Życiu Warszawy" 8 sierpnia 1990)?

• Czy podając: *Adam Michnik, redaktor naczelny naszej gazety, polityk, poseł na Sejm, podpisał deklarację założycielską ROAD. Nie oznacza to, że „Gazeta Wyborcza" stanie się organem tego czy jakiegokolwiek innego ugrupowania. W naszym zespole są dziennikarze o różnych poglądach* („GW" nr 169/90) – NAPRAWDĘ wierzycie, że „Gazeta" jest bezstronna, że zróżnicowane

poglądy członków jej zespołu znajdują adekwatne odbicie na jej łamach?

• *Gdy „Gazeta Wyborcza" ma rok, nic się w niej nie zmieniło: ani styl, ani język, ani polityka, i jest ona taka, jak pierwszego dnia.* Ten komentarz ukazał się na pierwszej stronie „Wyborczej" w pierwszą rocznicę jej powstania. Czy NAPRAWDĘ nie widzicie istotnej różnicy (stopień politycznej otwartości pisma, rozmaitość jej autorów, nakład, zasięg, ranga itp.) między „Gazetą" z połowy 1989 roku, a "Gazetą" o rok starszą???*

• *Wiemy, że wierność prawdzie winniśmy stawiać wyżej niż własny udział we władzy, że zawsze prawda polityki polega w końcu na polityce prawdy. (...) Reszta jest kłamstwem i ma gorzki smak obłudy.* (A. Michnik, „Tygodnik Powszechny" nr 18/90). Czy wiecie, o kim pisał Herbert w swym głośnym liście do Barańczaka? Przede wszystkim O WAS pisał!

Nie mam dostatecznych przesłanek (ani po prostu ochoty), by roztrząsać, ile w tej Waszej cesze jest bezgrzesznej AUTONIEWIEDZY, ile leniwego WYGODNICTWA, ile samouśpionego SUMIENIA, ile skalkulowanej pracy ROZUMU, ile wreszcie niewinnej KOINCYDENCJI. Ale – w *Summie* – takie jest Wasze moralno-polityczne *image*, Moi Państwo, i trzeba, aby ktoś Wam o tym powiedział bez ogródek, bo w naszym wieku (filogenetycznym) pomóc już może tylko kuracja wstrząsowa.

To koniec mojego kazania, a następnych nie będzie. Na przekór złemu w tej mierze doświadczeniu ufam, że TYM RAZEM, mimo że dziad już poszedł, obraz zapamięta i choć trochę weźmie sobie do serca jego gadanie.

Rozstaję się z Wami z uczuciem zawodu i nieszczęścia. Najciekawsza (dotychczas) przygoda mojego dziennikarskiego życia zakończyła się nie najlepiej i nazbyt szybko. Szkoda. I choć na tym mój świat przecież się nie kończy (gdzieś pójdę, coś będę robił) – to „Gazeta", jeśli w ogóle zauważy nieobecność Remuszki, da sobie bez niego radę o niebo lepiej niż on bez niej.

Stanisław Remuszko

Iława, 30 sierpnia 1990

---

* *Jesteśmy pierwszym niezależnym dziennikiem w Polsce. Podstawową gwarancją tej niezależności jest od pierwszego numeru to, że naszym wydawcą nie jest żadna instytucja czy organizacja polityczna, lecz spółka Agora. Udziałowcami spółki są wyłącznie pracownicy „Gazety"* („GW" nr 207/90). Przepraszam za porównanie, ale Urban Jerzy też był bezpartyjny. A gdzie odpowiedź na moje „7 pytań"? S.R., Warszawa, 7-IX-90.

P.S. Uprzejmie proszę nie rozgłaszać (co słyszę już n-ty raz), *że Remuszko przeszedł do konkurencji.* To nieprawda. Od 1 września jestem po prostu bezrobotny i ani mi, ani mojej rodzinie nie jest z tym lekko. S.R., Warszawa, 13-IX-90.

* * *

Stanisław Lem, z którym wówczas miałem honor korespondować, napisał do mnie tak: *To Pan jesteś większy kozak, niż myślałem, skoro rzucił się Pan z luksusowego pokładu „Gazety Wyborczej" w odmęty dziennikarskiego bezrobocia...*

Warszawa, 25 października 1990

Miłe Koleżanki i Szanowni Koledzy z SDP!

Ponieważ od 1 września nie pracuję już w "Gazecie Wyborczej", niniejszym zgłaszam formalną rezygnację z zaszczytnej godności przewodniczącego Koła Redakcyjnego SDP przy „GW" oraz z członkostwa w tym Kole.

Mam jednak dla Was – na pożegnanie – mały prezent: informację o poziomie zarobków w "Gazecie" NA TLE, opracowaną przeze mnie na podstawie danych redakcyjnych oraz GUS. Szczegółowe tabele przekazuję Zarządowi Koła; tu jeno sama kwintesencja.

Otóż od 1 lipca 1989 do 30 września 1990 inflacja w Polsce wyniosła 1247,2%, przeciętne wynagrodzenie miesięczne w 5 podstawowych działach gospodarki narodowej wzrosło 8,72 raza (do 1 120 000 zł we wrześniu br.), spadek płacy REALNEJ w gospodarce narodowej wyniósł w tym okresie 37,5% (1247 – 872 = 375), natomiast w "Gazecie" był ponad dwukrotnie większy i wyniósł 80% (1247 – 450 = 797).

Jednocześnie uprzejmie informuję, że jako CZYNNIK (stowarzyszeniowy) w tym roku dwa razy (w kwietniu i w czerwcu) pisemnie alarmowałem (patrz załączniki) kierownictwo redakcji, wskazując na fatalny TRYND płacowy i domagając się natychmiastowych podwyżek. Skutek, niestety, był prawie żaden.

Ze słowami należnego respektu i dobrymi życzeniami

Staszek Remuszko

P.S. W styczniu „załatwiłem", że kadry zaniechały pewnych błędnych obliczeń średniej wierszówkowej (patrz załączniki). Wszakże, o ile wiem, kadry nadal mylnie NIE ZALICZAJĄ średniej wierszówkowej do podstawy następnej średniej. To jednak musicie już wywalczyć sobie sami.

* * *

Ciekaw jestem, ilu dziennikarzy pracujących w "Gazecie Wyborczej" należy dziś do SDP, ilu do SD RP, a ilu NIGDZIE. A jak tam ze związkami zawodowymi? Jak miewa się „Gazetowa" organizacja NSZZ „S"? A może OPZZ?

1991

W roku 1991, po niemal dwudziestu latach w zawodzie, pierwszy raz w życiu poznałem cudowny smak dziennikarskiej niezależności. Po okresie bezrobocia, pieniędzy na utrzymanie (skromne) zaczęła właśnie dostarczać wymyślona i stworzona przeze mnie unikatowa firma o wdzięcznej nazwie Prywatne Biuro Badania Opinii Ulicznej „Sonda" (z czasem zasłynęła wśród polityków jako źródło najtańszych i najtrafniejszych w Polsce sondaży przedwyborczych). Nie musząc zatem zarabiać piórem, pisałem teraz rzadziej, ale zawsze z przyjemnością. Mówiąc wprost: pisałem o tym, o czym chciałem, wtedy, kiedy chciałem i posyłałem tam, gdzie chciałem (gdy jakiejś redakcji tekst nie specjalnie się podobał, mogłem go – dzięki genialnemu wynalazkowi zwanemu faksem – przerzucić np. z Gdańska do Krakowa w ciągu kilkunastu minut).

Mimo utwierdzanego bieżącymi wydarzeniami, coraz gorszego moralno-politycznego (POLITETYCZNEGO®) mniemania o kierownictwie „Gazety Wyborczej" i kreowanej przezeń linii tego pisma, zażenowanie z powodu postawy poniekąd bliskich mi do niedawna ludzi wciąż przeważało nad chęcią publicznego powiedzenia im prawdy w oczy. Te motywacyjne proporcje odwróciły się w drugiej połowie 1991 roku, gdy „Agora" pozwała do sądu Jacka Maziarskiego. Uznałem wówczas, iż dłużej milczeć nie mogę, ponieważ – jak arcytrafnie zauważył (później) w jednym ze swych sławnych felietonów Krzysztof Czabański – nawet *bezczelność i zuchwalstwo kurtyzan* powinny mieć swoje granice. Stąd obydwa poniższe teksty.

Skąd ma pieniądze „Gazeta Wyborcza"

W opublikowanym 29 lipca 1991 wywiadzie dla „Życia Warszawy", przewodniczący Zarządu Porozumienia Centrum Jacek Maziarski powiedział, iż wydająca „Gazetę Wyborczą" spółka Agora – cytuję – „powstała w 1989 roku z pieniędzy przeznaczonych na całą ówczesną opozycję".

30 lipca 1991 prezes Agory i zarazem zastępczyni redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej" Helena Łuczywo stwierdziła na łamach swojego pisma, iż – znowu cytuję – „Jacek Maziarski publicznie dopuścił się kłamstwa i oszczerstwa. Domagam się publicznych przeprosin". Następnego dnia poinformowano czytelników, że skoro J. Maziarski odmawia odwołania tego, co powiedział, „»Gazeta Wyborcza« kieruje sprawę przeciwko Jackowi Maziarskiemu do sądu".

Maziarski mi ani brat, ani swat, do Porozumienia Centrum nie należę, ale tak się składa, że w „Gazecie Wyborczej" pracowałem od samego jej początku. Napatrzyłem się tam i nasłuchałem, oględnie mówiąc, wiele, lecz nie opowiadałem o tym dotychczas w żadnym z publikatorów. Ponieważ jednak sprawa finansów „Gazety" została właśnie publicznie poruszona, chciałbym przytoczyć – *in extenso* – dwa dokumenty.

7 maja 1990 roku wszyscy pracownicy redakcji (ponad 100 osób) zastali w swych skrytkach pojedynczą kartkę maszynopisu skserowaną na niebieskim papierze formatu A-4. Oto jej treść:

INFORMACJA

Obecni właściciele Agory – Zbigniew Bujak, Aleksander Paszyński i Andrzej Wajda – zgodzili się 30 kwietnia na przekazanie większości udziałów osobom, które doprowadziły do powstania spółki i "Gazety", i dotychczas w niej pracują (jest ich 16: Anna Bikont, Stefan Bratkowski, Tomasz Burski, Zofia Bydlińska, Zofia Florjańczyk, Wojciech Kamiński, Edward Krzemień, Tomasz Kuczborski, Krzysztof Leski, Grzegorz Linderberg, Helena Łuczywo, Adam Michnik, Piotr Niemczycki, Piotr Pacewicz, Juliusz Rawicz, Ernest Skalski).

Agora pozostaje na razie spółką z o. o., tyle że będzie mieć teraz 19 udziałowców (po ok. 5% każdy), zamiast dotychczasowych 3. Jest to pierwszy etap zmian własnościowych, jak wynika z opinii prawników – konieczny.

W następnym etapie planujemy przekształcenie Agory w spółkę akcyjną i sprzedaż części akcji pracownikom na uprzywilejowanych warunkach.

Pracujemy nad konkretnymi rozwiązaniami. Jak wskazują np. doświadczenia „Le Monde", jest to sprawa skomplikowana. Chodzi nam o wypracowanie takiej struktury decyzji i własności, by uniemożliwić przejęcie firmy przez kapitał z zewnątrz, a zarazem zdobyć środki na dalszy rozwój.

Na razie i, jak sądzę, przez najbliższych kilka lat, udziały w Agorze nie przynoszą żadnych dochodów. Mamy deficyt pokrywany z kredytu. Jeśli osiągniemy nadwyżkę, będziemy ją przeznaczać na rozwój firmy i "Gazety".

O następnych posunięciach będziemy informować.

Helena Łuczywo
Grzegorz Lindenberg

Starannie przeczytawszy powyższą informację, tego samego dnia złożyłem kierownictwu „Gazety" (za pokwitaniem) ułożone *ad hoc* pismo:

7 pytań

W nawiązaniu do INFORMACJI kolportowanej w redakcji 7 maja, uprzejmie proszę – jako szeregowy pracownik „Gazety" – o równie publiczną odpowiedź na następujące pytania:

1. Jaka była wysokość wkładów założycielskich spółki Agora, które wnieśli panowie ZB, AP, AW?
2. Kiedy, jakiej wysokości i na ile oprocentowane kredyty zaciągnęła do tej pory spółka Agora?
3. Z czego składa się, skąd się wziął i ile jest wart majątek spółki Agora?
4. Jakie są konkretne cele operacji zwiększenia liczby udziałów z 3 do 19?
5. Czy udziały w spółce Agora mogą mieć jakikolwiek związek z korzyściami materialnymi dla ich posiadaczy?
6. Czy podczas przyszłego podziału (w tym sprzedaży) akcji spółki Agora jedni pracownicy spółki mogą znaleźć się w uprzywilejowanej sytuacji w stosunku do innych pracowników?
7. Po co została sporządzona i rozprowadzona INFORMACJA?

Uwaga: udzielenie odpowiedzi na te pytania uważam za niezbędne dla rozwiania wątpliwości i uniknięcia nieporozumień – możliwych i niejako naturalnych w tej sytuacji.

Stanisław Remuszko

Potem podnosiłem te kwestie jeszcze dwa razy – m.in. w obszernym wewnętrznym liście otwartym do pracowników „Gazety". Oto jego fragment:

Co zaś się tyczy budzącego wątpliwości samouwłaszczenia się kierownictwa, nie wiem doprawdy, CO przekonująco odpowiadać, gdy kolejny rozmówca pyta mnie o różnice między spółką Agora a spółką nomenklaturową...

Na stawiane pytania nigdy nie doczekałem się żadnych odpowiedzi. Było to jedną z przyczyn, które zdecydowały, że w sierpniu 1990 złożyłem wymówienie z pracy.

Chętnie wezmę udział – jako świadek – w zapowiedzianym przez „Gazetę" procesie.

Stanisław Remuszko

Agora kontra Maziarski

W poniedziałek, 21 października 1991 o 9.00 rano w sali nr 581a stołecznego Sądu Wojewódzkiego przy ulicy Leszno 127 (d. Świerczewskiego) rozpocznie się proces wytoczony przez spółkę Agora (wydawcę „Gazety Wyborczej") przewodniczącemu Zarządu Porozumienia Centrum Jackowi Maziarskiemu.

Przypomnijmy: w opublikowanym 29 lipca br. wywiadzie dla „Życia Warszawy" Jacek Maziarski powiedział, że – cytuję – *spółka Agora powstała w 1989 roku z pieniędzy przeznaczonych na całą ówczesną opozycję.* 30 lipca prezeska Agory i zarazem zastępczyni redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej" stwierdziła na łamach swego pisma, że – znowu cytuję – *Maziarski publicznie dopuścił się kłamstwa i oszczerstwa. Domagam się publicznych przeprosin.* 31 lipca poinformowano czytelników, że skoro Maziarski odmawia odwołania tego, co powiedział, „Gazeta" kieruje sprawę do sądu.

Ponieważ niektórzy ludzie wykazują zadziwiająco krótką pamięć, opinia publiczna zaś przeważnie nie zna kulis ani szczegółów wydarzeń – przypomnijmy podstawowe fakty:

• W lutym 1989 roku przy Okrągłym Stole po jednej stronie zasiedli reprezentanci władz PRL, po drugiej zaś przedstawiciele demokratycznej opozycji, którzy JASNO I KONSEKWENTNIE podkreślali, że występują nie w imieniu własnym, nie w imieniu jakiejś frakcji, partii czy sojuszu ugrupowań, lecz w imieniu całego niekomunistycznego społeczeństwa.

• We współczesnym świecie środki masowego przekazu bywają nazywane – nie bez racji – CZWARTĄ WŁADZĄ (obok władzy ustawodawczej, wykonawczej i sądowniczej). Dlatego zgoda na wydawanie przez opozycję niezależnego od władz PRL ogólnopolskiego dziennika była jednym z najdonioślejszych politycznych ustaleń Okrągłego Stołu.

• Ci sami ludzie, którzy dziś kierują „Gazetą Wyborczą" w pierwszym jej numerze na pierwszej stronie zadeklarowali: *Redakcja czuje się związana z Solidarnością, lecz zamierza przedstawiać poglądy i opinie całego niezależnego społeczeństwa, różnych opozycyjnych kierunków.*

• Ci sami ludzie, którzy dziś kierują „Gazetą Wyborczą", pół roku po jej powstaniu zaczęli postępować wbrew własnym, przytoczonym wyżej zapewnieniom. Dziewięć miesięcy po narodzinach „Gazety" było już jasne, iż upowszechnia ona i forsuje wyrazistą politycznie linię tylko jednej wąskiej grupy osób. Rok po ukazaniu się pierwszego numeru „GW" jej kierownictwo notarialnie samouwłaszczyło się wydawanym pismem, niczym klasyczna

spółka nomenklaturowa...

Już Fenicjanie znali starą prawdę, która dziś należy do finansowego elementarza startujących biznesmenów: najważniejszy jest PIERWSZY MILION! Rezultatem udanych skoków na bank, oszustw i kradzieży są niemal wyłącznie kwoty z zakresu pierwszego miliona. Dzieje się tak dlatego, że z pierwszego miliona bardzo łatwo zrobić kolejne miliony i miliardy, a gdy świadkowie wymrą i ludzie zapomną – nietrudno zostać powszechnie szanowanym obywatelem, mecenasem sztuk, fundatorem przytułków i dobrodziejem sierot, przy okazji zaś członkiem parlamentu.

W przypadku „Gazety Wyborczej" symboliczny PIERWSZY MILION – a więc kapitał zakładowy – miał podwójne znaczenie. Był nim przede wszystkim KAPITAŁ ZAUFANIA I NADZIEI ponad dwudziestu milionów Polaków, którzy 4 czerwca 1989 głosowali na „Solidarność", i którzy, po latach komunizmu, traktowali *pierwszy niezależny dziennik między Łabą a Pacyfikiem* (ówczesne słowa Wałęsy) jako własne wytęsknione dziecko, jako dobro WSPÓLNE. Pamiętajmy nadto, iż przez okrągły rok – zanim nie pojawiły się inne niekomunistyczne dzienniki – „Gazeta Wyborcza" była dla tych milionów czytelników ukochaną córką-JEDYNACZKĄ!

Po drugie, pozywając Jacka Maziarskiego do sądu, kierownictwo Agory twierdzi – cytuję: *Zaczęliśmy wydawać „Gazetę" bez grosza.* Wiosną 1989 roku doszło zatem w Polsce do niewątpliwego CUDU, czyli pierwszego w światowych dziejach przypadku, że po to, aby zacząć wydawać ogólnokrajowy dziennik w kilkusettysięcznym nakładzie i bez ogłoszeń (!) – nie były potrzebne pieniądze.

Rzeczywistość wyglądała akurat odwrotnie: tylko aby zacząć – Agora potrzebowała przynajmniej setek milionów złotych (dziesiątków miliardów wg dzisiejszych cen) na płace, na lokal, na papier, na transport, na drukarnię, na kolportaż, na honoraria itp., itd. Kredytów tej wysokości nie przyznano PRYWATNIE ani Michnikowi, ani pozostałym członkom kierownictwa redakcji, lecz „Gazecie Wyborczej" (Agorze) jako instytucji, jako owocowi kontraktu Okrągłego Stołu, jako swoistej własności społecznej. Tymczasem to właśnie Michnik wraz ze swymi 15 redakcyjnymi towarzyszami po roku uwłaszczył się PRYWATNIE majątkiem osiągniętym za pomocą tak skredytowanego „pierwszego miliona"...

Rzecz jasna, patrząc na sprawę w aspekcie kodeksu karnego, nikt nie popełnił żadnego przestępstwa. Całkiem odmiennie wszak przedstawia się sprawa w aspekcie MORALNYM oraz HONOROWYM. Osąd pozostawiam Czytelnikom.

Stanisław Remuszko

OD REDAKCJI: autor jest dziennikarzem. Nie należy do PC, UD ani NSZZ „S". W "Gazecie Wyborczej", skąd zwolnił się w sierpniu 1990 roku, był przewodniczącym koła redakcyjnego SDP.

Obserwując z ogromnym niepokojem ukierunkowane urabianie opinii społecznej przez „GW", przed zbliżającą się jesienną elekcją parlamentarną 1991 roku próbowałem jeszcze raz „wstrząsnąć sumieniami" i "otworzyć oczy". Było to, jak dziś widzę, zadanie naiwne i niewykonalne, ponieważ „ci od sumień" (właściciele „Wyborczej") dawno już dokonali na nich (sumieniach) specyficznych moralnych amputacji, a znowu „ci od oczu" (zwolennicy „Gazety") nie brali do ręki „Tysola".
Zwracam szczególną uwagę P.T. Czytelników na poniższy tekst, gdyż nigdy dotąd, z taką mocą i tak wyraziście, nikt w Polsce nigdy nie sformułował tak poważnych, wręcz fundamentalnych zarzutów etycznych pod adresem Adama Michnika i jego Familii.

Kwestia honoru

Historia początków „Gazety Wyborczej" jest cząstką historii początków III RP. Z upływem miesięcy i lat, pamięć ulega rozmaitym zniekształceniom, dlatego zawsze ważna jest rejestracja bieżących uwag bezpośrednich uczestników wydarzeń. Otóż historia początków „Gazety Wyborczej" jest cząstką również mojego życia – jako dziennikarza, jako Polaka, jako człowieka wreszcie – gdyż pracowałem w tym piśmie od 1 maja 1989 do 31 sierpnia 1990. O tych (i okolicznych) czasach zawsze będą się uczyć następne pokolenia: o czasach indywidualnych i zbiorowych WYBORÓW – zawodowych, obywatelskich i moralnych. Ten okres zresztą nadal trwa i nikt jeszcze nie wie, czy Najtrudniejsze mamy za sobą.

Począwszy od ubiegłorocznej wiosny, jako pracownik „Gazety Wyborczej" kilkakrotnie składałem kierownictwu redakcji rozmaite krytyczne materiały. Oto znamienne fragmenty pierwszego z nich, datowanego 10 marca 1990:

Zmienić linię

Gdzieś tak w listopadzie-grudniu 1989 sprawy polityczne przybrały obrót na tyle korzystny i nieodwracalny, że dalsze utrzymywanie monolitu przez zwycięską Solidarność w ogóle, a przez parlamentarnie reprezentowaną opozycję w szczególności, zaczęło z wolna tracić sens. Prymarnym celem wieloletnich działań Mazowieckich, Michników i Wałęsów było bowiem zdemokratyzowanie państwa oraz uzyskanie dlań niepodległości; przejęcie rządów stanowiło jeno środek do tego celu wiodący. Od stycznia 1990 widać już jasno, że realizacja głównego celu została przesądzona i jest tylko kwestią czasu; wynika stąd zarazem konieczność równoległego oddawania

społeczeństwu władzy zdobytej nie dla siebie – przypomnijmy – lecz dla społeczeństwa właśnie! Żeby rzecz nazwać po imieniu: idzie dziś, najkrócej mówiąc, o przedterminowe wybory parlamentarne i prezydenckie oraz o całą otoczkę „spraw towarzyszących": przyszłość Solidarności, podziały w OKP, rozwój partii politycznych, ruch Komitetów Obywatelskich, bieżącą strukturę państwa i prawa, założenia nowej konstytucji, etc.

Uważam, że Adam popełnia potrójny, zasadniczy i oczywisty błąd, nadal obstając przy jak najdłuższym zachowaniu jak największej jednolitości wielkiego Ruchu Oporu o nazwie Solidarność oraz milcząc na temat przedterminowych wyborów. Po pierwsze – jest to NIERACJONALNE, bowiem jaskrawo sprzeczne z naturą. Po drugie – jest to NIEREALNE, a więc politycznie przynajmniej nieskuteczne; obawiam się nawet, że przyniesie odwrotny skutek: utratę znaczenia i wpływów. Po trzecie wreszcie – może się wydać NIEMORALNE (zasada *cui prodest*).

Dopuszczenie „na łamy" znacznie szerszego niż dziś wachlarza poglądów, opcji i stanowisk mam za sprawę kluczową, która rzutuje zarówno na przyszłość samej „Gazety", jak i na psychikę zwłaszcza jej młodych redaktorów i autorów. Idzie mi o PRAKTYCZNY, konkretny pluralizm (który bynajmniej nie oznacza wszystkoizmu!). Idzie mi o to, by „Gazeta" gwarantowała nam swobodę obrotu o przynajmniej 180 stopni wewnątrz Pełnego Kręgu (360 stopni) demokratycznych postaw i przekonań. Aby nie było Kierowników Wydziałów KC, pilnujących, aby nikt nie wychylił się poza sektor o rozwartości 45 stopni. Podziały i różnice zapatrywań są stanem naturalnym i pożądanym dla zdrowia każdej mikrospołeczności i każdego przedsięwzięcia intelektualnego (chyba że wyrodnieją w skrajności – ale to akurat, zdaje się, dziś „Gazecie" nie grozi).

W minionych latach opozycja demokratyczna odmieniała na wszystkie sposoby takie pojęcia, jak „wolność słowa", „nieskrępowana wymiana myśli", „ożywcze dyskusje", „poszukiwania prawdy", „precz z cenzurą", „swobodny przepływ idei i informacji". Wyznawali te wartości chyba wszyscy, którzy przed rokiem zostali zaproszeni na Stawki. (*W kwietniu 1989 przy ulicy Stawki w Warszawie odbyło się spotkanie osób zaproszonych do współpracy z powstającą „Gazetą Wyborczą" – przyp. red.*). Nikogo z uczestników tamtego spotkania nie uprzedzono, że będą pracować dla pisma coraz skrupulatniej wyrażającego linię coraz wyrazistszej politycznie grupy osób. Odwrotnie: miała to być gazeta codzienna CAŁEJ, nie tylko solidarnościowej (!) opozycji. Co z tego wynikło – każdy widzi i wstyd mówić. Czy więc nie wychodzi na to, że – *ipso facto* – w.w. pojęcia dla jednych były wartościami bardziej autentycznymi, dla innych zaś bardziej abstrakcyjnymi?

„Bibuła"

Cytowany wyżej tekst (i inne) po prostu utajniono. Wobec tego, 5. lipca 1990 zwróciłem się do całego zespołu „Gazety" w liście otwartym pt. „Bibuła". Oto jego najważniejsze fragmenty:

W lutym i marcu 1989 obradował „Okrągły Stół". Strona opozycyjno-solidarnościowa, choć personalnie ani formalnie nie reprezentowała całej opozycji, w swych deklaracjach oraz *de facto* występowała w takiej właśnie roli, zapewniając nie raz, że jej negocjacyjne wysiłki mają na celu dobro CAŁEGO narodu.

W tym duchu i w tej intencji – jako rezultat kontraktu komunistycznej władzy z niekomunistycznym społeczeństwem – powstała „Gazeta Wyborcza", wedle ówczesnych słów Wałęsy „pierwszy niezależny dziennik między Łabą a Pacyfikiem". Jej naczelnym redaktorem został Adam Michnik – postać prawdziwie świetlana, człowiek wybitnie zasłużony dla Polski, który swym intelektem i więzienną ofiarą przez lata niezłomnie walczył o prawdę, wolność i demokrację. Mając wolną rękę, Michnik dobrał sobie grupę bliskich współpracowników, która stała się kośćcem przyszłego zespołu redakcyjnego „Gazety".

Po kilku pierwszych miesiącach umiarkowanej bezstronności, „Gazeta" jęła wszakże coraz wymowniej nabierać konkretnego politycznego wyrazu, czyli upowszechniać i forsować poglądy i opcje związane z jedną tylko wizją polityczną i jednym tylko politycznym środowiskiem. Wiązało się to, rzecz jasna, z dyskryminacją tekstów, które w ten czy inny sposób nie odpowiadały „obowiązującej linii". Dziś żaden liczący się obserwator polskiego życia politycznego nie ma najmniejszej wątpliwości, iż „Gazeta Wyborcza", zwana złośliwie „Wybiórczą", nie jest pismem bezstronnym, lecz ORGANEM formalnie nie istniejącej, za to bardzo wpływowej, silnie partycypującej we władzy partii Bujaka, Geremka, Michnika czy Wujca (wymieniam przykładowo, w kolejności alfabetycznej).

Przed trzema miesiącami każdy członek zespołu „Gazety" zastał w swej skrytce „Informację", która powiadamiała o zwiększeniu się liczby udziałowców Agory oraz o zamiarze dalszych przekształceń własnościowych w tej spółce.

Do tego miejsca zgadzamy się zapewne wszyscy (niuanse mam za nieistotne). Ale różnimy się, przypuszczam, w moralnej ocenie zarysowanego przebiegu wydarzeń. Otóż uważam, że opisane upartyjnienie (się) „Gazety" nie było zbyt uczciwe, a uwłaszczenie (się) nią jej kierownictwa może na niezbyt uczciwe wyglądać. Dlaczego?

Ano dlatego, że – **po pierwsze** – nasi ludzie przy „Okrągłym Stole" niczego nie robili dla siebie, „dla własnych partykularnych interesów", ale – powtórzę – wyłącznie dla całego PLURALISTYCZNEGO społeczeństwa. Patrząc pod tym kątem, „Gazeta Wyborcza" powinna jedynie – do czasu najbliższej elekcji – zapewnić elektoratowi optymalne warunki wyboru poprzez RÓWNORZĘDNE prezentowanie licznych i zróżnicowanych opinii, głosów, projektów, programów, etc. Stało się, łagodnie mówiąc, „jakby inaczej", i to właśnie uważam za niezbyt ładne.

Po drugie: „Gazeta" była na wyposzczonym czytelniczym rynku pierwsza i dlatego, niczym w noc poślubną, WZIĘŁA WSZYSTKO. W ciągu najbliższych przynajmniej kilkunastu lat inne dzienniki – jeśli powstaną – nie będą miały ani połowy takich możliwości, takiego przebicia, takich rzesz odbiorców, tak życzliwych krytyków, takiej wiary i ufności na zawołanie, takich szans i perspektyw, jakie stały się udziałem naszego pisma. Jeżeli tak, to tym bardziej nie wolno było tej startowej przewagi wykorzystać dla propagowania i umacniania poglądów politycznych czerpanych z jednej tylko beczki!

Po trzecie: wspomniana na wstępie partia „BGMW et consortes" nie jest – sama w sobie – niczym nagannym (raczej odwrotnie!) i powinna oczywiście mieć swój organ. Wszakże „Gazeta" mogłaby bezgrzesznie przekształcić się weń (pod pewnymi warunkami) dopiero wówczas, gdy na prasowym rynku zaistniałaby REALNA KONKURENCJA! Tymczasem nasz dziennik, będąc przez okrągły rok absolutnym monopolistą (Wójcicki nastał w czerwcu, a Fikus wciąż jest Rządowy), wykorzystywał tę specyficzną pozycję we własnych partyjnych celach; czy to jest O'K?

Po czwarte: Adam i jego team nie dostali „Gazety" na własność, za zasługi (olbrzymie i niepodważalne), w charakterze królewskiego serwitutu, lecz jedynie POD ZARZĄD, W ARENDĘ, niczym agent podejmujący się prowadzenia restauracji. Otóż skoro restauracja miała wykarmić cały solidarnościowy naród, nie wolno było jej dzierżawcy-monopoliście narzucać konsumentom żadnej konkretnej diety! Odwrotnie, poprzez bogato zróżnicowane *menu* winien on zaspokajać większość różnorodnych gustów. Uważam, że nie jest w porządku stawiać głodnych ludzi przed wyborem: albo jecie to, co ja lubię, albo idźcie naprzeciwko, do komunisty...

Po piąte (i ostatnie): to wszystko nie jest rezultatem przypadku, wynikiem zbiegu okoliczności. Tak nie „wyszło", tak „miało wyjść". Gdy dziś otwieram „Gazetę", radio lub telewizor – mam nieodparte uczucie *déjá vu*: ileż osób TERAZ mówi to samo, co ja, tylko że ja chciałem to wydrukować – w swoim piśmie! – w październiku 1989 oraz w lutym i kwietniu 1990. Niestety, propozycje te były systematycznie odrzucane, a przecież nie odrzuca się

niechcący oraz nie ja jeden przecież proponowałem (Giedroyc w Paryżu twierdzi ponoć, że ma całą tekę podobnie potraktowanych tekstów). A ile rzeczy W OGÓLE nie powstało lub nie zostało „Gazecie" przedstawionych, bo ich autorzy zostali Wytrwałym Odrzutem skutecznie zniechęceni?

Posłowie

Znawcy twierdzą, że w korzeniach drzewa genealogicznego wielkich fortun, możnych rodów lub potężnych koncernów niemal zawsze jest zaplątany jakiś trup, ukryty jakiś skok na bank, jakieś oszustwo, gwałt, szantaż albo wojenne łupy – tyle że prawie nikt o tym nie wie, albo nie pamięta. I choć oczywiście Michnik z towarzyszami, „Gazeta Wyborcza", imperium Agory oraz ludzie, którzy z nimi lub za nimi stoją, nie popełnili żadnego przestępstwa – to w sensie MORALNYM różnicy specjalnej nie widzę.

Niniejszy artykuł ma zatem ułatwić zadanie przyszłym badaczom dziejów, również dziejów honoru w Polsce.

Ktoś spyta, czemu nie wydrukowałem tego wszystkiego wcześniej. Być może wyjdę na skończonego durnia, ale w swej naiwności po prostu czekałem – OKRĄGŁY ROK! – na jakąś publiczną spowiedź twórców „Gazety Wyborczej", na jakiś akt skruchy i ekspiacji: nie to, że oddadzą pismo lub się nim podzielą – bo to byłoby dziś nie tylko nierealne, lecz i bezsensowne – ale jawnie uderzą się w piersi, zrobią jakiś gest, cokolwiek...

Niestety. W tej fundamentalnej sprawie „Gazeta" milczała i milczy jak zaklęta. Jest to, zdaje się, dokładnie ten sam kamienny mur milczenia, którego nieustępliwość dobrze poznałem, daremnie oczekując reakcji na swoje kolejne wystąpienia w sprawach zasadniczych – zasadniczych dla każdego, kto własnym postępowaniem (nie deklaracjami) był gotów dawać, w wolnym już kraju, praktyczne świadectwo wyznawanym wartościom i ideałom.

Również ideałom „Solidarności".

Stanisław Remuszko

OD REDAKCJI: niniejszy tekst dostaliśmy we wrześniu. Za zgodą autora, publikujemy go dopiero teraz [po wyborach parlamentarnych 1991 – S.R.].

Krótka historia początków „GW"

Załączone teksty (wydrukowane przez „Czas Krakowski", „Express Wieczorny" i "Tygodnik Solidarność") stanowią tylko mizerną część tych wieści, które powinny dotrzeć jeśli nie do całego czytającego społeczeństwa, to przynajmniej do jego opiniotwórczych środowisk. Teksty te bowiem dają jedynie blade pojęcie o największym w naszej współczesnej historii, mało jeszcze widocznym, lecz jakże skutecznym skoku na władzę, na faktyczną CZWARTĄ WŁADZĘ w państwie – tę władzę, która w pierwszym roku odzyskującej wolność Rzeczypospolitej znaczyła nieporównanie więcej niż obecnie (choć i dziś publikatory w Polsce grają – właśnie jako IV władza – o wiele ważniejszą rolę niż w starych demokracjach Europy i świata).

Czy cała prawda o tym błyskotliwym, rasowo komunistycznym okpieniu milionów ufnych ludzi ujrzy kiedykolwiek światło dzienne? Czy uda się w pełni określić, w jakim stopniu, w kluczowym dla Polski okresie, CENZORZY z "Gazety Wyborczej" – nie dopuszczając, w warunkach monopolu, do propagacji odmiennych pomysłów i punktów widzenia oraz zapobiegając ich swobodnej rywalizacji – wpłynęli na wiedzę, przekonania i postawy rodaków w kraju i (zwłaszcza) na emigracji, a także na stosunek zagranicznych elit politycznych, gospodarczych i kulturalnych do Polski i jej problemów?

Odpowiedź na te kwestie zależy od kierunku dalszych przemian ustrojowych, od rozwoju i zróżnicowania prasy, radia i telewizji, wreszcie od CYWILNEJ ODWAGI samych dziennikarzy, historyków, polityków i socjologów. W każdym razie do niedawna był to temat tabu.

Ze swej strony uważam, że zrobiłem to, co do mnie należało: mianowicie niniejsza „Krótka historia..." zostanie jeszcze w tym roku wysłana do ponad stu wybitnych autorytetów publicznych w Polsce i za granicą. Co owi P.T. Adresaci z tym zrobią – przeczytają? wrzuca do kosza? „pójdą tropem"? – to już nie mój kłopot. Ja, powtarzam, uznaję, że poprzez mikroupowszechnienie niniejszego świadectwa spełniłem swą elementarną dziennikarską powinność wobec prawdy i własnego kraju (jak by to bogoojczyźnianie nie zabrzmiało).

Zanim wszakże postawię ostatnią kropkę, pragnę przytoczyć ZNAMIENNE fragmenty listu do Stanisława Lema, z którym miałem zaszczyt wieść korespondencyjny spór na temat „Gazety Wyborczej", jej redaktora naczelnego oraz uczciwości (Lem jest zawziętym Unionistą, stronnikiem Michnika i "GW"). Oto co pisałem doń 21 kwietnia 1991:

Decyzję o odejściu z "GW" – ostateczną, ale i warunkową zarazem: jeśli nic istotnego w jej trwającej złej ewolucji się nie zmieni, podjąłem suwerennie, choć po dyskusji z żoną, w marcu zeszłego roku. Przez następne miesiące robiłem to, co porządny człowiek robić powinien: usiłowałem, podług swych marnych możliwości, na tę ewolucję „Gazety" korzystnie wpłynąć, a także starannie zadbałem, aby mój punkt widzenia dotarł na piśmie do najważniejszych Redakcjonistów (iżby potem nie mogli mówić np.: „Ach, Nie Wiedziałem", lub „Szkoda, Że Pan Tego Wcześniej Nie Podniósł", etc.).

Honores mutant mores. *Nikt nie odbierze Michnikowi PRZESZŁYCH zasług dla Polski – wielkich i pięknych, godnych ogromnego szacunku. Co to wszakże ma wspólnego z jego postawą PO zdobyciu władzy? Związek przyczynowo-skutkowy niestety tu nie zachodzi, silna korelacja też nie; zresztą przypadek Michnika nie jest ani pierwszy, ani ostatni w światowej historii takich przeistoczeń dokonujących się wraz z fazową zmianą warunków.*

Uważam „Gazetę Wyborczą" za bodaj najsprawniejszy redakcyjnie i najatrakcyjniejszy czytelniczo ogólnokrajowy dziennik, Skalskiego za jednego z najlepszych (liczonych na palcach jednej ręki) polskich publicystów, itd. Wszelako tylko dwaj Panowie – Bóg i Lem (przepraszam, wymieniam w kolejności alfabetycznej) – raczą wiedzieć, co to ma WSPÓLNEGO z moralną oceną publicznych postaw kilku, kilkunastu osób, dotyczącą zwłaszcza okresu minionego (jesień 1989 – lato 1990).

P.S. Jeśli zbiorowe dziecię Okrągłego Stołu – goła jak święty noworodek turecki spółka „Agora" – w imieniu dwudziestu paru milionów obywateli wzięła miliardowy kredyt, żeby wystartować jako „GW", a rok później uzyskanym tą drogą majątkiem wierchuszka „GW" uwłaszczyła się notarialnie – to czym taki czyn różni się etycznie i prawnie od Nomenklaturowego Spółkowania?*

---

* Po pierwszej sądowej rozprawie „Agora" kontra Maziarski, która odbyła się 21-X-91, mogę tylko powiedzieć, że trzeba doprawdy WYJĄTKOWEJ obłudy, by uważać kredyt w naturze za coś odmiennego – co do istoty – od kredytu w gotowiźnie.

Stanisław Remuszko

Warszawa, 13 grudnia 1991

Lista 122

Powyższy „wiodący tekst" – wraz z artykułami „Agora konta Maziarski", „Kwestia honoru" oraz „Skąd ma pieniądze Gazeta Wyborcza" – odbiłem

dwustronnie na kartce A-3 i wysłałem w grudniu 1991 do 122 wymienionych niżej osób:

1. Andrzej Ajnenkiel, 2. Andrzej Anusz, 3. Timothy G. Ash (Anglia), 4. Leszek Balcerowicz, 5. Stanisław Barańczak (USA), 6. Biblioteka Polska (Francja), 7. Jan K. Bielecki, 8. Tadeusz Bielicki, 9. Biuro Koordynacyjne NSZZ „Solidarność" za Granicą (Belgia), 10. Józef M. Bocheński (Szwajcaria), 11. Stefan Bogusławski, 12. Kazimierz Brandys (Francja), 13. Juliusz Braun, 14. Zbigniew Brzeziński (USA), 15. August Chełkowski, 16. Lidia Ciołkoszowa (Anglia), 17. Norman Davies (Anglia), 18. Marek Dziubek, 19. Stanisław Dziwisz (Watykan), 20. Editions du Dialogue (Francja), 21. Dariusz Fikus, 22. Jerzy Giedroyc (Francja), 23. Mieczysław Gil, 24. Adam Glapiński, 25. Józef Glemp, 26. Zdzisław Gremski (USA), 27. Marek Halberda, 28. Aleksander Hall, 29. Andrzej Hennel, 30. Zbigniew Herbert, 31. Gustaw Herling-Grudziński, 32. Przemysław Hniedziewicz, 33. Jerzy Holzer, 34. Maciej Iłowiecki, 35. Instytut Polski (Anglia), 36. Elżbieta Isakiewicz, 37. Jan Paweł II (Watykan), 38. Maria Janion, 39. Igor Janke, 40. Jarosław Kaczyński, 41. Lech Kaczyński, 42. Damian Kalbarczyk, 43. Andrzej Kern, 44. Krystyna Kersten, 45. Andrzej T. Kijowski, 46. Leszek Kołakowski (anglia), 47. Tadeusz Konwicki, 48. Janusz Korwin-Mikke, 49. Edmund Krassowski, 50. Marcin Król, 51. Marcin Kubiak, 52. Władysław J.h. Kunicki-Goldfinger, 53. Jacek Kurczewski, 54. Tomasz Kwast, 55. Anatol Lawina, 56. Stanisław Lem, 57. Teresa Liszcz, 58. Wojciech Łączkowski, 59. Jerzy Łoś, 60. Antoni Macierewicz, 61. Jacek Maziarski, 62. Artur Międzyrzecki, 63. Jerzy Milewski, 64. Czesław Miłosz (USA), 65. Grażyna Minkowska, 66. Dominik Morawski (Włochy), 67. Edward Moskal (USA), 68. Zdzisław Najder, 69. Stefan Niesiołowski, 70. Jan Nowak-Jeziorański (USA), 71. Jan Olszewski, 72. Janusz Onyszkiewicz, 73. Józef Orzeł, 74. Andrzej Paczkowski, 75. Jan Parys, 76. Polskie Centrum Kultury (RPA), 77. PolCul Foundation (Australia), 78. Jerzy Pomianowski (Włochy), 79. Radio „Solidarność", 80. Radio Wolna Europa (Niemcy), 81. Konstanty Radziwiłł, 82. Jan M. Rokita, 83. Zbigniew Romaszewski, 84. Marek Rostworowski, 85. Marcin Ryszkiewicz, 86. Edward Rzepka, 87. Jacek Salij, 88. Henryk Samsonowicz, 89. Ryszard Semka, 90. Andrzej Siciński, 91. Władysław Siła-Nowicki, 92. Józef Smak, 93. Jadwiga Staniszkis, 94. Barbara Stanosz, 95. Andrzej Stelmachowski, 96. Jerzy Stępień, 97. Kazimierz Stępień, 98. Adam Strzembosz, 99. Tomasz Strzembosz, 100. Jan J. Szczepański, 101. Andrzej Szczypiorski, 102. Jacek Szymanderski, 103. Paweł Śpiewak, 104. Józef Tischner, 105. Jacek Trznadel, 106. Jerzy Turowicz, 107. Donald Tusk, 108. Bolesław Twaróg, 109. Lech Wałęsa, 110. Bożena Wawrzewska, 111. Bolesław Wierzbiański (USA), 112. Piotr Wierzbicki, 113. Maciej Wierzyński, 114. Wojciech Włodarczyk, 115. Kazimierz Wóycicki, 116.

Andrzej K. Wróblewski (fizyk), 117. Adam Zagajewski (Francja), 118. Andrzej Zahorski, 119. Andrzej Zawada, 120. Aleksandra Zawłocka, 121. Barbara Zbrożyna, 122. Janusz Ziółkowski.

* * *

Było to dla mnie bardzo ciekawe i pouczające doświadczenie: wyszło mianowicie na to, że cała sprawa niespecjalnie obchodzi Dostojnych P.T. Adresatów!!! Myślałem, że przynajmniej dla Nich będzie to swego rodzaju Rewelacja, jakieś Nowe Spojrzenie, Odmienny Aspekt, którego dotychczas nie dostrzegali. Okazało się – ipso facto – że grubo się myliłem, skoro spośród 122 adresatów, listownie (były jeszcze telefony) odpowiedzieli tylko dwaj: Dominik Morawski z Rzymu (życzliwe pokwitowanie) i Zbigniew Herbert.
Ale taka postawa większości spośród pozostałych osób oznacza zarazem (powiedzmy to wyraźnie), że te z nich, które ani wtedy ani potem nie zabrały ani publicznie ani prywatnie (choćby w gronie własnych przyjaciół) „głosu w sprawie" – przynajmniej GODZĄ SIĘ na opisany stan rzeczy...

1992

List od Zbigniewa Herberta

Warszawa, 1 stycznia 1992

Szanowny Panie,

dziękuję za przysłaną mi dokumentację sprawy Agory, która nie dotyczy tylko Pana, ale ma swój wymiar społeczny.

Na podstawie przesłanych dokumentów mogę odpowiedzialnie stwierdzić, że wyczerpał Pan wszelkie możliwości dochodzenia prawdy, skąd wzięły się fundusze Agory i dlaczego zajęła ona stanowisko monopolistyczne, a zatem decydujące w kształtowaniu opinii społecznej.

Moja cała sympatia jest po stronie Pana. Wiem z własnego doświadczenia, że każdy, kto decyduje się na podobny krok, jest bity za swoją odwagę i może najwyżej liczyć na to, że ktoś pod stołem uściśnie mu rękę.

Pragnę Pana poinformować, że nie będę publikował niczego ani w Gazecie Wyborczej, ani w afiliowanych przez nią pismach, jak np. Zeszyty Literackie. Decyzję tę podjąłem wcześniej, a Pan umocnił mnie w przekonaniu, że wciąż niestety człowiek odpowiada nie tylko za własne słowa i uczynki, lecz również musi wyważać, w jakim miejscu, w jakim czasie, w jakim tzw. kontekście społecznym jego opinie zostały wypowiedziane. Zapewnienia, że nie stoi za mną i za Panem żadna siła, spotykają się na ogół z niedowierzaniem, a stwierdzenie, że kierują nami motywy czyste i bezinteresowne, także jest poddawane w wątpliwość.

Łączę serdeczny uścisk dłoni i wyrazy solidarności

Zbigniew Herbert

* * *

Niemal dokładnie sześć i pół roku później – o czwartej nad ranem we wtorek 28 lipca 1998 roku, gdy nad Warszawą szalała potężna burza – obudziłem się w swym ursynowskim mieszkaniu, wyszedłem na taras i, sam nie wiedząc czemu, zrobiłem parę zdjęć bijącym w ciemność piorunom. Kilka kilometrów dalej umierał Zbigniew Herbert. Jako zapewne jedyny na świecie, mam fotografie tamtych błyskawic. Przechowuję je w rodzinnym albumie.

„Wojna na górze" – klęska czy zbawienie

Konsekwencją ambicjonalnej, prywatnej „wojny na górze" stało się tragiczne rozdrobnienie w nowym Sejmie. Potępieńcze swary, częste upadki gabinetów, chwiejność reform, potem zaś niechybne strajki i rozwścieczone tłumy na ulicach, wreszcie – nieunikniona dyktatura.

Tak malowali – zaraz po parlamentarnej elekcji – ponurą przyszłość Rzeczypospolitej liczni działacze i dziennikarze, których nazwisk przez litość TU nie wymienię (ale *scripta manent*).

Na szczęście do świadomości ludzi coraz częściej dociera – mimo celowo stawianych przeszkód – inna prawda: że „wojna na górze" nie wzięła się z widzimisię pewnego gdańszczanina, manipulującego stadem ogłupiałych politykierów i ciemnym narodem, lecz stąd, że grupa wpływowych i inteligentnych ludzi, usiadłszy na łupie zdobytym przy Okrągłym Stole, nie tylko nie chciała sukcesywnie przekazywać władzy niecierpliwie czekającemu na prawdziwą demokracje społeczeństwu, ale również pragnęła – w najlepszym komunistycznym stylu – przekształcić w faktyczną neomonopartię połączony ruch „Solidarności" i Komitetów Obywatelskich, na którego czele „czystym przypadkiem" wówczas stała.

Tak więc szczęśliwie zakończona sukcesem Wałęsy „wojna na górze" okazała się zbawienna dla Polski, ponieważ ocaliła nas wszystkich przed dramatem wstąpienia na nową Jedynie Słuszną Drogę. Stało się tak, co znamienne, wbrew usilnym staraniom licznych „Europejczyków", którzy kilkanaście, a nawet jeszcze kilka miesięcy temu publicznie wyśmiewali się z zamiarów upartyjnienia (czytaj: uczynienia normalnym) życia politycznego w zaściankowej Polsce. Rzeczywistość głosami elektoratu wyraziście i szybko zadrwiła z besserwisserów: na około 150 zarejestrowanych partii, do Sejmu udało się dostać mniej niż 30, przy czym 90% poselskich miejsc zdobyło tylko 10 spośród nich!

Dopiero dziś widać zatem, jak bardzo Wałęsa zasłużył się Polsce, burząc monolit „Solidarności"-omnibusa, niwecząc nadzieje nowo powstającego Hegemona (Geremek, Mazowiecki, Michnik *et consortes*) na utrzymanie homogenicznej władzy i budowę państwowego ładu według swej wyłącznej woli, wypowiadając służby basującym mu tzw. elitom intelektualnym, przyczyniając się – gdy przyszła pora – do rozpadu Zjednoczonego Antykomunistycznego Frontu Negacji (odmowy), i tym samym zmuszając

społeczeństwo do szybszego normalnienia, więc do rzeczy o niebo trudniejszej: oddolnego budowania programów pozytywnych. Tym sposobem osiągnął pierwociny wymarzonego balansu, w którym nie dwie, lecz dobry tuzin głównych sił trzyma się w szachu, a każda z nich wspiera się z kolei na kilku odnóżach, spętanych na dodatek wzajemnymi interesami.

By wszakże ta powstająca, pluralistyczna homeostaza organizmu państwowego nie została porażona, wskutek nadmiernego rozkawałkowania, niemocą i bezruchem, lecz odwrotnie: by zaczęła nabierać charakteru równowagi dynamicznej – trzeba było, aby zakończył się etap generalnych podziałów, burzliwych wzrostów i nagłych karleń, a zaczął się etap „dorozwoju" i "dokształtowywania się" już zaistniałych struktur politycznych. Ten okres właśnie trwa i mniemam, że zapowiadające się partyjno-parlamentarne rozwody, zaręczyny i mariaże zaowocują czytelniejszymi różnicami i nową mapą sojuszy, co w sumie doprowadzi do wtórnych zmian polskiego krajobrazu politycznego, a znajdzie swój wymierny wyraz jeszcze w Sejmie obecnej kadencji.

Jak straszliwe jednak, jak niesamowite wprost spustoszenia w świadomości społecznej uczynił komunizm, a także jak wielka jest odpowiedzialność zań intelektualistów – udowadnia nie żaden tam Stalin z Sartrem razem wzięci, lecz dopiero Jacek Bocheński w artykule „Czarna dziura w głowach", zamieszczonym – wiosną 1992 roku! – w "Gazecie Wyborczej" (nr 58). Człowiekowi z przerażenia włos na głowie dęba staje, bo po lekturze Bocheńskiego łacno mu pojąć, jak blisko przed dwoma laty była łopata Nowego Grabarza, spod której udało się nam wszystkim – m.in. dzięki Wałęsie – umknąć w ostatniej chwili. Niech Czytelnik zresztą sam oceni, co pisze wybitny polski eseista:

Światu zaparło dech w piersiach, ponieważ wyczuł on w "Solidarności" zapowiedź, że po obaleniu komunizmu możliwe będzie organizowanie się społeczeństwa na nowej zasadzie, niekoniecznie wokół dawnych antagonizmów i tradycyjnie sprzecznych interesów. Było to prawdziwe zwycięstwo nad marksizmem. Zanosiło się mianowicie na koniec walki klasowej. Może nie tylko klasowej. Przed Polską stanęła szansa wręcz niesłychana, jaka przychodzi raz na kilkaset lat albo nigdy. Polska mogła w pewnym sensie nadać kierunek rozwojowi świata, przynajmniej postkomunistycznego, gdyby kontynuowała i umiejętnie wyzyskała wynalazek „Solidarności". Polacy jednak szansę tę zignorowali i zaprzepaścili, bo mieli ważniejsze sprawy na głowie. Politycy polscy na przykład musieli zająć się walką o urzędy. W związku z tym niewygodne okazały się solidarność i "Solidarność", a konieczne – partie. „Normalne", jak na Zachodzie...

Znam tylko dwie podobne merytorycznym stylem wypowiedzi z ostatnich dwóch lat (gdy było już jasne, że komunizm, ze swoim marksizmem, walką klas i czym tam jeszcze, trafił ostatecznie na tzw. śmietnik historii). Autorem pierwszej był Fidel Castro ze swoim słynnym: *Socialismo o muerte!*, drugiej zaś Bronisław Geremek, kiedy po przegranej Mazowieckiego z Tymińskim w przytomności milionów telewidzów wyrzekł sławne: *Ja tych wyników nie przyjmuję do wiadomości* oraz *Polskie społeczeństwo nie dorosło do demokracji.* Teraz dołączył do nich Jacek Bocheński, ze swą niezachwianą wiarą w bezkonfliktowy i jednolity Nowy Wspaniały Świat, znajdujący się na wyciągnięcie ręki, który rodzimym egipskim kapłanom udałoby się – tym razem już na pewno! – zrealizować gwoli powszechnego szczęścia nie tylko Polaków, ale całej ludzkości, gdyby nie przeszkodził zły Wałęsa, nierozumni politycy i bezmyślni wyborcy.

Nie sądzę, by rację mieli ci, którzy obecny stan i rychłą przyszłość mojego kraju malują w czarnych barwach, twierdząc, że mogłyby one być świetlejsze, gdyby tylko... itp. Myślę, że tak (lub podobnie) jak się stało, stać się musiało, że przez pewien czas tak (lub podobnie) być musi, i że to wszystko nie jest między Giewontem a Helem w latach dziewięćdziesiątych żadną aberracją, lecz właśnie społecznym Prawem Natury, *ergo* Polską Normą. Po drugie – wcale nie musi z tego wyjść ani Zamach Tyrana, ani polityczny ANARHAŁOS (anarchiczny hałaśliwy chaos); przypuszczam raczej, że – jako demokratyczne niemowlęta – chorujemy na odrę albo wietrzną ospę, nie na AIDS.

Wszystkim zaś, którzy okropnie się martwią i przejmują, proponuję następujące ćwiczenie umysłowe: przypomnijmy sobie Polskę z marca 1987 oraz spróbujmy spojrzeć na nasz kraj z wyobrażonej perspektywy marca 1997; nasze problemy ukażą się wówczas we właściwych proporcjach.

Stanisław Remuszko

List do redakcji

Sukces „Gazety Wyborczej"

W artykule „Nierówny wyścig. Rzecz o dziennikach ogólnopolskich" („Tygodnik Powszechny" z 31 maja 1992) Krzysztof Burnetko najsłuszniej w wiecie ocenia, że spośród ośmiu istniejących w czerwcu 1989 roku codziennych pism o zasięgu krajowym – „prawdziwy sukces odniosła tylko „»Gazeta Wyborcza«. Dlaczego?".

Autor zdaje się odpowiadać na to pytanie tak: „»Gazeta« przez parę miesięcy była jedynym niezależnym dziennikiem i redakcja umiała to wykorzystać. Nim powstała konkurencja, „»Gazeta« była o parę długości do przodu".

To prawda, tyle że jakby nie cała. Dokładnie dwa lata temu w liście otwartym, który skierowałem do zespołu „Wyborczej", zanim złożyłem wymówienie z pracy, pisałem m.in.:

„»Gazeta« była na wyposzczonym czytelniczym rynku pierwsza i dlatego, niczym w noc poślubną, wzięła wszystko. W ciągu najbliższych przynajmniej kilkunastu lat inne dzienniki – jeśli powstaną – nie będą miały ani ćwierci takich możliwości, takiego przebicia, takich rzesz odbiorców, tak życzliwych krytyków, takiej wiary i ufności na zawołanie, takich szans i perspektyw, jakie stały się udziałem naszego pisma".

Powiedzmy wyraźnie: bez tych trzech ZEWNĘTRZNYCH oraz HISTORYCZNYCH (wyjątkowych, niepowtarzalnych) czynników – bez ofiarnego zapału środowisk, bez ogromnych nadziei i zaufania społecznego oraz bez braku realnej konkurencji – sukces „Gazety" nie byłby możliwy.

Sukces „GW" nie byłby również możliwy bez łatwo przeliczalnych na pieniądze ŚRODKÓW i MOŻLIWOŚCI (lokal, papier, druk, kolportaż, etc.), które zostały powstającemu pismu przyznane – na zasadach absolutnej wyłączności – wskutek postanowień Okrągłego Stołu. W niedawnym wywiadzie („Życie Warszawy" z 2 czerwca 1992) profesor Walery Pisarek z Ośrodka Badań Prasoznawczych UJ stwierdza wręcz, że na uruchomienie ogólnopolskiego dziennika potrzeba dziś minimum 200 miliardów złotych (czyli blisko 20 mld zł w roku 1989!), spytany zaś o fenomen „Wyborczej" – mówi *expressis verbis*: „Wielkość «Wyborczej»" polega na tym, że wskoczyła w to, co było przygotowane dla «Trybuny Ludu»".

Nadto redaktor Burnetko przynajmniej myli się, podając, że „Gazeta" była jedynym w Polsce niezależnym (od starych układów) dziennikiem przez „parę miesięcy". Była nim przez OKRĄGŁY ROK, ponieważ Wóycicki w "Życiu Warszawy" nastał w czerwcu 1990, a Fikus w "Rzeczpospolitej" wtedy jeszcze był rządowy.

Stanisław Remuszko

P.S. „Tygodnik Powszechny" odmówił opublikowania tego listu.

* * *

Już wówczas, w 1992 roku, dawały się zauważyć początki bardzo groźnego społecznie (moim zdaniem) zjawiska: budowy kręgu „medialnych przyjaciół" (prasa, radio, telewizja), którzy chronią „swoich" nawet za cenę cenzurowania prawdy i kneblowania ust. Proszę, niech Czytelnik jeszcze raz rzuci okiem na siedem powyższych akapitów. Czy dotyczą spraw nieistotnych? Czy kogoś obrażają? A może są tam łgarstwa?

Mnie osobiście bolało zwłaszcza to, że do tak nieuczciwych „metod polemicznych" jęli uciekać się redaktorzy pisma tak w czasach PRL zasłużonego dla wolności słowa, jakim był „Tygodnik Powszechny".

Dziś jasno widać, jak wielką i wpływową „sferę ochronną" w środkach masowego przekazu udało się wokół siebie stworzyć „Gazecie Wyborczej". Wrócę jeszcze do tego tematu.

www.syjoniści.kor.dolary.usa

LIST OTWARTY DO ADAMA MICHNIKA
REDAKTORA NACZELNEGO
GAZETY WYBORCZEJ

Warszawa, 11 kwietnia 2000 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Wydarzenia ostatnich miesięcy - szereg nieprawdziwych publikacji "Gazety Wyborczej" na temat firmy Prokom Software SA oraz budowania przez nią systemu komputerowego dla Zakładu Ubezpieczeń Społecznych - zmuszają mnie do zabrania głosu. Przykro tylko, że zostałem zmuszony do wypowiedzi w tej formie. Jednak najbardziej boli mnie fakt, że czytelnicy Gazety są po prostu okłamywani.

Jestem przekonany, że Pan, niekwestionowany autorytet wśród dziennikarzy, zwyczajnie nie wie o upartym łamaniu zasad rzetelnego i etycznego dziennikarstwa. Chcę wierzyć, że gdyby Pan o tym wiedział, nigdy nie doszłoby do świadomego publikowania nieprawdziwych informacji, łamania prawa prasowego, wykorzystywania kruczków prawnych, by opóźniać lub nie publikować sprostowań. I wreszcie, niezrozumiałe jest dla mnie uparte odrzucanie naszych propozycji prowadzących do pokazania prawdy. Ukoronowaniem tych działań jest skandaliczny artykuł zastępcy redaktora naczelnego "Gazety Wyborczej" Piotra Pacewicza z 1-2 kwietnia tego roku pt. "Prokom ujawnia umowę". To bezprecedensowy przykład kłamstwa, obłudy i manipulacji. Nie dość, że takiej rozmowy nigdy nie było, to redaktor Pacewicz nawet nie poprosił o zgodę na wykorzystanie mojego nazwiska. Sugerowanie, że firma Prokom tworzy internetowe strony o nazwie "www.syjonisci.kor.dolary.usa" pozostawiam bez komentarza. Wstydzę się za Pańskiego zastępcę.

Timothy Gordon Ash pisał w zeszłym roku na łamach "The New Yorker" o motywach Pańskiej rezygnacji z przyjęcia akcji Agory S.A., wydawcy "Gazety Wyborczej": "(...) zrezygnował z przyjęcia miliona dolarów. Powiedział mi, że jego niezależność intelektualna i redagowanie gazety mogłoby na tym ucierpieć, zmuszać do myślenia o tym, jaki to ma wpływ na wartość akcji...". Pamięta Pan te słowa? Pan zrezygnował. Inni redaktorzy i dziennikarze - nie. Stali się posiadaczami pakietów akcji wartych setki milionów złotych.

Dziś, gdy "Gazeta Wyborcza" konkuruje z Prokomem na rynku internetowym, te słowa nabierają szczególnego znaczenia. To przecież Agora S.A., wydawca "Gazety Wyborczej", ogłaszając swoją strategię internetową pisała: "Spółka zamierza stworzyć jeden portal krajowy i kilka lokalnych, a następnie szybko rozwinąć kanały tematyczne poświęcone głównym obszarom zainteresowania konsumentów (...) Siłą projektu internetowego Agory jest wykorzystanie atutów firmy - największego polskiego dziennika "Gazety Wyborczej", jej marki, związanych z nią czytelników..." Nie sądziłem tylko, że prestiż Gazety i zaufanie czytelników zostaną wykorzystane do brutalnej i nieetycznej walki z inną spółką giełdową.

Tak, miał Pan rację. Pieniądze mogą zachwiać niezależnością intelektualną. Mogą też podporządkować publikacje walce z konkurencją, a nie prawdzie. Szkoda.

Z poważaniem,

Ryszard Krauze
Prezes Zarządu
Prokom Software SA

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszenia

1993

Siódme przykazanie

Dokładnie dwa lata temu w wywiadzie dla „Życia Warszawy" Jacek Maziarski oświadczył, że „Gazeta Wyborcza" powstała z pieniędzy przeznaczonych dla całej opozycji. Urażeni tym stwierdzeniem właściciele wydającej „GW" spółki Agora podali Maziarskiego do sądu. Przed Sądem Apelacyjnym w Warszawie właśnie odbywa się finał tego głośnego sporu, który wielu ludzi uważa za ważny i symboliczny dla Polski i jej historii najnowszej, gdyż dotyczy on – w swej istocie – moralno-politycznych korzeni naszej obecnej demokracji.

Wysoki Sądzie!

Spójrzmy na narodziny i niemowlęcy okres „Gazety Wyborczej" z punktu widzenia władzy nad ludźmi. Władza, generalnie rzecz biorąc, może mieć charakter formalno-prawny, i dobrym przykładem jest tu władza w państwie, władza parlamentu lub rządu. Władza nad ludźmi może mieć również charakter moralny lub intelektualny, może dotyczyć świadomości obywateli; mówimy wtedy o "rządzie dusz" albo o wpływie na poglądy i postawy społeczne. Nie można demokratycznie zdobyć (utrzymać) władzy pierwszej, jeśli się nie dysponuje drugą.

We wszystkich krajach europejskiej kultury największy wpływ na postawy i opinie obywateli wywierają środki masowego przekazu. Trzeba z naciskiem podkreślić, że w państwach postkomunistycznych wpływ publikatorów na kształtowanie się ludzkich poglądów i przekonań był – i wciąż jest – ZNACZNIE WIĘKSZY niż w państwach o ugruntowanej demokracji, a to z powodu wielodziesięcioletnich, często nie uświadomionych „przyzwyczajeń myślowych" odbiorców oraz nadal wyraźnie mniejszej (proporcjonalnie) liczby różnych niezależnych mediów. W państwach postkomunistycznych – również w Polsce – prasa, radio i telewizja są zatem tzw. władzą CZWARTĄ tylko z nazwy, gdyż podług realnego znaczenia prawie nie ustępują władzy „PIERWSZOrzędnej".

Jednak i tych uwag za mało, by właściwie ocenić rolę „Gazety Wyborczej" w polskiej bezkrwawej rewolucji z lat 1989-1990. Wyjątkowa i niezwykła ranga pisma stanie się lepiej zrozumiała dopiero wtedy, gdy powiemy o dwóch sprawach.

Po pierwsze: sukces „Wyborczej" był owocem nie tylko ogromnej pracy i wybitnych zdolności jej bezpośrednich twórców, nie tylko skutkiem przyznania „Gazecie" wyłącznej (!) politycznej koncesji na „poczęcie" pisma oraz ofiarowanych konkretnych środków i możliwości na jego narodziny

i rozwój, ale również – a raczej: PRZEDE WSZYSTKIM – rezultatem olbrzymiego społecznego zaufania i gigantycznych nadziei tych kilku milionów dorosłych Polaków, których obchodziły sprawy Ojczyzny i którzy wtedy szybko uznali „Wyborczą" za swój dziennik.

Po drugie: „Gazeta" była na ogólnopolskim rynku prasowym – wygłodzonym po 40 latach cenzury – de facto absolutnym monopolistą przez PONAD ROK, co, naturalną koleją rzeczy, zapewniło jej – przy atrakcyjnym i sprawnym redagowaniu – całkowitą krajową dominację i oczywiste profity polityczne.

Podsumujmy, Wysoki Sądzie, ten fragment wywodu. Mamy oto wyjątkowe pismo, powstałe w wyjątkowej sytuacji i na wyjątkowych warunkach. Mamy pismo, które przez okrągły rok jest – jako jedyne wśród istniejących podówczas dzienników – powszechnie uważane za SPOŁECZNĄ WŁASNOŚĆ, za DOBRO WSPÓLNE, za codzienny i namacalny symbol rozsądnego, gdyż ewolucyjnego wyzwalania się narodu spod narzuconego mu obcego ustroju, spod obcej hegemonii. To przecież przy Okrągłym Stole przedstawiciele strony „solidarnościowo-opozycyjnej" nieustannie zapewniali, że niczego nie robią dla siebie, lecz wszystko dla całego niekomunistycznego społeczeństwa. To przecież w pierwszym swoim numerze „Gazeta Wyborcza" na pierwszej stronie jednoznacznie deklarowała, że zamierza prezentować nie tylko społeczno-polityczny pluralizm wewnątrzsolidarnościowy, lecz również – uwaga! – poglądy innych demokratycznych nurtów.

To wskutek tego ogromnego społecznego poparcia nakład „Wyborczej" wzrósł w błyskawicznym tempie do kilkuset tysięcy, a potem nawet do miliona egzemplarzy. To dzięki ZAUFANIU LUDZI, którzy „Gazetę" kupowali, traktując ją jak wytęsknione własne dziecko, pismo rozwinęło się w tempie i zakresie bezprecedensowym. Jednak ów generalny odbiór dziennika jako pomnikowego boni publici był – jak dziś wiemy – oparty niestety na kruchych podstawach. Przypomnijmy, że choć „Wyborczą" czytały miliony Polaków – nie one, lecz grono zaledwie kilku osób dyktowało tzw. linię polityczną pisma. „Dzięki" tym osobom, po paru miesiącach umiarkowanego obiektywizmu i względnej wierności pierwotnym obietnicom, „Gazeta" zaczęła coraz częściej wyrażać opinie oraz promować osoby i poglądy brane z tylko jednego polityczno-ideowego worka, równocześnie przemilczając niewygodne tematy lub odrzucając niewygodne teksty.

W początkach 1990 roku było już jasne, że „Wyborcza", zwana czasami złośliwie „Wybiórczą", stała się nieoficjalnym organem partii formalnie nie istniejącej, lecz wyrazistej politycznie i silnie uczestniczącej we władzy – partii Bujaka, Frasyniuka, Geremka, Kuratowskiej, Kuronia, Lityńskiego, Michnika, Wielowieyskiego, Wujca (wymieniam w kolejności alfabetycznej) i innych

działaczy, którzy później założyli ROAD, następnie zaś Unię Demokratyczną. Na inne opcje w "Gazecie" zabrakło miejsca już pół roku po jej powstaniu!

Mówimy tu o władzy, Wysoki Sądzie. W dążeniu do władzy nie ma nic zdrożnego, jeśli tylko walczy się o nią za pomocą metod uczciwych i demokratycznych. Również forsowanie swoich (a nie cudzych) poglądów politycznych, swojej (a nie innej) wizji społecznego ładu, swojego (a nie obcego) widzenia najważniejszych spraw publicznych jest naturalnym prawem każdej jednostki, każdego ideowego środowiska i każdej politycznej partii – pod jednym wszakże warunkiem (powtórzmy): że nie stosuje się przy tym METOD NIEUCZCIWYCH I NIEDEMOKRATYCZNYCH.

Spytajmy zatem:

1. Czy wiosną 1989 roku osoby nie posiadające mandatu strony opozycyjno-solidarnościowej Okrągłego Stołu miały jakąkolwiek szansę założyć spółkę typu Agora?

2. Czy wiosną 1989 roku jakakolwiek grupa nie posiadająca mandatu wspomnianej strony opozycyjno-solidarnościowej miała szanse dostać od władz PRL do dyspozycji lokal, papier, telefony i drukarnię, od dziennikarzy, publicystów oraz ludzi nauki i kultury gremialne „pisane" poparcie, od społeczeństwa zaś pełny kredyt zaufania, wyrażany masowym kupowaniem „Gazety"?

3. Czy trzej formalni założyciele Agory – panowie Bujak, Paszyński i Wajda – uważali się kiedykolwiek za prawowitych PRYWATNYCH właścicieli Agory?

Są to oczywiście, Wysoki Sądzie, pytania retoryczne. Wszyscy znamy odpwiedzi na nie. Odpowiedzi te jednakże nie tylko dowodzą zupełnej niewinności mojego klienta, lecz nadto stawiają w fatalnym świetle stronę pozywającą. Gdyby bowiem „Gazeta Wyborcza" nie powstała jako własność SPOŁECZNA, tylko jako własność PRYWATNA; gdyby nie przedstawiła się od początku jako forum CAŁEJ demokratycznej opozycji, tylko jako ORGAN pewnej partii lub środowiska politycznego; gdyby wreszcie przez pierwszy okres swego rozwoju nawet nie miała, lecz MOGŁA MIEĆ konkurencję w postaci nawet nie dziesięciu innych, lecz choćby jeszcze jednego ogólnopolskiego wysokonakładowego dziennika o podobnej opozycyjnej proweniencji – wtedy prasowy sukces „Gazety" i polityczny sukces jej właścicieli byłby godzien wyłącznie powszechnego uznania i szacunku.

Ponieważ jednak było akurat odwrotnie – gdyż owo DOBRO WSPÓLNE zostało w sposób nieuczciwy i nieprawy dyskretnie zawłaszczone – ocena MORALNA całej tej smutnej historii musi być wysoce negatywna. Środowisko „Gazety" faktycznie zdobyło w Polsce wielkie wpływy, wielką realną władzę – ale chwyty, którymi posłużono się na starcie, nie przynoszą

chluby, tylko wstyd. I to właśnie miał na myśli mój klient, gdy z goryczą i wyrzutem mówił, że „Wyborcza" powstała za pieniądze przeznaczone dla całej ówczesnej opozycji...

Stawiam formalny wniosek, Wysoki Sądzie, aby powód poinformował, KTO PERSONALNIE jest dziś właścicielem może nawet bilionowej już wartości majątku, *de nomine* należącego do macierzystej spółki Agora i jej spółek potomnych. Czy nadal jedynymi właścicielami – jak to było jeszcze w 1991 roku – są Anna Bikont, Stefan Bratkowski, Zbigniew Bujak, Tomasz Burski, Zofia Bydlińska, Zofia Florjańczyk, Wojciech Kamiński, Edward Krzemień, Tomasz Kuczborski, Krzysztof Leski, Grzegorz Lindenberg, Helena Łuczywo, Adam Michnik, Piotr Niemczycki, Piotr Pacewicz, Aleksander Paszyński, Juliusz Rawicz, Ernest Skalski i Andrzej Wajda?

Uważamy, że społeczeństwo, dzięki jawnemu procesowi przed niezawisłym sądem, ma prawo dowiedzieć się, ILE jest dziś wart majątek powstały z symbolicznych społecznych składek przed czterema laty, a także KTO jest owego majątku konkretnym, żywym właścicielem. Mamy nadzieję, że strona pozywająca chętnie odpowie na te pytania, wykazując tym samym, że nie ma nic do ukrycia ani pod względem finansowym, ani politycznym, ani jakimkolwiek innym.

Stanisław Remuszko

P.S. Gdybym był adwokatem, wygłosiłbym taką właśnie mowę obrończą pozwanego.

* * *

Jacek Maziarski swój proces ostatecznie przegrał. O ile pamiętam, sąd nakazał mu przeproszenie „Gazety", gdyż nie wykazał, iż powstała ona z pieniędzy przeznaczonych dla całej opozycji.

Mnie nikt do sądu jakoś nie podawał, mimo że publicznie głosiłem to samo, co Maziarski, zamieniając jedynie słowo pieniądze na środki i możliwości.

Do sądu nie zostałem pozwany RÓWNIEŻ mimo tego, że publicznie zarzuciłem właścicielom „Gazety" – wprost i bez ogródek – moralną kradzież pisma (siódme: nie kradnij). Odniosłem wówczas dojmujące wrażenie, że – gdy idzie o osobiste profity – ludziom tym można pluć w gębę, a powiedzą, że deszcz pada.

Odpowiedzi nie doczekały się także postawione pytania. Ale pamiętam, że już wtedy w kręgach dziennikarskich mówiło się, że należy brać pod uwagę nie tylko rosnący, by tak rzec, trwały majątek Agory, lecz i ogromne bieżące apanaże, premie oraz honoraria, jakie po cichu, bez żadnej publicznej kontroli, otrzymywali zaufani czołowi pracownicy „Wyborczej"

Agora Holding

Cena sentymentu

ANNA WIELOPOLSKA

Na początku była czteroosobowa spółka z ograniczoną odpowiedzialnością i 150 tysiącami złotych kapitału założycielskiego. Powstała jeszcze podczas ostatnich obrad „okrągłego stołu", w kwietniu 1989 roku i otrzymała od władz „Solidarności" oficjalną delegację na popieranie kandydatów z obozu opozycji w przedwyborczej walce. Instrumentem wspomagającym opozycję i jej trybuną miała być niewielka wówczas, ośmiostronicowa gazeta. Potem przyszły wybory, a potem wszystko potoczyło się szybciej, niż ktokolwiek w 1989 roku mógł sobie wyobrazić. Dziś „Gazeta" stała się ogromnym przedsiębiorstwem, którego wartość, według rynkowej weryfikacji, jakiej poddano firmę przy sprzedaży 12,5 procent jej udziałów, wynosi blisko 40 milionów dolarów.

O sukcesie „Gazety" zdecydowało przede wszystkim to, że była pierwszym niekomunistycznym dziennikiem w Polsce. Niemałe znaczenie miało też przyjęcie popularnej formuły dziennikarskiej. Osiągnięcie w ciągu trzech lat pozycji największego dziennika w kraju, jest jednak ewenementem w dzisiejszych czasach, co z dumą podkreśla bez mała każdy, kto z „Gazetą" jest związany.

Inplantacja

Od początku „Gazeta" była ekspansywna. Szybko zdobywała czytelników w Warszawie, dużych miastach, znacznie wolniej przebijała się na rynkach lokalnych. Pomysł zdobycia czytelników poprzez wydawanie odrębnych, odrębnie redagowanych dodatków, był tyleż zaskakujący, co skuteczny.

Ekspansja zaczęła się już w 1990 roku, przy czym najwięcej oddziałów otworzono w 1992 roku. Dziś „Gazeta" posiada 17 oddziałów, które wraz z warszawską centralną wydają w sumie 21 lokalnych dodatków (w tym „Gazeta Stołeczna"). W sumie we wszystkich oddziałach „Gazety" pracuje ok. 1700 osób, w tym 645 dziennikarzy. Codzienny nakład wynosi od 430 do 500 tysięcy egzemplarzy, wydania niedzielnego — 700 tysięcy. O tym w jakim stopniu nakład podniosły dodatki, świadczy fakt, że cztery piąte nakładu sprzedawane jest poza Warszawą.

Jako największy dziennik w Polsce, „Gazeta" jest też potentatem na rynku ogłoszeń — jej domeną jest ponad 30 procent całego prasowego rynku ogłoszeniowego. Niektóre z lokalnych dodatków mają nawet wyższy procent rynku ogłoszeniowego niż czytelniczego. Początkowo (jeszcze w 1990 roku) dochody z ogłoszeń stanowiły 15 procent dochodów „Gazety", dziś — ponad 70 procent.

Znaczące zyski „Gazeta" odnotowała po raz pierwszy w 1991 roku. Zysk brutto firmy wyniósł wówczas ponad 30 miliardów złotych, a zysk netto po opodatkowaniu i odliczeniu ponad miliarda złotych straty za 1990 rok — 16,3 miliarda zł. Aktywa i pasywa spółki obliczono wówczas na ok. 58 miliardów złotych. Rok później, według wstępnych danych szacunkowych (spółka nie dostarczyła bilansu za 1992 rok), wielkości te średnio podwoiły się. Z przeszło 50 miliardów złotych zysku brutto, zysk netto — wyniósł blisko 32 miliardy. Pomimo tak znakomitej kondycji finansowej, „Gazeta" nie była w stanie samodzielnie sfinansować inwestycji modernizacyjnych. Ich wartość oszacowano na około 12 milionów dolarów.

Cenny sentyment

„Gazecie" potrzebna była przede wszystkim nowoczesna drukarnia, oraz nowoczesny system redagowania dziennika. Dziś „Gazeta" drukowana jest w pięciu drukarniach w Polsce — Warszawie, Łodzi, Krakowie, Wrocławiu i Bydgoszczy, przy czym spośród wszystkich wersji, najgorzej prezentuje się warszawska, z niemal nieczytelnymi zdjęciami i fatalnej jakości drukiem. O konieczności modernizacji, a przede wszystkim budowy własnej drukarni, zdecydowano dawno. Inwestycje możliwe były jedynie przy pomocy zewnętrznej pożyczki, albo sprzedaży części udziałów. Rozpoczęły się starania o kredyt.

Jak twierdzi Seweryn Blumsztajn kredytu nie chciały „Gazecie" zagwarantować polskie banki. Okazały się one niechętne ofercie „Gazety", choć zdaniem przedstawicieli „Gazety" jest to jedno z najlepiej zarządzanych przedsiębiorstw w Polsce. Według Blumsztajna banki obawiały się transakcji ze względów politycznych. Ostatecznie „Gazeta" postawiona została przed koniecznością pozyskania inwestora strategicznego, a więc jednak sprzedaży części swoich udziałów.

Decyzja, jak określają to zarówno wspólnicy „Agory", jak i dziennikarze „Gazety", nie była łatwa moralnie, ale konieczna. Udziałowcami spółki „Agora" są dziś 24 osoby (w zdecydowanej większości pracownicy „Gazety"). Układ taki przyjęto, aby zagwarantować, jak twierdzi Seweryn Blumsztajn, przynajmniej „w pewnej mierze" niezależność gazety. Udziałowcy traktują spółkę jako własność bardziej sentymentalną, niż wynikałoby to z czysto ekonomicznych przesłanek. Statut „Agory" wyklucza możliwość czerpania przez współudziałowców korzyści materialnych.

Spółka-matka

Aby więc umożliwić sprzedaż udziałów „Gazety", a jednocześnie nie naruszyć udziałów „Agory", powołano odrębną spółkę pod nazwą „Agora Gazeta". Na nią też scedowano ciężar wydawania gazety. W marcu 1992 roku jej udziały objęła „Agora", która wniosła aport w postaci części własnego przedsiębiorstwa. W ten sposób przedsiębiorstwo zmieniło się w holding, z „Agorą" jako spółką-matką.

Wtedy też pojawiła się po raz pierwszy wielkość świadcząca o wartości majątku „Gazety Wyborczej". Spółka podniosła wówczas swój kapitał zakładowy o 350 miliardów złotych (z początkowych 10 milionów zł do 350 mld 10 mln zł). Na tyle firma DRT Polska wyceniła wartość aportu, czyli części (aport nie obejmował samej spółki „Agora" — jej udziałów i akcji, maszyny rotacyjnej Wifag oraz zysku za 1991 rok) przedsiębiorstwa „Gazeta Wyborcza". Warto podkreślić, że tej wielkości kapitał zakładowy posiadają w Polsce jedynie banki (i to niektóre). W przypadku „Agory Gazety" wielkość ta dotyczy głównie wartości niematerialnych i prawnych (tytuł, prawa do wydawania, etc).

Kontrakt

Poszukiwania inwestora trwały ponad rok. Pośrednikiem, z którego usług korzystała „Gazeta", był niewielki nowojorski bank inwestycyjny „S.F.A.L. Josephberg Grosz". Zadanie banku polegało na przygotowaniu przede wszystkim memoriału firmy. Poszukiwanie jednak, jak twierdzi Seweryn Blumsztajn, nie zawsze układało się pomyślnie, a obecne kontakty z bankiem „Gazeta" utrzymuje poprzez swoich prawników.

— Podstawowy problem polegał na tym, że nikt nie chciał brać udziałów mniejszościowych — wspomina Seweryn Blumsztajn. Polskie firmy postrzegane są najczęściej jako przedsięwzięcia venture capital, czyli o podwyższonym stopniu ryzyka. Inwestorzy skłonni zaangażować pieniądze chcą mieć nad nimi kontrolę, zakupy więc mniejszościowych pakietów nie są częste. „Gazeta" wystartowała od oferty sprzedaży 30 procent udziałów.

Generalnie „Gazeta" spotkała się z dwoma rodzajami inwestorów: finansowymi i strategicznymi. Wprawdzie proponowane warunki finansowe były porównywalne do realiów panujących na tamtejszych rynkach, ale atrakcyjniejszym wydawał się partner strategiczny, osadzony w branży, który wniósłby nie tylko kapitał, licząc na jego szybkie odzyskanie, ale i know-how.

Ostatecznie spośród czterech inwestorów, wybrano amerykańską firmę Cox Enterprises z Atlanty.

Posiadłości na Hawajach

Firma jest jednym z większych w Stanach Zjednoczonych koncernów prasowych, ale działa nie tylko na rynkach mass mediów.

Ogółem Cox wydaje 18 dzienników ukazujących się w pięciu stanach w łącznym nakładzie 1 miliona 254 tysięcy egzemplarzy. Największy z nich to „Atlanta Journal & Constitution", którego nakład jest porównywalny z „Gazetą Wyborczą" — 460 tysięcy wydania codziennego i 700 tysięcy — niedzielnego. Trzy następne dzienniki osiągają nakład nie wyższy niż 180 tysięcy egzemplarzy dziennie, pozostałe gazety mieszczą się w przedziale od 6,5 do 46 tysięcy egzemplarzy.

Wielkość nakładu wydawanych dzienników plasuje Cox-a na dziesiątym miejscu amerykańskiego rynku prasowego. Gazety Cox-a nie są ze sobą powiązane, jednak zdarza się, że w okresie przedwyborczym centrala nakazuje zarekomendować danego kandydata na prezydenta USA (w Stanach gazety zwyczajowo rekomendują któregoś z kandydatów w swoim artykule redakcyjnym).

Oddział radiowo-telewizyjny Cox-a zarządza siedmioma lokalnymi stacjami, 13 również lokalnymi radiowymi (z 6 milionami słuchaczy jest to piąta największa grupa radiowa w USA) oraz 24 lokalnymi sieciami telewizji kablowej (1,7 miliona odbiorców, piąte miejsce wśród największych kompanii kablowych USA). Firma prowadzi też działalność aukcyjną na rynku samochodowym, jest właścicielem fabryki papieru w Georgii, kilku farm solniczych i posiadłości ziemskich na Hawajach, w Teksasie, Wirginii i Południowej Karolinie.

Niematerialne miliardy dolarów

Dochody firmy w roku ubiegłym wyniosły 2,5 miliarda USD. Podobnie jak i w „Gazecie Wyborczej" w bilansie finansowym Cox-a najwyżej wycenione są wartości prawne i niematerialne (tzw. goodwill, czyli nazwa firmy, jej dobre imię, system organizacyjny, dobre stosunki z partnerami, wyszkolenie pracowników). Wszystkie aktywa firmy oszacowane są na 3 miliardy 675 milionów dolarów (stan na koniec 1991 roku), z tego aż 2 miliardy to właśnie „goodwill".

Cena kontraktu, jaki z Cox-em zawarła „Gazeta" była przez strony początkowo chroniona tajemnicą. Spośród wielu spekulacyjnych wersji, Seweryn Blumsztajn potwierdził wielkość 5 milionów dolarów. Cox wynegocjował też dodatkowe 2,5 procenta udziałów, przez co jest właścicielem jednej ósmej przedsiębiorstwa „Gazeta Wyborcza". Nie jest jasne, czy wynegocjowane 5 milionów zostanie (zostało) przekazane „Gazecie" gotówką, czy część stanowi na przykład know-how, lub wartości niematerialne.

Kiedy umowa sprzedaży została dopięta niemal na ostatni guzik, „Gazeta" wystąpiła o kredyt do austriackiego banku Raiffeisen Zentralbank.

— Zupełnie nie wiem, jak polskie firmy są w stanie przygotować wymaganą do zagranicznego kredytu dokumentację — twierdzi Seweryn Blumsztajn, dodając, że pracowali nad tym dyrektor finansowy spółki „Agora Gazeta" Wanda Rapaczyńska, były pracownik Citybank oraz między innymi dwaj nowojorscy adwokaci. W rezultacie 4 miliony dolarów kredytu udzielił „Gazecie" Raiffeisen Zentralbank. Drugim kredytodawcą, również 4 milionów dolarów, jest Europejski Bank Odbudowy i Rozwoju (według informacji uzyskanych w „Gazecie" EBOR jest też gwarantem kredytu od austriackiego banku). Kredyt w całości ma być spożytkowany na budowę drukarni. Inwestycje (w myśl odrębnej umowy) milionem dolarów ma dofinansować Cox, trzy miliony zapłaci sama „Gazeta".

Za rok nowa jakość

Tak zabiegi o inwestora, jak i starania o kredyt, pracownicy „Gazety" oceniają dziś jako niełatwe. Obok trudności technicznych „przełożenia" różnych instytucji prawnych z realiów amerykańskich na polskie i odwrotnie, konieczne było określenie przez „Gazetę" na najbliższe lata biznesplanu, a w nim na przykład poziomu dywidendy, etc. W sumie umowa, na mocy której właścicielem ósmej części firmy „Gazeta Wyborcza" stał się Cox, nie narusza dotychczasowego sposobu zarządzania i generalnych zasad jej funkcjonowania. Drukarnia, której budowę już rozpoczęto, ma być ukończona w przyszłym roku. Wówczas to „Gazeta" ma wychodzić nie tylko w zwiększonej objętości, ale i w lepszej jakości, a także w nowej szacie graficznej.

WSPÓŁPRACA: SYLWESTER WALCZAK

W pewnym momencie – gdzieś tak po dwóch-trzech latach istnienia „Gazety Wyborczej", niektórzy „jej ludzie" jęli coraz częściej pojawiać się w innych mediach. Czy była to planowa próba rozszerzenia wpływów tego środowiska, czy też naturalna „migracja kadr" między „zaprzyjaźnionymi redakcjami" w celu „wymiany doświadczeń" – nie wiem.

Jedną z takich osób był Jacek Żakowski. Nieoczekiwanie podjął on pracę w "Życiu Warszawy", bardzo ważnym wówczas opiniotwórczym dzienniku, który w ramach podziału łupów dostał się (za sprawą samego Wałęsy; wrócę jeszcze do tego) Kazimierzowi Wóycickiemu i Tomaszowi Wołkowi.

Druk poniższego tekściku zaproponowałem jednocześnie „Rzeczpospolitej" i „Życiu Warszawy" (na zasadzie: kto pierwszy, ten lepszy). Pierwszy odezwał się Jacek Żakowski. Poniższy (późniejszy) mój list do niego jest typowym przykładem, „jak TO się robi"...

Sprzedawczyk czy heros?

Dwie poważne gazety – „Rzeczpospolita" i "Życie Warszawy" – podały identycznie brzmiący fragment wypowiedzi ministra Obrony Narodowej Janusza Onyszkiewicza, który wobec dziennikarzy odniósł się do kontrowersyjnej postaci pułkownika Ryszarda Kuklińskiego. Otóż, według ministra, Kukliński tajemnice wojskowe wywiadowi amerykańskiemu... **SPRZEDAWAŁ!**

Słowo to w ustach ministra zdaje się oznaczać istotną zmianę w stanowisku tzw. czynników oficjalnych, które twierdziły dotąd, iż w sprawie Kuklińskiego jest jeszcze zbyt wiele niejasności, by można ją było jednoznacznie ocenić. Nie chodziło przecież o zwykły lapsus językowy, lecz o rozstrzygnięcie głównego sporu. Jeśli bowiem Kukliński tajemnice faktycznie SPRZEDAWAŁ (= przekazywał w zamian za korzyści materialne), to jego obrońcom i zwolennikom trudno byłoby go przedstawiać jako narodowego bohatera.

Jako szary czytelnik prasy codziennej, widzę teraz taką alternatywę: albo minister naprawdę oznajmił, że Kukliński KUPCZYŁ tajemnicami, albo tego nie powiedział. Jeśli nie powiedział, to albo relacjonujący jego wypowiedź dziennikarze pomylili się (ale skąd dosłowna zbieżność cytatów?), albo – w co nie wierzę – celowo przekręcili tę wypowiedź tak, by poniżyć Kuklińskiego i zdezawuować jego czyny w oczach rodaków. W obu przypadkach konieczne byłyby, rzecz jasna, przeprosiny ze strony obu redakcji, należne pułkownikowi Kuklińskiemu, ministrowi Onyszkiewiczowi oraz czytelnikom obu gazet.

Jeśli jednak Onyszkiewicz rzeczywiście oskarżył (*ipso facto*) Kuklińskiego o HANDEL tajemnicami, to znów możliwe są tylko dwa warianty: albo ogłosił prawdę, albo nieprawdę. W pierwszym przypadku konieczne wydaje się bezzwłoczne powiadomienie społeczeństwa o dowodach, na których minister oparł swój tak kategoryczny sąd. W drugim przypadku – oznajmienia nieprawdy – minister mógł wypowiedzieć ją świadomie albo nieświadomie. Świadome mówienie nieprawdy nazywa się KŁAMSTWEM, i oczywiście w odniesieniu do Janusza Onyszkiewicza (logik, matematyk i alpinista, mąż i ojciec, poseł i minister, a przede wszystkim członek Unii Demokratycznej) absolutnie nie wchodzi w rachubę.

Pozostaje nieprawda wygłoszona przez ministra niechcący. Albo dlatego, że się po prostu przejęzyczył – co jest jednak wysoce nieprawdopodobne, gdyż Onyszkiewicz słynie z precyzji formułowania wszelkich zdań orzekających (taki właśnie ma zawód). Albo dlatego, że pochopnie zaufał jakimś niesprawdzonym doniesieniom. Naturalnie oba przypadki wymagają również szybkiego sprostowania – tym razem ze strony MON.

c.b.d.o.

Stanisław Remuszko

P.S. Na studiach, po zakończeniu wywodu, pisaliśmy zwykle na tablicy: „c.b.d.o." (*co było do okazania*). 29 stycznia 1970 roku Janusz Onyszkiewicz na egzaminie z logiki matematycznej postawił mi czwórkę i zaproponował zdawanie na piątkę, z czego niestety zrezygnowałem. Indeks z czwórką przechowuję do dziś.

* * *

W. Pan
Red. Jacek Żakowski
„Życie Warszawy"

Jacku Drogi!

Od pewnego czasu stare, dobre, PRL-owskie **redakcyjne** niedopuszczanie do druku niewygodnych tekstów nie jest już skuteczne, ponieważ przed Autorem nie można dziś zasłaniać się rzekomą ingerencją Cenzury, a jak mu się druku odmówi wprost, to zazwyczaj tekst rychło ukazuje się u Konkurencji.

Nie od tego wszakże Pan Bóg dał rozum naszym łebskim kolegom-żurnalistom, żeby z tak prozaiczną przeszkodą nie mogli sobie poradzić. Owóż robi się tak: najpierw trzeba się upewnić, że dany tekst nie pójdzie gdzie indziej. W tym celu trzeba Autorowi solennie i przekonująco obiecać druk tekstu we własnej gazecie. Potem kładzie się tekst do szuflady i wystarczy tylko liczyć

upływające dni, ponieważ gdzieś tak po tygodniu-dwóch sprawa sama z siebie przeważnie przestaje być aktualna. Jest to skądinąd tzw. NUMER NA RAZ (albo – w przypadku świętej naiwności Autora – nawet na dwa razy), ale przecież nie ma metod wiecznie doskonałych, a za pomocą w.w. sposobu naprawdę można od czasu do czasu awaryjnie ochronić cząstkę określonego interesu (przyjaciół, środowiska, redakcji, partii, etc.) przed niechcianą PUBLICZNĄ KRYTYKĄ.

W takiej osobliwej – z punktu widzenia etyki naszego zawodu – „ochronie interesów" celowała zwłaszcza „Gazeta Wyborcza" (przynajmniej przez pierwszy swój rok, gdy jeszcze w tym dzienniku pracowałem) – ale nie tylko. Dlatego od dłuższego czasu, sparzywszy się (patrz wyżej) na różnych pismach RAZ albo i DWA (jestem bardzo prostolinijny, pełen ufności i dobrej woli), pisuję teraz (gdy mam ochotę) dla dość wąskiego kręgu tytułów, z których Redakcyjną Zwierzchnością mam układ następujący: wiążącą odpowiedź co do druku („tak" – „nie") zawsze dostaję od ręki, „tak" jest zawsze terminowo dotrzymywane, a zdarzające się nierzadko odmowy w niczym nie naruszają naszych dobrych stosunków i wzajemnego respektu.

Jacku Drogi! Ja absolutnie NIE WIERZĘ, byś uciekał się do tak niecnych praktyk, i mówię to serio, nie ironicznie. Jak jednak pamiętasz, w ubiegły poniedziałek, trzymając w ręku niespełna półtorej kartki takiej mojej zabawnej incydentalnej „bieżącej polemiki" z Onyszkiem, najpierw zapewniłeś mnie („wiążąco, wiążąco" – to Twoje słowa), że tekścik kwalifikujesz do druku (ja godziłem się nawet na formę „listu do redakcji"), potem upewniłeś się, że wycofam go z "Rzeczpospolitej", na koniec zaś poinformowałeś mnie, że ukaże się to nie wcześniej niż w czwartek, „ale jeszcze w tym tygodniu". Minął weekend, minął następny poniedziałek, dziś jest wtorek, a tekstu ani widu, ani słychu...

Sądzę po prostu, że należy mi się od Ciebie jakieś wyjaśnienie. Poświęciłem zaś całej sprawie – **drobnej i błahej przecież** – tyle miejsca i czasu, gdyż idzie mi również o GENERALIA naszej ewentualnej sporadycznej współpracy: chciałbym mianowicie również z "ŻW" zawrzeć NA STAŁE wyżej opisany układ, jaki mam z np. „Rzepą" czy „Tysolem"

Ściskam Cię serdecznie i z niecierpliwością czekam na respons.

Staszek Remuszko

Warszawa, 13 października 1993

* * *

Oczywiście *Jaś nie doczekał...* Ale był to dopiero początek poznawania przeze mnie niezwykłych umiejętności „dziennikarskich" faktycznego współzałożyciela „Gazety Wyborczej", Jacka Żakowskiego.

1994

Jest to polemika Jacka Żakowskiego z artykułem Macieja Strzembosza, który wykłada mniej więcej to samo co ja np. w "Kwestii honoru" albo w "Siódmym przykazaniu". Uwaga: głos Żakowskiego można uważać za poniekąd oficjalną wykładnię „GW", gdyż inne tezy nie ukazały się. Obszerny tekst polemiki skróciłem o detale, wobec których nie ma sporu. Wytłuszczenia – J.Ż. Rozbicie na pojedyncze akapity – S.R.

Zbudowaliśmy to sami

Chcę wyjaśnić mój stosunek do kwestii „Gazety", którą niezależnie od Macieja Strzembosza podniósł wiceprezes PC Ludwik Dorn (jego głos drukowaliśmy w "Gazecie" nr 97).

Po pierwsze, „Gazeta" nigdy nie została „przejęta" ani „sprywatyzowana", bo od początku była całkowicie prywatna.

Na prośbę Komitetu Obywatelskiego zorganizowała ją grupa osób reprezentujących różne opozycyjne środowiska zaangażowane w proces Okrągłego Stołu.

W kwietniu 1989 roku, kiedy nie było jeszcze wiadomo, jak to wszystko się skończy, kilka wybitnych osobistości opozycyjnych zgodziło się wziąć na siebie ryzyko firmowania spółki mającej „Gazetę" wydawać.

O kierowanie redakcją Lech Wałęsa poprosił **Adama Michnika**, a w pierwszym zespole znaleźli się twórcy największych pism podziemnych (Helena Łuczywo, Ernest Skalski), redaktorzy prasy katolickiej (Krzysztof Śliwiński), działacze podziemnego SDP (Stefan Bratkowski).

Nigdy jednak nie mogła to być gazeta całej opozycji, bo nie cała opozycja chciała się zaangażować w ryzykowny proces Okrągłego Stołu.

Kiedy sytuacja się ustabilizowała, autorytety słusznie uznały, że ich wielkie nazwiska nie muszą już „Gazety" chronić.

Rolę honorowych (bo nie mających prawa do żadnych materialnych korzyści) wspólników przejęli ludzie tworzący trzon zespołu.

Nie widzę tu nic niestosownego ani tym bardziej gorszącego.

Stało się dokładnie to, o co podziemne SDP upominało się przez całe lata osiemdziesiąte – powstała gazeta będąca własnością ludzi, którzy ją tworzą, i w tym sensie niezależna od zewnętrznego politycznego czy kapitałowego nacisku, uzależniona wyłącznie od czytelników.

Zgadzam się z Maciejem Strzemboszem, że wylansowanie nowego pisma, to we współczesnym świecie miliony dolarów i że „Gazeta" ogromnie skorzystała na politycznym kapitale opozycji. Ale przecież jej autorzy i redaktorzy latami ten kapitał budowali – działając w opozycji, wydając podziemne gazety, przesiadując w więzieniach, współtworząc proces Okrągłego Stołu.

„Gazeta" towarzyszyła ruchowi „Solidarności" – związkowi, Komitetom Obywatelskim i Obywatelskiemu Klubowi Parlamentarnemu, dopóki nie zostały one rozbite. Kiedy doszło do podziału, nie mogła już być własnością wszystkich. Musiała zdobyć się na samodzielność. Dokonywała wyborów, miała swoje wyraziste sympatie i udzielała poparcia części solidarnościowego obozu.

Jacek Żakowski

* * *

Stanisław Lem napisał w swej genialnej „Arcywizji", że – cytuję z pamięci – przerobić nazwy, określić inaczej, udowodnić i uargumentować da się dosłownie WSZYSTKO, tylko trzeba się przyłożyć. Jackowi Żakowskiemu pracowitości i talentu nigdy nie brakowało. No proszę: *„Gazeta Wyborcza" od początku była przedsięwzięciem całkowicie prywatnym.* Patrz pan, a jej czytelnicy (oraz szeregowi redaktorzy) przez pierwsze pięć lat nic a nic o tym nie wiedzieli... Ale numer!
Sądzę, że powyższy tekst Jacka Żakowskiego powinien stać się – jako propagandowe arcydzieło, w niczym nie ustępujące najlepszym produkcjom Urbana czy Goebbelsa – omawianą na ćwiczeniach i rozbieraną akapit po akapicie w aspektach logiczno-historycznych lekturą obowiązkową dla studentów pierwszego roku każdej porządnej szkoły polskiego dziennikarstwa.

Listy do redakcji

Czabański nie chciał

W związku z moim, zamieszczonym w "Gazecie Wyborczej", tekstem o klęsce polskiej rewolucji etycznej po 1989 roku, Krzysztof Czabański szturchnął mnie „Chłodnym okiem" dalekowidza. Poza wieloma ocenami, z którymi się pryncypialnie nie zgadzam, ujawnił swą retoryczną rozterkę, pytając: *Czy to wypada, żeby tak jakoś zawinąć ogonem i z gazety całej opozycji zrobić gazetę prywatną grupki osób?*

Bez wahania odpowiadam, że nie wypada, że coś takiego uważałbym za moralnie w najwyższym stopniu naganne. Sęk w tym, że tak opisaną sytuację występujący na łamach „Życia Warszawy" naczelny „Expressu Wieczornego" całkiem niesłusznie próbuje odnieść do „Gazety Wyborczej". (...) [Tu są długie szczegółowe opisy, gdzie, kiedy i w jakim gronie J.Ż. namawiał K.Cz., aby ten wszedł do zespołu redakcyjnego „Wyborczej". Po czym J.Ż. przechodzi do konkuluzji – S.R.].

Krzysztofa Czabańskiego [z jego własnej nieprzymuszonej woli – SR] zabrakło w gronie twórców „Gazety". Nie zanudzałbym czytelników „Życia" tymi historycznymi detalami, gdyby nie felieton mojego niedoszłego redakcyjnego kolegi, w którym starał się między innymi przekonać czytelników, że jakaś nieuprawniona grupa przywłaszczyła sobie „Gazetę", która była i jego (*całej opozycji*) własnością. Zgoda – była. Wtedy, w kwietniu 1989, kiedy „na wybory" zakładaliśmy siermiężne czterostronicowe pisemko, drzwi redakcji były szeroko otwarte. Przed tymi drzwiami stałem między innymi ja i – mimo dzielących nas politycznych ocen – namolnie redaktora Czabańskiego zapraszałem, żeby (także w imię pluralizmu redakcji) zechciał je przekroczyć. A on pryncypialnie odmawiał, aż wreszcie grzecznie kazał mi spadać.

Więc dziwię się niepomiernie, kiedy dziś próbuje komuś wmówić, że mu coś odebrano. Bo przecież, gdyby wtedy jednak próg naszego żłobka na Iwickiej przekroczył, gdyby w piaskownicy układał z nami plany numerów, gdyby siadywał na moim krześle, które przyniosłem ze swojej piwnicy, być może odegrałby w "Gazecie" wielką rolę. Może to on stworzyłby „Gazetę Świąteczną" albo „Magazyn", może dziś należałby do ścisłego kierownictwa redakcji i może „Gazeta" pod jego wpływem poszłaby w zupełnie inną stronę.

Ale tego się nie dowiemy, bo Krzysztof spróbować nie chciał i w ten sposób (co prawda, nie sam) przekreślił szansę powstania gazety *całej opozycji.* Więc kiedy dziś czytam żale red. Czabańskiego, odnoszę takie wrażenie, jakby miał za złe, że nie przysłano mu tortu z przyjęcia, na które nie przyszedł.

Jacek Żakowski

* * *

Wielkie brawa dla Jacka Żakowskiego, co mistrz, to mistrz, chapeau bas, ani słowa! Nareszcie wiemy, Krzysztofie Drogi, że to Twoja sprawka, że to Twoja nieobecność sprawiła, iż „Gazeta" nie poszła w inną stronę, jest taka, jaka jest i należy do tych, do których należy.

I wszystko byłoby dobrze, słusznie i przekonująco, gdyby nie ten nieszczęsny Remuszko, który prosił, sprzeciwiał się, ostrzegał, protestował, przedkładał postulata i dezyderata, ciągnął za rękaw i pokazywał na palcach, sporządzał raporty, wreszcie pisał listy otwarte – i *g... z tego wyszło, a nie harmonia sfer, Miłościwy Panie!* (Lem).

Bardzo przepraszam Kryształową Tubę „Gazety Wyborczej", ale nie da rady: cały pogrzeb na nic.


gazeta

Ludzie Gazety

Na fotografii obok – 415 osób, jedna piąta zespołu firmy „Agora", czyli redakcji, wydawnictwa i pracowników produkcyjnych „Gazety".

List do redakcji

Surówka troszkę nieczysta

W komentarzu „Spust surówki" („R" z 14-V-95) red. Dariusz Fikus był łaskaw wyłożyć swoją opinię m.in. na temat prasy w Polsce oraz mojej roli w redagowaniu „Spotkań".

W związku z tym stwierdzam:

1. Fakt, iż red. Fikus, siedzący obok mnie przy Okrągłym Stole (raczej: „podstole" d/s mediów), nie zauważył **wyraźnego wówczas dążenia naszej strony do zachowania przynajmniej częściowego pluralizmu, tj. do tego, by nie uprzywilejowywać żadnej opcji** – nie świadczy o tym, że tak nie było. Dysponuję na szczęście wszystkimi stenogramami i protokołami. Skoro red. Fikus „nie pamięta", przeciwko czemu protestowałem i czego żądałem przy tym dziwacznym „podstole" – służę stenogramami moich wystąpień.

2. Tak się jakoś złożyło (pewnie „samo wyszło"), że po pewnym czasie ukształtował się obraz prasy polskiej sprzeczny z tymi pierwotnymi ustaleniami (co sam red. Fikus przyznaje). Otóż ja twierdzę – co mi wolno – że **nie „samo wyszło", tylko była to świadoma polityka tej części ówczesnej opozycji, która zasiadała wówczas przy Okrągłym Stole.**

3. „Tak się złożyło", że tygodnik „Wprost" – świetnie redagowany, ale też założony w politycznym celu grup związanych z PZPR – **startował w nowym systemie jako gotowe pismo, któremu Komisja Likwidacyjna „poszła na rękę"** (słusznie – tylko po co udawać, że tak nie było?). **Duży dziennik centralny „Rzeczpospolita" został przekazany z całym majątkiem, zespołem, lokalem itd. właśnie red. Fikusowi,** któremu wolno oczywiście czynić ten dziennik „lekko różowym" czy jakimkolwiek.

4. „Spotkania" powstały od nowa, na wypełnionym rynku czytelniczym, nikt im nie dawał lokali ani majątku; musiały też od początku walczyć z – powiedzmy – skąpstwem i lekceważącym stosunkiem właściciela zagranicznego. Red. Fikus dobrze wie, że w tych warunkach tego typu tygodnik, jakim były „Spotkania", wymaga co najmniej trzech lat stałej promocji, związanej z dużymi pieniędzmi, których nie mieliśmy (nie miało ich także żadne nowe pismo opcji nieliberalno-lewicowej – też „tak się złożyło"). W momencie, kiedy „Spotkania" zaczęły już zdobywać czytelników (a było ich jednak sporo i oceniali pismo dobrze – co potwierdziły badania prasoznawczego ośrodka

krakowskiego), Francuzi wycofali się, nie wypełniając nawet zobowiązań finansowych wobec niektórych pracowników.

5. Być może jestem złym dziennikarzem, ale akurat w tej sytuacji zarzucanie mi „nieudolności redaktorskiej" świadczy o dość swoistym poczuciu sprawiedliwości,

Red. Fikus pracował zresztą ze mną ćwierć wieku w "Polityce" i wtedy nigdy takiego zarzutu nie stawiał. No, ale wtedy mieliśmy więcej wspólnych poglądów. Jest to oczywiście bardzo dziś wygodny zarzut – pisma o opcji innej niż „słuszna" padają, bo są źle redagowane i czytelnicy ich nie chcą. Wobec tego – wszystko w porządku.

Zapewne jest i tak, i tak. Ale mimo wszystko pozostanę przy swoich niewłaściwych poglądach, które dają się streścić jednym zdaniem: **mapa polityczna polskiej prasy byłaby dziś inna, zdecydowanie bardziej pluralistyczna** (choć – jak wszędzie – pisma lewicowe przeważałyby), **gdyby wszystkie pisma miały równy start.** Dobrze chociaż, że „Rzeczpospolita" drukuje czasem moje niesłuszne poglądy, za co jestem osobiście wdzięczny red. Fikusowi, bo nie wszystkie pisma słusznej opcji chcą to dziś robić.

Maciej Iłowiecki

* * *

Tekst Maćka (wytłuszczenia moje – SR) przytaczam dlatego, że jest wyjątkowo *á propos*, a przy tym to temat-morze i z niewiadomych (a może właśnie wiadomych?) względów do dziś istna *terra incognita*. Gdzie są, do licha, prace magisterskie i rozprawy doktorskie młodych dziennikarzy, historyków, prasoznawców i politologów na temat choćby tylko pierwszej fazy rewolucyjnych przecież PRZEOBRAŻEŃ MEDIALNYCH po Okrągłym Stole (lata 1989-92)? Rzecz dotyczy, jak widać, nie tylko „Gazety Wyborczej", choć akurat jej przypadek – z niemal każdego punktu widzenia – zasługuje na wyjątkowo staranne zbadanie. Do tej kwestii jeszcze wrócę.

Fragment listu do Jana Józefa Szczepańskiego.

Ursynów, 7 października 1994

Drogi i Wielce Szanowny Panie Janie!

(...)

Łączę wyrazy niezmiennego respektu i takiejż wdzięczności oraz serdecznie pozdrawiam i dobrze życzę Panu, Pani Danucie i całej odHelclowej Rodzinie!

Szczerze oddany

Stanisław Remuszko

P.S. Czy mógłby Pan objaśnić mi, JAK TO JEST, że najpotężniejszy w Polsce dziennik – „Gazeta Wyborcza" wraz ze swą sławną *familią* – w odróżnieniu od marginalnych doniesień innej prasy, poświęca nie to, że dużo miejsca, ale całe pierwsze strony solidarnej środowiskowej obronie swojej redaktorki Ewy Milewicz przed nie to, że cieniem, ale cieniem cienia nigdzie nie publikowanych i nie wiadomo jakich oskarżeń o rzekome informowanie niegdyś agentów STASI o nastrojach wśród opozycji – a jednocześnie **te same** środowiska, **ci sami** wielcy ludzie pióra, luminarze nauki, chodzące wyrocznie, czołowi defensorzy praw ludzkich i obrońcy demokracji, prezesi związków twórczych, uczeni głosiciele **słuszniejszej** etyki i wyznawcy **lepszej** filozofii (albo na odwrót, nie pamiętam) NIE KIWNĘLI PALCEM I NIE UJĘLI SIĘ ANI SŁOWEM za jednym z największych obecnie krajowych autorytetów moralnych, człowiekiem nieskazitelnie uczciwym, chodzącą prawością i wiernością zasadom, znawcą racji stanu, sławnym pisarzem, gorącym patriotą, prymusem intelektualistów etc., etc., a przede wszystkim ICH WŁASNYM KOLEGĄ I PRZYJACIELEM Andrzejem Szczypiorskim, gdy w "Życiu Warszawy" – innym potężnym i wpływowym dzienniku – ukazał się ohydny paszkwil, opisujący go z detalami jako najpodlejszego, gorliwego donosiciela SB?

Czym A.S. różni się od E.M. (prócz inicjałów)?

* * *

Wówczas pierwszy raz zetknąłem się naocznie z tak charakterystyczną dla tego środowiska ABSOLUTNIE BEZWZGLĘDNĄ obroną „swoich". Wziąwszy pod uwagę różnice w traktowaniu E.M. i A.S., ta postawa „Gazety Wyborczej" przypomina mi solidarność rodem z "Ojca chrzestnego", albo solidarność funkcjonariuszy osławionych komunistycznych „organów". Jak inaczej to wytłumaczyć?

W lutym 1998 roku w Trybunale Konstytucyjnym odbywało się spotkanie wybitnych polskich prawników z profesorem Jerzym Poksińskim, autorem sławnej, niedostępnej dziś na rynku (z uwagi na zaledwie półtoratysięczny nakład) książki pod tytułem „My sędziowie nie od Boga". Tematem tej wymiany poglądów były zbrodnie sądowo-prokuratorskie, popełnione w Polsce przez funkcjonariuszy stalinowskiego wymiaru sprawiedliwości. W jakimś fragmencie swego blisko godzinnego wykładu, prof. Poksiński wspomniał o jednym z takich ludzi, Stefanie Michniku, dodając mimochodem, że jest to *przyrodni brat Adama, starszy od niego o 20 lat.* Jako pierwsza w dyskusji zabrała głos siedząca parę metrów ode mnie Ewa Milewicz z "Gazety Wyborczej", pytając prelegenta, czemu w ogóle wymienił nazwisko Adama Michnika. Profesor Poksiński odparł, że uczynił to na zasadzie zwykłej ciekawostki: ot, ktoś jest kuzynem znanej publicznej postaci. Ewa Milewicz zaprotestowała przeciwko temu, prosząc, aby profesor... wycofał się z tego sformułowania. Zdumiony Jerzy Poksiński odparł, że przecież powiedział prawdę, że inną tego samego rodzaju ciekawostką mógłby być przypadek Maurycego Herlinga-Grudzińskiego, który orzekał w sekcji tajnej Sądu Najwyższego, a był rodzonym bratem więźnia sowieckich łagrów, Gustawa. Nie bardzo rozumiem, o co pani chodzi – mówił JP – ale przecież nikt o zdrowych zmysłach nie może mieć żadnych pretensji do Gustawa, że miał brata Maurycego, ani do Adama, że ma brata Stefana. Mimo to – kontynuowała Ewa Milewicz – nie widzę powodu, by wymieniać nazwisko Adama Michnika w takim kontekście. Zawtórowała jej sędzia TK, Jadwiga Skórzewska-Łosiak: – Uważam, że powinien pan wycofać tę część swojej wypowiedzi. Profesor Poksiński: jeśli kogoś to dotknęło – bardzo proszę, cofam swoje słowa o Adamie Michniku, proszę uznać je za niebyłe...

Proces z "Gazetą"

Jest to pismo figurujące w aktach sądowych (każdy może sobie pójść i sprawdzić) procesu, który wytoczyłem „Gazecie Wyborczej".

Warszawa, 13 grudnia 1994

sygn. III C 1588/93

Sąd Wojewódzki
III Wydział Cywilny
Al. Solidarności 127
WARSZAWA

Ponieważ mojej schorowanej 84-letniej Matce niespodzianie wyznaczono termin specjalistycznych badań akurat na czwartek 15 grudnia o 11 (czyli na godzinę przed rozprawą), i ponieważ nie jestem pewien, czy uda mi się znaleźć kogoś z rodziny w zastępstwie do opieki – uprzejmie proszę Wysoki Sąd, aby w razie mojej nieobecności (przedstawię stosowne usprawiedliwienie lekarskie) zechciał łaskawie przystąpić do rozpatrzenia sprawy i powołać biegłych, których nazwiska i prywatne adresy załączam.

Zreasumujmy fakty, Wysoki Sądzie.

1 września 1993 – niespełna trzy tygodnie przed ostatnimi wyborami parlamentarnymi – Agnieszka Kublik w "Gazecie Wyborczej" napisała: *Koalicja Parysa ufa sondażom, które sama zamawia, bo dostaje w nich... 8% wyborczego poparcia. – Dla mnie najbardziej wiarygodne jest prywatne biuro badania opinii Stanisława Remuszki – mówi Parys. Zbywa milczeniem uwagę, że sondy uliczne, jakie robi Remuszko, w ogóle nie są reprezentatywne.*

Tego samego dnia, powołując się na prawo prasowe, posłałem do „Gazety Wyborczej" faks z prośbą o zamieszczenie zwięzłego sprostowania (lub odpowiedzi – wedle uznania redakcji). Nie dało to najmniejszego efektu. Miesiąc później zatem – 1 października 1993 – wysłałem powtórną prośbę. Tekst brzmiał następująco:

Prostuję fałszywe wrażenie, jakie narzuca lektura powyższych trzech zdań. Koalicja Parysa *nigdy nie zamawiała u mnie żadnego sondażu. W żadnym sondażu mojego biura koalicja* Parysa *nie osiągnęła poparcia przekraczającego 4%. Moje biuro nie robi sond ulicznych. Pod względem trafności sondaży, w poprzednich wyborach parlamentarnych moje biuro wypadło nie gorzej, w obecnych zaś lepiej niż największe polskie firmy socjometryczne, co jest*

chyba najdobitniejszym dowodem reprezentatywności moich badań. Stanisław Remuszko, Biuro „Sonda".

Prawo prasowe stanowi, że sprostowanie (odpowiedź) należy w dzienniku opublikować w ciągu 7 dni. „Gazeta Wyborcza" tego nie zrobiła – ani w ciągu 7 dni, ani w ogóle.

Prawo prasowe wymaga, aby redaktor naczelny, odmawiając zamieszczenia sprostowania lub odpowiedzi, *niezwłocznie przekazał wnioskodawcy pisemne zawiadomienie o odmowie i jej przyczynach.* Redaktor naczelny „GW" nie tylko nie uczynił tego *niezwłocznie*, ale nie uczynił tego w ogóle – łamiąc wprost ustawę, zapewne w uzasadnionym poczuciu potęgi i bezkarności „Gazety Wyborczej", najpopularniejszego i najbardziej wpływowego przecież dziennika w kraju.

Jak dotkliwą krzywdę wyrządziła mi wspomniana publikacja, niech zilustruje – przykładowo – moje poniższe pismo do Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji z 2 września 1993 (być może Wysoki Sąd również czytał Forsythe'a, więc wie, o czym mówię):

Przekazuję Państwu – z pewnym zażenowaniem, bo sam jestem dziennikarzem – moje sprostowanie wysłane wczoraj do „Gazety Wyborczej". Każdy z Państwa zna publicystykę, że tak powiem, z autopsji, dlatego łatwo będzie Państwu dostrzec, jakim majstersztykiem nieuczciwości są cytowane trzy zdania. Przeciętny czytelnik – a takich jest 99% – zapamięta tylko skojarzeniową zbitkę: Parys ufa sondażom Remuszki, które dają mu 8% poparcia, a przecież powszechnie wiadomo, że te sondaże są do bani.

Proszę Państwa, moje biuro jest bardzo małe i skromne, za to sprawne, tańsze niż inne, a nade wszystko BEZWZGLĘDNIE RZETELNE. Na dobre imię tego biura pracuję już trzeci rok i nigdy nikt z kilkudziesięciu moich dotychczasowych klientów nie miał najmniejszych zastrzeżeń odnośnie do mojej pracy. Uważam nawet, że pod pewnymi względami jestem dziś w Polsce najlepszy. Ale cały ten dorobek łatwo podważyć i zdezawuować kilkoma nieuczciwymi zdaniami, ogłoszonymi w największej krajowej gazecie. Ci z Państwa, którzy czytali „Przywilej absolutny" Forsythe'a, dobrze wiedzą, że przed takim dziennikarskim gangsterstwem zwykły człowiek praktycznie nie ma możliwości obrony.

Piszę to nie po to, by się przed Państwem wyżalić, bo w końcu co Państwa obchodzi Remuszko i jego firma. Zresztą znam swoją wartość i dam sobie w życiu radę. Jednakże w lipcu złożyłem w KRRiT oficjalną ofertę socjometrycznej współpracy – i, doprawdy, nie chcę w Państwa oczach uchodzić za szalbierza, który usiłuje wyłudzić publiczny grosz za swój nic nie warty towar...

Właśnie w obronie swojego dobrego imienia postanowiłem wstąpić na drogę sądową, i proszę, by Wysoki Sąd zechciał wziąć pod uwagę,

że zrobiłem to pierwszy raz w moim 45-letnim życiu, po 20 latach pracy w dziennikarskim zawodzie.

Termin pierwszej rozprawy został wyznaczony na 18 października 1994, czyli PONAD ROK po całym incydencie (co jest osobnym tematem do rozważań nad stanem polskiego sądownictwa). Od doręczenia mu pozwu, redaktor naczelny „Gazety Wyborczej" miał dziewięć miesięcy, od doręczenia mu zaś wezwania na rozprawę – okrągły miesiąc na uczynienie jakiegokolwiek pojednawczego kroku. Nic takiego jednak nie zdarzyło się, nikt do mnie nie napisał ani nie zatelefonował, za to dosłownie minutę przed rozpoczęciem procesu, gdy czekałem pod salą rozpraw, podszedł do mnie ktoś, kto przedstawił się jako adwokat Jerzy Naumann, pełnomocnik pozwanego, i spytał, jak gdyby nigdy nic: *Może zawrzemy ugodę?*

Jak Wysoki Sąd pamięta, chwilę potem na rozprawie mimo wszystko chętnie przystałem na tę sugestię mecenasa Naumanna, uzależniając to wszakże od otrzymania – jako swego rodzaju (symbolicznej doprawdy) rekompensaty za krzywdę wyrządzoną mi przez „Gazetę Wyborczą" – podpisanych własnoręcznie przez jej redaktora naczelnego dwóch słów: *Proponuję ugodę.* Uprzejmie przypominam, że Wysoki Sąd był łaskaw uznać to za *chyba niewygórowane żądanie, panie mecenasie?*, a mecenas zgodził się z tym i oświadczył, że w celu ostatecznego załatwienia sprawy nawiąże ze mną kontakt *zapewne w ciągu dwóch dni.*

Przykro to mówić, Wysoki Sądzie, ale nikt do mnie nie odezwał się nie tylko w ciągu dwóch dni, ale i w ciągu następnego miesiąca. Mecenas Naumann w końcu jednak zadzwonił wieczorem 28 listopada (po czterdziestu dniach) i oznajmił: *Redaktor naczelny „Gazety Wyborczej" przebywa od kilku tygodni w Stanach Zjednoczonych; czy, wobec tego, nie satysfakcjonowałby pana podpis innej osoby z kierownictwa redakcji?* Poprosiłem o 24 godziny do namysłu, a mecenas Naumann zapowiedział, że zadzwoni następnego dnia wieczorem. Tego dnia w południe wyszło wszakże na jaw, że redaktor naczelny „GW" właśnie siedzi w swoim domu w Warszawie i pisze artykuł, a w redakcji będzie około godziny 16. O tej rewelacji natychmiast powiadomiłem mecenasa Naumanna. Skutek był taki, że mecenas nie zadzwonił ani wieczorem, ani w ogóle.

Całe to postępowanie, Wysoki Sądzie, jest od początku do końca jakże charakterystyczne dla środowiska „Gazety Wyborczej"! Zaczyna się od dziennikarskiej nieuczciwości i manipulacji. Potem odpowiedzią na protest jest kamienne milczenie. Gdy sprawa trafia do sądu, taktyka ta jest kontynuowana: a nuż powód umrze, albo po roku zapomni o pozwie i nie przyjdzie albo spóźni się na rozprawę? Gdy i ten chwyt zawodzi, a szeroko znanemu z uczciwości,

bezkompromisowości i odwagi cywilnej redaktorowi naczelnemu „GW" miłość własna nie pozwala jednakowoż przyznać się do błędu i podpisać propozycji ugody – następuje żenująca próba ocalenia jego *image* za pomocą pospolitej nieprawdy...

Nie mając w tej sytuacji innego wyjścia, uprzejmie proszę o powołanie następujących biegłych (podaję ich domowe adresy), z których jedni przedstawią Wysokiemu Sądowi fachową i bezstronną opinię o jakości prac wykonywanych przez moje biuro, drudzy zaś w ten sam sposób wypowiedzą się na temat dziennikarskich i moralnych aspektów postępowania „Gazety Wyborczej" w całej sprawie:

1. Prof. Lena Kolarska-Bobińska – socjolog, dyrektor Centrum Badania Opinii Społecznej, (...).

2. Prof. Edmund Wnuk-Lipiński – socjolog, dyrektor Instytutu Studiów Politycznych PAN, (...).

3. Red. Stefan Bratkowski – dziennikarz, były prezes Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich (...).

4. Red. Krzysztof Czabański – dziennikarz, redaktor naczelny „Expressu Wieczornego", (...).

5. Red. Dariusz Fikus – dziennikarz, redaktor naczelny „Rzeczypospolitej", (...).

6. Red. Maciej Iłowiecki – dziennikarz, były prezes Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, (...).

7. Red. Adam Michnik (jeśli prawo na to pozwala) – niekwestionowany autorytet moralny, dziennikarz, redaktor naczelny „Gazety Wyborczej", (...).

* * *

Jaki był finał? Kilka dni przed rozprawą, na której niechybnie zapadłby wyrok „skazujący" Adama Michnika – „Gazeta Wyborcza" znienacka... zamieściła moje sprostowanie, czyli zrobiła to, czego ponoć żadną miarą nie mogła zrobić przez poprzednie 15 miesięcy. Mimo to jeszcze wiele razy klienci upewniali się, czy moje sondaże są OK, a gdy pytałem, skąd ta kwestia w ogóle przyszła im do głowy – odpowiadali najpierw: *coś czytałem w "Wyborczej" o pana biurze* albo: *coś gdzieś czytałem o panu*, później zaś już tylko: *coś mi się obiło o uszy...*

Oczywiście żadnego zamówienia z Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji nigdy nie dostałem.

1995

(Podkreślenia – S.R.)

Z boku

Nie do obrony

Muszę z całą przykrością wystąpić przeciw gazecie, którą współzakładałem i z którą wiążą mnie wręcz naturalne uczucia rodzicielskie. Odgrywa ona jednak zbyt wielka rolę w naszym życiu publicznym, by machnąć ręką.

Przed decyzjami sejmowymi „Gazeta Wyborcza" tekstem na swej czołówce i drugim, rozszerzającym temat, wystąpiła w obronie reklamy papierosów. Obrona to była inteligentna, nie przeczę, z pozorami rzetelności. **Ale przez te inteligentne pozory nieuczciwa podwójnie.**

Teza, że reklama nie wpływa na wzrost sprzedaży papierosów, nie da się obronić. Zbija tę obronę jeden wystarczający argument: gdyby nie wpływała, nie wydawano by na nią tak olbrzymich pieniędzy.

Reklamę papierosów adresuje się w małym procencie do tych, którzy już palą. Rzadko przestawiają się oni na inne marki. Ale w każdym podręczniku zarządzania przeczytać można, że zadaniem firmy, planującej długofalowo, z myślą o przetrwaniu, jest tworzenie przyszłych rynków. I reklama papierosów, wymyślna, oparta na wszelkich zdobyczach współczesnej psychologii reklamy, tworzy te przyszłe rynki: zwraca się przede wszystkim do potencjalnych palaczy – **młodzieży i dzieci, do adresatów najbezbronniejszych i najuleglejszych inteligentnej perswazji. W tym tkwi podwójna hańba tej reklamy. I jej obrońców.**

Paweł Wujec cytuje Wojciecha Topińskiego, byłego prezesa ZUS (nie do wiary!), *eksperta komisji sejmowej* (eksperta, przepraszam, od czego – od przemysłu tytoniowego, czy od reklamy? Czy ktoś go zna w jednej lub w drugiej roli?). Wedle niego, *reklama nie jest wszechmocna i nie może sprawić, by ktokolwiek prał dwa razy częściej, niż musi, lub mył zęby co 15 minut*". **Jakby tu chodziło o mycie zębów co kwadrans, a nie o reklamę samobójstwa na raty, o handel śmiercią.**

Brednią jest informacja, że *czasem reklamy odnoszą efekty odwrotne od zamierzonych*, bo w *Holandii, gdzie papierosy wolno reklamować, w latach 1980-92 sprzedaż spadła o ponad 38%, a w Norwegii, gdzie obowiązuje zakaz, w tym samym czasie sprzedaż wzrosła o 11%.* Celna reklama nigdy nie odnosi „odwrotnego skutku". W Holandii zrobiła swoje zmasowana akcja

informacyjna, w którą zaangażowały się również kościoły i szkoły. W Polsce sama niezapomniana akcja „Gazety" dała wspaniałe efekty. Norwegia pali więcej, bo zakaz reklamy to nie dosyć.

I raz jeszcze: przemysł tytoniowy to wielkie, a bardzo łatwe pieniądze. Olbrzymie zyski przy minimalnych kosztach, „przebicie" wielokrotne, nawet kokaina takiego nie daje. Dlaczego, powtórzę, w ogóle reklamować akurat ten biznes, skoro „Popularne" i "Klubowe" szły bez żadnej reklamy? Czy tu coś, przepraszam, nie śmierdzi? Czy nie prościej było zadbać, żeby mniej truły? I wydawać dochody na leczenie ofiar? Polacy ratują budżet, masowo umierając przed emeryturą, jednakże leczenie ich przedtem kosztuje w sumie drożej od emerytur (to do liberałów z UW i SLD). A pochowałem w ciągu ostatnich dwóch lat paru swoich wychowanków, ledwie po czterdziestce, zmarłych na raka płuc. Śmierć papierosowa sięga po coraz młodszych – czy mam opowiadać, jak się na to umiera?

Czytelnik nie jest naiwny; **orientuje się, że te reklamy przynosiły najpopularniejszej gazecie kraju spore dochody i że koncerny gotowe są kupić wszystkich. Stąd aż za łatwo odczytać zarówno intencje autora, jak i redakcji.** Zwłaszcza informację (wziętą od koncernów, nie od Francuzów; Francuzi podaliby we frankach), że po zakazie reklamy papierosów we Francji rząd musiał po *załamaniu na rynku mediów* dać prasie 40 milionów dolarów dotacji. To robi wrażenie. Ale to w skali państwa suma śmieszna, we Francji mniej niż 75 centów na głowę obywatela rocznie. U nas wystarczyłby ułamek tego, zwłaszcza że straciłyby głównie masowe, kolorowe magazyny taśmowej produkcji. Nie sama „Gazeta Wyborcza".

Na czym polega nieuczciwość redakcji?

Redakcja winna była czytelnikom podstawową informację w tej kwestii: że trudno jej o pełny obiektywizm, ponieważ sama zarabia na reklamie papierosów. Gdyby to podano wprost, wszelkie elementy obrony reklamy papierosów odbierałoby się z właściwym dystansem, bez podejrzeń.

I proszę ze mną nie polemizować. Raczej – uderzyć się w piersi przed czytelnikiem. Bo to nie kwestia młodości redakcji czy braku doświadczenia, lecz **wyrachowanie**. W tej gazecie – nie do wybaczenia. Pozycja zobowiązuje.

W pomieszczeniach „Gazety" palić nie wolno. Pali się tylko na schodach.

Stefan Bratkowski

* * *

Oskarżam Adama Michnika, Helenę Łuczywo, Piotra Pacewicza, Juliusza Rawicza, Ernesta Skalskiego oraz pozostałych współodpowiedzialnych za politykę reklamową

członków redakcji „Gazety Wyborczej" o rozmyślne przyczynienie się do śmierci dziesiątków tysięcy Polaków. Oskarżam ich o świadomy współudział w ludobójstwie. Oskarżam ich o czyn najobrzydliwszy z możliwych: o czerpanie majątkowych korzyści z genocydu.
Stefanowi Bratkowskiemu, z którym w wielu przypadkach nie zgadzam się zasadniczo, dałbym za ten jeden jedyny felieton dwakroć Złoty Krzyż Zasługi RP. Raz – za ocalenie (mam nadzieję) niejednego ludzkiego życia. Dwa – za cywilną odwagę wystąpienia w interesie publicznym przeciw własnemu środowisku.
Przykładem prasowego magnata, który potrafi W PRAKTYCE kierować się wskazaniami swojego sumienia nawet za cenę utraty dziesiątków milionów dolarów, jest polski astrofizyk, kolega Agnieszki ze studiów, Mieczysław Prószyński, przez przyjaciół zwany „Beamonem", szef koncernu wydawniczego „Prószyński i S-ka". Mietek od początku konsekwentnie odrzuca wszelkie propozycje reklamowania papierosów w swojej prasie. Jestem dumny, że znam tego człowieka.
P.S. Jesienią 1999 roku Adam Michnik odebrał z rąk księdza prymasa Józefa kardynała Glempa wielką nagrodę przyznaną „Gazecie Wyborczej" za prowadzoną przez nią akcję pod hasłem „Rzuć palenie razem z nami!". To jest chyba ŚWIATOWY rekord hipokryzji: zarabiać grube miliony na reklamie papierosów, a zarazem przyjmować prestiżowe laury za ich zwalczanie...

1996

List do Aleksandry Jakubowskiej

Ursynów, 8 stycznia 1996

W. Pani
Aleksandra Jakubowska
Rzecznik Prasowy
Rady Ministrów RP

Szanowna Pani Redaktor!

1. Obłudy Michnika, „Wybiórczej" i całego tego środowiska nie przebije w Polsce nikt, to pewne. Zajrzałem przed chwilą do szafy na korytarzu, gdzie przechowuję, jako Historyczną Makulaturę, kuriozalne egzemplarze „Gazety", „Nowego Świata", „Rzeczypospolitej" i "Życia Warszawy" z okresu 4 – 18 czerwca 1992, i mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że w swoim dzisiejszym liście do AM potraktowała go SzPani łagodnie i wyrozumiale. Trochę zdziwiłem się, że „Wybiórcza" to zamieściła, ale moja piękna i mądra żona przypuszcza, że to z ksobnej miłości jeno: *oto do mnie, Adama Michnika, pisze osobiście obszerny, oficjalny list sama rzecznik Rządu Rzeczypospolitej (więc niemal jakby Rząd sam!), przypominając moje wielkie i pryncypialne stanowisko sprzed trzech i pół roku, cytując moje wiekopomne słowa i stawiając mnie na równi z wielką poetką Szymborską...* Chyba żona ma rację, a mogę to ocenić dlatego, że w latach osiemdziesiątych – zanim, strząsnąwszy proch z sandałów, odszedłem z "GW" – z dumą uważałem Adama za swojego przyjaciela, a potem przez rok byłem niemal codziennym i naocznym świadkiem jego poOkrągłostołowych przykrych przeistoczeń.

Proszę posłuchać. W latach 1988-93 korespondowałem często-gęsto (wymieniliśmy po kilkadziesiąt listów) z jednym z największych pisarzy polskich, genialnym niegdyś myślicielem, nadal kandydatem do Nobla, i nieopatrznie wyznałem mu któregoś razu, iż prof. Klemens Szaniawski (dziś ś.p.) powiedział mi, że „my wszyscy dobrze wiemy, że pan X. ma węża w kieszeni". W responsie X. napisał był natychmiast gigantyczny (chyba z 10 kartek?), udokumentowany obficie faktami wywód na temat NIEISTNIENIA rzeczonego węża, z którego to wywodu wynikało niezbicie, że... – no, niech Pani zgadnie? Ano to, że X. owego węża oczywiście MA (i to nie byle zaskrońca, lecz jakowegoś pytona zgoła, albo innego dusiciela), że jest skąpcem zawołanym,

sknerą kwadratowym, kutwą sześciennym, a także liczykrupą, dusigroszem i harpagonem w kolejnych wyższych potęgach.

Ta pouczająca historia podpowiada mi, że zapewne rzecz ma się podobnie z dzisiejszą publikacją Pani listu. Michnik jest faryzeuszem DO TEGO STOPNIA, załgał się TAK DOKUMENTNIE, że w ogóle nie dostrzega swojej Kaliowatości, tak jak ów pisarz sławny nie pojmował, iż wspomniany list-kolubryna pogrąża go z kretesem miast oczyszczać. Dowodzi tego jasno odpowiedź A.M., która ANI JEDNYM SŁOWEM nie odnosi się do wysuniętych przez Panią Redaktor zarzutów (przede wszystkim moralnych), przedstawionych argumentów i zadanych pytań. To skądinąd stara metoda tego środowiska (zresztą nie tylko tego): skoro żadną miarą NIE DA SIĘ przekonująco odpowiedzieć, trzeba sprawę przemilczeć („*o czym nie mówimy, tego nie ma*").

2. Ponieważ Pani mówi o jednym, a Michnik o drugim, może być tak, że OBOJE polemiści mają rację.

Jeśli niejaki Stanisław Remuszko w biały dzień przebiegnie się na golasa wokół swoich ursynowskich włości (Dunikowskiego, Sosnowskiego, Cybisa) – wówczas jedni się zgorszą, inni wezwą policję, jeszcze inni popukają się w czoło, lecz całe wydarzenie – choć wzięte na języki, a potem trwale zapisane w pamięci sąsiedzkiej wspólnoty – ani na życie sąsiadów, ani też na życie Remuszki WIĘKSZEGO wpływu nie wywrze. Jeśliby jednak Jego Excellencja Józef Oleksy uczynił to samo, truchtając niespiesznie jako święty turecki swoją Wiktorią Wiedeńską tam i z powrotem – o, wtedy niewątpliwie powinien zaraz PODAĆ SIĘ DO DYMISJI.

Mówię figuralnie, ale chodzi o to, że kilkudziesięciu (a zwłaszcza kilku...) najważniejszym osobom w Państwie nigdy nie wolno robić pewnych rzeczy. Tu: spotykać się towarzysko (rodzinnie, przyjacielsko, koleżeńsko) z agentami wywiadu innych krajów. I nie jest w tym rozumowaniu ważne (choć naturalnie w innym ujęciu ma rangę zasadniczą), czy J.O. nie przekazywał, czy też przekazywał agentowi jakieś informacje, tajne czy jawne, świadomie czy niechcący. Ważny jest SAM FAKT kontaktów o towarzyskim charakterze ze szpiegiem: miały czy nie miały miejsca? Jeśli miały – nie da rady, trzeba zwolnić fotel, złożyć rezygnację ze stanowiska, zejść ze świecznika życia publicznego. Może to Pani nazywać pechem Pana Premiera, jego zwykłą nieostrożnością, niewinną naiwnością lub bezgrzesznym roztargnieniem, ale trudno: **takie są reguły politycznej gry we wszystkich nowoczesnych demokracjach świata i trzeba po męsku umieć ponieść odpowiedzialność za ich naruszenie, nawet jeśli było przypadkowe.** Po prostu od tych reguł nie ma ŻADNYCH wyjątków.

Jeśli zatem pan Oleksy jako jeden z najwyższych urzędników państwa nie sprawdził przez UOP dyskretnie (choć oficjalnie) z kim się kuma, i kumał się (choć tylko i wyłącznie towarzysko) z tow. (Z)Ałganowem (nomen omen)* – wówczas, nie czekając na nic, powinien ustąpić, a dopiero potem puścić Milczanowskiego z torbami w procesie cywilnym o naruszenie dóbr osobistych oraz dodatkowo dostać z tego tytułu sądowe odszkodowanie w wysokości np. miliona zł, i oczywiście nie zapomnieć o nadaniu procesowi i całej sprawie stosownego rozgłosu. Tak myślę.

Z wyrazami należnego respektu

Stanisław Remuszko

---

* Osobiście nie wierzę w żadnych „43-letnich byłych pułkowników KGB, którzy od kilku lat prywatnie handlują sobie z Zachodem". W interesie każdego imperium (świeżo upadłego tym bardziej) leży utrzymanie państw ościennych w słabości. Destabilizacja najwyższych szczebli władzy w Polsce jest zatem dla dzisiejszej Rosji zawsze korzystna OGÓLNIE, a poza tym w chwili obecnej SZCZEGÓLNIE: z uwagi na negatywne skutki tej destabilizacji dla procesu włączania Polski do struktur europejskich. Konferencja prasowa Załganowa była *de facto* wyrafinowanym pocałunkiem Almanzora: trzeba publicznie wystąpić z budzącą sympatię, „lojalną i solidarną obroną niewinnego druha" – ale taką, żeby go w politycznych skutkach na amen utrupiła.

List do Jerzego Turowicza

Ursynów, 5 lipca 1996

W. Pan
Red. Jerzy Turowicz
„Tygodnik Powszechny"

Szanowny Panie Redaktorze!

Byłbym wielce wdzięczny za zamieszczenie na łamach „TP" poniższego liściku:

Telewizyjne pół Polski zobaczyło i usłyszało 25 czerwca w głównym wydaniu „Wiadomości" wypowiedź robotnika Zygmunta Wrzodaka na wiecu w Ursusie, w której zarzucił on Michnikowi i Kuroniowi, iż jako członkowie KOR przed dwudziestu laty cynicznie wykorzystywali nieszczęście, krew i naiwność robotników oraz deklarowali faryzeuszowską pomoc, by podstępnie wkupić się w ich środowisko, a wszystko po to, by na robotniczych grzbietach dorwać się do władzy.

Polityczno-moralną postawę Michnika PO 1989 roku oceniam wyjątkowo krytycznie; nie mam też wielu przyjaciół wśród członków Unii Wolności. Ale jako poniekąd naoczny obserwator wielu ówczesnych poczynań KOR tym bardziej mogę z pełnym przekonaniem zaświadczyć o czystości Michnikowych intencji i bezinteresowności kroków, które wtedy odważnie podejmował w imię zwykłej ludzkiej solidarności.

Bezpośrednimi świadkami wypowiedzi Wrzodaka był m.in. ówczesny kolega Michnika z KOR, inicjator pięknej „akcji pomocowej" Antoni Macierewicz oraz ówczesny współpracownik KOR, mecenas Jan Olszewski. Uważam, że nie powinni oni wypowiedzi Wrzodaka pomijać publicznym milczeniem.

Stanisław Remuszko

P. S. Powyższy list posłałem 26 czerwca do tych gazet, w których przede wszystkim powinien się ukazać: do „Tygodnika Solidarność" i do „Gazety Polskiej". Jednak obie redakcje odmówiły jego zamieszczenia.

* * *

Tak samo postąpił „TP". Oto kolejna cecha charakterystyczna dla środowiska „Gazety Wyborczej" i – od dłuższego czasu – również „Tygodnika Powszechnego": publicznie bronić „naszych" mogą tylko inni „nasi" lub ci, którzy przynajmniej nigdy nas nie krytykowali! To się oczywiście kłóci ze zdrowym rozsądkiem, bo – przy merytorycznej tożsamości dawanych świadectw – ideowy PRZECIWNIK jest niejako z definicji bardziej wiarygodny niż ZWOLENNIK – no, ale czy dla *familii* zdrowy rozsądek musi być najważniejszym kryterium postępowania? Patrz również: str. 29 i 198.

1997

Do czytania w karnawale

Moralność „Wyborczej"

Prawie cztery lata temu – 20 października 1993 roku – „Życie Warszawy" pod poniższym (własnym) tytułem zamieściło taki oto mój list:

Nie czyń drugiemu...

Przez bodaj rok z okładem „Gazeta Wyborcza" powtarzała przy każdej okazji twierdzenie osławionych właścicieli „Art-B" Bagsika i Gąsiorowskiego (potem zaś również tezę prokuratora), że poseł Maciej Zalewski z Porozumienia Centrum uprzedził obu tych panów o grożącym im aresztowaniu, dzięki czemu zdążyli nawiać do Izraela. „Wyborczej" jakoś nie przeszkadzało, że to oskarżenie Zalewskiego nie było i nadal nie jest poparte absolutnie żadnym dowodem. Po dziesiątkach takich „informacyjnych powtórzeń na łamach", w pamięci milionów czytelników tego największego w Polsce dziennika utrwalił się obraz Zalewskiego jako aferzysty, i jestem pewien, że jeśli nawet trwający w tej sprawie proces sądowy zakończy się całkowitym oczyszczeniem tego człowieka, to i tak opinii społecznej będzie on długo jeszcze kojarzył się podświadomie z czymś brudnym (na zasadzie: nie pamiętam, czy on ukradł, czy jemu ukradli, w każdym razie był zamieszany w kradzież).

Los sprawił, że w ostatnich dniach wytworzyła się sytuacja identyczna co do meritum, a zarazem idealnie symetryczna w sensie antagonizmów środowiskowo-politycznych. Oto podejrzany o wyłudzenie 400 mld zł Krzysztof Duda oskarżył w "Życiu Warszawy" posła Henryka Wujca z Unii Demokratycznej, że ten... uprzedził go o grożącym aresztowaniu, dzięki czemu zdążył uciec do Danii!

„Gazeta Wyborcza" pisze tak: „dlaczego drukować oszczerstwa nie poparte żadnymi dowodami? Osoba rzucająca tak ciężkie oskarżenia nie wydaje się wiarygodnym informatorem".

Mam 45 lat i 20 lat stażu dziennikarskiego, ale takiego przypadku moralności Kalego jeszcze nie widziałem i chyba już nie zobaczę.

Stanisław Remuszko

Trzy dni później – w sobotę 23 października 1993 – „Życie Warszawy" pod poniższym (własnym) tytułem zamieściło w odpowiedzi taki oto list:

Bikont kontra Remuszko

Stanisław Remuszko, który wysyła do różnych redakcji różne listy, ale o jednym temacie – dyskredytowania „Gazety Wyborczej" – tym razem zarzuca nam moralność Kalego. „Przez bodaj rok z okładem – pisze Remuszko – »Gazeta« powtarzała przy każdej okazji twierdzenie osławionych właścicieli »Art-B« Bagsika i Gąsiorowskiego, że poseł Maciej Zalewski z Porozumienia Centrum uprzedził obu panów o grożącym im aresztowaniu, dzięki czemu zdążyli nawiać do Izraela".

Gdy „Życie Warszawy" opisało, że Krzysztof Duda, zamojski biznesmen ścigany listem gończym, oskarżył o to samo Henryka Wujca z Unii Demokratycznej, ja się oburzyłam na „Życie". Co z kolei oburzyło pana Remuszkę.

„Gazeta", o czym już raz pisaliśmy, dostała w maju zeszłego roku od właścicieli „Art-B" ośmiostronicowy elaborat – miał to być wyciąg z zapisków komputerowych, jakie prowadzili prezesi „Art-B" z wyszczegółowieniem miejsc i czasu spotkań z "Z". Materiał dziennikarski wyjątkowo atrakcyjny. Uznaliśmy jednak, mimo kilkakrotnych ponagleń Gąsiorowskiego, że nie będziemy go drukować. Gdy zajęły się tym inne pisma – „Wprost", a następnie na pierwszej stronie „Życie Warszawy" – bardzo krótko streściliśmy, co inni ujawnili, powołując się na źródła. Zastrzegliśmy, że nie ma powodu, by Gąsiorowskiemu wierzyć.

Już nie wspominam o tym, że używaliśmy jedynie literki „Z" dla opisania wymienionego przez pana Remuszkę z imienia i nazwiska byłego posła. Wszystko się więc zgadza. Poza faktami.

Anna Bikont, „Gazeta Wyborcza"

Przecierając oczy ze zdumienia, kilka dni później wysłałem do „Życia Warszawy" list, który – wobec stanowczego sprzeciwu redaktora naczelnego Tomasza Wołka – nigdy nie ukazał się:

Moralność Kalego

„Gazeta Wyborcza" liczy, zdaje się, na krótką pamięć czytelników. Z listu jej redaktorki wynika, iż „Wyborcza" TYLKO RAZ podała o oskarżeniu Macieja Zalewskiego, że ten uprzedził właścicieli „Art B" o grożącym im aresztowaniu, a i to ukryła jego nazwisko pod literką „Z", zaznaczając na dodatek, iż oskarżenie jest mało wiarygodne.

Bóg mi świadkiem, że na nic już nie mam czasu, ale wobec tak ekstra-ordynaryjnej czelności poświęciłem bezcenne godziny na przejrzenie „Gazety Wyborczej" tylko z okresu lipiec 1992 – marzec 1993, znajdując tam oskarżenie

pod adresem nie „Z", lecz Zalewskiego, wydrukowane jak wół KILKANAŚCIE razy, bez żadnych odredakcyjnych wyjaśnień o małej wiarygodności zarzutów. Tyle o faktach, które tym różnią się od przytoczonych przez „GW", że każdy może je sobie sprawdzić sam w każdej publicznej bibliotece („GW" nr 160, 254, 255 dwa razy, 296 i 298 z 1992 roku oraz nr 15, 29, 30, 75 i 26 z 1993 roku).

Co zaś się tyczy zadziwiającej tezy, że – cytuję – „Stanisław Remuszko wysyła do różnych redakcji różne listy, ale o jednym temacie: dyskredytowania »Gazety Wyborczej«„ – uprzejmie informuję, że teza ta wiele mówi o stanie ducha autorki (skoro pilniej ode mnie śledzi moją epistolograficzną produkcję!), nic zaś nie mówi o faktach. Otóż w ciągu minionych dwunastu miesięcy (sprawdziłem w swoim archiwum) 6 redakcji zechciało opublikować 10 moich listów, z czego „Wyborczej" dotyczył tylko jeden jedyny – właśnie ten ostatni, do „Życia Warszawy". Na świecie i w Polsce wciąż dzieje się mnóstwo ciekawych rzeczy i, doprawdy, istnienie „GW" nie jest wśród nich najważniejsze.

Stanisław Remuszko

Solidarnie kryjący kłamstwa „Gazety Wyborczej" Tomasz Wołek najpierw kilkakrotnie odmawiał publikacji powyższego, następnie zaś – gdy drugi raz w swoim dziennikarskim życiu wystąpiłem o sądowy nakaz sprostowania – po prostu nie przychodził na kolejne rozprawy. Koniec końców, prawomocnym wyrokiem nakazano redaktorowi naczelnemu „Życia Warszawy" opublikowanie mojego listu i opłacenie kosztów sądowych, ale – uwaga, uwaga! – stało się to 12 listopada 1996, a więc ponad TRZY LATA od wniesienia pozwu!

Tomasz Wołek od dawna nie jest już naczelnym „Życia Warszawy", forsę wyłoży za niego Bogu ducha winny Aleksander Chećko i tylko ciekaw jestem, JAK wytłumaczy on swoim czytelnikom druk na łamach „ŻW" tekstu sprzed lat, który – bez przedstawionego wyżej tła i okolic – musi okazać się dziś kompletnie niezrozumiały.

Stanisław Remuszko

* * *

Co do sprostowania: nie opublikował go i kary nie zapłacił ani Chećko, ani kolejni naczelni „Życia Warszawy: Urbański, Zalewski, Bober i Zagórski.

Co do meritum: postawa Tomasza Wołka dowodzi wysokiej skuteczności „dyplomatycznych zabiegów" „Gazety Wyborczej", która wokół swoich interesów szybko stworzyła strefę ochronną podobną do buforu, którym dla Związku Radzieckiego były pozostałe państwa Układu Warszawskiego. Proszę popatrzeć: łgarstwa „Gazety", wobec arytmetycznej oczywistości faktów, były – wydawało się – nie do obrony, a mimo to obrona okazała się nad wyraz skuteczna!

1998

Stronniczy przegląd prasy

Pięknie Zbigniewa Herberta pożegnał „Tygodnik Powszechny". (...) W "Tygodniku Solidarność" dawne paranoiczne żale. (...).

W „Polityce" napisał Tomasz Jastrun: *Herbert w obozie narodowo-prawicowym? On, który mówił: „Niemal od urodzenia byłem zaszczepiony przeciwko wszelkiej ksenofobii". Musiał dostrzec groteskowość tej sytuacji. To były jednak tylko epizody, szybko wycofuje się z rynsztoka kilku pism. W każdym człowieku mieszka kilku ludzi, są też upiory, mieli je nawet święci, mocowali się z nimi. I są choroby, które powodują, że jesteśmy słabsi od swoich demonów. W Polsce osoby publiczne nie cierpią na psychiczne schorzenia. Czy nie czas zerwać z tą tradycją? Herbert był chory na cyklofrenię (depresja, z fazami obniżonego nastroju i pobudzenia). To zapewne w tej ostatniej fazie szokująco brutalnie zaatakował wielu, jakoś nisko, niemądrze. Miłosz jako słabo piszący po polsku, morderca intelektualny. Dalej jednak Jastrun dodaje: Ta choroba nie zmienia istoty osobowości, wzmacnia, co już jest. A w nim zawsze była niezłomność, pogarda dla kompromisu i cholerny temperament.*

Anna Bikont

* * *

Encyklopedia Popularna PWN podaje: *Cyklofrenia (psychoza maniakalno-depresyjna) – choroba psych., w której występują na przemian okresy depresji i wzmożonego samopoczucia (stany maniakalne); przyczyny nie są znane.*

Wyjątkowa doprawdy obrzydliwość powyższego „wspomnienia pośmiertnego" obarcza – nie w równej mierze! – jego autora oraz osobę cytującą.

Po pierwsze: skąd Jastrun czerpie swą WIEDZĘ, że Herbert był psychicznie chory? To, że ja, Stanisław Remuszko, na temat tej hipotetycznej choroby Herberta nic nie wiem – niczego nie dowodzi. Ale wszyscy zgodzą się, że trafną diagnozę może postawić tylko doświadczony lekarz. Pytam więc publicznie Tomasza Jastruna: skoro nie powtarza pan zwykłych plotek, to KTÓRY KONKRETNIE lekarz (personalia, specjalizacja), łamiąc obowiązującą go tajemnicę zawodową, wyjawił panu swą diagnozę stanu zdrowia Zbigniewa Herberta?

Po drugie: jakaż to psychiatryczna wiedza, oparta na konkretnych obserwacjach pacjenta w konkretnym czasie, upoważnia pana do przypuszczeń, że przyczyną konkretnych negatywnych opinii Księcia Poetów o konkretnych osobach było nasilenie się w tych okresach jego domniemanej choroby psychicznej?

Po trzecie: dlaczego nie ogłosił pan tych swoich rewelacji ZA ŻYCIA Herberta, tylko – tchórzliwie – dopiero po jego śmierci?

Tak oto Tomasz Jastrun i "Polityka" zrobili z Herberta wariata (przepraszam: psychika maniakalno-depresyjnego). Ile osób przeczytało to w "Polityce"? Niechby kilkadziesiąt tysięcy. Co w tej sytuacji robi „Gazeta Wyborcza", która ma przynajmniej dziesięciokroć więcej czytelników? Mnoży liczbę odbiorców tych niegodziwości przez dziesięć. Jak to robi? Po prostu cytuje, nic więcej. Że wobec tego ponosi dziesięciokroć większą odpowiedzialność? No to co; ważne, żeby zmieszać z błotem (choćby pośmiertnie) tego, kto ośmielił się NA NAS podnieść rękę...

Bogu dzięki, notabene, że Herbert nie żył w kraju osławionych psychuszek. Ale zapamiętajmy przy okazji: metoda załatwiania przeciwnika cudzymi rękami (przytaczaniem umiejętnie dobranych cytatów) jest dla „Gazety Wyborczej" charakterystyczna, co mogę na wielu przykładach udowodnić przed każdym sądem, ludzkim czy boskim.

List do redakcji

Kłamstwo prawdą zwyciężaj

Pod zdjęciem pierwszej stronicy „Tygodnika Powszechnego" z października 1978 roku, zamieszczonym w "Gazecie Wyborczej" z datą 17/18-X-98, widnieje podpis: *„Tygodnik Powszechny" nie miał wtedy konkurencji – tylko on mógł tak obszernie informować o wyborze kardynała Wojtyły na papieża.*

O tym, iż jest to nieprawda, może przekonać się każdy, kto przejrzy zszywkę dziennika „Słowo Powszechne" z tamtych dni.

Jacek Moskwa, Magdalena Niedek,
Stanisław Remuszko, Sławomir Siwek,
Jerzy Ślaski, Andrzej Wernic
(byli pracownicy „Słowa Powszechnego")

* * *

„Wyborcza" oczywiście odmówiła publikacji tego liściku. Bardzom ciekaw, co o "Gazecie" myśli dziś Ksiądz Jerzy. A także Jan Paweł Długi (tak wkrótce zaczną nazywać naszego papieża).

Wyznanie winy

Tak, zrobiłem to. Były wakacje, trzydzieści kilka lat temu. To była dziwna, niejasna rozmowa. Kazano mi zgłosić się po wakacjach w komendzie wojewódzkiej. Poszedłem. Dwaj ludzie mówili o patriotyzmie, o penetracji mojego środowiska przez grupy rewizjonistów niemieckich i temu podobne.

Ludzie ci dali mi do zrozumienia, że wiedzą o mojej tajemnicy, że mój ojciec pewnie by się tym zmartwił. Chodziło o moją całkowicie prywatną młodzieńczą tragedię. Nie chciałem; żeby ojciec się dowiedział; to by go dobiło.

Wydawało mi się wtedy, że nie mam wyjścia. Nie umiałem się wykręcić. Była to klasyczna propozycja nie do odrzucenia.

Nie miałem ani własnych, ani rodzinnych doświadczeń ze Służbą Bezpieczeństwa. Choć z perspektywy lat wstyd się do tego przyznać, wówczas SB nie kojarzyła mi się inaczej niż dzisiejszemu młodzikowi UOP. Było to niedługo po dojściu Gomułki do władzy. Przecież – sądziłem wówczas – złych ubowców wyrzuca się z pracy, a nawet sądzi, SB zaś to coś zupełnie nowego.

Wściekałem się w duchu na to zmuszanie mnie – więc uznałem, że będę udawał zgodę na współpracę, ale nie zmuszą mnie, bym się z tego wywiązywał. I tak to się toczyło: na spotkania przychodziłem, odpowiadałem ogólnikami, nie przejawiałem aktywności. Nigdy nie mówiłem o żadnych ludziach. Kiedy pytali mnie o kogoś konkretnego, jeśli go znałem, zawsze wyrażałem się o nim dobrze. Chyba ze dwa razy dostałem „zachętę" w postaci kilkuset złotych. Traktowałem to jak „łup wojenny" od jeleni.

Po niespełna roku znalazłem w sobie dość siły i sprytu, by się od tego całkowicie uwolnić. Dzisiaj myślę, że z powodu całkowitej nieprzydatności dla ich celów, ci ludzie puścili mnie. Wiem to na pewno, pamiętam, że przez okres tej niby-współpracy nikomu nie wyrządziłem zła. Owszem, wyrządziłem je sobie – splamiłem mój honor.

Przez kilka lat nie myślałem o tym, co mi się przydarzyło. Skończyłem studia, wyjechałem do pracy na drugi koniec Polski. Po następnych kilku latach, przy różnych okazjach, SB zaczęło znów mnie nagabywać – od nowa – o współpracę. Za każdym razem kategorycznie odmawiałem. Dojrzewałem życiowo i politycznie. Dawałem wyraz swoim poglądom. SB zaczęła robić mi różne wstręty.

Rok 1980 przywitałem jako wyzwolenie z dusznego koszmaru. Czytałem coraz więcej literatury historycznej i politycznej, coraz więcej wiedziałem.

Włączyłem się aktywnie do ruchu „Solidarności". SB coraz poważniej zaczęła mnie szykanować. W stanie wojennym włączyłem się w pracę podziemną i pomoc prześladowanym. Kłopoty i prześladowania ze strony SB traktowałem jako pokutę za mój grzech z młodości.

Byłem bardzo aktywny w 1989 roku i wydatnie przyczyniłem się do budowy nowej Polski. Marzyłem o parlamencie; sądziłem, że mam dostateczną wiedzę, zdolności i szacunek mojego środowiska. Kiedy jednak około 1991 roku zaczęło być głośniej o lustracji, zrozumiałem, że te drzwi są przede mną zamknięte. Przyjąłem to wprawdzie z goryczą, ale równocześnie ze zrozumieniem i pokorą. Wycofałem się powoli z wszelkiej działalności publicznej.

Gdy pan Bogusław Nizieński, rzecznik interesu publicznego, mówi: „Już czas najwyższy, żeby sprawowali władzę ludzie bez skazy. Tylko oni będą w stanie wykreować Polskę moralnie czystą" – zgadzam się z tym.

Okazuje się jednak, że lustracja ma dotyczyć nie tylko ludzi polityki. Dotyka także sędziów, prokuratorów, adwokatów – także tych szeregowych.

Żeby wolno mi było zarabiać na życie, musze publicznie przyznać się do hańbiącego epizodu z młodości. Ujmując rzecz dosadnie, acz w miarę cenzuralnie: doszło do tego, że w PRL mnie zgwałcono, a Rzeczpospolita żąda, bym przyznał się publicznie do uprawiania prostytucji.

Co mam zrobić? Nie mam nic odłożonego na czarną godzinę – zawsze było tak wiele osób potrzebujących pomocy. Nie mam jeszcze uprawnień emerytalnych. Przekonywałem moją schorowaną żonę, by przeszła na rentę, a ja utrzymam dom. Co mam teraz zrobić? Jak wyjaśnić bliskim i znajomym, że rzucam dobrą pracę, w której osiągnąłem znaczącą pozycję, i szukam czegoś innego? Wszyscy oczywiście domyślą się i powiążą to z lustracją. Nawet gdybym zdecydował się wyznać publicznie moją cuchnącą tajemnicę, czy strażnicy czystości moralnej pozwolą mi nadal wykonywać zawód, w którym ustawowo wymaga się „nieskazitelnego charakteru"?

Prawnicy, którzy skłamią, tracą pracę. Sędziowie mają teoretycznie szansę wytłumaczenia się jeszcze przed swoimi komisjami dyscyplinarnymi – to jest wprawdzie oczywiste naruszenie konstytucyjnej zasady równości obywateli wobec prawa, ale jednocześnie stanowi wyraz jakiejś pogardy dla sędziów, od których mniej się wymaga niż od adwokatów i prokuratorów.

Dużo mówi się o tym, że tylko kłamcy zostaną ukarani, ale jestem przekonany, że to obłuda. Pracę stracą i ci, którzy się przyznali, i ci, którzy skłamią. To osobliwe: gdybym przed trzydziestu laty kogoś zamordował, dziś byłbym bezkarny. Ale nie popełniłem ani przestępstwa, ani wykroczenia. Sam sobie zrobiłem krzywdę, plamiąc honor, i dziś muszę ponieść karę.

Mój wybór, to hańba lub nędza albo hańba i nędza pospołu. Ktoś, kto czyta to wyznanie, może myśli o mnie ze współczuciem pomieszanym ze wstrętem albo z mściwą satysfakcją.

Nie ujmą się za mną – bo wstyd poprosić – słynni obrońcy praw człowieka ani powołany do tego rzecznik. Miłosierdziem dla mnie byłaby rychła śmierć, o którą się modlę.

* * *

Dostałam ten list, zatytułowany przez autora „Wyznanie winy". Na kopercie był adres nadawcy. Albo prawdziwy, albo nieprawdziwy. „Jeśli rozszyfruje pani moje dane, proszę je zachować do wiadomości redakcji" – pisze autor. Nie umiem tych danych rozszyfrować.

Zadzwonił telefon w "Gazecie". – Nazywam się X. [tu padło nazwisko użyte w liście]. – Czy dostała pani mój list? Proszę, żeby pani nie próbowała identyfikować, kim jestem.

– Czy X. to pana prawdziwe nazwisko?

Milczenie.

– Proszę, żeby pan się odezwał po ukazaniu się tego listu w "Gazecie". Chciałabym z panem porozmawiać, na pańskich warunkach.

– Żałuję, że ten list napisałem. Jest mi wstyd.

– Dlaczego pan chce, by list ukazał się przed 10 listopada?

– Bo wtedy się wszystko rozstrzygnie.

– Chodzi panu o to, że tego dnia Trybunał Konstytucyjny orzeknie, czy ustawa lustracyjna jest zgodna z konstytucją?

Milczenie.

Szanowny Panie, proszę się jednak odezwać.

Ewa Milewicz

* * *

Dostałam list, w którym było napisane: „Odpieprzcie się od Generała! A pani mąż niech odpieprzy się od Gazety!". Na kopercie był adres nadawcy. Albo prawdziwy, albo nieprawdziwy. „Jeśli rozszyfruje pani moje dane, proszę je zachować do swojej wiadomości" – pisze autor. Nie umiem tych danych rozszyfrować.

Zadzwonił telefon w moim domu. – Nazywam się X. (tu padło nazwisko użyte w liście). – Czy dostała pani mój list? Proszę, żeby pani nie próbowała identyfikować, kim jestem.

– Czy X. to pana prawdziwe nazwisko?

Milczenie.

– Proszę, niech się pan odezwie.
– Czy pani mąż nadal zamierza opublikować książkę o "Gazecie Wyborczej"?
– Skąd pan o tym wie?
– Pani Remuszkowa, pani jest rozsądny człowiek. Pani ma męża i dzieci. Pani nie chce, żeby im stało się coś złego.
– Dlaczego pan mi grozi?
Milczenie. Potem beznamiętny głos:
– Proszę pani, my wszędzie mamy swoich ludzi, wiele wiemy i wiele możemy. A pamiętamy – do dwunastego pokolenia. Przypomina sobie pani, co się przytrafiło *synowi Bolesława Piaseckiego? Teraz są takie czasy, że auta potrącają przechodniów* nawet na pasach, cegły spadają z dachów, w mieszkaniach wybuchają pożary, córki bywają gwałcone, a synowie bici do nieprzytomności. Więc niech państwo uważają na siebie. I nie tylko w tym, czy w przyszłym roku, ale od dziś – już zawsze.
– Co mamy zrobić, proszę...
Trzask odkładanej słuchawki.

Agnieszka Remuszko

Jednym zdaniem

Chamstwo

Bardzo rzadko używam dosadnych słów, ale dla postępku „Gazety Wyborczej", która w dniu Święta Zmarłych w specjalnej okolicznościowej rubryce zamieściła równoprawne wspomnienia o Zbigniewie Herbercie i zastrzelonym w bandyckich porachunkach szefie gdyńskiego gangu złodziei samochodów, nie potrafię znaleźć określenia innego niż tytułowe.

Stanisław Remuszko

Co wie Michnik

W nocie pod powyższym tytułem, „Gazeta Wyborcza" z 28-29 listopada br. przypomina, że od kwietnia do czerwca 1990 roku archiwa MSW badała czteroosobowa komisja, w której skład wchodzili historycy Andrzej Ajnenkiel, Jerzy Holzer, Bogdan Kroll oraz Adam Michnik. Dziennik informuje, że poseł Mariusz Kamiński z AWS zapytał właśnie ministra koordynatora służb specjalnych Janusza Pałubickiego – cytuję „GW" – *Czy działalność komisji była zgodna z prawem, czy jej członkowie mieli dostęp do tajnych teczek współpracowników SB, czy kontrolowano ich poruszanie się po archiwum i czy mieli oni możliwość sporządzania kopii lub wynoszenia materiałów SB.*

Zamiast odpowiedzieć na powyższe kwestie – czyli podać podstawę prawną działań komisji; odpowiedzieć „tak" lub „nie" na pytanie o dostęp do teczek; opisać, na czym konkretnie polegała praca czterech historyków; jakie były tej pracy „warunki techniczne" itd. – „Gazeta Wyborcza" przytacza najpierw opinię ówczesnego szefa MSW Krzysztofa Kozłowskiego: *Nóż się w kieszeni otwiera, kiedy słucha się takich rzeczy. Tylko nienawiść do Michnika powoduje, że wściekła prawica od lat z uporem mówi, że on coś wynosił,* potem zaś dodaje, pod adresem posła AWS, komentarz swojego redaktora naczelnego: *Uczono mnie w szkole, że własną głupotą nie należy się chwalić.*

Miejmy nadzieję, że minister Janusz Pałubicki nie przestraszy się ani noża, ani oskarżeń o "współudział w głupocie", i po prostu udzieli rzeczowych odpowiedzi na zadane pytania. Chciałbym przy okazji dodać jeszcze trzy: ile czasu w supertajnych archiwach bezpieki spędzili poszczególni członkowie komisji, do jakich doszli wniosków i czy zostały one zrealizowane.

Młodszym czytelnikom wyjaśniam, że te i podobne kwestie spokojnie i precyzyjnie formułowali różni ludzie już w roku 1990, ale – nie wiedzieć czemu – przez następne lata nikt nigdy nie chciał ani ich poinformować, ani rozwiać ich narastających wskutek tego wątpliwości. Czyżby na rzeczy były tu przysłowia o czapce i o nożycach?

W krajach starej demokracji osoby pracujące *pro publico bono* są formalnie i moralnie zobowiązane zdawać obywatelom sprawę ze swoich działań. Nikt nie nazywa tam zadających podobne pytania *chorymi z nienawiści* albo *wściekłymi głupcami.* To oczywiście kwestia kultury, nie tylko politycznej...

Stanisław Remuszko

* * *

Sprawa powraca niczym bumerang. Ostatnio (4-X-99) artykuł z nadtytułem „Czego szukała w MSW »komisja Michnika«?" zamieściła „Trybuna", m.in. informując za PAP o świeżej konferencji prasowej UPR, na której podano, że „członkowie komisji, wbrew przepisom, nie dopełnili obowiązku wpisywania do każdej teczki danych osoby czytającej oraz daty i celu korzystania z tajnych informacji".

Ani „Trybuna", ani UPR nie są bohaterami mojej ulubionej bajki, ale skoro nikt z indagowanych nie odpowiada na zadawane od lat kwestie, ani nie komentuje publikowanych hipotez (a treści pytań i hipotez wydają się logicznie spójne), więc powtórnie zacytuję „Trybunę": „Co robiła w MSW komisja – nie wiadomo. Od lat funkcjonuje natomiast plotka, której nikt nie zaprzeczył, że Adama Michnika skłoniła do wycofania się z bieżącej polityki właśnie wiedza zaczerpnięta z teczek".

Jak było naprawdę? Przypomnijmy, że w roku 1990 ściśle współpracowali ze sobą *trzej przyjaciele z boiska – Skrzydłowy, Bramkarz i Łącznik.* Bramkarzem był ówczesny minister spraw wewnętrznych, czyli – jak to w rządzie Mazowieckiego – profesjonalista w każdym calu, wybitny fachowiec w dziedzinie policji i służb specjalnych (nie wiedzieć czemu, przez poprzednie trzydzieści lat zwykły redaktor „Tygodnika Powszechnego"), Krzysztof Kozłowski. Skrzydłowym – ówczesny minister edukacji, historyk, profesor Henryk Samsonowicz. Łącznikiem zaś – żywy symbol niedawnej opozycji, naczelny „Gazety Wyborczej", współzałożyciel późniejszej Unii Wolności, poseł Adam Michnik.

Skrzydłowy powiada, że wiosną 1990 roku Bramkarz poprosił go o wytypowanie kilku historyków-zawodowców, którzy mieliby – cytuję „GW" – „ustalić, co zrobić ze zbiorem materiałów, jakim było ówczesne Biuro C, i jak je przekształcić w archiwum". Według Bramkarza, w Biurze C znajdowały się wówczas teczki około 3 mln tajnych współpracowników SB oraz osób inwigilowanych. Skrzydłowy powołał zatem czteroosobową komisję, w której skład wszedł m.in. Łącznik. Tajemnicą Bramkarza i Skrzydłowego na zawsze pozostanie to, czemu bez cienia żenady dopuścili do najtajniejszych (i najwstydliwszych!) akt personalnych w Polsce jednego z najznaczniejszych wówczas politycznych demiurgów. Chyba że odpowiedź na te kwestie jest banalnie prosta...

Tak czy inaczej, detaliczny przebieg prac »komisji Michnika« oraz ich rezultaty – do dziś nie jest znany. Reagując na interpelację posła Mariusza Kamińskiego z listopada 1998 roku, ani minister Pałubicki, ani minister Tomaszewski nie podali praktycznie żadnych informacji, które rozwiewałyby narastające tymczasem, uzasadnione wątpliwości. Co więcej, w świetle ich nader skąpych wyjaśnień, sprawa staje się jeszcze bardziej tajemnicza i niezrozumiała.

Moim zdaniem, straszliwa nienawiść okazywana procesowi lustracji oraz pomysłowi udostępniania obywatelom teczek bezpieki zgromadzonych na ich temat, bierze się z bardzo ludzkiego skądinąd ŚMIERTELNEGO STRACHU „ludzi »Gazety Wyborczej«„ przed przykrymi skutkami ujawnienia społeczeństwu tajnych dotąd agentów UB i SB oraz dokonań zwykłych donosicieli. Przy czym jeśli nie chodzi tu o skórę własną, to o skórę rodziny lub przyjaciół, jeśli nie przyjaciół osobistych, to biznesowych lub politycznych. A skąd środowisko „Gazety Wyborczej" ma WIEDZĘ (czyli pewność) w tym zakresie? Przypuszczam, że przede wszystkim z tzw. autopsji, następnie z doniesień przyjaciół, którzy przez lata sprawowali nad trefnymi archiwami pieczę, wreszcie – nie można wykluczyć – ze znajomości oryginalnych źródeł, które przez kilka miesięcy, bez jakichkolwiek ograniczeń i kontroli, pozostawały do dyspozycji Łącznika i trzech jego kolegów z osławionej komisji.
Wiarygodny respons na stawiane kwestie mogliby (i powinni) dać sami członkowie komisji, z Łącznikiem na czele. Mogliby, ale nie dadzą. Dlaczego? Ponieważ – sugerują – byłoby to poniżej ich godności. Należy przez to rozumieć, że w polskim społeczeństwie żyje wyróżniona elita intelektualno-moralna, taka kasta Żon Cezara, które – bez względu na okoliczności – są Z DEFINICJI poza wszelkim podejrzeniem. Każda, nawet nieśmiała prośba o wyjaśnienie nie to, że podejrzeń, ale nawet cienia jakichkolwiek wątpliwości, stanowi ciężki kamień obrazy, ściągający autora takiej kwestii na dno politycznego rynsztoka.
Poczucie własnej nieskazitelności i wyjątkowości (wyższości, lepszości), to zresztą dla środowiska „Gazety Wyborczej" cecha znamienna. Pamiętam doskonale (trudno zapomnieć...), jak pierwszego maja 1994 roku w studiu Polskiego Radia w przytomności pana redaktora Marka Michalskiego, z którym wspólnie robiliśmy audycję, Henryk Wujec (według Heleny Łuczywo: *najszlachetniejszy człowiek, jakiego znam*) powiedział do mnie tak: „Ty nie możesz być takim Katonem, nie możesz mnie traktować tak samo jak Maćka Zalewskiego". Cała historia jest opowiedziana kilka stron wcześniej (patrz: „Moralność »Wyborczej«„), więc tu powiem tylko, że słowami Wujca byłem po prostu autentycznie wstrząśnięty, tym bardziej, że wygłosił je z pełną wiarą i ogniem w oczach. Dlaczego miałbym go traktować INACZEJ niż każdego innego człowieka – wprawdzie nie wytłumaczył, ale widać było, że to rozumie się samo przez się, jest oczywiste, ma charakter prawdy fundamentalnej, którą każdy inteligentny i uczciwy człowiek po prostu powinien od dziecka znać jak pacierz!
Dobitny przykład podobnie zadziwiającej postawy zaprezentował mi zresztą sam wielki Jan Józef Szczepański. W 1993 roku robiłem z nim wywiad dla „Rzeczpospolitej" na temat naszych przemian ustrojowych po roku 1989. JJS ubolewał, że rządy pookrągłostołowej ekipy zakończyły się tak szybko, a gdy ja z głupia frant pytałem, skąd brała się demokratyczna legitymacja tej kontraktowej władzy –

odpowiadał bezradnie (choć z pełnym przekonaniem): *Stąd, że to byli bardzo wartościowi ludzie i program mieli bardzo dobry...* To, że w demokratycznym państwie wartość i program polityków MUSZĄ w regularnych odstępach czasu oceniać wyborcy, i że taka ocena jest jednym z najważniejszych elementów demokracji – jakoś znakomitemu pisarzowi nie przeszkadzało. Najwyraźniej wszyscy ludzie są równi, ale niektórzy są równiejsi, po prostu.

Powie ktoś, że Szczepański, to nie „Gazeta Wyborcza". Oczywiście, że nie. Ale to gorący zwolennik tego pisma i stały współpracownik żyjącego z nim w pełnej symbiozie „Tygodnika Powszechnego". Tak już jest nasz świat urządzony, że ludzie o podobnych cechach, charakterach, poglądach politycznych czy ideałach stają się sobie bliscy, wspierają się w różnych poczynaniach, nieformalnie współtworzą środowisko, w powszechnym odczuciu są doń przypisywani. To zjawisko normalne i – czy się to komuś podoba, czy nie – obserwowane chyba we wszystkich dziedzinach. Oto (na przykład) jak opisuje je w "Gazecie Wyborczej" działacz Unii Wolności, były członek Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, Andrzej Zarębski: „Gdy np. Agora składa wniosek, wszyscy mówią: Agora to »Gazeta Wyborcza«, »Gazeta Wyborcza« to Unia Wolności, więc pytają: »dać to radio Balcerowiczowi, czy nie«„.

Nobody is perfect. Brak w II wydaniu tego ważnego dokumentu JAKOŚ umknął uwadze mojej, uwadze Agnieszki, uwadze czytelników-dziennikarzy, i nagle ów apel wychynął z komputerowych czeluści 15 listopada 2006, czyli już po ponumerowaniu całej książki, tuż przed ostatecznym świeceniem pedeefów do niniejszego wydania. W trybie awaryjnym wkładam ten tekst na jakieś wolne miejsce, ale powinien on chronologicznie otwierać stronę 261. Przepraszam.

Sejm
Rzeczpospolitej Polskiej
Na ręce Pana Marszałka
Macieja Płażyńskiego

W związku z nasilającą się ostatnio kampanią niektórych środków masowego przekazu przeciwko procesowi lustracji - my, niżej podpisani, w tym współsygnatariusze apelu 31 dziennikarzy złożonego w Sejmie w październiku 1996 roku, zwracamy się do posłów obecnej kadencji o jak najszybsze znowelizowanie ustawy lustracyjnej tak, aby objęła ona swym działaniem również dziennikarzy mediów niepublicznych.

Świadomi dramatycznego zagrożenia całego procesu lustracji, apelujemy także do polityków, aby stworzyli wreszcie realne możliwości efektywnej pracy Rzecznikowi Interesu Publicznego, Sądowi Lustracyjnemu oraz Instytutowi Pamięci Narodowej.

Ostrzegamy, że bez konkretnego wsparcia prawnego i finansowo-organizacyjnego lustracja w Polsce zakończy się fiaskiem.

Teresa Bochwic, Rafał Brzeski, Mirosław Chojecki, Erazm Ciołek, Krzysztof Czabański, Marek Domagalski, Jan Dworak, Alina Grabowska, Maciej Iłowiecki, Piotr Jakucki, Jakub Karpiński, Wojciech Klewiec, Jacek Łęski, Amelia Łukasiak, Marek Markiewicz, Stanisław Michalkiewicz, Jacek Moskwa, Maciej Orłoś, Łukasz Perzyna, Jan Polkowski, Wojciech Reszczyński, Stanisław Remuszko, Agnieszka Romaszewska, Piotr Semka, Radek Sikorski, Maria Starkowska, Wojciech Starzyński, Andrzej Urbański, Aleksandra Zawłocka, Rafał A. Ziemkiewicz.

Warszawa, 30 grudnia 1999

1999

Dwugłos z Lublina (9-10 stycznia 1999)

„Rzeczpospolita" (strona druga, lewy górny róg)

Metropolita lubelski arcybiskup Józef Życiński na promocji swojej nowej książki „Bruderszaft z Kainem", noszącej podtytuł „Medytacje nad moralnym spadkiem po PRL", która odbyła się w piątek w Lublinie, opowiedział się za tym, aby „nie amputować historii" i "nie zagłaskiwać dramatów". Zdaniem metropolity, otwarcie archiwów służb specjalnych PRL będzie służyło poznaniu prawdy i oczyszczeniu moralnemu. – Nie wolno przyjmować stylu pięknoduchów, tylko tamte bolesne przypadki, bez nienawiści, bez łatwych potępień, wnikliwie analizować, aby wyprowadzić z nich wnioski, które będą nas chronić przed łatwym relatywizmem moralnym – mówił hierarcha. Nawiązując do dyskusji o Instytucie Pamięci Narodowej, arcybiskup powiedział, że nie należy „straszyć fetorem", który pojawi się, „kiedy otworzy się teczki". – Trzeba nazwać Kaina Kainem, ludobójstwo ludobójstwem, żeby słowo było słowem, żebyśmy nie uprawiali orwellowskich praktyk – dodał. (PAP)

„Gazeta Wyborcza" (strona piąta, lewy dolny róg)

Bilans abp. Życińskiego. Kasa kurii na plusie. Wydatki głównych instytucji archidiecezji lubelskiej wyniosły w zeszłym roku 8,2 mln zł. Omówienie wydatków i inwestycji Kurii Archidiecezjalnej w Lublinie przygotował dla Radia Plus Lublin arcybiskup Józef Życiński.

Podobne sprawozdanie finansowe metropolita lubelski przedstawił rok temu. Stwierdził wówczas, iż czyni to wzorem Watykanu, który ujawnia stan swoich finansów, i że polskie warunki pozwalają na jawność budżetu polskiego Kościoła.

1997 rok kuria lubelska zamknęła bilansem ujemnym ok. 300 tys. zł. Udało się dług spłacić i dodatnie saldo kurii za rok 1998 wynosi 77 zł. – Było to możliwe dzięki oszczędnościom, m.in. w sposobie kolportażu prasy, zmniejszono wydatki na utrzymanie radia diecezjalnego przez współpracę z Radiem Plus oraz dzięki pomocy okazanej przez sponsorów – wyjaśnił wczoraj „Gazecie" ks. Mieczysław Puzewicz, rzecznik prasowy metropolity lubelskiego. W bilansie uwzględniono m.in. seminarium metropolitalne, Caritas, sąd metropolitalny oraz referaty kurii.

Średnie miesięczne wynagrodzenie pracownika kurii wynosiło 630 zł. – Nie było w ubiegłym roku żadnych podwyżek wynagrodzeń dla pracowników

kurii – informuje ks. Puzewicz. – Abp Życiński za swą pracę nie pobierał żadnych wynagrodzeń z funduszy diecezjalnych; podobnie było podczas siedmiu lat jego pracy w Tarnowie, gdzie podstawę jego utrzymania stanowiły honoraria za wykłady i publikacje. (Jan Pleszczyński, Lublin)

* * *

Choć wydaje się to wręcz nieprawdopodobne, w "Gazecie Wyborczej" tego dnia (i w dniach następnych) była to JEDYNA wiadomość na temat dokonań Lubelskiego Metropolity...

Adam Michnik, który wypił poimiennego z Wojciechem Jaruzelskim, ma oczywiście prawo nie zgadzać się z oceną tego symbolicznego gestu, uwiecznioną w tytule książki Księdza Arcybiskupa. Również zasadnicza rozbieżność między Michnikiem a Życińskim co do rozliczeń PRL nie jest tu najważniejsza. Chodzi o coś zupełnie innego, mianowicie o orwellowskie praktyki uprawiane przez „Gazetę Wyborczą" podług starej komunistycznej zasady: ***o czym nie piszemy, tego nie ma***. To kolejna charakterystyczna „metoda polemiczna" tego pisma, stosowana zwłaszcza wtedy, gdy spór (zarzut) dotyczy samej „Gazety", „jej ludzi", albo, nie daj Boże, samego Nadredaktora.

Dlaczego idziemy na giełdę

Agora jest jedną z największych firm medialnych w Polsce. „Gazeta Wyborcza" ma ponad 9% udziału w całym polskim rynku reklamy i niemal 30% udziału w rynku reklamy prasowej. Ma też największą sprzedaż ze wszystkich dzienników (przeszło 400 000 średnio dziennie w 1997 roku) i olbrzymie czytelnictwo. Według badań Press Track firmy SMG/KRC, codziennie czyta „Gazetę" średnio 2,3 mln osób.

„Gazeta" jest swego rodzaju prasowym fenomenem – bo naraz pełni funkcje dziennika ogólnopolskiego i lokalnego. Ma 18 regionalnych dodatków. Wydaje też kolorowy „Magazyn", dodatki tematyczne i inne.

Agora jest jedną z najbardziej rozwojowych firm w Polsce: jej przychody wzrosły z 295 mln zł w 1996 roku do 416 mln w 1997 roku i 389 mln zł w pierwszych trzech kwartałach 1998 roku.

Skąd pochodzą te pieniądze? Przede wszystkim z zamieszczanych w "Gazecie" reklam i ogłoszeń drobnych. W pierwszym półroczu 1998 roku stanowiły one przeszło trzy czwarte wszystkich przychodów. Ze sprzedaży „Gazety" pochodzi tylko 20% wpływów – i ten wskaźnik raczej się nie zwiększy, bo „Gazeta" nie chce zbyt drastycznie podnosić swojej ceny.

Zysk netto Agory w 1996 roku wyniósł 40 mln zł, w 1997 roku wzrósł do aż 74 mln zł. W pierwszych dziewięciu miesiącach 1998 roku zysk netto wyniósł 34 mln zł. Nie oznacza to jednak, że działalność spółki stała się nagle mniej dochodowa. Po prostu w pierwszym półroczu 1998 roku Agora poniosła jednorazowy koszt (35 mln zł) związany z opłatą za umowę z amerykańskim koncernem Cox, swoim obecnym udziałowcem.

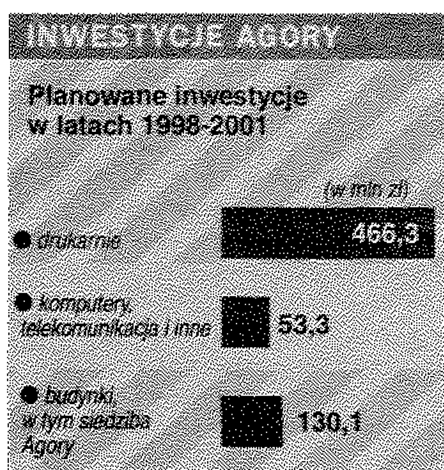
Cały prospekt emisyjny dostępny będzie od dziś w punktach obsługi klienta biur maklerskich. Cena emisyjna nie jest jeszcze znana.

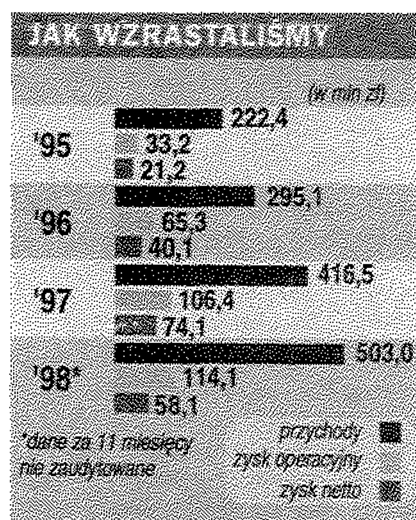
Nowi udziałowcy będą mieli mniej niż 20% kapitału firmy. Reszta należy do Agory-Holding, Coksa, 96 menedżerów Agory i czterech osób fizycznych. (Trzy dni później „GW" poda odrobinę inne dane: mowa będzie o 95 pracownikach i pięciu osobach fizycznych – SR).

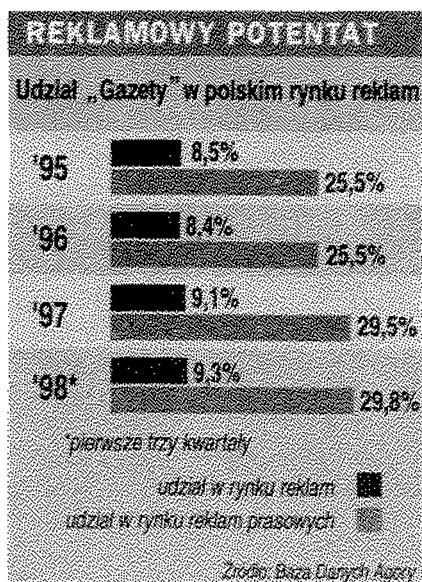
Z emisji akcji Agora zamierza uzyskać kilkadziesiąt milionów dolarów. Pieniądze te, podobnie jak zysk, pójdą przede wszystkim na inwestycje związane z "Gazetą". Najważniejszym i największym wydatkiem (388 mln zł w latach 1998-2001) jest rozbudowa drukarń. 89 mln zł mają pochłonąć inwestycje w sieć telekomunikacyjną i komputerową, a 113 mln zł – budowa nowej siedziby Agory SA.

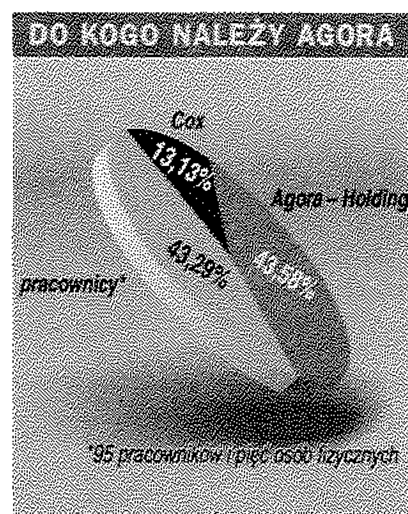
„Gazeta Wyborcza" jest obecnie jedynym ważnym źródłem wpływów Agory – i tak będzie jeszcze przez wiele lat. Spółka nie chce jednak ograniczyć się do jednego tytułu. Inwestuje więc w inne media. Czasami są to drobne wydatki: Agora jest właścicielem sześciu lokalnych tygodników (np. „Czas Chełmna", „Głos Mławy"), prestiżowego kwartalnika „Zeszyty Literackie". W innych przypadkach przedsięwzięcie ma znaczny wymiar komercyjny: Agora buduje sieć lokalnych radiostacji (m.in. Pogoda w Warszawie, Kolor we Wrocławiu, City w Częstochowie), jest udziałowcem ponadregionalnej stacji Tok FM oraz Telewizyjnej Korporacji Partycypacyjnej, zarządzającej płatną telewizją Canal+ Polska i nową ofertą cyfrową Cyfra+.

Marta Bratkowska, pepe









(Fragment wywiadu)

Pan Bóg jest czerwony

• Czy „Gazeta" mogłaby osiągnąć sukces, gdyby nie ruszyła w 1989 roku w wyniku ustaleń Okrągłego Stołu?

Prezes Agory, Wanda Rapaczyńska: – To, że byliśmy we właściwym miejscu i we właściwym czasie, to jest dar od Pana Boga.

* * *

Nareszcie wiemy, jaki kolor ma Pan Bóg. Pan Bóg jest czerwony.

L A M A

gazeta
WYBORCZA

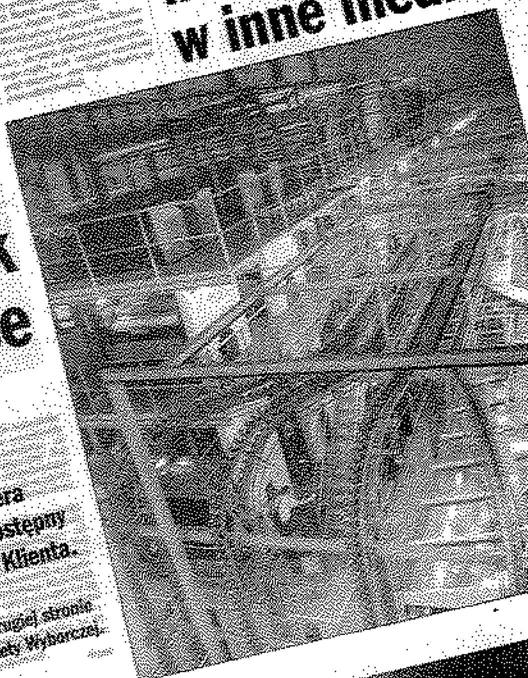
Zapisy
na akcje
od 25 lutego 1999 r.

AGORA SA WKRÓTCE NA GIEŁDZIE

AGORA SA

Od 10 lat wydajemy Gazetę Wyborczą -największy dziennik w Polsce

Od kilku lat inwestujemy w inne media



Szczegóły oferty zawiera Prospekt Emisyjny dostępny w Punktach Obsługi Klienta.

Adresy publikujemy na drugiej stronie dodatków lokalnych Gazety Wyborczej.

Poniedziałek 15 lutego 1999 **GAZETA WYBORCZA**

Fragmenty artykułu „Jak uwodzimy społeczeństwo" Piotra Bratkowskiego („GW" z 4 marca 1999), stanowiącego polemikę z artykułem Cezarego Michalskiego „Wspólnota strachu" („Życie" z 22 lutego 1999).

Cyngle

Teza Michalskiego brzmi: Marek Beylin, Artur Domosławski, Paweł Smoleński i ja stanowimy w "Gazecie" swoisty specoddział. *Publikowane regularnie na łamach „Gazety Wyborczej" teksty, podpisane przez kilku wspomnianych powyżej autorów, tworzą wizerunki negatywne ludzi bądź środowisk, których wybory ideowe naruszają hegemonię słusznych postaw, projektowaną przez środowisko „Gazety Wyborczej" w odniesieniu do polskiej polityki, kultury i historii. (...)*

Środowisko „Gazety Wyborczej" jest jednym z najpoważniejszych uczestników polskiego rynku medialnego (udziały w kilkunastu radiach lokalnych, udziały w Tok Radio, udziały w Canal Plus, odwzajemniana sympatia ze strony TVN, zadawnione przyjaźnie na Woronicza, „Tok Szok" Najsztuba i Żakowskiego w Polsacie.

Michalski pozostawił wiele luk w tym ponurym obrazie. Macki „Gazety" sięgają jeszcze dalej. Zapomniał choćby o telewizyjnym „Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie" Wojciecha Tochmana; o związkach z "Gazetą" Mariusza Szczygła; o tym, że byli pracownicy „Gazety" zajmują eksponowane stanowiska w prasie kobiecej; ba, że można też ich spotkać w konkurencyjnych dziennikach – od „Rzeczpospolitej" poprzez „Super Express" po „Życie".

* * *

Zapomniał o "Parkiecie". O Lindenbergu, Krzemieniu, Lipszycu i wielu innych. O politykach, przedsiębiorstwach, radach nadzorczych i fundacjach. To świetny temat na pracę magisterską pt. „Gdzie są chłopcy z tamtych lat?" To czysty żywy gotowiec, wystarczy tylko wziąć zszywkę „Gazety Wyborczej", zwłaszcza z pierwszego i drugiego roku jej istnienia, zrobić najzwyklejszą statystykę nazwisk i pseudonimów, porównać je z takąż statystyką AD 1999, zbadać różnice, „pójść tropem" i wyciągnąć narzucające się wnioski. Czemu nikt w żadnej szkole dziennikarstwa, na wydziale socjologii, nauk politycznych albo historii do dziś tego nie zrobił? Przecież „GW" i jej środowisko to niesłychanie ważny dla współczesnej Polski FENOMEN społeczno-polityczno-historyczny! Przecież wiedza o drogach życiowych „jej ludzi" mogłaby rzucić nowe światło na ocenę roli tego pisma w kształtowaniu się polskiej rzeczywistości lat dziewięćdziesiątych...

Piotr Bratkowski prezentuje siebie i swoich trzech wymienionych kolegów (to dalece niepełna lista) jako typowych cyngli z mafijnej rodziny typu Corleone. Powinien wobec tego wymienić też nazwiska capi (Łuczywo, Milewicz, Pacewicz, Rawicz, Skalski – kto jeszcze?) oraz *capo di tutti capi* – don Adamo. Otóż przedstawianie sprawy w takim stylu i formie, w takich aluzjach i kontekstach, aby każdy, kto dopuści choć częściową prawdziwość opisu, MUSIAŁ wyjść na skończonego kretyna (oszołoma, psychika, dewianta) – to jeden z ulubionych chwytów polemiczno-propagandowych „Gazety Wyborczej". Wrócę jeszcze do tego tematu.

Giełda

WEJŚCIE AGORY

Prawie 50 zł kosztowały wczoraj na giełdzie akcje Agory. To o 38,6 proc. więcej niż podczas lutowej subskrypcji publicznej

Jestem pewna, że w dłuższym okresie nasz kurs będzie rósł – mówiła na zorganizowanej z okazji debiutu konferencji prezes Agory Wanda Rapaczyńska. Jej zdaniem rosnący rynek reklamowy otwiera przed firmą perspektywy dalszej ekspansji.

Także według specjalistów i analityków z banków inwestycyjnych rynek reklamowy, który jest największym źródłem przychodów Agory, pozwala zwiększać zyski nawet w warunkach spowolnienia wzrostu gospodarczego. Jest to możliwe m.in. dzięki prowadzonym w tym roku wielkim kampaniom funduszy emerytalnych czy nowych operatorów telekomunikacyjnych.

– Jako spółka publiczna mamy łatwiejszy dostęp do rynku kapitałowego, co umożliwi dalszy rozwój. A niezależność finansowa jest warunkiem niezależności redakcyjnej – stwierdziła prezes Agory.

Agora nie publikuje prognoz finansowych. Według Anny Hess, analityka CDM Pekao, zysk netto wydawcy „Gazety" wzrośnie w tym roku o 31 proc., do 123 mln zł, zaś sprzedaż do 650 mln zł. Hess nie sądzi jednak, by obecny kurs Agory utrzymał się, gdyż inwestorzy przystąpią do realizacji zysków. Inni analitycy szacują, że kurs Agory ustabilizuje się w granicach 43-45 zł. Od lutego '99 Agora notowana jest też w Londynie, gdzie w obrocie są jej GDR-y.

Do obrotu giełdowego trafiło łącznie 10,35 mln akcji stanowiących ok. 16 proc. wszystkich papierów firmy. Papiery przeznaczone zarówno dla drobnych inwestorów, jak i dużych inwestorów (kupujących co najmniej 15 tys. akcji) były obejmowane na przełomie lutego i marca po 36 zł. W transzy dla drobnych inwestorów ogromny popyt spowodował 92-proc. redukcję zapisów. Znacznie mniej (1 zł) płacili zimą za papiery Agory pracownicy. Ci jednak nie będą mogli sprzedać swych akcji co najmniej do 1 lipca 2000 r.

Agora to przede wszystkim wydawca „Gazety Wyborczej", która dostarcza spółce ponad 95 proc. przychodów, głównie z reklam i ogłoszeń. Dlatego pieniądze uzyskane z emisji przeznaczone są na inwestycje w dalszy rozwój „Gazety" (m.in. budowę drukarni i nową siedzibę spółki oraz warszawskiej redakcji). Agora zamierza też inwestować w lokalne radiostacje (obecnie ma udziały w dziesięciu takich rozgłośniach i chce, by do końca roku było ich 13-15).

W zeszłym roku Agora wypracowała ponad 550 mln zł przychodów i 60,3 mln zł zysku netto. Po dwóch miesiącach '99 przychody wyniosły 92,2 mln zł, zysk operacyjny 22,5 mln zł, a zysk netto 16 mln zł.

ZBIGNIEW DOMASZEWICZ

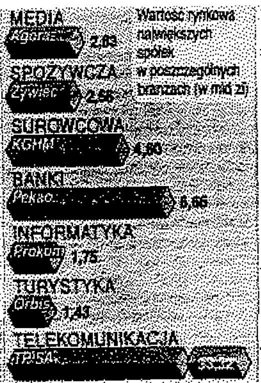
SEKTOROWI POTENTACI

DLA GAZETY

...dą szybko drożały. Ale pewien potencjał wzrostowy Agory istnieje. Oceniałbym go obecnie na 10-20 proc.

KRZYSZTOF ROGALSKI
doradca inwestycyjny PBK

Ostatnio wokół spółek daje się zauważyć sporo optymizmu. A atmosfera na rynku silnie wpływa na ceny debiutów. Agora stała się beneficjentem dobrego nastroju inwestorów. Czy kurs ma szanse jeszcze wzrosnąć? Długookresowo tak. Jeśli chodzi o najbliższe dni – nie sądzę. Zwykle bardzo dobry debiut oznacza, że potem kurs musi trochę spaść. *not. ZBIG*



Jacek Dzierwa

analityk Salomon Smith Brothers

Zainteresowanie ofertą Agory w czasie subskrypcji publicznej było tak duże, że spodziewaliśmy się przebicia rzędu 30 proc. w stosunku do ceny emisyjnej akcji. Debiutancki kurs nie był więc zaskoczeniem. GDR-y są na Zachodzie notowane niżej, ale w Polsce wiele osób nie ma możliwości obrotu GDR-ami, a były zainteresowane inwestycją w papiery Agory. To prawdopodobnie one kupowały akcje. Trudno przewidzieć dalszą ewolucję kursu w perspektywie, powiedzmy, miesiąca. Akcje Agory już w subskrypcji były drogie. Nie należy więc przypuszczać, że dalej be-

GAZETA WYBORCZA *Środa 21 kwietnia 1999*

93 (5258)
21 kwietnia 1999

BANKI – GIEŁ[D]

AGORA Debiut z 38,6-proc. przebiciem

Zyski na już i na potem

Po debiucie Agory na giełdzie powiększyło się grono milionerów w naszym kraju. Należą do nich głównie członkowie kierownictwa firmy i „Gazety Wyborczej".

Inwestorzy, którym podczas zapisów na przełomie lutego i marca udało się kupić akcje serii E wydawcy „Gazety Wyborczej" po 36 zł za sztukę, mogli wczoraj sprzedać je za 49,9 zł. Na jeszcze większe zyski mogą liczyć posiadacze wcześniejszych serii akcji Agory, jak również ci z jej pracowników, którzy kupili ponad 2,2 mln akcji serii D po 1 zł za sztukę.

– Czujemy satysfakcję i dużą ulgę – mówiła prezes Agory, Wanda Rapaczyńska podczas konferencji prasowej na warszawskiej giełdzie. Cena debiutu pierwszej na GPW spółki medialnej była nawet wyższa niż ostatnie notowania GDR spółki w Londynie, które w poniedziałek sprzedawano po 10,7 USD, czyli po 42,9 zł.

– Mam nadzieję, że będzie powiększać się część akcji Agory dostępna dla drobnych akcjonariuszy – mówił prezes giełdy Wiesław Rozłucki. Na razie wśród drobnych inwestorów niewielu było tych, którzy mogli liczyć na większy zysk. Wprawdzie przeznaczono dla nich 787,5 tys. akcji serii E Agory, ale redukcja w tej transzy przekroczyła 92 proc. Jak podkreślała prezes Rapaczyńska, Agora będzie dbała o utrzymanie zaufania inwestorów, zapewniając im częste spotkania i telekonferencje. W Agorze powstał już specjalny dział do kontaktów z inwestorami.

Różnica między ceną emisyjną akcji w ofercie publicznej a pierwszym notowaniem na giełdzie (w proc.)

Spółka	%
Inter Groclin Auto	-4,2
Euro Bud Invest	-11,1
Gant SA	-11,1
Hydrobudowa Gdańsk	-21,8
EC Będzin	25,0
Z-dy Mięsne Jarosław	0,0
Mitex	153,3
Trans Universal Poland	0,0
Orfe	44,4
Polnord	6,3
Naftobudowa	16,7
Agora	38,6

MR

Większe zyski mogą już liczyć posiadacze wcześniejszych serii akcji Agory. Sukces „Gazety Wyborczej" (daje ona ok. 95 proc. przychodów spółki, które w ubiegłym roku wyniosły 550,69 mln zł) sprawił, że wśród posiadaczy akcji Agory jest dzisiaj spora grupa milionerów. Należy do nich 5 udziałowców podmiotu dominującego Agory – Agory Holding i 95 „kluczowych" pracowników spółki, którzy objęli akcje serii A i B (łącznie ponad 38,3 mln akcji). W tej grupie są np. członkowie zarządu spółki, posiadający 1,3 mln-1,8 mln akcji serii B. Na niemałe zyski mogą również liczyć ci pracownicy Agory, którzy objęli ponad 2,2 mln akcji serii D z oferty pracowniczej, sprzedawanych po cenie nominalnej (1 zł), choć swoje akcje będą mogli sprzedać dopiero po 1 lipca 2000 r.

A. B.

„Press", 15 lutego – 14 marca 1999


„Czynniki ryzyka: Uzależnienie od kluczowych pracowników"

„Banda czworga"...

...jak powiedzieliby Chińczycy z epoki postmaotsetungowskiej. My widzimy tylko cztery sympatyczne buzie. Ale pojawia się kolejna zagadka: kim jest Wanda, zwana przez „Press" Rapaczyńskl, przez „Rzeczpospolitą" zaś RapaczyńskĄ? Na zdjęciu wygląda jak młodsza siostra-bliźniaczka Heleny Łuczywo, więc może samouwłaszczenie się Agorą na wszelki wypadek nastąpiło tak, aby dosłownie „większość została w rodzinie"? Jak brzmi panieńskie nazwisko obu dam?

Tak czy inaczej, obraz się przejaśnia. Na czele Agory stoi czwórka najwierniejszych z wiernych i najpewniejszych z pewnych, sam wierzchołek Agorowskiego olimpu. Odrobinę niżej plasują się najważniejsi pretorianie: Seweryn Blumsztajn, Ernest Skalski i Piotr Pacewicz (według „Rzeczypospolitej") oraz jeszcze Juliusz Rawicz-Twaróg („Press"). Co z innymi założycielami pisma, wymienionymi przez Helenę Łuczywo i Grzegorza Lindenberga w *sławetnej „Informacji" z 7 maja 1990 roku*? Kim wreszcie są pozostali „najzasłużeńsi" pracownicy Agory, tworzący wspólnie – według prospektu – SETKĘ jej fizycznych właścicieli?

(znamienne fragmenty całostronicowego artykułu Rafała Kasprów i Luizy Zalewskiej)

Media. Dziesiąta rocznica „Gazety Wyborczej"

Z nędzy do pieniędzy

„Gazeta" wielokrotnie zajmowała wyraźne stanowisko w sporach politycznych. Jej rola jednak znacznie różni się od innych dzienników (na przykład „Trybuny" czy „Życia"), którym często zdarza się popierać publicznie zgłoszone koncepcje zaprzyjaźnionych polityków, a potem wcielać je w życie. „Gazeta" jest dużo bardziej samodzielna – sama kreuje wydarzenia polityczne albo przynajmniej starannie przygotowuje pod nie grunt. (...)

Niewykluczone, że zasługą „Gazety" jest w pewnej mierze obecny kształt Unii Wolności. Wczesną wiosną 1995 roku podczas rywalizacji o przywództwo tej formacji dziennik Michnika delikatnie popierał Leszka Balcerowicza – tak przynajmniej interpretowali to sami unici. „Gazeta" forsowała również Jacka Kuronia jako unijnego kandydata na prezydenta w 1995 roku – i ostatecznie to Kuroń ubiegał się o prezydencki fotel. (...)

Z sondaży opublikowanych trzy lata temu w "Wyborczej" wynika, że jeśli chodzi o powiązania z partiami politycznymi, czytelnicy najbardziej utożsamiają ją z Unią Wolności. Ostatecznym potwierdzeniem tak bliskich związków stało się przekazanie przez Agorę na konto wyborcze UW 300 000 zł przed ostatnimi wyborami do parlamentu. (...)

Swą linię polityczną „Gazeta" ujawniła jeszcze przed pierwszą rocznicą powstania. Zaangażowała się w "wojnę na górze", czyli spór w obozie solidarnościowym między zwolennikami Tadeusza Mazowieckiego a Lecha Wałęsy, po stronie ówczesnego premiera. Oburzona atakami na Wałęsę Komisja Krajowa „Solidarności" pozbawiła dziennik [rok później – SR] prawa do używania logo Związku.

Nie wszyscy dziennikarze „Wyborczej" byli zadowoleni z opowiedzenia się po jednej ze stron. Zdarzało się, że z tego powodu tracili pracę. – *Jestem reporterem, którego rolą jest dostarczanie faktów, a w trakcie kampanii prezydenckiej (jesień 1990 – SR) nalegano, bym wartościował kandydatów i w swych tekstach opowiedział się za Mazowieckim* – wspomina Krzysztof Leski, dziś dziennikarz BBC. – *Popadłem wówczas w poważny konflikt*

z kierownictwem „Gazety", potem zawieszono mnie pod byle pretekstem w prawach reportera, przeniesiono do działu zagranicznego, a potem wysłano na półtoraroczny bezpłatny urlop. [Wynika stąd że Leski odszedł z "Gazety" najwcześniej wiosną 1991 roku, a jeśli wykorzystał urlop, to dopiero jesienią 1992 roku – SR]. (...)

Kolejnym powodem niezadowolenia części dziennikarzy „Wyborczej" był wewnętrzny okólnik, wydany na początku 1991 roku. Ograniczał on współpracę z innymi mediami, ale – co ważniejsze – zakazywał dziennikarzom publicznego prezentowania poglądów sprzecznych z linią programową gazety. – *Ponieważ owej „linii programowej" nigdy nie sformułowano na piśmie, spytaliśmy wówczas szefów, co możemy mówić na temat ustawy antyaborcyjnej. Usłyszeliśmy, że „Gazeta" nie zajmuje wyraźnego stanowiska w tym sporze, więc nie możemy sprzeciwiać się nowym przepisom, ani ich popierać* – mówi Grzegorz Górny, wówczas młody dziennikarz działu reportażu dziennika Michnika, dziś redaktor „Frondy". – *„Gazeta" coraz mocniej nas krępowała. Zdarzało się, że wysyłano mnie na reportaż z gotową instrukcją: poprzeć tego, zaatakować tamtego. Ten sposób pisania nie odpowiadał mi, i gdy odszedłem, poczułem wielką ulgę.*

* * *

Trzy uwagi.

Autorzy mają absolutną rację, gdy podkreślają prawdziwie niezależną i twórczą zarazem pozycję „Gazety" na polskiej scenie publicznej. „Gazeta" nie jest oficjalnym organem żadnej partii, stowarzyszenia, czy związku zawodowego. Jako potężny i wpływowy podmiot polityczny, o rozległych kontaktach i wpływach w kręgach władzy i środków masowego przekazu w Polsce i za granicą, SAMA współkreuje rzeczywistość. Jest suwerenna, bowiem służy interesom tylko własnego środowiska.

Ten stan rzeczy kłóci się oczywiście z kanoniczną rolą publikatorów w społeczeństwie, która powinna polegać – gdy idzie o dzienniki ogólnoinformacyjne – przede wszystkim na powiadamianiu i kontroli. Tak widzą swoje miejsce w ramach tzw. CZWARTEJ WŁADZY najpoważniejsze i najstarsze gazety świata. „Wyborcza" natomiast, jako od poczęcia na wskroś polityczna córka Michnika i "Solidarności", przez następne lata dorobiła się i w pełni korzysta z olbrzymich i realnych, choć nieformalnych udziałów we wszystkich monteskiuszowskich sferach władzy: potrafi skutecznie lobować w parlamencie, ma wierne oczy, uszy i ręce w niemal każdym gabinecie, oddanych zwolenników w mediach publicznych oraz samorządach i organach administracji wszystkich rodzajów i szczebli, sądy zaś – sprawuje sama.

Po drugie, jak prawdziwa Rodzina, kierownictwo „Gazety" potrafi upilnować, by brudy nie były prane przy obcych, by nie stwarzać okazji do kłopotliwych pytań, by nie zostawiać po sobie śladów, by rozstawiać się z tymi, którym nasuwają się wątpliwości, by rozkazy wydawać językiem ezopowym, by zbyt niewygodni zostali przez cyngli dotkliwie ukarani, oraz by na wszelki wypadek wszelkie informacje o Firmie utrzymywać w dyskrecji, Te i podobne cechy „Gazety Wyborczej" ciągle kojarzą mi się z nazwiskiem Puzo, ale to chyba jakaś moja Agorafobia...
Jako wybiórczy dziejopis „Gazety", jestem „Rzeczpospolitej" szczególnie wdzięczny za wiadomość o tajnym okólniku kierownictwa „GW" z 1991 roku – posunięciu tak typowym dla tego środowiska, że bardziej już nie można sobie wyobrazić. Dziękuję także za relacje Leskiego i Górnego, które wprawdzie są w pełni zgodne z moimi wcześniejszymi obserwacjami, ale też stoją w wyraźnej sprzeczności z opinią Piotra Bratkowskiego (patrz: „Cyngle", str. 166). Gratuluję też Leskiemu i Górnemu odwagi cywilnej. Czy spośród tysięcy osób zatrudnionych w "Gazecie Wyborczej" ktokolwiek kiedykolwiek ośmielił się lub ośmieli pójść w ich ślady?
Po trzecie wreszcie: czemu w artykule Rafała Kasprów (Kasprowa? Kasprówa?) i Luizy Zalewskiej nie ma ANI SŁOWA o podstawowych zarzutach polityczno-moralnych (patrz choćby: „Kwestia honoru", str. 87), wielokroć wysuwanych publicznie pod adresem ojców-fundatorów „Gazety Wyborczej"? Dlaczego autorzy ogromnego tekstu w "Rzeczpospolitej" (kilkanaście stron znormalizowanego maszynopisu!) nawet nie pisnęli o tych kilku głównych oskarżeniach, tych najcięższego kalibru etycznego, tych najgłośniejszych, które Michnikowi et consortes postawiła część dziennikarzy, polityków, ludzi kultury?

Dziesiąta rocznica „Gazety Wyborczej”

Z nędzy do pieniędzy

Takiego deszczu milionerów jeszcze w Polsce nie było. Każdy z pakietów akcji, które posiada kilkudziesięciu pracowników spółki Agora, wydawcy „Gazety Wyborczej”, wart jest około miliona dolarów. Nie byłoby to możliwe, gdyby nie sukces, jaki odniósł najlepszy dziś w Polsce dziennik.

(odnoszące się tylko do finansów, skrócone fragmenty całostronicowego artykułu Rafała Kasprów i Luizy Zalewskiej)

Media. Dziesiąta rocznica „Gazety Wyborczej"

Z nędzy do pieniędzy

Takiego deszczu milionerów jeszcze w Polsce nie było. Każdy z pakietów akcji, które posiada kilkudziesięciu pracowników spółki Agora, wydawcy „Gazety Wyborczej", wart jest około miliona dolarów. Nie byłoby to możliwe, gdyby nie sukces, jaki odniósł największy dziś w Polsce dziennik.

Agora to właściciel największego dziennika w Polsce – „Gazety Wyborczej" – i współwłaściciel dziewięciu lokalnych stacji radiowych: jednej rozgłośni ponadregionalnej, drukarni oraz kodowanej telewizji Canal Plus. (...)

Pierwszy numer ukazał się w poniedziałek 8 maja 1989 roku w nakładzie 150 000 egzemplarzy. Wydała go spółka Agora, którą założyli Andrzej Wajda, Zbigniew Bujak i Aleksander Paszyński. Kapitał zakładowy wynosił 15 zł, a każdy z założycieli objął po jednej trzeciej udziałów.

Dziś średnia dzienna sprzedaż wynosi 450 000 egzemplarzy. Gazeta przewodzi we wszystkich zestawieniach – jest dziennikiem o największym nakładzie i największym czytelnictwie w Polsce. W pierwszym kwartale tego roku każdego dnia czytało ją przeciętnie 2,2 miliona Polaków powyżej 15. roku życia. (...)

Trzy tygodnie przed dziesiątą rocznicą wydania pierwszego numeru „Gazety" Agora zadebiutowała na giełdzie. Tego dnia jedna akcja warta była 50 zł. Agorę wyceniono na 2,8 miliarda złotych, co oznacza, że jest obecnie jedną z największych giełdowych spółek w Polsce. W tym samym dniu w Polsce pojawiło się kilkadziesiąt osób, z których każda posiada akcje warte około miliona dolarów. Przynajmniej pięć osób z tego grona plasuje się w czołówce największych prywatnych inwestorów giełdowych.

Prospekt emisyjny Agory informuje, że sukces spółki zależy w dużym stopniu od aktywnego zaangażowania trzech członków zarządu: Wandy Rapaczyńskiej, Piotra Niemczyckiego, Heleny Łuczywo, a także redaktora naczelnego Adama Michnika. Według prospektu, odejście każdej z tych osób mogłoby spowodować niekorzystny wpływ na działalność spółki. Członkowie zarządu są właśnie największymi beneficjantami wejścia spółki na giełdę.

Akcje Agory otrzymało około 1600 pracowników. Jednak 96 spośród nich, będących kluczowymi pracownikami firmy, posiada pakiety znacznie wyższe niż pozostali (głównie też oni zdecydowali o takim właśnie rozdziale akcji).

Osoby te w większości były związane z "Gazetą" od początku jej istnienia. Ponad dwadzieścia [??? – SR] osób stało się współwłaścicielami gazety jeszcze w 1990 roku. W 1998 roku osoby te zgodziły się na to, aby dodatkowe 75 osób zostało współwłaścicielami spółki. 96 kluczowym pracownikom przypada w udziale od kilku tysięcy do ponad 1,7 miliona akcji – w sumie ponad 19 milionów akcji o wartości prawie 1 miliarda złotych.

Najwięcej otrzymały cztery osoby: Helena Łuczywo (wiceprezes Agory), Piotr Niemczycki (wiceprezes Agory), Wanda Rapaczyńska (prezes Agory), Juliusz Rawicz (wicenaczelny „Gazety"). Niewiele mniej niż milion akcji otrzymali również: Seweryn Blumsztajn (kieruje lokalnymi dodatkami), Ernest Skalski (komentator „Gazety") i Piotr Pacewicz (wicenaczelny „Gazety"). Rekordzistą jest Piotr Niemczycki, którego 1,7 miliona akcji warte jest ponad 80 milionów złotych. (...)

Helena Łuczywo stanie się jedną z najbogatszych Polek. Pakiet akcji będących własnością Niemczyckiego plasuje go wśród największych polskich inwestorów giełdowych, między Michałem Sołowiowem (współwłaścicielem Echo Investment), a Sobiesławem Zasadą, znanym potentatem samochodowym. (...)

W grupie pracowników, którzy mogli nabyć pakiety akcji warte po kilka milionów złotych, jest wielu znanych dziennikarzy: Michał Cichy, Piotr Stasiński, Edward Krzemień, Joanna Szczęsna, Anna Bikont i Ewa Milewicz. Pakiety akcji warte ponad 1 milion dolarów każdy staną się także własnością założycieli dziennika: Zbigniewa Bujaka (obecnie polityka UW) i Andrzeja Wajdy, reżysera filmowego. [Czemu tak skrzywdzono Aleksandra Paszyńskiego, na Boga! – SR]

Pracownik sekretariatu redakcji uzyskał akcje o wartości 4,4 miliona złotych, były szef jednego z działów, a obecnie dyrektor w spółce – 24,3 miliona złotych, obecny zaś szef jednego z działów – 7,5 miliona złotych. Pakiet akcji, jakie ma szef innego działu, wart jest 5,8 miliona złotych, szefa zaś jeszcze innego działu – 11,5 miliona złotych. Szef jednego z dodatków regionalnych ma akcje warte 14,9 miliona złotych, a innego – 2,7 miliona złotych.

Żadna z akcji posiadanych przez kluczowych pracowników spółki nie może jednak być sprzedana od razu. Dopiero w lipcu 2000. roku będą mogli zbyć 20% akcji, a potem co roku najwyżej po 10%. W rezultacie całość akcji będzie można sprzedać dopiero po 10 latach. (...)

oraz

„Press", 15 lutego 1999

(odnoszące się tylko do finansów, skrócone fragmenty czterostronicowego artykułu Piotra Freulicha)

„Gazeta Wyborcza" wchodzi na giełdę

Akcja Agory

(„P") W połowie 1998 roku Agora zatrudniała 2347 osób. Jest firmą ludzi młodych – około 1900 pracowników nie miało wtedy ukończonych 40 lat, z czego ponad tysiąc ma mniej niż 30 lat.

Kierownictwo spółki dużo mówi o potrzebie satysfakcji z pracy, przywiązania do firmy oraz rozwoju zawodowego pracowników. Związaniu pracowników z firmą ma służyć 2,2 miliona akcji po preferencyjnej cenie 1 zł. Akcje te mogli kupić jednak tylko ci, którzy do 1 kwietnia 1998 roku przepracowali w wydawnictwie lub podmiotach powiązanych z nim kapitałowo co najmniej dwa lata. Staż odbyty w latach wcześniejszych liczył się wyżej niż ten z lat późniejszych.

Od momentu dopuszczenia akcji do publicznego obrotu dziennikarze „Gazety" niechętnie rozmawiają o sytuacji w firmie. Oficjalnie twierdzą, że są dumni z pracy u wydawcy silnego dziennika. Odmawiają jednak podawania nazwisk. [Czy to aby nie nazywa się **STRACH**? – SR] Ci, którzy mówili o firmie dobrze, zgadzali się na cytowanie swoich wypowiedzi tylko w przypadku wyrażenia na to zgody przez szefową Helenę Łuczywo. (...) Osoby niezadowolone z pracy w "Gazecie" krytykują zakaz sprzedaży akcji przez dwa lata od ich przyznania, czyli do 1 lipca 2000 roku. [Dla mnie patrzy to na rewelację, bo oznacza, że akcje rozdzielono już w połowie 1998 roku, ale przez 9 miesięcy nikt nie pisnął o tym ani słówka! Czy przypadkiem tak nie dzieje się w środowisku, w którym obowiązuje **OMERTA**? – SR] Jeżeli ktoś wcześniej zdecyduje się odejść, albo zostanie wyrzucony, będzie musiał odsprzedać akcje Agorze-Holding po tej samej cenie, po której je kupił, czyli po 1 zł.

– To nie jest związanie z firmą, ale uwiązanie pracowników. Zarząd Agory tym sposobem zapewnia sobie zaplecze pracownicze na dwa lata – ocenia dziennikarz z dodatku lokalnego. Ale wie, że – jak spora część jego kolegów – jest na straconej pozycji. W wielu miastach dziennikarzom trudno

dostać dobrą posadę, więc zostaną w "Gazecie", chcąc nie chcąc. Tym bardziej teraz, gdy mają okazję wreszcie na niej zarobić. (...)

Według komunikatu przekazanego przez Agorę, w ofercie pracowniczej wzięło udział 1550 osób. Przydzielono im 2 267 025 akcji. Zakładając, że Agora-Holding objęła przysługujące jej 60 000 sztuk, średnia liczba akcji, kupiona przez jedną osobę, wyniosła 1424. Według kursu 50-złotowego, taki pakiet wart byłby ponad 70 000 zł. Więcej zyskają osoby pracujące w Agorze przynajmniej sześć lat. Według naszych informacji, każda z nich uzyskała prawo do zakupu od 1500 do 3500 papierów. Rynkowa wartość takiej liczby akcji przy cenie 50 zł wyniosłaby od 75 000 zł do 175 000 zł. (...)

Kadra kierownicza i tzw. kluczowe osoby w kierownictwie już teraz mogą się czuć krezusami. Posiadają przecież 19 milionów akcji serii B, wartych około miliarda złotych. Wielkie pakiety akcji serii B należą do ścisłego kierownictwa: prezes Wanda Rapaczyński oraz członek zarządu i zastępca redaktora naczelnego Helena Łuczywo posiadają po 1,287 miliona akcji, a wiceprezes Piotr Niemczycki 1,761 miliona sztuk. Przyjmując cenę 50 zł za akcję i 4 zł za dolara, wartość papierów należąca do nich wyniosłaby odpowiednio: ponad 16 i ponad 22 miliony dolarów.

* * *

Po przeczytaniu tych informacji małżonka spytała niewinnie, czy pamiętam telewizyjną reklamę, na której pingwiny wygłaszają długie, choć dość monotonne sentencje: „Tak, tak-tak, taktaktak, TAK-tak, tak-TAK, taK-tAk-Tak...".

PrzyTAKnąłem.

– No widzisz, gdybyś w "Wyborczej" zachowywał się jak porządny pingwin, ze swoimi talentami byłbyś dziś prawdziwym multimilionerem, i to bogatszym od większości „Gazetowych" krezusów, bo przecież pracowałeś tam od samiuteńkiego początku!

– A gdybyś był takim pingwinem – kontynuowała romarzona połowica – moglibyśmy dziś, mając pięćdziesiątkę na karku, przenieść się wreszcie z lokatorskich slumsów do skromnego, ale własnego domu, umeblować go i wyposażyć wedle woli, kupić pierwszy w życiu samochód i przestać wreszcie uganiać się od rana do wieczora za pieniędzmi. Rozpoczynającym studia dzieciom wynajęlibyśmy samodzielne mieszkanie, a wakacje spędzalibyśmy od czasu do czasu w ciepłych krajach. Czy zdajesz sobie sprawę, że zmarnowałeś życie nie tylko sobie, ale i nam? Nigdy ci tego nie wybaczę!

I pocałowała mnie mocno.

Rankingi

Tak zwana PIERWSZA PIĘĆSETKA największych polskich przedsiębiorstw jest listą rozmaitych koncernów, fabryk, instytucji, spółek, banków i innych firm, które w danym roku osiągnęły największe w Polsce przychody.

Na wszystkich listach pierwsze miejsca zajmują takie giganty, jak sieci energetyczne i telekomunikacyjne, koncerny paliwowe czy banki, z wpływami od kilku do kilkunastu miliardów złotych. Pierwszą pięćdziesiątkę kończą firmy z dochodem rzędu 1,2 miliarda złotych, pierwszą zaś setkę – z dochodem rzędu 0,8 miliarda złotych.

W rankingach tych Agora (ponad 1 miliard złotych) zajmuje następujące lokaty:

„Gazeta Bankowa" – nr **63**

„Rzeczpospolita" – nr **63**

„Polityka" – nr **67**

Dla porównania, spółka wydająca „Rzeczpospolitą" znajduje się w **czwartej setce** największych przedsiębiorstw.

Do kogo naprawdę należy Agora?

Ja (Stanisław Remuszko) nie wiem. Może Czytelnik dojdzie tego na podstawie przytoczonych cytatów z obu źródeł:

(„**P**") Obecnie kapitał akcyjny Agory dzieli się na:

4 miliony 282 tysiące akcji uprzywilejowanych (1 akcja = 5 głosów na Walnym Zgromadzeniu Akcjonariuszy) serii A, które w całości należą do Agory-Holding,

39 milionów 109 tysięcy akcji serii B, z których 5 milionów 43 tysiące należy do amerykańskiej firmy Cox; 19 milionów 112 tysięcy do 95 pracowników Agory i pięciu osób fizycznych, a pozostałe 14 milionów 954 tysiące do Agory-Holding,

750 000 akcji uprzywilejowanych serii C, których właścicielem jest Cox (1 akcja = 5 głosów na Walnym Zgromadzeniu Akcjonariuszy).

Po przeprowadzeniu nowych emisji, posiadacze papierów serii D, E i F będą mieć 22,2% zwiększonego kapitału akcyjnego firmy. (...)

Agora oferuje trzy serie akcji: 2 miliony 267 tysięcy serii D pracownikom, 9 milionów serii E inwestorom zewnętrznym oraz 1 milion 350 milionów serii F podmiotowi, który zajmie się stabilizacją cen kwitów depozytowych emitowanych na rynkach zagranicznych w oparciu o akcje spółki. Zarząd Agory przewiduje, że spółka zadebiutuje na Giełdzie Papierów Wartościowych w Warszawie w drugiej połowie kwietnia 1999.

(„**R**") 2 miliony 267 akcji serii D zostało sprzedanych pracownikom po cenie 1 zł. 9 milionów akcji w serii E podzielono na transze małych i dużych inwestorów. W transzy dużych inwestorów pierwszeństwo do nabycia 12,5% akcji ma Cox Poland Investments, który wcześniej dysponował 13 procentami głosów. 1 milion 350 tysięcy akcji serii F sprzedano w transzy zamkniętej. W pierwszym okresie notowane będą tylko akcje serii E i F. Pracownicy posiadający akcje serii D nie będą mogli nimi obracać przez półtora roku. Jeśli rozwiązana zostanie z nimi umowa o pracę – bez względu na to, z czyjej inicjatywy – będą musieli odsprzedać swoje akcje po cenie nominalnej Agorze Holding.

(„**P**") Głównym akcjonariuszem Agory SA jest Agora Holding. Posiada obecnie 43,6% akcji, które dają jej możliwość wykonywania 56,9% głosów na walnym zgromadzeniu firmy. Żaden inny podmiot poza Agorą Holding

nie może mieć więcej niż 25% głosów na walnym zgromadzeniu wydawcy „Gazety Wyborczej". Ponadto posiadanie uprzywilejowanych akcji serii A, które ma Agora Holding, uprawnia do dokonywania zmian w radzie nadzorczej Agory. Agora Holding należy w równych częściach do pięciu osób. Są nimi: Wanda Rapaczyński, Piotr Niemczycki, Helena Łuczywo, Seweryn Blumsztajn i Juliusz Rawicz-Twaróg.

* * *

Nie licząc moich „Siedmiu pytań" z 7 maja 1990 roku, w minionych latach dwukrotnie zwracałem się na piśmie do kierownictwa Agory z prośbą o podstawowe informacje na temat samej spółki, a zwłaszcza „Gazety Wyborczej" (ostatni raz prosiłem o to w czerwcu 1999 roku). Rzecz jasna, *nigdy nie dostałem żadnych* odpowiedzi.
Gdy w sposób podstępny i nieprawy zawłaszczyło się społeczny majątek, to z tej moralnej grabieży wypadałoby jakoś się rozliczyć przed okpionym społeczeństwem, nieprawdaż? Pytam zatem publicznie: **kto konkretnie jest właścicielem Agory**? Proszę o listę zawierającą następujące dane: imię, nazwisko, procent udziałów, ich wartość rynkową oraz (ewentualnie) informację, jakie są dodatkowe uprawnienia władcze danej osoby. Oczywiście chodzi mi tylko o wymienioną w prospekcie emisyjnym „Agory" sławną SETKĘ jej pracowników, a nie o tych *nielicznych szczęśliwców*, którym udało się kupić akcje spółki podczas jej giełdowej inauguracji.
I tu dochodzimy do ostatniej szansy kierownictwa „Gazety Wyborczej" na zmycie z siebie przynajmniej części hańby, którą się okryło. Szansę tę zmarnowano, ale chyba nie uczyniono tego świadomie. Osobiście jestem przekonany, że po prostu nikt o *takim rozwiązaniu nie pomyślał, nikomu ani przez sekundę* nawet nie przemknęło ono przez głowę. Należało mianowicie co najmniej 49% akcji wchodzącej na giełdę Agory przeznaczyć dla drobnych inwestorów. Tymczasem, jeśli się nie mylę, dostali oni możność zakupu zaledwie KILKU procent akcji. Oznacza to na pewno dwie rzeczy: brak jakiejkolwiek skruchy u ludzi odpowiedzialnych za medialny „skok stulecia" oraz ich wprost niesłychaną chciwość i pazerność. Z jednym bardzo ważnym zastrzeżeniem: nie chodzi tu o chciwość skąpca, który siedzi na worku dukatów, ani nie o pazerność miliardera, który pragnie pieniędzy dla *następnych pieniędzy. Chodzi* o możność poszerzania władzy, czyli o realizację głównego celu, który przyświeca „Gazecie" od samych jej narodzin.



DUŻO NAS



Kiedy w roku 1989 robiliśmy sobie
pierwsze zbiorowe zdjęcie, zmieściliśmy się wszyscy
w piaskownicy żłobka, w którym się wówczas mieściła
redakcja „Gazety". Od tamtej pory urośliśmy
dwudziestokrotnie. Na naszej najnowszej fotografii
doliczyliśmy się 684 głów. A to przecież nie wszyscy.
W wielkim koncernie medialnym Agora SA
pracuje dziś ponad 2600 osób, w tym 690 dziennikarzy.
Niewielką przewagę mają kobiety.
Jest ich w Agorze 51 proc.
W naszej warszawskiej redakcji „Gazetę"
przygotowuje codziennie ponad 300 osób.



Dodatki

List otwarty do władz PRL

Kryzys polski trwa. Jednym z jego skutków, nader szkodliwych dla narodu, jest niemal powszechne poczucie niemożności prawdziwie efektywnego działania, częstokroć złączone z brakiem wiary w sens osobistych wysiłków dla wspólnego dobra. Nie powtarzając zbieżnych opinii wielu autorytetów co do pierwotnych przyczyn takiego stanu rzeczy, pragniemy wszakże dać wyraz mocnemu przeświadczeniu, iż wyzwalające aktywność jednostek i grup, korzystne i trwałe zmiany w klimacie społecznym są mało prawdopodobne bez usunięcia dwóch istotnych barier.

Uważamy zatem, po pierwsze, że kryzys nie może zacząć być przezwyciężany bez faktycznego, a nie tylko deklaratywnego honorowania prawa obywateli do swobodnego zrzeszania się. Doświadczenie minionych ponad 40 lat uczy bowiem, że zarówno próby politycznej monopolizacji inicjatyw społecznych, jak i licencjonowanie – wyjątkowo zresztą skąpe i obostrzone – obywatelskich poczynań w sferze społecznej, kulturalnej, gospodarczej, pracowniczej i zawodowej, nie do postępu w tych dziedzinach prowadzi, lecz do widocznego marazmu i apatii, pogłębianych jakże często uzasadnioną nieufnością. Przeciwni takiemu obrotowi spraw Polacy odczuwają coraz silniejszy niedosyt praktycznych rozwiązań, które odzwierciedlałyby istniejącą, bogatą różnorodność społeczną poprzez powstanie i działalność licznych towarzystw, instytucji, zakładów, wydawnictw i ruchów zależnych jedynie od ustawowych norm – nie zaś od doraźnej polityki administracyjnej i bieżącego samopoczucia władz.

Apelujemy zatem do rządzących, by uszanowali wolę każdego grona ludzi, którzy pragną zorganizować się w celach niesprzecznych z prawem. Apelujemy o zaprzestanie praktyki, według której o istnieniu i sposobie zaspokajania korporacyjnych potrzeb obywateli rozstrzyga widzimisię urzędnika. Apelujemy o zmianę anachronicznych przepisów stowarzyszeniowych sprzed ponad pół wieku oraz o ustawowe oddanie decyzji w tych sprawach pod nadzór sądów.

Uważamy, po drugie, że każdy obywatel ma prawo domagać się zmiany prawa w sposób niesprzeczny z prawem. Idzie tu o dwie kwestie ogromnej dziś wagi: o konsekwentną likwidację przepisów, struktur i mechanizmów, które albo w ogóle nie zdały życiowego egzaminu, albo się już przeżyły, oraz – z drugiej strony – o tworzenie na ich miejsce nowych ram, form i zasad życia zbiorowego. W historii PRL wielokrotnie zmieniano

konstytucję, setki razy ustawy, tysiące razy zaś akty niższego rzędu. Choć stanowienie prawa leży w gestii organów władzy i administracji państwowej, to otwarta krytyka konkretnych regulacji oraz przedstawianie i analiza pomysłów nowych unormowań jest niezbywalnym prawem każdego obywatela i każdego środowiska. Próby narzucania tematycznych tabu w tej sferze musiałyby być odebrane jako ograniczenie narodowej suwerenności.

Apelujemy zatem do władz, aby uszanowały to prawo. Apelujemy, aby nikt, kto odrzuca przemoc, nie mógł być karany za publiczne postulowanie zmian w obowiązujących przepisach. Apelujemy do rządzących o zgodę na tworzenie rzeczywistych warunków (czasopisma, kluby, etc.) dla nieskrępowanej dyskusji nad zaletami i wadami systemu społeczno-gospodarczego państwa. Apelujemy o uznanie, że nikt nie posiada patentu na nieomylność, ci zaś, którzy myślą odmiennie niż władze, mają takie samo prawo do wyłożenia społeczeństwu swych racji.

Polsce potrzebne jest prawdziwe porozumienie społeczne, którego stronami staną się nie tylko siły akceptujące obecny system – lecz i te, które widzą potrzebę jego głębokich reform, zmierzających ku wszechstronnemu upodmiotowieniu społeczeństwa. Stoimy tu na stanowisku, że warunkiem realizacji nowych, konkretnych rozwiązań prawno-instytucjonalnych powinno być wcześniejsze uzyskanie dla nich wymiernego poparcia większości Polaków. Wyrażamy również przekonanie, że na trudnej drodze kształtowania nowego polskiego ładu, żadna grupa, warstwa, klasa czy organizacja nie może wywyższać się nad inne ani też utożsamiać z całym narodem. Sądzimy, że przy takich regułach publicznej debaty nad naprawą Rzeczypospolitej oraz przy dobrej woli rozmówców – wspólny wielostronny sukces jest możliwy i konieczny.

Warszawa, grudzień 1987 – styczeń 1988

Lista 30 sygnatariuszy Apelu w kolejności alfabetycznej: dr Leszek Balcerowicz – ekonomista; prof. dr hab. Grzegorz Białkowski – fizyk; prof. dr hab. Jan Białostocki – historyk sztuki, członek PAN; prof. dr hab. Andrzej Białynicki-Birula – matematyk, członek PAN, dr Ryszard Bugaj – ekonomista; dr Andrzej Drawicz – rusycysta; prof. dr hab. Wacław Gajewski – biolog, członek PAN; Maciej Iłowiecki – dziennikarz; prof. dr hab. Maria Janion – historyk literatury; prof. dr hab. Stefan Kieniewicz – historyk, członek PAN; prof. dr hab. Włodzimierz Kołos – chemik, członek PAN; prof. dr hab. Władysław J.H. kunicki-Goldfinger – biolog, członek PAN; prof. dr hab. Zdzisław Libera – historyk literatury; prof. dr hab. Tadeusz Łepkowski – historyk; prof. dr hab.

Jerzy Łoś – matematyk, członek PAN; Artur Międzyrzecki – pisarz; Aleksander Paszyński – dziennikarz; Stanisław Remuszko – dziennikarz; prof. dr hab. Henryk Samsonowicz – historyk; prof. dr hab. Andrzej Schinzel – matematyk, członek PAN; prof. dr hab. Barbara Skarga – filozof; prof. dr hab. Józef Smak – astronom, członek PAN; prof. dr hab. Magdalena Sokołowska – socjolog; prof. dr hab. Jerzy Stembrowicz – prawnik; Jan J. Szczepański – pisarz; prof. dr hab. Wacław Szubert – prawnik, członek PAN; prof. dr hab. Andrzej K. Wróblewski – fizyk, członek PAN; prof. dr hab. Andrzej Zahorski – historyk; prof. dr hab. Janusz Ziółkowski – socjolog; Juliusz Żuławski – pisarz.

* * *

Gdy czytam ten tekst dziś – po TRZYNASTU latach od jego narodzin – widzę jasno, że wyszedł mi polityczny majstersztyk tamtych czasów (jesień 1986 – rok po Czarnobylu, Gorbaczow, pieriestrojka i głasnost'). Niemal fizycznie czuło się powiewy nowej, lepszej aury. W Apelu starałem się powiedzieć maksymalnie dużo, zachowując jednocześnie taką formę, styl i język, by władza nie miała do czego się przyczepić. Dziś jawi się to jako żywa antycypacja Okrągłego Stołu! Tyle że pomysł zgłosił niewłaściwy człowiek, dwa lata za wcześnie oraz bez uzgodnienia z opozycyjną górą...

Wyobraźmy sobie, jaki rozgłos zostałby nadany Apelowi, gdyby firmował go Michnik *et consortes*. Wyobraźmy sobie, co by było, gdyby Apel podpisało – jeszcze w 1986 roku! – nie 30, lecz 300, albo i 3000 znaczących osób. Byłem w stanie to zorganizować. Może troszkę inaczej potoczyłaby się historia naszego kraju?

Pamiętam dobrze: było jesienne popołudnie, a ja pierwszy raz umówiłem się telefonicznie z Adamem Michnikiem w jego domu (Aleja Przyjaciół 9 m 13; pamiętam, że zdziwiło mnie, iż na liście lokatorów widnieje pod tym adresem inna wizytówka: Ozjasz Szechter). Pamiętam, że Michnik czytał tekst z wyraźnym zainteresowaniem i w trakcie tej lektury przyszedł Anatol Lawina, i Michnik poprosił go, by też to od ręki przeczytał. Po czym powiedział coś w rodzaju: *Pokażę Lechowi i innym. Zobaczymy.*

Gdy dobry miesiąc później zagabnąłem go o losy tekstu, odparł wymijająco: *Na razie nie ma żadnych decyzji. Ale zostawmy to do wykorzystania przy okazji.* (TERAZ przypuszczam, że gdybym całą sprawę „zostawił", zapewne tekst nie ujrzałby światła dziennego do dziś. Ale WTEDY bardzo Adama Michnika podziwiałem i szanowałem, więc „jakoś" sobie wytłumaczyłem jego słowa. Tylko rok później zdziwiło mnie, że złożony w Sejmie Apel został przez prasę podziemną (w odróżnieniu od „naziemnej"...) praktycznie przemilczany. Lecz też sobie to „jakoś" wytłumaczyłem. Cóż, szczera miłość naprawdę bywa ślepa.

(Patrz również „List z Warszawy", str. 39)

Oświadczenie Stu

W grudniu 1988 roku na ręce Rzecznika Praw Obywatelskich zostało złożone następujące oświadczenie:

Ja, niżej podpisany(a), uważam, że w wyborach do Sejmu powinien móc kandydować każdy obywatel, który wcześniej uzyska wymierne poparcie elektoratu – na przykład podpisy jednego procenta osób uprawnionych do głosowania w danym okręgu wyborczym.

Deklarację tę podpisały następujące osoby (w porządku alfabetycznym):

Andrzej Ajnenkiel – historyk, Leszek Balcerowicz – ekonomista, Janusz Beksiak – ekonomista, Grzegorz Białkowski – fizyk, Andrzej Białynicki-Birula – matematyk, Tadeusz Bielicki – antropolog, Jacek Bocheński – literat, Stefan Bogusławski – lekarz, Andrzej Borówka – lekarz, Ernest Bryll – literat, Ryszard Bugaj – ekonomista, Adam Bujak – fotografik, Mieczysław Chorąży – biochemik, Roman Ciesielski – inżynier, Paweł Czartoryski – ekonomista, Marek Dąbrowski – lekarz, Andrzej Drawicz – rusycysta, Marian Drozdowski – Historyk, Mirosław Dzielski – filozof, Wojciech Dziembowski – astronom, Władysław Findeisen – inżynier, Władysław Fiszdon – matematyk, Wacław Gajewski – biolog, Aleksander Gieysztor – historyk, Stanisław Hartman – matematyk, Czesław Hernas – historyk literatury, Maciej Iłowiecki – dziennikarz, Alfred Jahn – geograf, Jerzy Janik – fizyk, Maria Janion – historyk literatury, Cezary Józefiak – ekonomista, Jan Kielanowski – biolog, Stefan Kieniewicz – historyk, Aleksander Koj – biochemik, Włodzimierz Kołos – chemik, Tadeusz Konwicki – literat, Maria Kopeć – lekarz, Łukasz Korolkiewicz – malarz, Rafał Krawczyk – ekonomista, Marcin Kubiak – astronom, Władysław J.H. Kunicki-Goldfinger – biolog, Zofia Kuratowska – lekarz, Stanisław Lem – pisarz, Jan J. Lipski – historyk literatury, Witold Lutosławski – kompozytor, Andrzej Łapicki – aktor, Jerzy Łoś – matematyk, Jan Malanowski – socjolog, Jacek Maziarski – dziennikarz, Bolesław Mazurkiewicz – inżynier, Artur Międzyrzecki – pisarz, Andrzej Mleczko – rysownik, Jan Olszewski – adwokat, Jerzy Osiowski – elektronik, Aleksander Paszyński – dziennikarz, Michał Pietrzak – prawnik, Maria Radomska – biolog, Konstanty Radziwiłł – lekarz, Stanisław Remuszko – dziennikarz, Marek Rostworowski – historyk sztuki, Marcin Ryszkiewicz – geolog, Jan Rzewuski – fizyk, Henryk Samsonowicz – historyk, Andrzej Schinzel – matematyk, Ryszard Semka – architekt, Andrzej Siciński

– socjolog, ks. Jan Sikorski – duszpasterz środowisk robotniczych, Władysław Siła-Nowicki – adwokat, Jerzy S. Sito – Literat, Ernest Skalski – dziennikarz, Barbara Skarga – filozof, Janusz Sławiński – historyk literatury, Józef Smak – astronom, Magdalena Sokołowska – socjolog, Jadwiga Staniszkis – socjolog, Wojciech Starzyński – weterynarz, Andrzej Stelmachowski – prawnik, Jerzy Stembrowicz – prawnik, Kazimierz Stępień – astronom, Adam Strzembosz – prawnik, Jerzy Szacki – socjolog, Klemens Szaniawski – logik, Henryk Szarski – biolog, Jan J. Szczepański – pisarz, Andrzej Szczepkowski – aktor, Andrzej Szczypiorski – pisarz, Jan Śpiewak – dziennikarz, ks. Józef Tischner – filozof, Jerzy Turowicz – dziennikarz, Łukasz A. Turski – fizyk, Witold Trzeciakowski – ekonomista, Andrzej Wajda – reżyser, Andrzej K. Wróblewski – fizyk, Henryk Wujec – normalizator, Krystyna Zachwatowicz – scenograf, Andrzej Zahorski – historyk, Andrzej Zawada – alpinista, Barbara Zbrożyna – rzeźbiarka, Janusz Ziółkowski – socjolog, Juliusz Żuławski – pisarz.

Gdańsk – Gliwice – Kraków – Lublin – Łódź – Poznań – Warszawa – Wrocław, sierpień-grudzień 1988.

* * *

[*Dlaczego tak długo? Jak się ma na utrzymaniu żonę z dwójką małych dzieci,* normalnie pracuje się, działa w pojedynkę i zbiera podpisy w tzw. wolnych chwilach – to skompletowanie setki autografów musi zająć trochę czasu...]

Wymyślając powyższe oświadczenie, pragnąłem, żeby jawnie godziło ono w samo czerwone serce systemu, żeby zarazem trudno było się do jego treści i formy przyczepić, i żeby sygnatariusze należeli do samego olimpu polskiej nauki i kultury (oprócz autora, oczywiście). Sądzę, że wszystko to się udało. Gdy złożyłem dokument gdzie trzeba i podałem go do publicznej wiadomości – bardzo byłem ciekaw reakcji. Jakże okazała się charakterystyczna! To, że Oświadczenie przemilczały ówczesne OFICJALNE środki masowego przekazu, było poniekąd normalne, podobnie jak to, że natychmiast poinformowały o nim wszystkie ZAGRANICZNE agencje, pisma, radia i telewizje, a polskojęzyczne rozgłośnie dodawały własne komentarze i rozmowy z sygnatariuszami. Zdumiało mnie natomiast, że tak doniosły politycznie pomysł praktycznie zignorowały dwa tytuły: naziemny „Tygodnik Powszechny" i podziemny „Tygodnik Mazowsze". Gdybym wiedział o toczących się w Magdalence rozmowach tego środowiska (przyszłej „Gazety Wyborczej") z komunistami, i gdybym wiedział o tym środowisku to, co wiem dzisiaj – nie zdziwiłbym się wcale.

Wypada powtórzyć słowa napisane *á propos* Apelu Trzydziestu: Remuszko był niewłaściwym człowiekiem, działającym w niewłaściwym czasie bez upoważnienia *właściwych ludzi.*

Polska Zjednoczona Elita Intelektualna

My, niżej podpisani, często różniący się poglądami politycznymi i oceną Lecha Wałęsy, wyrażamy głębokie przekonanie, że w obecnej sytuacji – z uwagi na dobro Polski – należy w II turze wyborów prezydenckich bezwzględnie głosować na Wałęsę. Andrzej Braun – pisarz, prezes Stowarzyszenia Pisarzy Polskich; Erazm Ciołek – fotografik; prof. Marek Dietrich – inżynier, rektor Politechniki Warszawskiej; prof. Wojciech Dziembowski – astronom; prof. Władysław Findeisen – inżynier, senator RP; Zbigniew Grzonka – chemik, rektor Uniwersytetu Gdańskiego; Maria Janion – historyk literatury; prof. Aleksander Koj – biochemik; Łukasz Korolkiewicz – malarz; prof. Władysław Kunicki-Goldfinger – biolog; prof. Jacek Kurczewski – socjolog; Witold Lutosławski – kompozytor; Artur Międzyrzecki – poeta, przewodniczący Komitetu Porozumiewawczego Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych; Andrzej Mleczko – rysownik; prof. Aleksander Müller – ekonomista, rektor Szkoły Głównej Handlowej; prof. Andrzej Pelczar – matematyk, rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego; Stanisław Remuszko – dziennikarz; Mikołaj Rostworowski – historyk sztuki; Ryszard Semka – architekt, prezes Stowarzyszenia Architektów Polskich; Władysław Siła-Nowicki – adwokat; Andrzej Stelmachowski – prawnik, marszałek Senatu RP; Jan Józef Szczepański – pisarz; ks. Józef Tischner – filozof; prof. Andrzej Zahorski – historyk; Andrzej Zawada – alpinista; Barbara Zbrożyna – rzeźbiarka; prof. Roman Żelazny – fizyk, prezes Polskiej Agencji Atomistyki. Gdańsk-Kraków-Warszawa, 1-3 grudnia 1990.

Oświadczenie to przekazała PAP*, a także ukazało się ono w kilku czołowych gazetach, parę dni przed drugą turą ubiegłorocznych wyborów prezydenckich. Tydzień później jego sygnatariusze dostali ode mnie list następującej treści:

Wielce Szanowni Państwo! To ja byłem samotnym pomysłodawcą, autorem i organizatorem „Apelu Trzydziestu" w 1987 roku, „Deklaracji Stu" w 1988 roku, publicznego protestu wobec wydarzeń w Chinach w 1989 roku, ostatnio zaś „Oświadczenia", które Państwo łaskawie zechcieli podcyfrować. W dziedzinie apelologii (deklaracjonistyki) mam już zatem za sobą prywatną praktykę – i to całkiem niezłą, jeśli zważyć, iż podpisy pod owymi tekstami zawsze składały osoby stojące najwyżej na Polskim Świeczniku.

Powyższe zostało powiedziane po to tylko, by przydać wiarygodnego kontekstu następnym słowom, które brzmią tak oto: w żadnym z trzech pierwszych

wymienionych przypadków nie napotkałem TAKICH TRUDNOŚCI, jak ostatnim razem!

Nazwiska zabiorę ze sobą do grobu – ze zwykłego wstydu. Uważam jednak za swój obowiązek przynajmniej poinformować P.T. Sygnatariuszy przytoczonego na wstępie „Oświadczenia", że:

• *Zbieranie podpisów odbywało się w dniach 1-3 grudnia – a więc wtedy, gdy społeczne obawy przed Tymińskim jako REALNĄ groźbą dla Polski osiągnęły swoje maksimum.*

• *Spośród około 40 osób, do których zwróciłem się z ofertą, brak ochoty na złożenie podpisu, a nawet wyraźną wrogość wobec tej inicjatywy, objawiła 1/3 pytanych; jest to wskaźnik przynajmniej TRZYKROTNIE większy od najwyższego, jaki dotąd mi się przydarzył.*

• *Kilka osobistości powszechnie uchodzących za wzór Cnót Obywatelskich mówiło o Wałęsie z pogardą i nienawiścią. Cytuję przykładowo: Poprzeć tego pętaka? Pan żartuje...; Pycha i egotyzm Wałęsy budzą we mnie większy strach niż Tymiński. Inne Uznane Autorytety bez żenady uzależniały swój akces od nazwisk współsygnatariuszy. Jeszcze inne Postacie niemożność podpisania się gorliwie uzasadniały sprawowaną godnością lub zajmowanym stanowiskiem: Pan rozumie, jestem prezesem, rektorem, prezydentem miasta, itp. Co ciekawe, odmawiano podpisu „z obu pozycji": dla jednych treść deklaracji była ZA MAŁO, dla innych ZBYT prowałęsowska.*

• *Tekst „Oświadczenia" złożyłem w poniedziałek 3 grudnia w PAP oraz – na wszelki wypadek, a też i było mi po drodze – w "Rzeczypospolitej" i w "Życiu Warszawy". Od depeszy z "Oświadczeniem" in extenso zaczęła PAP swój blok wyborczy w wieczornym serwisie, ale, prócz Wolnej Europy, ŻADNA gazeta (o ile wiem) nazajutrz nic na ten temat nie zamieściła. W środę „Oświadczenie" zostało podane przez „Życie Warszawy" i "Gazetę Wyborczą"*. Mimo obietnic kierownictwa redakcji, nie wspomniały słowem o "Oświadczeniu" dzienniki „Rzeczpospolita" ani „Czas Krakowski"...*

Tłem do tych okoliczności niech będą niesamowite doprawdy apele politycznych przeciwników Wałęsy (wprawdzie epistola non erubescit, ale scripta manent!), nagle i masowo drukowane w gazetach na parę dni przed II turą (w charakterze alibi?). Wezwania te naprzód deklarowały wierność dotychczasowej linii oraz expressis verbis nazywały Wałęsę sprawcą wszelkich bieżących nieszczęść Polski i Polaków. Potem następowała owych nieszczęść lista. Pod koniec – przeważnie w ostatnim zdaniu – z obrzydzeniem mówiono o głosowaniu na Wałęsę jako o mniejszym złu. Od tych emetycznych wyrazów poparcia godnie odstawał zasadniczy artykuł Jerzego Turowicza

w "Tygodniku Powszechnym". Z Turowiczem można się nie zgadzać, ale nie sposób nie mieć dlań głębokiego respektu.

Piszę te słowa mocno poruszony postawami części Elity. Urażona miłość własna, środowiskowy partykularyzm, kunktatorstwo, prywata, niedostatek cywilnej odwagi w tak PATRIOTYCZNEJ CHWILI – to fakty, nad którymi trudno przejść do porządku. Uważna lektura prasy oraz sygnały, które docierają z różnych regionów politycznych, zdają się nadto wskazywać, że opisany przypadek nie był bynajmniej odosobniony, że stanowi fragment ogólniejszego, specyficznego zjawiska społecznego. Mianowicie wraz z ustrojową normalizacją, nadchodzi chyba ZMIERZCH ELIT – w ich dotychczasowym kształcie.

Szkicowana grubą kreską (!) hipoteza wyglądałaby mniej więcej następująco. Polska Zjednoczona Elita Intelektualna stała się w latach osiemdziesiątych „kierowniczą siłą" solidarnościowej opozycji. Udawało się jej skutecznie pełnić tę rolę do czasu osiągnięcia głównego celu: pokonania komunistów i przejęcia władzy. Potem – przy budowie i realizacji programu POZYTYWNEGO – zaczęły nie wystarczać umiejętności sceniczne, matematyczne lub dziejopisarskie, talenty poetyckie, malarskie albo publicystyczne (wybitny biolog czy filozof może być marnym działaczem, organizatorem czy politykiem). Prócz tego raz poczęty Pluralizm nie dał się zamknąć we wrażej twierdzy, lecz jął panoszyć się także we własnym obozie, kładąc dramatyczny kres niedawnej jedności.

Ci artyści i uczeni, którzy znali i rozumieli osobliwą czasową SUBSTYTUCJĘ swej pozycji politycznej, gospodarczej lub menadżerskiej w Kraju, rozstają się z nią teraz z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku, z miłymi wspomnieniami, z lekkością w sercu, bez żalu i gniewu. Ci natomiast, którzy z perspektywą „powrotu do zawodu" (= utratą znaczenia!) nie chcą albo nie potrafią się pogodzić – cierpią, przeżywają lęki, stresy i inne przykre emocje, podziały zaś w "Solidarności" i próby ograniczenia jej do związkowo-zawodowych funkcyj, wraz z równoległym upartyjnieniem życia politycznego, traktują jako DOPUST BOŻY, zamiast jako normalność właśnie!

To temat-morze i wiele artykułów dopiero będzie napisanych. Co przepowiadając, kreślę się z prawdziwym szacunkiem, dołączając najlepsze życzenia Świąteczne i Noworoczne. Warszawa, 13 grudnia 1990. Stanisław Remuszko.

* * *

---

* PAP zatytułowała swoją depeszę: „Apel intelektualistów". „Wyborcza" najpierw przez jeden dzień przemyśliwała, czy nie dałoby się depeszy jakoś przemilczeć, w końcu jednak opublikowała ją pod tytułem (o mało nie pęknąłem ze śmiechu): „24 intelektualistów", podając zarazem w tekście, że podpisy złożyło... 26 osób. Że nie będzie „robił za intelektualistę" niejaki Remuszko – to dla mnie oczywiste, ale do dziś nie mam pojęcia, kto DRUGI nie był nim dla „Gazetki"...

Opinie

Pięć pytań

Żywotność niektórych stereotypów bywa zdumiewająca: wokół naocznie zmienia się świat, a stereotyp funkcjonuje jak gdyby nigdy nic. Wyjaśniając ów stan rzeczy, uczeni mówią m.in. o samej naturze człowieka, który dla swej równowagi psychicznej potrzebuje niezmienników jak wody i powietrza, a przed zmianą własnych poglądów nieświadomie broni się tym silniej, im mocniejsze przeżycia legły u ich podstawy.

13 grudnia 1981 roku wszyscy przeżyliśmy wstrząs i dramat. Kilkudziesięciu ludzi zginęło. Kilkuset zostało kalekami. Tysiące zraniono lub ciężko pobito. Dziesiątki tysięcy internowano. Setki tysięcy wyrzucono z pracy. Miliony straciły nadzieję. Nad Polską zapadła ciemna, mroźna noc.

Symbolicznym przedmiotem zbiorowej nienawiści stała się wówczas czarna WRONa, żywym zaś uosobieniem zła – generał Jaruzelski. Oskarżaliśmy tego człowieka o wszystkie możliwe zbrodnie i przestępstwa, zarzut zaś najcięższy ogłaszał go – jako autora stanu wojennego – zdrajcą narodu.

Minęło siedem lat. Przy niebagatelnym udziale człowieka w czarnych okularach doszło do tego, że w Pałacu Namiestnikowskim zasiedli naprzeciw siebie nieprzejednani dotąd wrogowie: komuniści i ich opozycja. Upłynęło jeszcze pół roku i oto w 35 procentach demokratycznie wybrany Sejm oraz w 100 procentach demokratycznie wybrany Senat wyniosły generała Jaruzelskiego do godności prezydenta.

Nie znamy jeszcze wielu istotnych okoliczności, które doprowadziły do proklamacji WRON. Według pułkownika Kuklińskiego, jedyną pewną alternatywą była zbrojna interwencja krajów ościennych z ZSRR na czele; wersję tę zdają się ostatnio dyskretnie potwierdzać w publicznych enuncjacjach m.in. osobistości radzieckie różnej rangi. Może więc generał Jaruzelski nie zdrajcą jest, lecz bohaterem, który ocalił nas od fizycznego zdziesiątkowania?

Nie myślę tu nikogo bronić ani atakować. Ostatecznym sędzią generała będzie historia, która po latach oceni jego postępowanie obiektywnie i z dystansu, na podstawie wszechstronnych świadectw: jego wiernych współpracowników i zaciekłych antagonistów, polskich i zagranicznych źródeł wojskowych oraz dyplomatycznych archiwów, na razie niedostępnych. Już dziś wszakże można – i dla intelektualnej uczciwości chyba warto – postawić kilka pytań, na które, chciał nie chciał, trzeba będzie kiedyś dać odpowiedź:

1. Czy zbrojna agresja państw Układu Warszawskiego na Polskę była istotnie przygotowywana?

2. Czy Polska mogłaby tę agresję zwycięsko odeprzeć – a jeśli tak lub nie, to jakie byłyby skutki stawianego oporu?

3. Czy tej agresji można było uniknąć nie wprowadzając stanu wojennego?

4. Czy stan wojenny musiał mieć taki przebieg, jaki miał – a jeśli nie, to jakie było pole manewru?

Zanim poznamy (jeśli poznamy) ostateczne rozstrzygnięcia tych kwestii, dobrze byłoby, aby każdy, podług swej najlepszej wiedzy i własnego sumienia, spróbował odpowiedzieć na pytanie następujące:

5. Co konkretnie zrobiłbym w grudniu 1981 roku, będąc na miejscu generała Jaruzelskiego? (28-XI-89)

Stanisław Remuszko

* * *

Tekst odrzucony w grudniu 1989 roku przez redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej" Adama Michnika, w grudniu 1990 roku przez redaktora naczelnego „Życia Warszawy" Kazimierza Wóycickiego i redaktora naczelnego „Rzeczpospolitej" Dariusza Fikusa, opublikowany zaś – ku mojemu miłemu zaskoczeniu – przez redaktora naczelnego dziennika „Nowy Świat" Piotra Wierzbickiego (tamże) w grudniu 1991 roku.

Tekst poniekąd bierze w obronę Wojciecha Jaruzelskiego – w tym sensie, że skłania czytelnika do prywatnych konkretnych odpowiedzi na zadane pięć pytań. Gdy się to uczciwie zrobi (lub przyzna do niewiedzy), wówczas potępienie generała Jaruzelskiego (jako rezultat tego myślowego eksperymentu) wcale nie jest już oczywiste. Ale kolejny raz okazało się, że w "Gazecie Wyborczej" (lub u jej medialnych *familiantów*) pewne „tematy" są zastrzeżone. Aby kogoś bronić lub ganić, nie wystarczą racjonalne argumenty i niezależność poglądów. Trzeba jeszcze mieć LICENCJĘ.

Patrz również: str. 29 i 143.

W imię zasad

Gdy się dobrze zastanowić i sięgnąć do przyczyn najważniejszych, źródłowych i fundamentalnych, to okaże się, że walczyliśmy z komuną nie tylko dlatego, że nie miała ona naszej demokratycznej legitymacji, lecz również – a może przede wszystkim – dlatego, że usiłowała zdobyć władzę nad naszymi umysłami, a więc regulować tę dziedzinę życia społecznego, która w zdrowym państwie nie powinna podlegać absolutnie NICZYJEMU monopolowi ani dominacji. Próbując sprawować wyłączny rząd dusz, komuniści szczególną „troską" otaczali kulturę, zwłaszcza zaś prasę, radio i telewizję, którymi skutecznie sterowali za pomocą środków niegodziwych, nieuczciwych i niemoralnych. Były nimi – przypomnijmy – cenzura instytucjonalna i wewnątrzredakcyjna, prawny zakaz wolnej konkurencji, nomenklaturowa polityka personalna oraz represje karno-administracyjne wobec niepokornych.

Gdy w historyczną niedzielę 4 czerwca 1989 „runęły mury", większość z nas nie miała konkretnej wizji polityczno-gospodarczego rozwoju Polski w najbliższych latach. Jako dziennikarze, pewni byliśmy wszakże jednego: najgłębsze zmiany nastąpią w publikatorach, w sferze społecznej komunikacji, gdzie najszybciej zaistnieje wymarzona NORMALNOŚĆ – czyli pluralizm, równość startowych szans, swobodny rynek przekonań, idei i poglądów. Czas pokazał, jak bardzo byliśmy ufni i naiwni, jak bardzo myliliśmy się.

Najpierw „Gazeta Wyborcza", która powstała z łatwo przeliczalnych na pieniądze środków i możliwości, przyznanych, wskutek kontraktu Okrągłego Stołu, całej ówczesnej opozycji – rychło została zawłaszczona (w przenośni i dosłownie) przez jedną wyrazistą grupę polityczną. Działalność „bezstronnej" Komisji Likwidacyjnej RSW sprawiła następnie, iż niemal wszystkie istniejące dzienniki i tygodniki zostały przyznane orientacjom „różowym" lub wręcz postkomunistycznym. Parlament przez bite trzy lata uchylał się od uchwalenia ustawy, która umożliwiałaby legalną konkurencję różnorodnym, zwłaszcza lokalnym stacjom radiowym i telewizyjnym.

Gdyby jedne pisma, rozgłośnie i "telewizornie" osiągnęły przewagę nad innymi w wyniku normalnej równoprawnej wolnorynkowej walki o czytelnika, słuchacza i telewidza – wszystko byłoby w porządku. Wszakże obecna oczywista hegemonia jednej generalnej opcji w polskich publikatorach wynika przede wszystkim z działań natury prawno-administracyjnej. Czy aby nie O TO SAMO – toutes proportions gardées – oskarżaliśmy wcześniej komunistów?

Dziennikarze i politycy dobrze wiedzą, że prasa, radio i telewizja pełnią dziś w Polsce rolę faktycznej czwartej władzy w stopniu znacznie wyższym niż w państwach o ustabilizowanej demokracji. Tym większa jest moralna odpowiedzialność decydentów za utrzymywanie stanu, w którym niby wszyscy są równi, ale jednak inni są równiejsi.

Piszę to wszystko z goryczą i nie bez powodu. W ostatnich dniach jesteśmy świadkami skandalicznej próby typowo komunistycznego, gdyż administracyjnego zlikwidowania rozgłośni skutecznie konkurującej – i to bynajmniej nie na niwie politycznej! – z rozgłośnią „równiejszą". Oto podległe rządowi służby nakazują zamilknąć nadającemu od lutego radiu WAWa, które właśnie obchodzi trzecią rocznicę złożenia oficjalnej prośby o koncesję. Koncesji tej WAWa nie dostała do dziś, natomiast „tymczasowe zezwolenie" przyznano – przedziwnym zbiegiem wypadków – jednej jedynej rozgłośni: radiu „Zet", zbliżonemu do „Gazety Wyborczej", do Unii Demokratycznej i do obecnego gabinetu...

Wierzę, że są jeszcze w Sejmie posłowie, którzy zechcą w tej sprawie skutecznie interweniować – w imię ZASAD.

Stanisław Remuszko

* * *

Kiedy w lutym 1999 roku minister edukacji uchyla zarządzenie rektora UW w kontrowersyjnej sprawie posła A. – natychmiast w "słusznej" prasie pojawiają się zarzuty, że minister w brudny sposób broni swego klubowego kolegi. Gdy jednak kilka lat wcześniej inny minister przyznał – na zasadach absolutnej wyłączności! – „tymczasową koncesję" pewnemu radiu, wszystko było w porządku. Dlaczego? Ponieważ był to nasz minister i nasze radio.

Puszka z pandorą

9 lutego świeżo upieczony minister spraw wewnętrznych Zbigniew Siemiątkowski wyjawił, iż wstrząsnął nim stopień penetracji środowiska dziennikarskiego przez UB, SB oraz UOP. Była to ponoć jedna z pierwszych rzeczy, o których dowiedział się jako nowy szef resortu. **Jestem przerażony liczbą tajnych agentów służb specjalnych, którzy pracują w różnych redakcjach** – miał powiedzieć.

Zgorszona naiwność ministra wygląda raczej na obliczony gest, bo przecież trudno uwierzyć, aby dobiegający czterdziestki dyplomowany doktor nauk, doświadczony członek sejmowej Komisji Administracji i Spraw Wewnętrznych oraz Doradczego Komitetu Politycznego przy ministrze SW, a od niedawna również członek dwóch speckomisji badających działania wiadomych służb – nagle się obudził. Ale zostawmy ministra: niech mu misja lekką będzie.

Jednak dzięki Siemiątkowskiemu po raz drugi stanęła na publicznym porządku dziennym sprawa współpracy dziennikarzy z tajną policją polityczną. Długo nie wierzyłem (nielicznym skądinąd) kolegom po fachu, którzy zaklinali się, że lustrację trzeba wprawdzie ZACZĄĆ od czołowych polityków, wysokich urzędników państwowych i sędziów, lecz SKOŃCZYĆ ją można dopiero po zweryfikowaniu żurnalistycznych kadr. Wskazywali oni, że **ów sanacyjny zabieg jest konieczny nie tylko dlatego, że prasa w każdym nowoczesnym państwie sprawuje de facto „czwartą władzę" (opiniotwórczo-kontrolną – obok władzy ustawodawczej, wykonawczej i sądowniczej), lecz również z tej przyczyny, że wpływ gazet, radia i telewizji na świadomość społeczną jest w młodych ustrojach dawnego „bratniego obozu" znacznie większy niż w starych ustabilizowanych demokracjach Zachodu.**

Jak bardzo ci koledzy mieli rację, przekonałem się dopiero w 1992 roku, obserwując udział dziennikarzy (zwłaszcza publicystów i komentatorów) we wprost niesłychanej nagonce polityczno-personalnej, którą solidarnie współorganizowało wiele redakcji w związku z ówczesną nieudaną lustracją. Początkowo nie rozumiałem, JAK MOŻNA tak wdeptywać ludzi w błoto, przypisywać im najgorsze intencje, oskarżać o próbę zamachu stanu, mieszać informację z komentarzem, wygłaszać kłamstwa i półprawdy, przemilczać fakty, głosić czystą żywą nienawiść – aż pojąłem, że ten istny Marzec '68 *a rebours* wziął się po części ze ŚMIERTELNEGO STRACHU niektórych massmedialnych poruczników i generałów o własną agenturalną skórę.

Spójrzmy zresztą na sprawę bez historycznych uprzedzeń. Gdzie bezpieka, zresztą na całym świecie, lokuje swoich agentów PRZEDE WSZYSTKIM? Wśród opozycji politycznej (z oczywistych przyczyn) oraz właśnie wśród żurnalistów – ze względu na specyfikę tego zawodu, którą jest zbieranie oraz rozpowszechnianie informacji i opinii. **Logika i statystyka podpowiadają zatem, że odsetek sekretnych współpracowników służb specjalnych po zmianie ustroju musi być wśród dawnych opozycjonistów oraz wśród dziennikarzy ZNACZNIE WYŻSZY niż „przeciętna krajowa".**

W Sejmie znajduje się pięć projektów ustaw lustracyjnych. Największym rozmachem wykazała się KPN, która chce lustrować także blisko siedmiusettysięczną rzeszę nauczycieli. Nikt jednak nie proponuje antyesbeckiej weryfikacji kilku zaledwie tysięcy dziennikarzy. Przypadek to, czy „uświadomiona konieczność"?

Za sprawą ministra Siemiątkowskiego, puszka z pandorą (kto wymyślił tę genialną trawestację?) została otwarta. **Postuluję dopisanie „czwartej władzy" do kategorii osób podlegających lustracji z urzędu.** Sprawa ta będzie dobrym testem szczerości i determinacji autorów wspomnianych pięciu rozwiązań. I choć niektórzy koledzy twierdzą, że zlustrowanie naszego środowiska grozi wielu redakcjom poważnymi perturbacjami kadrowymi – czy nie warto dać skórki za wyprawkę? (11.02.96)

Stanisław Remuszko

oraz

Archiwum prywatne, 1996

Dziennikarze do lustracji

Przypominając o wielkim wpływie gazet, radia i telewizji na kształtowanie się świadomości społeczeństwa oraz mając na względzie opiniotwórczo-kontrolną rolę środków masowego przekazu w budowie młodej polskiej demokracji – my, niżej podpisani, zwracamy się do pracującego nad ustawą lustracyjną Sejmu RP o włączenie dziennikarzy do kategorii osób podlegających lustracji.

Pod powyższym apelem, złożonym w Sejmie 18 października 1996 roku, podpisało się 31 następujących dziennikarzy, publicystów i wydawców: Teresa Bochwic, Mirosław Chojecki, Bogdan Chrabota, Erazm Ciołek, Krzysztof Czabański, Jan Dworak, Tadeusz Fredro-Boniecki, Andrzej Gelberg, Wojciech Giełżyński, Maciej Iłowiecki, Andrzej Jeleński, Jakub Karpiński, Tomasz Lis, Maciej Łętowski, Maciej Łukasiewicz, Marek Markiewicz, Jacek Maziarski,

Stanisław Michalkiewicz, Grzegorz Miecugow, Jacek Moskwa, Maciej Orłoś, Jan Polkowski, Stanisław Remuszko, Wojciech Reszczyński, Piotr Semka, Radek Sikorski, Maciej Strzembosz, Andrzej Urbański, Wiesław Walendziak, Rafał A. Ziemkiewicz I małgorzata Ziętkiewicz.

oraz

„Tygodnik Solidarność", 13 grudnia 1996

Apel o lustrację dziennikarzy

Większość „za"

Chcę się pokusić o krótkie podsumowanie apelu grupy dziennikarzy, publicystów i wydawców, którzy zwrócili się do nadzwyczajnej komisji sejmowej, rozpatrującej projekty ustaw lustracyjnych, o włączenie dziennikarzy do kategorii osób podlegających lustracji.

I. Przypominam, że w.w. pomysł zlustrowania dziennikarzy był od początku „inicjatywą prywatną", zrodził się z obywatelskiej „potrzeby serca i rozumu". Każdy sygnatariusz podpisywał się na własny rachunek, nikogo prócz siebie nie reprezentując. Zapewne nieco różniliśmy się poglądami na temat zakresu, głębokości, trybu i skutków ewentualnej lustracji, ale łączyło nas mocne przeświadczenie o słuszności dwóch następujących argumentów:

1. Donoszenie na kolegów (a szerzej: pełnienie w danym środowisku funkcji obcego ucha i oka) ma w naszej kulturze (polskiej i europejskiej) FATALNĄ konotację moralną; cóż dopiero, gdy kapuś taki służy władzy nie posiadającej demokratycznej legitymacji, i to w niesuwerennym państwie.

To jest racja etyczna.

2. Z prawdopodobieństwem bliskim pewności, można przypuszczać, iż listy tajnych agentów UB i SB są w groźnym posiadaniu:

• po pierwsze, osób nie należących dziś formalnie do elit władzy, lecz dysponujących ogromnymi REALNYMI wpływami biznesowymi, powiązań gangstersko-mafijnych nie wyłączając,

• po drugie, obcych wywiadów, z Moskwą na czele.

To jest racja patriotyczno-praktyczna.

II. Powyższe argumenty prolustracyjne odnoszą się do wszystkich osobistości społecznego zaufania (kilkanaście kategorii). Dlaczego za dziennikarzy należy wziąć się w jednej z pierwszych kolejności – zostało wyłożone w artykułach „Puszka z pandorą" oraz „Dziennikarze chcą samooczyszczenia". Dodam tylko dla przykładu i wyrazistości: **członkowie**

kierownictwa wysokonakładowego pisma mają na np. DECYZJE WYBORCÓW wpływ częstokroć większy niż pierwszoplanowi politycy.

III. Reakcja prasy na wiadomą inicjatywę okazała się więcej niż znamienna. Bez zarzutu spisały się publiczne radio i telewizja, a także „Polsat" i, o ile wiem, ogólnokrajowe rozgłośnie prywatne. Gdy idzie natomiast o gazety, lektura odnośnych wycinków mogłaby wejść do kanonu zajęć obowiązkowych dla studentów I roku żurnalistyki, do której przykazań PRYMARNYCH należy przede wszystkim: **informować w ogóle** (nie przemilczać); **informować rzetelnie** (kto, co, gdzie, kiedy, jak, dlaczego); wreszcie **nie splatać informacji z komentarzem**.

Pod tym względem bodaj tylko do „Rzeczypospolitej", „Tygodnika Solidarność" oraz „Nowego Państwa" nie mógłbym mieć nawet drobnych zastrzeżeń, a pod adresem następnych zaledwie paru gazet nie wysunąłbym uwag większego kalibru. Jeśli natomiast ktoś chciałby obejrzeć stos innych, często bulwersujących doprawdy wycinków – lub skonstatować brak jakichkolwiek doniesień w pismach, w których znaleźć się one powinny! – zapraszam do mojego archiwum.

Jako samotny pomysłodawca i takiż autor apelu, z propozycją złożenia pod nim podpisu zwróciłem się do 36 osób, z których 5 odmówiło*. Dla jasności: dziennikarzy sprzeciwiających się lustracji własnego środowiska nie uznaję automatycznie za byłych agentów, choć zarazem taka właśnie (lub zbliżona) przyczyna ich stanowiska widzi mi się – wśród rozmaitych innych powodów – statystycznie najbardziej prawdopodobna.

IV. Jednym z głównych zarzutów, kierowanych pod naszym (sygnatariuszy apelu) adresem, był brak jednolitej, dopracowanej koncepcji lustrowania żurnalistów. Zarzut ten podnosili zarówno politycy, jak i sami dziennikarze. Był to oczywisty wyraz ALBO szczególnie złej woli, ALBO zawodowego niechlujstwa, gdyż począwszy od „inauguracyjnej" konferencji prasowej, poprzez wystąpienia w radiu i telewizji, aż po głos zabierany w Sejmie, zawsze podkreślaliśmy, iż w miarę sprawne zebranie tych kilkudziesięciu podpisów pod apelem było możliwe tylko dzięki jego OGÓLNOŚCI. **Apel miał zwrócić uwagę decydentów (polityków, ustawodawców) na istnienie i na sedno problemu.** Żadne KONKRETNE rozwiązanie prawne nie było przedmiotem naszej inicjatywy.

V. Reakcję polityków uznaję za charakterystyczną – a o tym, co mam na myśli, wie każdy, kto uczestniczył w pamiętnym specjalnym posiedzeniu Komisji Nadzwyczajnej. Jeszcze raz dziękując prezydium Wysokiej Komisji za zaproszenie, stwierdzam ze smutkiem i konsternacją, że głównymi przeciwnikami naszych ogólnikowych lustracyjnych propozycji okazali się...

posłowie opozycyjni (Unia Wolności, Unia Pracy) oraz – o zgrozo! – reprezentant Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich (Ignacy Rutkiewicz).

VI. Wobec braku oficjalnego stanowiska przedstawicieli któregokolwiek z trzech działających stowarzyszeń zawodowych, przeprowadziłem w ostatnich dniach pospieszne konsultacje z większością sygnatariuszy apelu. Okazało się, iż zdecydowana większość z nich opowiada się za objęciem lustracją – jako MINIMUM MINIMORUM – dwóch kategorii osób:

– ścisłego kierownictwa publicznego radia i telewizji oraz PAP, ze szczególnym uwzględnieniem wszystkich szefów działów informacyjno-publicystycznych (w sumie 100 do 350 stanowisk, zależy jak liczyć),

– ścisłego kierownictwa przynajmniej ogólnokrajowych mediów prywatnych (przynajmniej redaktorów naczelnych), z jednoczesnym zagwarantowaniem im prawa do wystąpienia o lustrację swoich pracowników. W grę wchodzi kilkadziesiąt osób.

W tym miejscu nasza w miarę zgodna opinia dzieli się na dwie opcje: tych, którzy uważają, iż rezultatem „negatywnej lustracji" winien być ustawowy **zakaz piastowania w.w. stanowisk** (przynajmniej w mediach publicznych), oraz tych, którzy sądzą, że wystarczy ustawowa **groźba podania negatywnych wyników lustracji do wiadomości społeczeństwa**.

VII. Swoistym *pendant* do powyższego niech będą liczne podpisy Koleżanek i Kolegów popierające naszą inicjatywę. Nie było żadnej zorganizowanej akcji, nie wzywaliśmy do żadnego pospolitego ruszenia, a mimo to dostałem faksem kopie skierowanych do Sejmu listów, w których pod naszym apelem SPONTANICZNIE podpisało się sto kilkadziesiąt osób, głównie z działów informacyjnych publicznej telewizji i radia, z TAI oraz IAR, a także z "Polsatu", radia „WAWa" i radia „Eska", z "Tysola" „Rzeczypospolitej" i innych redakcji. Niech mi wybaczą (w kolejności alfabetycznej) Andrzej Bober, Irena Dziedzic, Alina Grabowska, Jacek Kaczmarski, Jolanta Kucharska, Jolanta Łopuszyńska, Wanda Nadobnik, Elżbieta Narbutt, Józef Ptaczek, Jerzy Redlich, Agnieszka Romaszewska czy Antoni Zambrowski, ale z ich akcesu cieszę się tak samo jak z poparcia dziesiątków bardzo młodych Koleżanek i Kolegów, których nazwisk po prostu nie jestem w stanie tu wyliczyć. W tych trudnych czasach to chyba dobry znak dla Polski i dla naszego środowiska: **mimo różnych życiowych doświadczeń i poglądów politycznych, mimo pokoleniowych różnic, w kwestii zawodowych pryncypiów potrafimy mieć podobne zdanie**.

Stanisław Remuszko

---

* Odmówili: B.T., A.M., K.G., M.P. i T.Ł.; ten ostatni dodał bez cienia żenady: Ale niech pan o tym nikomu nie mówi...

Glosa do rozmowy Arcybiskupa z Pisarzem*

Miękkie lądowanie

Wielce Szanowny i Dostojny Panie Gustawie!

Kanwą tego listu ma być Pana dialog z księdzem arcybiskupem Życińskim w lipcowej „Więzi". Ukrytym, lecz przecież wyraźnie słyszalnym tenorem obu wypowiedzi (jak je rozumiem) jest w istocie sławna Gruba Kreska, która – być może wbrew intencjom jej autora – w historycznej świadomości społeczeństwa polskiego utrwaliła się chyba już na zawsze jako świadoma i przemyślana rezygnacja z pociągnięcia do politycznej i moralnej odpowiedzialności ludzi dawnego reżimu. Punktem wyjścia Panów rozważań jest wprawdzie niedawno wydana w Paryżu „Czarna księga komunizmu" ŚWIATOWEGO – z jego setką milionów trupów i dobrym miliardem osobowościowych kalek – ale przecież ODNIESIENIA DO 45 LAT PRL aż się proszą. (...)

Moim zdaniem, nie da się adekwatnie ocenić systemu, nie oceniając zarazem ludzi, którzy ów system tworzyli. I tu zaczynają się schody. Jądrem systemu bowiem nie było ani kilkunastu członków Politbiura, ani niemal trzymilionowa w porywie (średni Gierek) rzesza szeregowych członków monopartii. Jądrem systemu było kilka, może kilkanaście tysięcy funkcjonariuszy partyjno-państwowych PRL, którzy w swych rękach mieli tę najprawdziwszą, codzienną władzę; którzy – praktycznie – stali poza prawem; których przeciętna moralność wreszcie (w sensie średniej arytmetycznej, rzecz jasna) tak różniła się od przeciętnej moralności pozostałych obywateli, jak krzesło elektryczne różni się od zwykłego. Otóż właśnie tych ludzi czują się w obowiązku do dziś chronić i bronić światli prominenci niektórych postsolidarnościowych środowisk. (...)

Proszę zobaczyć, na litość boską, co w lipcu 1998 roku á propos ewentualnej ustawy dekomunizacyjnej pisze w "Rzeczypospolitej" – otwarcie i bez cienia wstydu! – uczestnik obrad Okrągłego Stołu, prezes honorowy mojego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, redaktor Stefan Bratkowski: *Klasie byłych właścicieli Polski Ludowej przyznawałem nieraz i nadal przyznaję historyczną zasługę, że w roku 1989 bezkrwawo zrezygnowała z władzy, choć dysponowała wszelkimi środkami dla jej obrony. Polska w tej mierze była fenomenem wyjątkowym. Uważam dlatego za niehonorowe ograniczanie en bloc praw obywatelskich ludzi, którzy, oddając pokojowo władzę, mieli prawo liczyć na naszą lojalność...*

Ja mam już 50 lat, ale wciąż nie przestaję się dziwić (póki zdziwień, póty młodości). Powyższą opinię Stefana pokazywałbym na ćwiczeniach młodym dziennikarzom z pytaniem: co sprawia, że jest to opinia na wskroś nieuczciwa intelektualnie?

Chodzi zapewne o to – powiedziałby pierwszy student (dobry z logiki) – iż *właściciele PRL* władzę oddali nie dlatego, że, oświeceni Duchem Świętym, znienacka doznali moralno-demokratycznego wstrząsu, lecz dlatego, że przeprowadzili chłodną, racjonalną analizę prawdopodobnych wariantów rozwoju sytuacji, porachowali własne straty i zyski na tym tle, i wyszedł im Okrągły Stół jako rozwiązanie optymalne. Historia współczesna dowodzi – dodałby drugi (znawca tyranii) – że dla *obrony władzy* skuteczny na dłuższą metę bywa tylko terror, ale nie byle jaki, tylko na początek z codzienną setką świeżych trupów i tysiącem nowych więźniów; po tygodniu można pofolgować. Sęk w tym – wpadłby mu w słowo trzeci (mocny w dziejach) – że pod koniec lat osiemdziesiątych nie było już w komunistycznej Europie dostatecznie licznych grup ludzi rzeczywiście zdolnych do skutecznego wydawania i wykonywania takich rozkazów. Jeśli nie liczyć incydentu rumuńskiego (którego bieżące opisy, notabene, potem okazały się silnie przejaskrawione), przejęcie władzy WSZĘDZIE nastąpiło praktycznie *bezkrwawo*: w Czechach, na Słowacji i na Węgrzech, w Bułgarii, w NRD, wreszcie w samym ZSRR. (...)

No dobrze, ale co w tym wszystkim złego? – spyta ktoś postronny. – Skoro w totalitarnym systemie społeczeństwo nie mogło mieć swojej demokratycznej reprezentacji, czyż ci, do których i władza, i obywatele mieli zaufanie, powinni odrzucić ofertę rozmów i nie siadać do Okrągłego Stołu? – A broń Boże! – odpowiadam natychmiast. – Trzeba było siadać, trzeba było rozmawiać, niemal wszyscy uważaliśmy wtedy Okrągły Stół za istny cud, za dar niebios, za dziejową szansę, której nie wykorzystać, znaczyłoby prawie zdradzić Polskę. Ale podstawową rangę ma znamienny fakt: poprzez Okrągły Stół właściciele PRL nie przekazali władzy bezpośrednio narodowi, tylko „**NAM**" – wybranym przez siebie ludziom, o których wiedzieli, że nie zrobią im krzywdy (bo jeśli krzywda miałaby zostać zrobiona, to po cóż byłoby przekazywać władzę?).

Taka skorygowana wersja Bratkowskiego brzmi już spójnie: *ci, którzy NAM oddali władzę, mieli prawo liczyć na NASZĄ lojalność...*

I słusznie liczyli. Bo co się dzieje po 4 czerwca 1989 roku? Mimo szeroko znanych wysiłków części postsolidarnościowych elit (że wspomnę tylko „jednogłośny" wybór generała Jaruzelskiego na pierwszego prezydenta III Rzeczypospolitej...), sprawy polityczno-publiczne zaczynają powoli nabierać NATURALNYCH (więc również nagłych lub nieprzewidywalnych) rumieńców. W pierwszej kolejności oznacza to, że coraz większa liczba

obywateli odzyskującego swą suwerenność państwa coraz głośniej domaga się w pełni wolnych wyborów prezydenckich i parlamentarnych.

Co robią ci, którym przekazano władzę? **Robią wszystko, by do tych elekcji nie dopuścić albo maksymalnie je opóźnić – i mogę na ten temat szczegółowo świadczyć przed każdym sądem, ludzkim czy boskim!** Działają zatem albo z musu (???), albo z wewnętrznego przekonania – w jednakim wszelako obiektywnym charakterze: ochroniarzy peerelowskiej nomenklatury. W efekcie pierwsze całkiem demokratyczne wybory do Sejmu i Senatu odbywają się DWA I PÓŁ ROKU po Okrągłym Stole! Każdy, kto zna Polaków, dobrze wie, że to aż nadto długi okres, by zwycięską solidarnościową jedność z 4 czerwca 1989 zamienić w polityczną klęskę naszych „potępieńczych swarów". Po prostu wystarczyło poczekać i przeczekać – śpiewają radośnie Kwaśniewski z Urbanem – *with the little help of our friends from Solidarity, of course...*

A może niegdysiejsi NASI negocjatorzy podczas obrad Obłego Mebla uznali, że warto obiecać wszystko, byle tylko odbyły się choćby półwolne wybory, byle pojawiła się niecenzurowana prasa, byle zalegalizowano NSZZ „Solidarność", etc., etc?

Otóż – moim zdaniem – to bardzo cienka sprawa. Obiecywać bowiem w czyimś imieniu (z intencją dotrzymania słowa) można tylko wtedy, kiedy się ma w kieszeni demokratyczne pełnomocnictwa tego kogoś. Zasiadająca przy Okrągłym Stole strona „solidarnościowo-opozycyjna" miała od większości narodu takie niepisane pełnomocnictwa (czego dowiódł 4 czerwca '89), ale były one OGRANICZONE zarówno w politycznym czasie (u szarych ludzi sięgały góra roku, powie to Panu każdy uczciwy politolog, socjolog i psycholog), jak i w politycznej przestrzeni (co z kolei wykazał dramatyczny, już jesienny rozpad Komitetu Obywatelskiego). **Innymi słowy, dysponując tak ograniczoną legitymacją, LUDZIE HONORU powinni – w wewnętrznym planie politycznym – zrobić w zasadzie jedno: możliwie jak najszybciej przygotować w pełni wolne i demokratyczne wybory prezydenckie i parlamentarne.** Tymczasem ZBLATOWANA z komuną część solidarnościowców zrobiła wszystko, by obie elekcje maksymalnie opóźnić, a zarazem za wszelką cenę nie dopuścić do lustracji i dekomunizacji pod żadną postacią.

Sądzę, że jeśli ceną za Okrągłostołowy kontrakt była niepisana, lecz solenna obietnica wyżej zdefiniowanego miękkiego lądowania komunistów – nie należało tego kontraktu zawierać. Takie jest po prostu moje zdanie i z myślącymi odmiennie różnimy się rozumieniem istoty takich pojęć, jak patriotyzm, godność czy honor. **Można oczywiście rzec – w ramach pluralizmu i tolerancji – że Michnik jest PATRIOTĄ INACZEJ, godność nie jedno ma imię, a kodeksy honorowe Bratkowskiego i Boziewicza pochodzą z innych epok...**

Ale załóżmy na koniec – przy natężeniu dobrej woli – że Magdalenkowe obietnice nie były uczciwe, tylko zdradzieckie (czytaj: wallenrodowskie), i ci, którzy je dawali, czekali tylko na okazję, by wrogowi osłabła ręka z wycelowanym pistoletem. Skoro tak, to czemu przez następne lata ci sami ludzie byli przeciwnikami lustracji i dekomunizacji? Nawet wtedy, gdy Wielki Czerwony Brat całkiem już sobie poszedł, a miejscowy Stary Komuch zdziadział, wyłysiał i pała mu przegniła? Taka postawa oznaczać może wiele rzeczy, ale jedną na pewno: że podstępu żadnego przy Okrągłym Stole nie było. **Z tego zaś wynika niezbicie, że albo część ówczesnych NASZYCH dobiła wówczas z ONYMI politycznego targu z raczej niskich pobudek (udział we władzy i prozaiczne tego faktu skutki dla udziałowców), albo już wtedy istniało między nimi ideowo-moralne pokrewieństwo, jeśli nie tożsamość.** Nie wiem i nigdy się nie dowiem, która wersja jest prawdziwa (mogą być obie), ale obie oznaczają, że wszyscy ci ludzie są i pozostaną dla mnie zasadniczo obcy. Do końca mojego życia.

Owszem, jest jeden argument przeciwko lustracji i dekomunizacji, którym wymachuje się niczym sztandarem, i który z pozoru wygląda całkiem rozsądnie. To mianowicie szlachetna obawa, by nie skrzywdzić niewinnych, a do tego musiałaby niechybnie doprowadzić odpowiedzialność zbiorowa w rodzaju ustawy dekomunizacyjnej. Otóż trudno o większe nieporozumienie (lub oszustwo).

Zgłaszając przed czterema miesiącami w imieniu Akcji Wyborczej Solidarność projekt uchwały, w której Sejm RP potępia 45 lat PRL, poseł Stefan Niesiołowski z ZChN wygłosił przemówienie, które powinno wejść na trwałe nie tylko do historii polskiego parlamentaryzmu, lecz i do licealnych lektur (niechby nadobowiązkowych). To była wielka patriotyczna mowa, godna Piotra Skargi, i szkoda, że nie zamieściła jej „Rzeczpospolita" (choć sugerowałem); może zdobyłaby się na to „Więź"? Wagi moim słowom niech doda to, że ani Stefan Niesiołowski, ani ZChN jako żywo nie byli i nie są moimi politycznymi faworytami. Odbitkę całości załączam (myślę, że powinien Pan to przeczytać), a na użytek tej polemiki cytuję poniższy fragment:

Panie Marszałku! Wysoka Izbo! Rozumiem, że komunizm nie upadł w Polsce tak, jak hitleryzm, ale na skutek wewnętrznej słabości pokracznego, chaotycznego, scentralizowanego, tyrańskiego państwa. Nie udało się obalić komunizmu w 1956 roku, nie udało się go obalić później. Nieważne, czy to dobrze, czy źle. Może dobrze. Może cena ofiar byłaby za wysoka. Dlatego dziś efektem tego jest niezwykła łagodność naszego stanowiska. Nasze projekty, zarówno tej uchwały – jeżeli zbadać jej treść – jak i ewentualnych aktów dekomunizacji, oznaczają tylko tyle, że jeżeli ktoś się pomylił tak bardzo, że

służył siłom Polsce wrogim, jeżeli ktoś pomylił się tak bardzo, że zaprowadzał tu cenzurę, przemoc, dyktaturę, zabijał ludzi, a potem ich tylko więził, łamał, upokarzał, często zmuszał do zapisywania się do PZPR – bo tacy też byli, też to rozumiemy – i w różny sposób zniszczył życie kilku pokoleniom, w kuchniach ze ślepym oknem, w niekończących się kolejkach, w marnotrawnym systemie służby zdrowia, w systemie stałych upokorzeń doznawanych od przeróżnych urzędasów i lokalnych kacyków; jeżeli ktoś pomylił się tak bardzo, że zafundował nam takie czterdzieści pięć lat – ***to może niekoniecznie musi sięgać po władzę w Polsce demokratycznej?*** *(oklaski)*

Tylko tyle chcemy, *i żeby sytuacja była jasna:* **niczego więcej nie chcemy**. *Chcę wierzyć, że ktokolwiek mówi jedno zdanie więcej – o jakichś szubienicach, o trzech milionach przestępców, o czym był uprzejmy dziś powiedzieć Zbigniew Bujak, który marnuje swój piękny solidarnościowy życiorys; ktokolwiek mówi, że straszymy represjami, że wprowadzamy kategorię ludzi pozbawionych praw, ten się myli. Chcę wierzyć, że nie kłamie, tylko się głęboko myli...*

Prostota wywodu poraża. **Aby NAPRAWDĘ rozliczyć komunizm – nie wystarczą żadne uchwały potępiające, choćby podjęte przez cały naród w jakimś dziejowym referendum.** Dlaczego? *Primo* dlatego, że SPRAWCY realnego socjalizmu nad Wisłą mają takie oceny głęboko w nosie; dlatego, *secundo*, że dla pozostałej części rodaków ta demonstracyjna, jaskrawa, rzucająca się w oczy BEZKARNOŚĆ byłych *właścicieli PRL*, jest bardzo silnie i bardzo trwale demoralizująca (jeden z moich prywatnych mentorów, arcymądry profesor Klemens Szaniawski ś.p., głosił, że nic nie oddziaływuje tak skutecznie jak żywy przykład); dlatego, *tertio*, że podejmowanie kluczowych decyzji co do budowy niepodległego państwa (jego struktur, jego prawa i jego – zwłaszcza – gospodarki) przez ludzi o moralności i mentalności wyżej określonych Sprawców jest pod każdym niemal względem NIEBEZPIECZNE; i dopiero na koniec dla dwóch powodów (*quarto* – dyskomfort psychiczny, oraz – *quinto* – obawa przed powtórką), o których mówi Ekscelencja:

(W obecnej Polsce reprezentatywne grupy społeczne) przeżywają boleśnie sytuacje, w których emerytowani sympatycy systemu ludobójstwa skrzętnie korzystają z obfitych przywilejów, natomiast ich ofiary wegetują nierzadko na skraju nędzy.

I Pisarz:

Mam potrzebę bilansu i rozrachunku; nie żeby grzebać się sadystycznie w przeszłości, rozdrapywać zasklepiające się powoli rany, lecz dla uniknięcia popełnionych niegdyś błędów i zbrodni.

Ale jest przecież jeszcze jedna przyczyna, ważniejsza od wszystkich wymienionych. To po prostu **kara za wyrządzone zło**, skwapliwie nazywana

przez pojednanych z Kainami, przebaczających w cudzym imieniu Abli z "Gazety Wyborczej" ZEMSTĄ, a więc czynem niegodnym współczesnego Europejczyka (a zwłaszcza chrześcijanina, gdyż tylko Pan Bóg potrafi sprawiedliwie osądzić człowiecze grzechy).

Otóż jest to najbardziej cyniczna i obrzydliwa przez swe zakłamanie argumentacja, jaką kiedykolwiek słyszałem. Jeśli byłaby trafna, powinniśmy od razu zlikwidować kodeks karny i cały wymiar sprawiedliwości, by jego przedstawiciele nie uzurpowali sobie praw Sędzi Najwyższego. Że kodeks karny nie zna kategorii przestępstw politycznych? A czy ktoś mówi o grzywnach, konfiskatach, więzieniu, szubienicach, albo innych tego typu represjach? Chodzi o odpowiedzialność właśnie polityczną. Że tej nie można wymierzyć PRAWNIE? Ależ można, można, trzeba tylko chcieć; dowodzi tego historia najnowsza innych postkomunistycznych krajów. Jakoś nie słychać, by na Czechy, Niemcy, Węgry czy Bułgarię spadały gromy ze Strasburga za łamanie obywatelskich praw i deptanie ludzkiej godności byłych członków kompartii albo byłych agentów bezpieki...

Co tu dużo gadać, proszę Szlachetnych Panów: **nie da się rozliczyć komunizmu bez rozliczenia komunistów, a rozliczyć komunistów nie da się bez lustracji i dekomunizacji, czyli bez praworządnego ujawnienia agentury dawnej policji politycznej oraz bez obowiązującego przez okres jednej sejmowej kadencji zakazu piastowania kilku, może kilkunastu tysięcy najważniejszych stanowisk publicznych przez owych *kilku, może kilkunastu tysięcy funkcjonariuszy partyjno-państwowych PRL*, o których wcześniej pisałem**. Co stanie się z nimi na Tamtym Świecie, to już doprawdy sprawa Opatrzności i nie powinniśmy się w to wtrącać. Tu wszakże jest Ten Świat, konkretnie zaś – Polska 1998 AD.

Cały dramat – również mój osobisty – polega na tym, że w roku 1998 lustracja musi być ułomna (osiem lat możliwości spokojnego niszczenia akt), dekomunizacji zaś w ogóle nie da się przeprowadzić. Był na to czas jeszcze w 1990, najpóźniej 1991 roku. Ale niezwykle zasłużeni dla polskiej opozycji ludzie, których podziwiałem i szanowałem, których przyjaźnią kiedyś się szczyciłem, których gościłem we własnym domu – niemal zaraz po Okrągłym Stole jęli przy pomocy pióra i sejmowego guzika robić wszystko, by zagwarantować tym *kilku, może kilkunastu tysiącom funkcjonariuszy partyjno-państwowych PRL* owo MIĘKKIE LĄDOWANIE, które Pana Gustawa tak „niepokoi i rozgorycza". Jego Arcyekscelencja najsłuszniej pyta o "granicę zdrady, którą wolno wybaczać bez oznak skruchy u zdrajcy". **Ale kto zdradził, u licha?** Czy gangsterzy, którzy uczciwie zapłacili za bezpieczny powrót na ziemię, czy też konstruktorzy samolotu, piloci i naziemna obsługa lotniska?

Może właśnie o tej ogromnej pracy, o tych wszechstronnych staraniach i zabiegach, o tych uwieńczonych pełnym sukcesem wieloletnich wysiłkach Adama Michnika, „Gazety Wyborczej" i związanych z tą formacją środowisk dałoby się kiedyś wreszcie przeczytać na łamach „Więzi"? Tym bardziej, że przecież powszechnie wiadomo, kto od połowy 1989 roku miał największy wpływ na – jak to ujmuje Lubelski Metropolita – „obecny stan polskich sumień i przyjmowanych wartości moralnych"...

Nie chcę nikogo urazić. Ale odnoszę wrażenie, że gdyby w roku 1990 lub 1991 Szanowni Rozmówcy równie surowo jak dziś ocenili demiurgów naszych historycznych przemian za dopiero podejmowaną wówczas przez nich próbę Wielkiego Zamazania – głos taki wywołałby silne publiczne poruszenie, stałby się jasną wskazówką dla wielu polskich inteligentów, zdezorientowanych podziałami w Solidarności, i może polskie sprawy potoczyłyby się choć troszkę inaczej. Dziś taki dialog Obu Autorytetów ma już, niestety, wagę tylko akademicką – w tym sensie, w jakim Akademiją Moralnych Pięknoduchów można poniekąd nazwać zaledwie kilkutysięczne grono czytelników „Więzi". **Ale i za to szczerze dziękuję w imieniu grupy ludzi, którzy już przed ośmioma i siedmioma laty mówili kropka w kropkę to, co Panowie dziś, za co nazywano nas chorymi z nienawiści i pałającymi żądzą zemsty oszołomami.** Czemu teraz nikt nie ośmieli się przypiąć podobnych łatek Józefowi Ż. i Gustawowi H-G? Przykro rzec, ale nie dlatego, że tak prostacki i fałszywy zarzut wobec tak Kryształowych Osób uderzyłby rykoszetem w oszczercę, lecz dlatego jeno, że NINE YEARS AFTER dyskurs Ich Dostojności nie jest już groźny dla nikogo: ani dla postkomuny, ani dla jej wiernych postsolidarnościowych defenzorów. Odwrotnie: Panów krytyka po części ich uwiarygadnia, jako mianowicie gwarantów wolności słowa i demokracji...

Pisze Pan z goryczą, że okres 80 lat wymazano i odczarowano w ciągu niemal jednej nocy: *Prawie tak, jak gdyby nie było nigdy żadnego komunizmu; po prostu komuniści przedzierzgnęli się nagle i szybko w postkomunistów, a postkomuniści w socjaldemokratów. Po hasłem: patrzymy tylko w przyszłość, w imię świetlanej przyszłości odwróćmy się od przeszłości* (jeśli tego nie nazwano Grubą Kreską, to ja jestem Chińczyk). I dalej: *Tak więc największą, niemal błogosławioną zasługą „Czarnej księgi" jest wstrzymanie „miękkiego lądowania" komunizmu śmiertelnie ugodzonego, odwrócenie fali amnezji oraz historii przekreślanej i pospiesznie i beztrosko. „Czarna księga" nasuwa oczywisty wniosek, który przeoczono jakoś po roku 1989, w euforii „grubych kresek" i obłapek przy Okrągłym Stole (...)*

Otóż mam dla Pana niedobrą wiadomość, Wielce Szanowny Panie Gustawie. **Tę mianowicie, że Pan się myli**. Polityczne, gospodarcze

i społeczne miękkie lądowanie komunistów przemienionych w postkomunistów nazywających się socjaldemokratami JUŻ SIĘ DOKONAŁO i nie da się tego odwołać poprzez zgorszone załamywanie rąk, kategoryczną niezgodę i protesty Autorytetów Moralnych, poprzez publiczne apele o pamięć. Na to był czas przed ośmioma, może jeszcze siedmioma laty.

Gdy idzie zaś o miękkie lądowanie komunizmu jako SYSTEMU, komunizmu BEZ KOMUNISTÓW (i ich spadkobierców), komunizmu BEZLUDNEGO – to sprawa ta mało kogo dziś już w Polsce obchodzi, poza kurczącym się gronem niektórych historyków, politologów, etyków, filozofów i pisarzy. Załóżmy się o butelkę zalecanego przez kardiologów kalifornijskiego burgunda (ok. 20 zł), że mam rację, a o tym, czy ją mam, niech rozstrzygnie społeczny odbiór polskiego wydania „Czarnej księgi", podsumowany pół roku później.

Z głębokim respektem, serdecznymi pozdrowieniami, dobrymi życzeniami i mocnymi uściskami dłoni

Stanisław Remuszko

---

* Fragmenty prywatnego listu SR do GH-G z sierpnia 1998.

Dziesięć lat później

W 1999 roku mija dziesięć lat od historycznych wydarzeń, które doprowadziły do odzyskania przez Polskę niepodległości i demokracji. Jako państwo, wstępujemy dziś do NATO i przygotowujemy się do rychłego członkostwa w Unii Europejskiej. Polska gospodarka systematycznie rozwija się i przekształca. Wdrażane są reformy o żywotnym znaczeniu społecznym. Można powiedzieć, że z roku na rok normalnieje, stabilizuje się i umacnia nowy, szeroko rozumiany ustrój naszego kraju.

Zarazem jednak sporo rodaków – tych, których szczerze obchodzą losy Rzeczypospolitej i jej obywateli – odczuwa, by tak rzec, pewien niedosyt. Dla wielu z nas obecny stan rozmaitych „rzeczy i spraw" nie pokrywa się z wcześniejszymi prywatnymi wyobrażeniami o przyszłych konkretach. Oceną polskich realiów oraz propozycjami rozwiązań często różnimy się także między sobą. Lecz są to przecież rozbieżności naturalne, ba, stanowią poniekąd dowód naszego „patriotycznego zdrowia".

Co dziś, niemal dziesięć lat po symbolicznym 4 czerwca '89, trzeba nad Wisłą zmienić, uzupełnić lub poprawić? Która państwowa instytucja, które prawne unormowanie nie zdało egzaminu? Czego najdotkliwiej brakuje? Co razi najbardziej? Jakie są nasze bogoojczyźniane marzenia?

Przedstawiam – na dobry początek – swoją osobistą listę takich dużych i małych, pobożnych obywatelskich życzeń.

1. Referendum. Naród powinien mieć realne prawo do bezpośredniego sprawowania władzy. Obecnie referendum może uchwalić Sejm albo zarządzić prezydent (za zgodą Senatu). Uważam, że jeśli inicjatorzy referendum zbiorą pod jego projektem podpisy przynajmniej pięciu procent uprawnionych do głosowania – referendum musiałoby się odbyć, bez względu na opinie o nim jakichkolwiek organów państwa.

Takie prawo do referendum powinno odnosić się również do społeczności regionalnych i lokalnych.

2. Gminna ordynacja wyborcza. Doświadczenia różnych demokratycznych państw dowodzą, że o ile w skali kraju czy województwa, a nawet w skali powiatu, ordynacja proporcjonalna może być dla życia obywatelskiego równie przydatna jak większościowa, o tyle w skali gminy powinna bezwzględnie obowiązywać ta ostatnia, najlepiej z okręgami jednomandatowymi i II turą wyborów. Rady w gminach mniejszych byłyby oczywiście mniej liczne niż w dużych. W głosowaniu organizowanym na

zasadach podobnych do lokalnego referendum, wyborcy mogliby w trakcie kadencji odwołać radnego, który w ich mniemaniu źle się spisuje (przy ordynacji proporcjonalnej nie jest to nawet teoretycznie możliwe).

Za ordynacją większościową w gminach szczególnie mocno przemawia również przebieg niedawnych wyborów samorządowych. W rezultacie jej wprowadzenia, ludzie musieliby głosować na konkretnego, znanego sobie człowieka, a nie na anonimową w swej masie partię. Nie pociągnęłoby to za sobą absolutnie żadnego wzrostu kosztów. Przeciwko jest tylko interes partyjny: do łatwego wzięcia około 50 000 intratnych posad dla partyjnych działaczy najgorszego sortu (lepsi kandydują wyżej).

3. Elekcja prezydenta RP. W roku 1995 do boju o prezydencki pałac zapisało się aż 17 kandydatów, w większości od początku pozbawionych najmniejszych szans na wybór i w pełni świadomych tego faktu. Ułomność obowiązującej do dziś ordynacji sprawia jednak, że „zostanie kandydatem" jest niezwykle opłacalne, bowiem koszt oficjalnej rejestracji (czytaj: zbiórki wymaganej liczby 100 000 podpisów) równa się cenie standardowego „Mercedesa", a w zamian otrzymuje się bezpłatny i swobodny (z mocy ustawy nikt nie ma prawa ingerować w treść programów wyborczych) wielotygodniowy dostęp do radia i telewizji, wart reklamowo przynajmniej sto razy więcej.

Jak w roku 2000 uniknąć powtórki tego blamażu? Należy tak zmienić ordynację, aby – dla zarejestrowania – kandydat musiał uzyskać nie tylko znacznie większą startową akceptację społeczną (postuluję: podpisy jednego procenta ogólnej liczby wyborców; dziś w Polsce byłoby to ponad 250 000 dorosłych osób), lecz także – jak to się mądrze robi we Francji – poparcie określonej liczby (postuluję: jednego procenta) obywateli pełniących publiczne funkcje z wyboru, takich jak radni, senatorowie, posłowie, sędziowie etc.

4. Sam wybierz swojego szeryfa. Burmistrzowie, wójtowie, starostowie i prezydenci miast powinni być wybierani bezpośrednio przez mieszkańców. Staliby się wówczas niezależni od lokalnych układów i gier politycznych. Musieliby dotrzymywać wyborczych obietnic i w ogóle bardziej dbać o dobro lokalnej społeczności (czytaj: własnego elektoratu). Szary obywatel byłby dowartościowany.

5. Zakaz łączenia stanowisk. Posłowie i senatorowie nie powinni móc być ministrami. Radni wszystkich szczebli nie powinni móc być członkami samorządowych organów wykonawczych. Parlamentarzyści nie powinni móc być radnymi.

6. Przezroczystość majątkowa. Stosowne oświadczenia powinny składać – przed rozpoczęciem kadencji i po jej zakończeniu – wszystkie osoby pełniące funkcje publiczne z wyboru oraz wyższa kadra urzędników

mianowanych (mająca wpływ na to, co dzieje się z publicznym groszem). Oświadczenia te – oraz informacje o wszystkich bieżących zarobkach danej osoby w danym roku – muszą być drukowane w dziennikach urzędowych. Obawy, iż dostarczałoby to wskazówek gangsterom, można włożyć między bajki, zwłaszcza na tle doświadczeń zachodnich.

7. Reprywatyzacja. Myślałem, że już nie doczekam tego aktu elementarnej sprawiedliwości dziejowej, jakim jest zwrot prawowitym właścicielom lub ich spadkobiercom zrabowanego przez komunistów majątku. Tymczasem „Rzeczpospolita" z 8-XII-98 zamieściła niespodzianie komunikat o gotowym już, okazuje się, projekcie ustawy reprywatyzacyjnej, przygotowanym przez ministerstwo Skarbu Państwa. Nie jestem fachowcem, ale założenia tej ustawy jawią mi się jako całkiem rozsądne i uczciwe. *Rząd premiera Buzka* – brzmią ostatnie słowa rzeczonego komunikatu – *uznaje reprywatyzację za jeden ze swoich priorytetów i uważa, że przestrzeganie prawa własności jest elementem polskiej racji stanu.* Oby te słowa stały się ciałem!

8. Lustracja. Żeby się udała (na tyle, na ile dziś jest to możliwe). Żeby do kategorii osób lustrowanych dołączyć wszystkich dziennikarzy (jest ich mniej więcej tylu, ilu adwokatów).

9. Instytut Pamięci Narodowej. Żeby powstał i wypełnił zadania, jakie wyznacza mu zawetowana przez prezydenta ustawa.

10. Archiwa PRL. Żeby przynajmniej dla historyków zostały bezzwłocznie otwarte w całości. Szczególnym skandalem jest tu chronienie archiwów PZPR oraz brak u rządzących politycznej woli do znowelizowania ogólnej ustawy o archiwach – tak, aby zlikwidować komunistyczny „status specjalny" tak zwanych archiwów wyłączonych (MSW, UOP, MON i MSZ).

11. Kara śmierci. Do niedawna byłem jej przeciwnikiem. Po głębokim namyśle, do którego asumpt dały straszne zbrodnie ostatnich lat, uważam jednak, iż kara śmierci powinna zostać przywrócona – właśnie jako kara, a nie jako straszak dla potencjalnych zbrodniarzy. Kara ta mogłaby być orzekana tylko wtedy, gdy jednocześnie: nie ma żadnych wątpliwości co do sprawcy, sprawca działał z premedytacją, ofiara straciła życie.

12. Prawo Megan. Nie pamiętam już, gdzie wyczytałem, że w części Stanów Zjednoczonych AP obowiązuje prawo zwane od nazwiska jego orędowniczki prawem Megan. Daje ono możliwość orzeczenia wobec gwałcicieli kary dodatkowej, polegającej na opublikowaniu w lokalnych mediach zdjęcia i personaliów przestępcy wraz z sentencją wyroku. Może warto byłoby choć zastanowić się nad możliwością stosowania takiego lub podobnego prawa w Polsce, nie tylko w odniesieniu do gwałcicieli?

13. Pijani kierowcy. W pamiętnym głosowaniu większość posłów nie zgodziła się, aby prowadzenie samochodu w stanie upojenia alkoholowego było przestępstwem. Powiem wprost: posłów tych obciąża część moralnej odpowiedzialności za śmierć ponad tysiąca, kalectwo kilku tysięcy i cierpienia kilkunastu tysięcy corocznych ofiar wypadków samochodowych, których sprawcami są pijani kierowcy. Dzień w dzień, w świątek i piątek, jak Polska długa i szeroka, mordują oni Bogu ducha winnych ludzi, rozjeżdżają przechodniów na chodnikach, taranują auta, zabijają dzieci na przejściach dla pieszych itp., itd.

Trzeba tak zmienić prawo, aby (mowa oczywiście o sytuacjach bezwypadkowych) nietrzeźwy kierowca pierwszy raz przyłapany na gorącym uczynku musiał stracić prawo jazdy (na przykład) na rok, drugi raz – na pięć lat, trzeci zaś raz – dożywotnio. Personalia tak ukaranego kierowcy figurowałyby w specjalnej bazie danych, dostępnej z każdego policyjnego radiowozu. Prowadzący pojazd trzeźwy kierowca z zabranym wcześniej prawem jazdy obligatoryjnie wędrowałby do więzienia. Jeśli wskutek wypadku drogowego spowodowanego przez nietrzeźwego kierowcę ktoś straciłby życie – niezależnie od kary wymierzonej sprawcy, samochód automatycznie ulegałby przepadkowi.

14. Spółdzielcza skamielina. Po roku 1989 zreformowano nad Wisłą bodaj wszystkie dziedziny życia społeczno-gospodarczego, tylko gomułkowsko-gierkowska spółdzielczość mieszkaniowa w niezmiennym kształcie trwa do dziś, niczym żywa skamielina minionej epoki. Takich spółdzielczych kołchozów-molochów jak w Polsce nie ma nigdzie na świecie (z wyjątkiem państw postkomunistycznych). Żyje w nich całkowicie ubezwłasnowolniona szara masa członkowska, której jedynym obowiązkiem jest płacić i nie podskakiwać. Problem dotyczy dziesięciu milionów obywateli.

Trwające właśnie w Sejmie prace nad uwłaszczeniem kooperatystów nie wystarczą. Trzeba jeszcze, i to wprost przez ustawowe zapisy, zrobić przynajmniej dwie rzeczy: *primo* – wymusić odgórny albo umożliwić oddolny podział gigantycznych spółdzielczych blokowisk na kooperatywy jedno-, najwyżej kilkunastodomowe; *secundo* – zagwarantować spółdzielcom z jednego domu prawo do decydowania o konkretnym przeznaczeniu 9/10 (4/5? 3/4?) sumy czynszów, jakie w danym roku zostaną przez nich wpłacone. W rezultacie doszłoby do prawdziwego uspółdzielczenia spółdzielczości; zarazem nastąpiłby koniec osławionej „republiki prezesów". Daj Boże dożyć...

15. Kazachstan. Ponad 80 procent respondentów jednego z ogólnopolskich sondaży odpowiedziało twierdząco na pytanie: *Czy był(a)by Pan(i) gotów(owa) płacić przez rok jedną złotówkę miesięcznie na powrót rodaków z Kazachstanu?* Zupełnie nie pojmuję, czemu – przy tak życzliwym nastawieniu

społeczeństwa – wciąż brak woli politycznej do ustawowego rozwiązania problemu. Uważam, że – w ramach kompleksowego programu, z wyrównaniem budżetowym – parlament powinien na każdą gminę nałożyć obowiązek (złotówkowe pogłówne od dorosłego) corocznego sfinansowania powrotu oraz zapewnienia dachu nad głową, miejsc pracy i nauki dla jednej rodziny naszych rodaków z Kazachstanu. Dla czterdziestomilionowego narodu oznaczałoby to wywiązanie się w ciągu zaledwie czterech lat z oczywistego, moralnego i patriotycznego obowiązku udzielenia pomocy do osiedlenia się w Polsce wszystkim chętnym (tu: czterdziestu tysiącom niegdysiejszych przymusowych emigrantów, ich dzieci i wnuków).

16. Aleja Zasłużonych. Mówi się, że umarłych należy zostawić w spokoju, bez względu na to, kim byli za życia. Lecz przecie Aleja Zasłużonych na warszawskich Powązkach nie dla umarłych latami powstawała, jeno dla żywych – aby z tych, co odeszli, brać wieczny wzór. Groby w Alei Zasłużonych nie są zatem zwykłymi mogiłami, lecz narodowymi pomnikami. Dlatego należy przenieść z niej i złożyć w innym miejscu (niechby tego samego cmentarza) szczątki Bieruta i innych stalinowskich zbrodniarzy, splamionych osobiście krwią polskich patriotów oraz jawnie służących interesom mocarstwa wrogiego niepodległej Polsce i jej demokracji.

17. Odznaczenia. Bardzo chciałbym zobaczyć, jak pułkownik Ryszard Kukliński przyjmuje z rąk prezydenta Rzeczypospolitej Order Orła Białego. Z wiadomych względów nie wydaje się to możliwe wcześniej niż za dwa lata. Zarazem bardzo chciałbym ujrzeć Krzyż Wielki Orderu Odrodzenia Polski z Gwiazdą na piersi Leszka Balcerowicza, Hanny Gronkiewicz-Waltz, Marka Kotańskiego, Ewy Łętowskiej i Marka Markiewicza. Prosiłem prezydenta Lecha Wałęsę o takie uhonorowanie wymienionych osób, ale bezskutecznie. A przecież ludzie ci – każdy na swój sposób i w swoim czasie – *dobrze zasłużyli się Ojczyźnie*, jak powiedziałby marszałek Piłsudski.

18. Bez reklam. We wszystkich nadających w Polsce radiach i telewizjach. Jeden dzień w tygodniu. Osobiście preferowałbym niedzielę. Podług znanych mi badań, tego właśnie domaga się wyrazista większość tak zwanej opinii publicznej.

Stanisław Remuszko

Posłowie

Kiedy przed wzięciem się za niniejsze posłowie przejrzałem – pierwszy raz w całości – szczotkową odbitkę tego „kalejdoskopu", przez chwilę ogarnęła mnie wątpliwość, czy aby nie przesadziłem. Z zamieszczonego tu zbioru tekstów i tekścików najrozmaitszej proweniencji wyłania się bowiem obraz tak ciemny i brudny, że chyba nie może być prawdziwy!

A jednak jest, co mówią mi rozum i sumienie. Tyle że niepełny. Lecz moim zadaniem – tak jak je sobie wyznaczyłem – nie było kompleksowe opisanie „Gazety Wyborczej" ani w czterowymiarowej czasoprzestrzeni świata materialnego ani w rozlicznych możliwych ujęciach jej społecznego fenomenu (politycznym, kulturalnym, finansowym, historycznym, profesjonalnym, etc., etc.). Podczas pełni możemy w bezchmurne noce podziwiać krągłą, pyzatą, sympatyczną i błyszczącą tarczę Srebrnego Globu. Na co dzień mało kto pamięta, że nasz naturalny satelita ma jeszcze drugą półkulę, z Ziemi niewidoczną, choć równie realną przecież jak ta, którą oglądamy. Chciałem pokazać niewidoczną stronę Księżyca i sądzę, że mi się to udało.

Czy o "Gazecie" mógłbym rzec choć jedno dobre słowo? Ależ tak, ależ oczywiście, i to nie jedno, lecz wiele. Dość przypomnieć wspaniałe, godne podziwu i szacunku starania „Wyborczej", aby kobiety mogły rodzić po ludzku, aby matki miały dostęp do hospitalizowanych dzieci, aby bezdomni znaleźli dach nad głową, a potrzebujący lub chorzy – pomoc lub ulgę w cierpieniach. Chwała redakcji za stałe branie w obronę istot słabych lub bezbronnych, brawa za dziennikarski profesjonalizm i czytelniczą atrakcyjność, oklaski za „Magazyn" (choć nierówny...), szczere gratulacje z okazji tej znaczącej części ogromnego sukcesu medialnego, którą „ludzie »Gazety«„ zawdzięczają sami sobie.

Ale NIE O TYM traktuje ta broszura!

Opowiada ona mianowicie (spróbuję to ująć jednym zdaniem), w jaki sposób (podstępny i nieuczciwy) pewne wąskie środowisko przywłaszczyło sobie i rozbudowało narzędzie, które pozwala mu sprawować – bez żadnej odpowiedzialności przed współobywatelami – część nieformalnej władzy w Polsce, oraz co z tego wynikło dla mojej Ojczyzny, a także kto i jakie ma z tego korzyści.

Najważniejszym celem politycznym owego środowiska była ochrona „swoich" oraz zapewnienie komunistom miękkiego lądowania w nowej rzeczywistości. Za wszelką cenę nie wolno zatem było dopuścić do **lustracji** (ujawnienia tajnych współpracowników bezpieki oraz udostępnienia

obywatelom materiałów na ich temat przez bezpiekę zgromadzonych) oraz do **dekomunizacji** (zakazu piastowania w III Rzeczypospolitej przez jedną parlamentarną kadencję kilku tysięcy stanowisk przez kilka tysięcy byłych funkcjonariuszy PRL najwyższego szczebla). Oba cele zostały przez „Gazetę Wyborczą" osiągnięte w jakichś dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach (rozpoczęta po dziesięciu latach lustracja musi dziś być ułomna, a dekomunizacji przeprowadzić już się nie da).

Nie wiem, jak DOKŁADNIE przedstawiałby się mój kraj i moje państwo, gdyby lustracja i dekomunizacja została przeprowadzona wtedy, kiedy przeprowadzona być mogła (rok 1990, najpóźniej 1991), ale **wiem, że Polska byłaby dziś zasadniczo INNA oraz wierzę (mam ku temu szereg racjonalnych przesłanek), że byłaby także znacznie LEPSZA od obecnej**. Historycy coraz częściej głoszą (patrz np. seria publikacji w "Rzeczypospolitej" z jesieni 1999), że w latach 1990-1991 dałoby się – bez szkód dla procesów wolnościowych i demokratyzacyjnych – pójść politycznie „szybciej i dalej". To, że tego nie uczyniono, „zawdzięczamy" w głównej mierze środowisku „Wyborczej". Dlatego „ludzie »Gazety«„, jak pisałem do pana Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, *są i pozostaną dla mnie zasadniczo obcy. Do końca mojego życia.*

Z tekstów przytoczonych w tej osobliwej antologii wynika niezbicie, że środowisko „Wyborczej" charakteryzuje pewien specyficzny zestaw cech, które wprawdzie występują również wśród zwykłych ludzi, grup i mikrospołeczności, ale TU są niejako podniesione do kwadratu. Do cech tych zaliczyłbym w pierwszym rzędzie **mentalność Kalego, klanową solidarność, wyraźnie określoną hierarchię autorytetów, funkcjonalno-organizacyjne podobieństwa do mafii (nie w sensie prawa karnego, rzecz jasna), cenzurowanie inicjatyw, nieuczciwość polemiczną, poczucie własnej wyższości i nieomylności oraz antysemityzmową fobię**.

A propos ostatnich dwóch cech: przypomniało mi się, że „Gazeta Wyborcza" – w odróżnieniu od bodaj wszystkich prasowych tytułów – w ciągu dziesięciu lat istnienia NIGDY nie zamieściła na swoich łamach tradycyjnej czytelniczej ankiety! Czy to nie znamienne? Najlepszy bodaj znawca takich ankiet w Polsce, właściciel sławnego wśród socjologów biura „Estymator" Jacek Chołoniewski opowiadał mi kiedyś, jak przedstawił Ernestowi Skalskiemu propozycję takiego badania. *Nie to zdumiało mnie* – relacjonował Chołoniewski – *że mój projekt został z miejsca odrzucony, lecz to, że nikt nie wdawał się w choćby pobieżną analizę jego merytorycznej ani finansowej zawartości, a podany przez Skalskiego powód odmowy brzmiał po prostu: nie ma pana na liście firm z którymi współpracujemy.* Jakież to piękne...

Co się zaś tyczy antysemityzmu, to, po pierwsze, jestem antysemitą z całą nieubłaganą pewnością, ponieważ w tym zbiorku NEGLIŻUJĘ „Gazetkę", a – jak głosi złośliwa (antysemicka) zaśpiewka – *Gazetka, Gazetka, nikt nie ma w niej napletka...* Mówiąc zaś serio: najzupełniejszą rację ma ksiądz Józef Tischner, gdy twierdzi, iż Kościół wskutek własnych działań utracił więcej wiernych niż wskutek działań swoich przeciwników. Przed rozpoczęciem pracy w "Gazecie Wyborczej" wręcz oburzałem się, gdy ktoś w mojej przytomności wyraził się krytycznie o Żydach. Jednak rok spędzony w tej redakcji był lekcją co się zowie, święty mógłby utracić wiarę! I choć wciąż mam zaszczyt cieszyć się starą przyjaźnią paru wspaniałych Polaków żydowskiego pochodzenia, to dziś, poznając od czasu do czasu nowe osoby tej proweniencji, zachowuję – by tak rzec – dodatkową ostrożność, której pozbywam się dopiero po wybadaniu, czy gość nie jest aby osobiście związany z kręgiem „ludzi »Gazety«".

Według „Wyborczej", wszystko, co świadczy o jakichkolwiek charakterystycznych cechach pewnych żydowskich środowisk, jest przejawem antysemityzmu. INNI mogą być Polacy, Niemcy, Rosjanie, Amerykanie, Hindusi, Burowie i Aborygeni – byle nie Żydzi. Według „Gazety", niektóre osoby żydowskiego pochodzenia żadną miarą nie mogą być od innych nawet INTELIGENTNIEJSZE! Jako człowiek z wykształceniem ścisłym (mat-fiz), gorąco polecam tu Czytelnikom znakomity artykuł Krzysztofa Kłopotowskiego pod tytułem „Geniusz Żydów" („Życie" z 8-9 maja 1999). Świetnym przykładem antysemityzmowej obsesji „GW" jest zamieszczony w niej kilka dni później felieton „polemiczny" Marka Beylina: palce lizać!

No, ale zostawmy „Wyborczą" z jej obsesjami, maniami i czym tam jeszcze, i przejdźmy do formułowania kilku elementarnych pytań – w nadziei, że świat pozna wreszcie odpowiedź na nie:

1. Dwa pytania do panów Bujaka, Paszyńskiego i Wajdy. Wiosną 1989 roku, gdy zrzucili się Panowie po (dzisiejsze) 5 zł, zakładając spółkę Agora – czy zrobili to Panowie dla siebie lub dla określonej, kilkunastoosobowej grupy osób, czy też dla *niekomunistycznej części polskiego społeczeństwa*, w pełnym przekonaniu, że tylko firmują Panowie przedsięwzięcie, które *de facto* należy moralnie do całej „strony opozycyjno-solidarnościowej"?

2. Pierwsze zdanie podpisanej przez Helenę Łuczywo i Grzegorza Lindenberga sławetnej „Informacji" z 7 maja 1999 (patrz str. 59) brzmi: *Obecni właściciele Agory – Zbigniew Bujak, Aleksander Paszyński i Andrzej Wajda – zgodzili się 30 kwietnia na przekazanie większości udziałów osobom, które doprowadziły do powstania spółki i "Gazety", i dotychczas w niej pracują.* Skoro Panowie „zgodzili się", to ktoś musiał Panów o taką zgodę poprosić. Kto? Po drugie: przed chwilą zdawało mi się, że spółkę – formalnie rzecz biorąc

– założyli tylko trzej Panowie. Tymczasem podług „Informacji", *do powstania spółki doprowadziły* jeszcze inne osoby. Na czym – w sensie prawa – polegało to *doprowadzenie*?

3. Pytanie do każdej spośród 19 osób wymienionych w "Informacji" (jako nowi udziałowcy Agory): czy z dniem 30 kwietnia 1989 roku poczuł się Pan(i) legalnym(ą) prywatnym(ą) współwłaścicielem(ką) prywatnej firmy o nazwie Agora, z którą to własnością, bez pytania kogokolwiek o zgodę, miał(a) Pan(i) prawo zrobić co Jemu(Jej) się żywnie podoba – czy też nadal wyłącznie moralnym(ą) depozytariuszem(ką) dobra publicznego, należącego do całej „strony opozycyjno-solidarnościowej"?

4. Pytanie do redaktorów Rafała Kasprów i Luizy Zalewskiej: skąd w Państwa artykule (patrz. str. 175) wzięła się liczba PONAD DWUDZIESTU osób, które stały się współwłaścicielami gazety jeszcze w 1990 roku? Jeśli to nie pomyłka, to kim są osoby „z numerem" od dwudziestego do „ponad dwudziestego"?

5. Kto poprosił owych „ponad dwudziestu" właścicieli Agory, aby – jak Państwo piszą – *dodatkowe 75 osób zostało współwłaścicielami spółki*?

6. Na podstawie jakich kryteriów, w jakim trybie oraz kiedy nastąpiło zwiększenie liczby udziałowców Agory do 100 osób? Dlaczego fakt ten został przekazany do publicznej wiadomości z ponad półrocznym opóźnieniem?

7. Kim (imię, nazwisko, stanowisko) są obecni dominujący właściciele Agory (te 100 osób)?

8. Jaka jest faktyczna struktura decyzyjno-własnościowa Agory? Dołączony w lutym 1999 do „Gazety Wyborczej" miniprospekt emisyjny wchodzącej na giełdę spółki liczy bodaj 16 stronic formatu A-3 zapisanych maczkiem, od którego oczy bolą. Czemu „Gazeta", która słynie z łatwości nazywania rzeczy po imieniu i zrozumiałego tłumaczenia skomplikowanych powiązań, nie zamieściła dotąd prostej i zwięzłej informacji na ten temat?

9. Ile złotych wynosiły w ciągu minionych 10 lat WSZYSTKIE pochodzące z Agory coroczne dochody każdego spośród – odpowiednio – trzech, dziewiętnastu („ponad dwudziestu") oraz siedemdziesięciu pięciu kolejnych jej współwłaścicieli?

10. Pytania do kierownictwa Agory, do szkół (wydziałów) dziennikarstwa, do całej polskiej prasy (a także do wszystkich Czytelników): dlaczego niniejsza książeczka jest PIERWSZĄ po dziesięciu latach (!) dostępną na rynku pozycją o Agorze, „Gazecie Wyborczej" oraz „jej ludziach"? Dlaczego tak potężny koncern nie wydał dotąd własnej wersji własnych dziejów? Dlaczego na temat fenomenu Agory nie powstały dotąd w polskich szkołach wyższych dziesiątki różnoaspektowych prac magisterskich, czemu doktoratów na tak fantastycznym

materiale źródłowym nie porobili dotąd historycy, politolodzy, socjolodzy i prasoznawcy? Boimy się czegoś lub kogoś czy też liczymy na upływ czasu i zbiorową amnezję?

Już Fenicjanie znali starą prawdę, która dziś należy do finansowego elementarza startujących biznesmenów: najważniejszy jest PIERWSZY MILION! Rezultatem udanych rabunków, oszustw i kradzieży są niemal wyłącznie kwoty z zakresu pierwszego miliona. Dzieje się tak dlatego, że z pierwszego miliona bardzo łatwo zrobić kolejne miliony i miliardy, a gdy świadkowie wymrą i ludzie zapomną – nietrudno zostać powszechnie szanowanym obywatelem, mecenasem sztuk, fundatorem przytułków i dobrodziejem sierot, przy okazji zaś członkiem parlamentu (patrz str. 85).

Znawcy twierdzą, że w korzeniach drzewa genealogicznego wielkich fortun, możnych rodów lub potężnych koncernów niemal zawsze jest zaplątany jakiś trup, ukryty jakiś skok na bank, jakiś przekręt, gwałt, szantaż albo wojenne łupy – tyle że prawie nikt o tym nie wie, albo nie pamięta. I choć oczywiście Michnik z towarzyszami, „Gazeta Wyborcza", imperium Agory oraz ludzie, którzy z nimi lub za nimi stoją, nie popełnili żadnego przestępstwa – to w sensie MORALNYM różnicy specjalnej nie widzę (patrz str. 87).

Przytaczam te autocytaty w głębokim przeświadczeniu, że nic więcej – w najistotniejszej sprawie – powiedzieć się nie da. **I wieszczę Adamowi Michnikowi oraz jego wiernym towarzyszom: czyn, którym się splamiliście, ciążyć będzie na was do końca waszych dni.** Z właściwą sobie Kaliowatością, piórem pani Labudy wzywacie dziś postkomunistów, aby pozbyli się *szkieletu z szafy.* Czy nie wypadałoby zacząć od porządków we własnej piwnicy?

Teraz powiem P.T. Czytelnikom, CO SIĘ STANIE, JAKA BĘDZIE REAKCJA „Gazety Wyborczej" na niniejszy „kalejdoskop".

1. Wersja na 90%: głuche milczenie. Dlaczego – wielokroć wyjaśniałem wcześniej.

2. Wersja na 9%: rodzaj Stronniczego Przeglądu Prasy. Taka „recenzja", taki „dobór" cytatów, przedstawienie sprawy w takim stylu i formie, w takich aluzjach i kontekstach, aby każdy, kto dopuści choć częściową prawdziwość opisu, MUSIAŁ wyjść na skończonego kretyna (oszołoma, psychika, dewianta). Jak pokazywałem (patrz str. 171) – to jeden z ulubionych chwytów polemiczno-propagandowych „Gazety".

3. Wersja na 0,9%: Remuszko to jakiś wariat, który od lat nie robi nic innego, tylko układa paszkwile na „Wyborczą". Nikt nie traktuje go poważnie, więc i my nie będziemy się ośmieszać merytoryczną polemiką z bredniami.

4. Wersja na 0,09%: stek kłamstw na temat „GW" ogłosił niejaki Remuszko Stanisław, notoryczny alkoholik, malwersant, właściciel

podejrzanego biura badania opinii, podobno karany za narkotyki. Zalega z czynszem i bija żonę. Kiedyś robił dla brukowych gazet kronikę milicyjną, teraz widuje się go wśród gangsterów i mętów. Myje się tylko w soboty. Ma zepsute zęby.

5. Wersja na 0,009%: jedno zdanie (mimochodem, gdzieś między wierszami) o ukazaniu się mało ciekawego, nie wnoszącego niczego nowego, przedruku starych i nudnych publikacji o "GW".

6. Wersja na 0,0009%: krótka, w miarę rzetelna notka informacyjna drobnym drukiem na dalekiej stronie – I KONIEC.

7. Wersja na 0,00009%. Obicie Remuszki przez osiłków w ciemnej uliczce.

8. Wersja na 0,000009%. Pozwanie Remuszki do sądu za zniesławienie (oszczerstwo, potwarz etc.)

9. Wersja na 0,000001% (= cud). Wyczerpujący, uczciwy i rzeczowy spór na fakty i argumenty, z równymi prawami stron oraz z wcześniej ustalonymi (i dotrzymanymi!) regułami – „na łamach", ale może być też przed kamerami lub mikrofonami.

Pozostaje pytanie, jak porządny i inteligentny osobnik powinien zachować się na co dzień wobec „Gazety" i jej kierownictwa. Najlepiej byłoby pisma w ogóle nie kupować, i znam wielu ludzi na bardzo poważnych stanowiskach państwowych, którzy mówią dosłownie: *tej szmaty do ręki nie biorę*. Nie podzielam takiego punktu widzenia, gdyż nazbyt przypomina mi zaklinanie rzeczywistości niż na nią reagowanie. W żadnym wypadku nie uważam też „Wyborczej" za *szmatę*. Poza tym, jeśli paserów jest dzień w dzień pół miliona, to czy kradzież nie zyskała czasem społecznej absolucji? Choć z drugiej strony chyba nie, bo praktycznie do dziś nikt nie ma bladego pojęcia, że kupuje to, co nie tuczy...

Świat jest taki, jaki jest, to samo ze zjadaczami chleba, i próby usilnego przerabiania ich w aniołów zazwyczaj kończą się fatalnie. **Sądzę, że uczciwy i rozumny człowiek, który przeczytał tę książkę, nie powinien pisać do „Gazety Wyborczej" ani podawać ręki jej właścicielom.** Ale to tylko moja prywatna opinia.

Stanisław Remuszko

Warszawa, 1 grudnia 1999


NAM
NIE JEST
WSZYSTKO
JEDNO

"Nam nie jest wszystko jedno"

HOŁD PRESS

gazeta WYBORCZA

23 września w „Gazecie Wyborczej" w postaci płatnej reklamy ukazała się wkładka o Arabii Saudyjskiej. Opowiadali o tym kraju przedstawiciele jego władz. Z całego dodatku Arabia Saudyjska jawiła się jako miły, przyjazny, piękny kraj, w którym ludzie żyją spokojnie i bezpiecznie, a władze martwią się tylko o to, żeby obywatelom było jeszcze lepiej. To są przedstawiciele tych samych władz, o których Adam Michnik pisał per „dyktatorski reżim". Reżim, któremu Amnesty International poświęciła raport i regularnie alarmuje opinię publiczną o ciągłym łamaniu podstawowych praw człowieka, o torturach, braku wolności słowa, stosowaniu kary śmierci, łamaniu praw kobiet, praw religijnych i czego tam jeszcze. I proszę, „Gazeta Wyborcza" – tak czuła na naruszanie podstawowych wolności – chętnie reklamująca akcje Amnesty International przeciwko chińskiej polityce wobec Tybetu, z obrzydzeniem wypowiadająca się przeciwko wojnie w Czeczenii, z nienawiścią pisząca o łamaniu prawa przez władze Rosji, nagle publikuje na czterech stronach kłamliwą reklamę. Co innego od siebie, co innego za pieniądze. Obłuda, że rzygać się chce.

Mamy propozycję dla wszystkich dyktatorów i tyranów. Nic a nic nie przejmujcie się tym, co „Gazeta Wyborcza" o was wypisuje. Po prostu wykupujcie specjalny dodatek, w którym będziecie mogli bez przeszkód pisać, że u was jest cudnie, a tortury, którym poddawani są wasi obywatele, to opracowana przez naszych naukowców rewolucyjna forma rehabilitacji osób niepełnosprawnych, którą w waszym opiekuńczym państwie opłaca się z budżetu. „GW" to weźmie. Bo jej „nie jest wszystko jedno". Zwłaszcza gdy chodzi o pieniądze.

M. W.

Dodatki
do II wydania

Po roku

Przypomnę – po pierwsze – że redagowana przez Adama Michnika od maja 1989 sławna „Gazeta" w dość powszechnej i słusznej (!) ocenie uchodzi za bezprecedensowy fenomen medialny w całej historii światowej prasy. Po drugie – jak zgodnie twierdzą obserwatorzy – jest ona jednym z najważniejszych, by tak rzec, współdemiurgów polskich przemian politycznych ostatniego dziesięciolecia. Po trzecie – „Wyborcza", zajmując wśród ogólnopolskich dzienników 44% czytelniczego rynku („Super Express" 34%, „Rzeczpospolita" 13%), pozostaje, siłą rzeczy, nie tylko najpopularniejszym, ale i najbardziej opiniotwórczym pismem w Polsce. Wreszcie, wejście wydającej „Gazetę" spółki Agora na giełdę częściowo ujawniło – po czwarte – potęgę finansową tego medialnego koncernu: miejsce w pierwszej pięćdziesiątce krajowych przedsiębiorstw, własna lokalna prasa, rozgłośnie radiowe, udziały w telewizji, inwestycje w internecie.

W sumie, wziąwszy pod uwagę również koligacje i parantele, można z pełnym przekonaniem rzec, że **„Gazeta Wyborcza" jest najpotężniejszym i najbardziej wpływowym medium w Polsce**. Takim nadwiślańskim „New York Timesem". Pismem – dodajmy – owianym mgłą tajemnicy, powstałym w nie do końca jasnych okolicznościach, za publiczne pieniądze. Jest gigantem (imperium Agory), który do dziś utrzymuje w sekrecie swą strukturę organizacyjną i nazwiska właścicieli.

Otóż o takiej to niepowtarzalnej, unikatowej instytucji po dziesięciu latach jej istnienia ukazało się przed Bożym Narodzeniem 1999 – NAGLE i BEZ ZAPOWIEDZI – pierwsze zwarte opracowanie, pierwsze studium, pierwsza książka. W normalnym kraju, w każdej zdrowej demokracji, fakt ów stałby się dla środowisk intelektualnych małą SENSACJĄ DNIA; w każdym razie o **samym ukazaniu się książki** poinformowałaby przeważająca większość środków masowego przekazu. Oczywiście późniejsze ewentualne recenzje mogłyby być miażdżące, życzliwe albo neutralne, ale to już inna sprawa. Co zaś się stało w Polsce? Historia, którą Państwu przedstawię, wydaje się nieprawdopodobna. Posłuchajcie.

Jestem zawodowym dziennikarzem. W "Gazecie Wyborczej" pracowałem od samego jej poczęcia i narodzin, czyli od wiosny 1989 roku. Początkowo zaszczycony osobistym zaproszeniem Adama Michnika do powstającego zespołu redakcyjnego, zwolna poznawałem to specyficzne środowisko od wewnątrz. Po kilku miesiącach zacząłem nabierać zasadniczych moralnych wątpliwości. Na moich oczach działo się coś, co żadną miarą dziać się nie powinno, jeśli „Gazeta" – owoc historycznych porozumień Okrągłego Stołu – miała te porozumienia wy-

pełniać. Widziałem, jak pismo, które w pierwszym numerze zobowiązało się być reprezentantem całej zróżnicowanej demokratycznej opozycji, zostaje przejmowane – w przenośni i dosłownie – przez jedną wąską opcję ideowo-polityczną, reprezentowaną przez jedno wąskie grono ludzi. Byłem świadkiem, jak dokonują oni – na swoją prywatną korzyść – pierwszych „przekształceń własnościowych". Patrzyłem, jak w fundamentach przyszłego (największego w tej części Europy) medialnego koncernu zakopują pierwszego przysłowiowego nieboszczyka i jak kradną przysłowiowy pierwszy milion. Z przerażeniem obserwowałem, jak posługują się kłamstwem i półprawdą, cenzurą, manipulacją i obłudą, jak niszczą „obcych" i promują „swoich", jak coraz aktywniej biorą udział we władzy...

Jako JEDYNY protestowałem, apelowałem do kierownictwa o zmiany, w końcu pisałem listy otwarte do całego zespołu – wszystko na nic. Wreszcie, wyzbyty złudzeń, nie chcąc uczestniczyć w tym brudnym przedsięwzięciu, strząsnąłem proch z sandałów i demonstracyjnie odszedłem z redakcji. Dziesięć lat później, w roku 1999, namówiony przez przyjaciół, przejrzałem prywatne archiwa, odkurzyłem odnalezione dokumenty i wszystko, com WTEDY widział i słyszał, opisałem w małej broszurze. **Wprost wierzyć się nie chce, ale – powtórzę – okazało się, że jest to pierwsza książka o "Gazecie Wyborczej" po dziesięciu latach jej istnienia!** (Byłbym wdzięczny za informację, ile w Bibliotece Kongresu USA jest pozycji traktujących o "New York Times").

Wróćmy do fascynującej historii tej książeczyny. Dzięki cudownemu wynalazkowi, zwanemu składem komputerowym, mogłem wszystko przygotować do druku dosłownie nie wstając od biurka. Robi się to tak: kleci się (na ekranie) stronę po stronie, przepuszcza przez elektroniczny słownik, potem cyfrowo łamie i numeruje (można automatycznie, ale ja wolę rękodzieło), wreszcie drukuje lustrzanym sposobem na domowej laserówce, najlepiej – dla sporej oszczędności – od razu na folii.

W trakcie tych rzemieślniczych prac zastanawiałem się, jak NA STARCIE odebrać przeciwnikowi głębszy polemiczny oddech. Rozumowałem tak: w promocyjnych zaproszeniach trzeba podać przynajmniej, kto jest autorem książki. Gdy tylko padnie moje nazwisko, Michnik z towarzyszami – trafnie przypuszczając, że Remuszkowe opowieści o "Gazecie" muszą być wobec niej wysoce krytyczne – wykorzystają swe ogromne wpływy w świecie mediów, aby imprezę zbojkotować, oraz zrobią wszystko, by do czytającego społeczeństwa dotarło potem jak najmniej wieści o istnieniu fatalnej broszury.

Chodziło więc tylko o to, by pozbawić „Gazetę" i jej duchowych wasali JEDYNEGO racjonalnego argumentu, którym można by uzasadnić głuche milczenie, które – tak czy inaczej – miało zapaść wokół mej książczyny. Argumentem tym, teoretycznie logicznym, mogła być wyłącznie jej zawartość,

czyli oczywiste BZDURY, INWEKTYWY, NONSENSY, OSZCZERSTWA i FAŁSZE, do jakich uciekł się w swych wypocinach Remuszko, aby dać upust wyssanej z mlekiem matki nienawiści wobec „Wyborczej". **Jednak ten, kto takim powodem chciałby wiarygodnie tłumaczyć swą nieobecność na promocyjnej konferencji prasowej, powinien WCZEŚNIEJ znać treść książki.** Trzeba było zatem tę ewentualność kategorycznie wykluczyć. Jak?

Rada w radę, postanowiliśmy z żoną wziąć się za całą operację jak za najlepszych konspiracyjnych czasów. Po pierwsze, o przygotowywaniu broszury nie poinformowaliśmy praktycznie nikogo, nawet najbliższych ideowych przyjaciół. Po drugie, robotę poligraficzną powierzyliśmy zaufanemu kumplowi z czasów stanu wojennego, który zresztą tytuł książki poznał dopiero w momencie wręczenia mu stosu wspomnianych foliowych arkusików, i który potem w swojej firmie sam zrobił blachy oraz wydrukował offsetowo pierwsze sto egzemplarzy. Po trzecie, zrezygnowaliśmy z tradycyjnej metody wprowadzania książki na rynek, kiedy to wydawca pospołu z autorem rozdają gratisowe egzemplarze znajomym krytykom z odpowiednim wyprzedzeniem – po to, aby pierwsze recenzje mogły ukazać się w dniu oficjalnej celebry. Po czwarte, osobiście przetransportowałem cały nakład do własnego mieszkania (dwa kursy z wyładowanym plecakiem), ponownie dokonując zadziwiającego odkrycia z czasów noszenia bibuły: najcięższą rzeczą na świecie jest PAPIER!

Tego dnia (dobrze pamiętam!) wczesnym wieczorem po raz kolejny pogłaskałem podpierający białą ścianę stos równo ułożonych czerwonych tomików, potem wziąłem żonę za rękę, gwizdnąłem na psa i poszliśmy na długi spacer, a wracając – nieoczekiwanie kupiliśmy sobie butelkę wódki, zadzwoniliśmy po ogromną pizzę, i wypiliśmy całą tę wódkę, i pożarliśmy pizzę, a później wyłączyliśmy telefony i spaliśmy jak dzieci do białego dnia...

Pierwsze kilka poleconych lotniczych listów z książką – do odbiorców w Australii, Ameryce Południowej i Afryce – zostało nadanych w poniedziałek 13 grudnia. We wtorek 14 grudnia w taki sam sposób wysłaliśmy książkę do adresatów w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie oraz wyekspediowaliśmy pocztą zaproszenia na specjalną promocyjną konferencję prasową do 25 najważniejszych polskich mediów z siedzibą w Warszawie. Na koniec, w środę 15 grudnia, kilkanaście egzemplarzy książki powędrowało w zwykłych (nie lotniczych!) listach do odbiorców w kilku krajach Europy.

Fakty te przedstawiam tak skrupulatnie, by pokazać, że – po pierwsze – do środy 15 grudnia 2000 roku nikt postronny nie mógł jeszcze wiedzieć o SAMYM ISTNIENIU książki; po drugie – żaden, powtarzam, ŻADEN jej egzemplarz nie trafił w postronne ręce do chwili rozpoczęcia konferencji, czyli do godziny 12.00 w niedzielę 19 grudnia (jak się później okazało, część listów wysłanych za

granicę dotarła do odbiorców tuż przed Bożym Narodzeniem, a reszta – dopiero po Świętach).

Wspomniana listowna inwitacja od razu wywołała w światku dziennikarskim ogromne poruszenie, wieść zaś o książce rozniosła się – jak wynikało z różnych odgłosów – dosłownie lotem błyskawicy. Trudno zresztą się dziwić, skoro w nagłówku zaproszenia „stało”: *Prawda o "Gazecie Wyborczej". Nieznane dokumenty. Świadkowie.; skoro miała to być pierwsza w Polsce, Europie i na świecie książka o "Gazecie Wyborczej"; skoro wreszcie komunikat kończył się prowokacyjnym zdaniem: Przypuszczam, że „Gazeta Wyborcza" dałaby ciepłą rączką milion dolarów, aby ta książka nie ujrzała światła dziennego!*

Pragnąc jednak na 200% zabezpieczyć się przed „tłumaczeniem się” jakiejś redakcji, że zaproszenia nie dostała, osobiście wysłałem je faksem do wspomnianych 25 najważniejszych mediów AŻ TRZYKROTNIE (w czwartek, w piątek i w sobotę – 16, 17 i 18 grudnia). Wysyłałem te faksy i wysyłałem z coraz większymi przerwami, bo z dnia na dzień rosła liczba telefonów z rozmaitymi pytaniami *à propos* i prośbami o... wcześniejsze ofiarowanie, pożyczenie lub choćby tylko pokazanie książki. Na pytania odpowiadałem chętnie, ale wszystkie prośby o książkę kwitowałem stanowczą odmową, informując jednakowoż zachęcająco, że każdy, kto przyjdzie na konferencję, dostanie tę broszurę za darmo! Jak dochodziły mnie słuchy, w środowisku dziennikarskim wrzało. Innymi słowy, cel polegający na zawiadomieniu wszystkich najważniejszych środków masowego przekazu został w pełni osiągnięty.

A jakie były rezultaty? Przybyło ostatecznie kilkadziesiąt osób (w większości starych przyjaciół), ale dziennikarzy – zaledwie siedmioro. Lecz i to jest „za dużo powiedziane”, skoro JEDYNYM efektem konferencji okazały się: spokojna jednostronicowa depesza **PAP** (o ile wiem, nikt jej później nie przedrukował nawet we fragmentach), relacja w regionalnym radiu **WAWa**, recenzje w prawicowym tygodniku „**Gazeta Polska**” i katolickim piśmie „**Nasz Dziennik**” oraz spora i rzetelna informacyjna nota w... postkomunistycznej „**Trybunie**”.

Cała ta historia stanowi niesamowity, ale też i najlepszy dowód prawdziwości zawartego w książce opisu wpływów środowiska „Gazety Wyborczej”. Powtórzmy z naciskiem, bo ma to znaczenie kluczowe: **przyczyną zbiorowego bojkotu promocyjnej konferencji oraz zbiorowego ocenzurowania przez polskie media wieści o książce nie mogła być znajomość jej treści!!!** Pozostaje jeden jedyny logiczny powód: strach, bojaźń, lęk i obawa przed opisaną w niej „Gazetą”. Czy można coś zarzucić temu wywodowi?

Tak oto dyktowaną strachem przed potęgą „Wyborczej” zmowę milczenia wokół książki (a więc i pogardę wobec własnych odbiorców...) zademonstrowały solidarnie i bez żenady m. in. **publiczne radio i telewizja**, najbardziej ponoć

obiektywny i miarodajny **dziennik „Rzeczpospolita”** (redaktor naczelny **Piotr Aleksandrowicz**), zajmujący się sprawami dziennikarzy prestiżowy miesięcznik **„Press”** (redaktor naczelny **Andrzej Skworz**) renomowane tygodniki **„Polityka”** (redaktor naczelny **Jerzy Baczyński**) i **”Wprost”** (redaktor naczelny **Marek Król**), oraz **wszyscy wielcy** (czołowi) **nadawcy i wydawcy prywatni** – w tym także ci, którzy reklamują się jako ideowi przeciwnicy Michnika (katolickie **radio „Plus”** – redaktor naczelny **Waldemar Gasper**, centroprawicowy dziennik **„Życie”** – redaktor naczelny **Tomasz Wołek**, i takiż **tygodnik „Nowe Państwo”** – redaktor naczelny **Anatol Arciuch**, ponoć bezkompromisowy i nieustraszony UPR-owski **„Najwyższy Czas!”** (redaktorzy **Stanisław Michalkiewicz** i **Janusz Korwin-Mikke**), czy nawet legendarny **„Tygodnik Solidarność”** – redaktor naczelny **Andrzej Gelberg**). *Dni 19 i 20 grudnia 1999, to prawdziwe moralne Waterloo polskiej żurnalistyki. Jako dziennikarz nie wierzyłem, że w wolnej III Rzeczypospolitej doczekam tak upokorzającego nasz zawód wydarzenia. Teraz dopiero rozumiem, jak daleko nam do starych demokracji Zachodu* – pisałem, zdumiony i rozgoryczony, w skierowanym do kolegów po fachu liście otwartym z datą: Wigilia 1999.

Po Świętach sprzedaż mojej „małej czerwonej książeczki” ruszyła dzięki płatnym ogłoszeniom i rozwijała się w zaskakującym tempie, ja jednak wciąż nie mogłem pogodzić się z tak dramatycznie ujawnionym, prawdziwym obliczem mediów w moim kraju. Kiedyś w stanie wojennym, straszliwie zawiedziony postawami niektórych koleżanek i kolegów, ukułem powiedzenie: *Dziennikarstwo, to drugi pod względem długowieczności zawód świata* (jaki jest NAJSTARSZY zawód świata – pamiętają Państwo doskonale). Obserwacje środowiska czynione sukcesywnie już w wolnej Polsce, w ciągu dziesięciu lat po Okrągłym Stole, pozbawiały mnie dalszych złudzeń. Od dawna wiedziałem więc, że z polskimi mediami źle się dzieje, ale żeby do tego stopnia? Przecież – mówiłem sobie – to istny Orwell z jego *non-events*, czyli Wydarzeniami Które Się Nie Wydarzyły. Trzeba – mówiłem sobie – coś zrobić, kogoś zaalarmować, prosić o interwencję, bić w dzwon, włączyć ostrzegawczą syrenę...

Pierwszym autorytetem, do którego się zwróciłem, było ciało jakby stworzone do rozpatrywania tego typu spraw. Oto dwa zdania z mojego pisma do Rady Etyki Mediów (bo o niej mowa): *Może Dostojna Rada zechce wyjaśnić czytelnikom, radiosłuchaczom i telewidzom, dlaczego największe krajowe środki masowego przekazu ZBIOROWO ODMÓWIŁY wypełnienia najbardziej elementarnego obowiązku dziennikarskiego, jakim jest i do końca świata będzie INFORMOWANIE swego społeczeństwa o wydarzeniach? Dlaczego nikt nie napisał choćby jednego zdania typu: **„«Gazeta Wyborcza» – największy i najpopularniejszy dziennik w Polsce – doczekała się pierwszej książki o sobie”**?*

Kopię tego pisma złożyłem również w Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich oraz w Centrum Monitoringu Wolności Prasy – z prośbą o współinterwencję.

Jaki był rezultat tej „akcji protestacyjnej"? Wprost wierzyć się nie chce, ale dosłownie ŻADEN. **Rada Etyki Mediów oficjalnie odmówiła zajęcia się sprawą, a Zarząd Główny Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich oraz Centrum Monitoringu Wolności Prasy na mój list w ogóle nie odpowiedziały.**

Te smutne fakty poruszyły mnie do głębi. W wolnej, niepodległej i demokratycznej Polsce – a w takiej ponoć żyjemy – pluralizm i zawodowa rzetelność środków masowego przekazu miały zapewnić społeczeństwu zgodność prezentowanego opisu rzeczywistości z nią samą. Tymczasem okazało się, że jest „bardzo inaczej". Istota rzeczy nie polegała przecież na tym, że jakieś konkretne pismo nie powiadomiło czytelników o jakiejś krytycznej publikacji o sobie – tylko na tym, że **gazeta zajmująca dominującą pozycję na rynku mediów potrafi w razie potrzeby skutecznie zablokować w całej Polsce normalny obieg informacji!**

Winien jestem Czytelnikom dokończenie opowieści o losach mej książczyny. W największym skrócie: kiedy pod koniec grudnia 1999 roku z drżeniem serca kazałem wydrukować pierwszy handlowy nakład (1000 egzemplarzy) – wraz z żoną przypuszczaliśmy, że może uda się go sprzedać przed nadejściem wiosny. Jednak, ku naszemu wielkiemu zdumieniu, dzięki wspomnianym płatnym ogłoszeniom (w gazetach „Życie", „Trybuna" i "Nasz Dziennik") ten pierwszy tysiąc został dosłownie rozchwytany w ciągu zaledwie trzech dni. Dodrukowane na chybcika następne 2000 egzemplarzy rozeszło się w dni pięć. Przecierając oczy ze zdumienia, poprosiłem przyjaciela-poligrafa o wyrozumiałość i o jeszcze 3000 tomików. Ich sprzedaż trwała chyba całe dziesięć dni, ale jednocześnie wciąż spływały nowe zamówienia. Rada w radę, w połowie stycznia postanowiliśmy zaryzykować i zleciliśmy druk ostatniej (jak się później okazało) partii książek: 4000 sztuk. Resztki z nich trafiły do klientów bodaj pod koniec lutego.

Znajomi księgarze radzili korzystać z hossy, nasilić promocję i sprzedawać ile się da, ale ja miałem książki już serdecznie dosyć. Po pierwsze dlatego, że całe moje życie zaczęło się kręcić wyłącznie wokół niej; bardzo mi się to nie podobało. Po drugie: wszystko to porządnie mnie zmęczyło (psychicznie i fizycznie), bo przecież byłem autorem, wydawcą i dystrybutorem w jednej osobie: sam załatwiałem sprawy handlowe, jeździłem po księgarniach, wypisywałem listy przewozowe paczek, odbierałem telefony, faksy i pocztę, i gdyby nie ukochana żona, która czuwała nad stroną finansowo-podatkową i na komputerze drukowała nalepki adresowe, i gdyby nie syn-dziewiętnastolatek, który pełnił funkcję tragarza (jedna paczka z 30 egzemplarzami waży 9 kg) i gdyby nie dobry znajomy, którego po prostu odpłatnie zatrudniłem do indywidualnej sprzedaży wysyłkowej – po prostu nie dałbym rady.

Jeszcze małe podsumowanie. Zysk netto z książki (po opodatkowaniu) wyniósł prawie 50 000 zł, co pozwoliło nam na spłatę długu i szereg domowych inwestycji, a mi stworzyło możliwość zawieszenia na ponad pół roku regularnej pracy zarobkowej. Moja „mała czerwona książeczka" zajęła w styczniu i lutym 2000 roku pierwsze miejsce na liście bestsellerów. Z różnych stron Polski otrzymałem prawie tysiąc listów i odebrałem setki telefonów, przy czym, z jakichś tajemniczych i niepojętych względów, **niemal co drugi czytelnik (telefoniczny rozmówca) gratulował mi odwagi albo pytał, czy się nie boję...**

Przez okrągły rok od ukazania się tej broszurki nikt nigdy nigdzie w żaden sposób nie próbował polemizować z przedstawionymi przeze mnie faktami i twierdzeniami, które w fatalnym doprawdy świetle stawiają Adama Michnika, jego interes i całą środowiskową kompanię. Mogę powiedzieć tyle: **tak opisany w sprzedanych dziesięciu tysiącach egzemplarzy człowiek honoru ALBO palnąłby sobie w łeb, ALBO doprowadził do tego, że autor oszczerstw zostałby zlicytowany i trafił do kryminału.** Pojęcie honoru i uczciwości jest dla „Gazety Wyborczej" najwyraźniej wysoce względne (moralność Kalego), skoro wybrała wypróbowaną trzecią drogę: milczenie...

Zapewne za rok czy dwa (jeśli Pan Bóg da dożyć) przygotuję drugie wydanie „Początków «GW»". Rozmaite opowieści, podobnie jak dokumenty, do których w wolnej chwili docieram w różnych archiwach i rejestrach, odsłaniają nie znane opinii publicznej kulisy rozmaitych, starych i nowych przedsięwzięć koncernu oraz samej „Wyborczej". Obnażają również niegodne metody działania tego pisma – w stosunku do konkretnych instytucji i konkretnych ludzi. Przysłano mi także kilka ciekawych zdjęć.

Jedno jest pewne: następna edycja mojej broszurki – choć zasadniczo wzbogacona i uszczegółowiona – dotyczyć będzie NADAL (w zdecydowanej większości) pierwszych lat istnienia „Gazety" i głównie jednego aspektu: nieuczciwego zdobycia przez jej kierownictwo realnego majątku i realnej władzy. Tymczasem polska historia najnowsza potrzebuje niezwykle ważnego i płodnego poznawczo opisu roli, jaką „Wyborcza" odegrała w Polsce lat dziewięćdziesiątych jako fenomen socjologiczny, polityczny i medialny. To przecież wspaniałe, jakże wdzięczne (i nietknięte!) pole do popisu dla historyków i prasoznawców. Kto i kiedy ośmieli się podjąć próby takich krytycznych „branżowych" analiz? Kto i kiedy zdobędzie się na napisanie monografii tego dziennika? Bo nie ulega najmniejszej wątpliwości, że tematów tych nigdy nie tknie nikt z imperium Agory. (30.01.01)

Stanisław Remuszko

Nowe zagrożenia

W wolnej, niepodległej i demokratycznej Polsce – a w takiej przecież żyjemy – pluralizm i zawodowa rzetelność środków masowego przekazu miały zapewnić społeczeństwu zgodność prezentowanego opisu rzeczywistości z nią samą. Tymczasem liczne fakty coraz częściej pokazują, że jest, no, „jakby inaczej". Wszystkie przykłady, które przytoczę, pochodzą z bieżącego roku, a większość z ostatnich miesięcy i tygodni.

Jest książka, której nie ma. Jest, bo zajęła pierwsze miejsce na liście bestsellerów, a dziesięć tysięcy jej egzemplarzy sprzedało się w ciągu jednego miesiąca. Nie ma, bo kilkanaście największych krajowych gazet, radyj i stacji telewizyjnych – publicznych i prywatnych – świadomie i z rozmysłem odmówiło poinformowania swoich odbiorców o istnieniu tej książki. Niektórzy twierdzą, że to wszystko przez jej tytuł, który brzmi: „»Gazeta Wyborcza«. Początki i okolice"...

Są wydarzenia, których nie ma. Cała Polska zobaczyła podczas prezydenckiej kampanii wyborczej dwie taśmy o, łagodnie mówiąc, bulwersującej treści, ale dziennikarza jeszcze bardziej powinien bulwersować fakt, iż taśmy te mogły ujrzeć światło dzienne dopiero dzięki prawu wyborczemu, które zabrania ingerować w treść programów poszczególnych kandydatów. Okazało się, że kierownictwa wszystkich telewizji (z bodaj jednym wyjątkiem – przypominającym raczej wypadek przy pracy lub swoiste alibi) solidarnie ukryły te taśmy przed opinią społeczną na całe lata. Do tego doszło podobnie solidarne cenzorskie milczenie na ten temat większości najpopularniejszych rozgłośni i gazet.

Niemal regułą stało się naruszanie zasady *audiatur et altera pars* oraz łamanie ustawowego prawa osób zainteresowanych do odpowiedzi i sprostowań. W głośnym sporze wokół Wyższej Szkoły Dziennikarskiej im. Wańkowicza, redakcja „Rzeczpospolitej" – uchodzącej i tak za najbardziej obiektywny dziennik w Polsce – nie tylko zmieszała z błotem dotychczasowe władze uczelni, nie tylko nie dała swym czytelnikom szansy poznania stanowiska tych władz, nie tylko – gdy zwróciły się one o zamieszczenie sprostowania – odmówiła jego publikacji, ale nawet nie zgodziła się na jego druk jako ogłoszenia płatnego. Czemu? Bo byłoby to ponoć sprzeczne z linią pisma. Jednak kilka dni później ta sama „Rzeczpospolita" zamieściła – w formie całostronicowego płatnego ogłoszenia – sprostowanie prezesa PZU, który chciał je zamieścić tam,

gdzie pojawiły się sporne informacje, czyli w "Gazecie Wyborczej", ale ta też druku odmówiła. Państwo rozumieją, że wobec takiego gangsterstwa, zwykły człowiek, który nie ma akurat pod ręką stu tysięcy złotych na prostowanie kłamstw, jest praktycznie bezbronny.

Mógłbym przytoczyć inne, mnogie i ściśle udokumentowane przykłady nie tylko medialnej **półprawdy czy nieprawdy**, lecz także – a może przede wszystkim – **znamiennych przemilczeń i tematów tabu;** ale wtedy musiałbym zająć Państwu nie kilka minut, lecz kilka godzin.

Okazuje się, mówiąc wprost, że w moim kraju dziesięć lat po symbolicznym upadku komunizmu CENZURA ŻYJE, tylko ma inną postać: skutecznej cenzury środowiskowej, obejmującej w niektórych przypadkach zdecydowaną większość najpopularniejszych polskich mediów; cenzury dyktowanej strachem przed silniejszymi i ich wpływami. A to już świadczy o ciężkim schorzeniu całej tej niezmiernie ważnej sfery życia społecznego, jaką jest wymiana informacji i poglądów. Czasami stopień rozziewu między medialnym przekazem a rzeczywistością zaczynać przypominać sytuację z kultowego filmu „Matrix", na co niedawno trafnie zwrócili uwagę w "Życiu" Tomasz Strzyżewski i Agata Bielik-Robson.

Ale to nie wszystko.

W najbardziej nośnych mediach uprawia się swoistą PERSONALNĄ MONOKULTURĘ; w każdym razie grono ludzi, zajmujących 90% czasu lub miejsca przed ogólnopolskimi kamerami i mikrofonami albo na łamach czołowych ogólnopolskich gazet, jest niezwykle wąskie – może w sumie kilkadziesiąt osób? – przez co należy chyba rozumieć, że cała reszta, te tysiące psychologów, socjologów, filozofów, historyków, artystów, politologów i innych specjalistów z całego kraju, nie mają nic sensownego do powiedzenia.

[Notabene, to świetny temat na pracę magisterską: wziąć do ręki „Rzeczpospolitą" czy „Gazetę Wyborczą" z ostatniego roku, albo przejrzeć zapisy audycji informacyjno-publicystycznych radiowej Trójki, albo obejrzeć nagrania takichż programów telewizji publicznych i prywatnych z tego samego okresu, i zwyczajnie PORACHOWAĆ, kto ile razy wystąpił, ile miejsca lub czasu zajął, i czy coś z tego wynika, czy nie]

Nie tylko ja nie mam wątpliwości, iż chodzi o to, że ci wybrańcy, to po prostu ludzie z jednego tylko towarzysko-kulturalnego klucza, z jednej tylko poprawnościowej beczki, ci, którzy akceptują lub przynajmniej tolerują dominującą w czołowych mediach jedną generalną opcję ideowo-polityczną, tę utrzymaną w różowej, postępowej i globalnej, czyli jedynie słusznej kolorystyce. Na równoprawne prezentowanie zasadniczo odmiennych punktów widzenia, przeciwstawnych poglądów i postaw, na wielkie spory

dotyczące obyczajów, historii najnowszej, tradycji, tożsamości narodowej, fundamentalnych ustrojowych rozwiązań – nie ma w ogóle lub jest bardzo mało czasu i miejsca.

Co gorsza, źle działają – i mogę to na przykładach udowodnić przed każdym sądem, ludzkim czy boskim – organizacje powołane między innymi do tego, by właśnie chronić społeczeństwo przed monopolem informacyjnym, by dbać o komunikacyjny pluralizm. a także ciała stworzone specjalnie na kształt mechanizmów bezpieczeństwa; myślę tu przede wszystkim o **naszych stowarzyszeniach zawodowych i niektórych ich organach oraz o Radzie Etyki Mediów.**

I wreszcie zarzut czysto polityczny. Media w nowoczesnym świecie są dziś faktyczną czwartą władzą. To wielki przywilej ale i wielka odpowiedzialność moralna, zwłaszcza jeśli zważyć, iż w Polsce (tak jak zapewne w innych krajach byłego bloku sowieckiego) środki masowego przekazu odgrywają rolę znacznie większą niż w starych, ustabilizowanych demokracjach Zachodu. **Dlatego ogromnym niepokojem napawają mnie – jako obywatela – próby wkraczania mediów w kompetencje innych władz.** Uważam, że prasa, radio i telewizja powinny pełnić rolę jedynie informacyjną, kontrolną i opiniotwórczą – NIC POZA TYM. Powody są proste: ludzie mediów nie pochodzą z demokratycznej elekcji, po drugie – w odróżnieniu od władzy wykonawczej, ustawodawczej i sądowniczej, media za swą działalność nie ponoszą praktycznie żadnej prawnej ani politycznej odpowiedzialności. Najświeższym i doprawdy dramatycznym dla mnie (jako dziennikarza, jako czytelnika i przede wszystkim jako obywatela właśnie) przykładem prasowego wyręczania polityków było doprowadzenie przez „Rzeczpospolitą" do dymisji wojewody śląskiego Marka Kempskiego.

Wydawałoby się, że środowisko dziennikarskie powinno być zainteresowane przynajmniej dyskusją między tymi, którzy w obecnym stanie mediów zagrożenie dla komunikacji społecznej widzą, a tymi, którzy twierdzą, że wszystko gra. Ale nic z tego. Oto Polska Agencja Informacyjna urządza panelową debatę na temat stanu naszego dziennikarstwa. Zaproszone zostają wszystkie najpopularniejsze krajowe media i przychodzi ponad 60 osób, w tym bardzo wybitne, sławne nazwiska krajowej żurnalistyki, laureaci głośnych nagród – **ale nie ma nikogo z trzech gazet, które zajmują ponad 90% rynku dzienników ogólnopolskich, nie ma nikogo z trzech tygodników, zajmujących też ponad 90% rynku, a także nikogo z decydentów w publicznych i prywatnych telewizjach i rozgłośniach** – bo po cóż ludzie z tych firm mieliby na taką naradę przychodzić, skoro z góry i od dawna wszystko dobrze wiedzą?

Jeszcze nasz Kongres się nie zaczął, a już pojawiły się na głosy, że ta czcza gadanina pięknoduchów w królewskich salonach nie rozwiąże żadnego z problemów, wobec których stoi dziś nasza kultura – że zacytuję z pamięci „Gazetę Wyborczą". **Jestem dokładnie przeciwnego zdania.** To właśnie Kongres stwarza szanse przezwyciężenia lub przynajmniej przeciwstawienia się rozmaitym złym zjawiskom oraz uniknięcia dalszych zagrożeń – pod dwoma wszakże warunkami: że rzeczy zostaną nazwane po imieniu oraz że zostaną zaproponowane konkretne środki zaradcze.

Trudno wierzyć, że ci sami ludzie z kierownictw najważniejszych polskich mediów, którzy aktywnie lub biernie biorą dziś udział w wyrafinowanym systemie nieformalnej, lecz skutecznej neocenzury, albo skrupulatnie dbają o poprawność medialnych nazwisk, albo sprawują sądy bez odpowiedzialności – że ci ludzie, nagle, oświeceni Duchem Świętym, zaniechają swych Orwellowskich praktyk i z dnia na dzień zaczną społeczeństwu służyć jak należy. Przypuszczam raczej, że świadomi uczestnicy istniejącego systemu niewidzialnych powiązań, nieformalnych ustaleń i niepisanych sojuszy medialnych zrobią wszystko, by zachować korzystny dla siebie *status quo.* **Właśnie dlatego obecna sytuacja wymaga kroków na tyle śmiałych i skutecznych, by wręcz WYMUSIŁY poprawę złego stanu rzeczy.**

To, rzecz jasna, temat na oddzielną debatę, więc tu, w największym skrócie, powiem tylko, iż widzę cztery takie melioracyjne sposoby i przedsięwzięcia. Oto ich hasłowe wyliczenie:

1. Jeśli nowa Rada Etyki Mediów ma cieszyć się autentycznym i powszechnym autorytetem środowiskowym – nie może być powołana jak dotychczasowa (przez pracodawców), lecz trzeba ją wybrać ODDOLNIE, przez szarych dziennikarzy, przez ogół ludzi pióra, mikrofonu i kamery (konkretny projekt został już przedstawiony Konferencji Mediów Polskich).

2. Obok Centrum Monitoringu Wolności Prasy powinno jak najszybciej zaistnieć coś w rodzaju Centrum Monitoringu RZETELNOŚCI Prasy, które, rozpatrując uwagi czytelników, radiosłuchaczy, telewidzów i samych dziennikarzy, pełniłoby rolę swoistej „książki skarg i zażaleń", rolę Rzecznika Praw Odbiorcy, a uogólnione wnioski regularnie przedstawiałoby kierownictwom mediów, parlamentarnym komisjom oraz opinii publicznej.

3. Należy rozważyć ewentualność wprowadzenia ustaw antytrustowych, które zabraniałyby posiadania przez ten sam medialny koncern więcej niż na przykład 25% rynku odbiorców danej kategorii.

4. Musi powstać i trwale funkcjonować konkretne miejsce środowiskowej i obywatelskiej dyskusji o krajowych środkach masowego przekazu. Nasuwa się tu szereg pomysłów, ale za jeden z najważniejszych uważam jak

najszybsze założenie wolnej od cenzury, od personalnych uprzedzeń i firmowych powiązań, internetowej Gazety Dziennikarskiej, w której rzeczowy głos mógłby zabierać każdy zatroskany stanem polskich mediów. (9-XII-2000)

Stanisław Remuszko

* * *

Jestem z tego głosu bardzo dumny. Nie znam wcześniejszego publicznego wystąpienia, w którym choć w połowie tak wyraziście, tak syntetycznie i tak konkretnie przedstawiono by chorobę naszych mediów oraz zaproponowano by niezbędne lekarstwa.

Ale jest tu jeszcze znamienne pendant.

Kongres Kultury Polskiej '2000 był wydarzeniem co się zowie. Niemal dwuletnie staranne przygotowania, zaproszona elita elit, patronat prezydenta, premiera i prymasa (by pozostać przy literze „p"), błogosławieństwa i udział biskupów, mecenat i pomoc ministrów, dziesiątki regionalnych i ogólnopolskich konferencji poprzedzających i towarzyszących, koncerty, okolicznościowe edycje, środowiskowe dyskusje i wystawy, wreszcie sama debata: „wielka narodowa Polaków rozmowa" w dniach 7-9 grudnia 2000, prowadzona równolegle w kilku historycznych gmachach Warszawy, z Zamkiem Królewskim na czele.

Czemu „Gazeta Wyborcza" od samego początku praktycznie bojkotowała tę ogromną patriotyczną imprezę? Podług warszawskich wróbli, z przyczyn nader oczywistych: to nie ona Kongres wymyśliła, nie ona zorganizowała i nie ona ułożyła tysiącosobową listę zaproszonych uczestników; na dodatek to nie jej powierzono tzw. patronat medialny, lecz publicznej telewizji i radiu oraz dziennikowi „Rzeczpospolita". Tak zdespektowany Adam Michnik mimo oficjalnych inwitacji odmówił zaszczycenia swą osobą Kongresu i skazał go na medialną ciszę. Ponieważ jednak był dopiero rok 2000, orzeczenie to nie miało jeszcze – poza „Gazetą" i familią – absolutnej mocy sprawczej. Jak byłoby dzisiaj?

Pytam nie bez kozery. Przez prawie dwa lata trwały uporczywe starania Anatola Omelaniuka – współpomysłodawcy i jednego z głównych organizatorów Kongresu Kultury Polskiej – o wydanie unikatowego i ulotnego kongresowego dorobku w formie książki. Dorywczo towarzyszyłem tej „drodze przez mękę", ale pomińmy to. Dość rzec, że pan Anatol (człowiek niezwykły), nie mogąc doczekać się pełnej obiecanej dotacji państwa, poniekąd na własne ryzyko zaciągnął w końcu ogromny bankowy kredyt i – poprzez Dolnośląskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne, któremu szefuje – wydał białego kruka: liczącą ponad 700 stron wierną relację z obrad Kongresu, zawierającą

stenogramy wszystkich indywidualnych wystąpień oraz treść uchwał, wniosków, przesłań i rezolucji – istny skarb narodowy w pigułce (obłożonej twardym płótnem, z pięknym plakatem samego Olbińskiego na obwolucie).

Ów wiekopomny tom ukazał się w nakładzie 2500 egzemplarzy. Przekazano je za darmo różnym regionalnym i ogólnopolskim instytucjom kulturalnym (głównie bibliotekom i uczelniom), pragnąc w ten szlachetny sposób maksymalnie udostępnić rodakom kopmleksowy opis stanu kultury polskiej u progu Trzeciego Tysiąclecia. Pozostałe egzemplarze (wyliczone co do sztuki!) postanowiono dać w prezencie 212 osobom, które na Kongresie zabrały głos, a także kilkunastu czołowym redakcjom prasy, radia i telewizji.

Uroczyste wręczanie Xięgi imiennie zaproszonym gościom odbyło się 19 grudnia 2002 w Bibliotece Narodowej. Po rozmaitych sławach przyszła kolej na media. Jako dzienikarz myślałem, że spalę się ze wstydu. Nie przyszedł dosłownie nikt.*

---

* Do odebrania tego unikatowego dzieła dubeltowo (listownie i telefonicznie) zaproszeni zostali: **„Gazeta Polska", „Gazeta Wyborcza", „Nasz Dziennik", „Odra", „Polityka", Polskie Radio, „Przegląd", „Rzeczpospolita"** (4 konkretne osoby), **Telewizja Polska** (3 konkretne osoby), **„Trybuna", „Tygodnik Powszechny", „Wprost" i „Życie Warszawy", a także Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich i Stowarzyszenie Dziennikarzy RP...**

Niewygodne pytania Remuszki

Zimą i wiosną 1989 roku brałem udział w obradach tzw. Okrągłego Stołu (jak symbolicznie określano zawarte wtedy układy pomiędzy władzą a opozycją). Ściślej mówiąc, siedziałem przy tzw. podstole do spraw mediów (w licznych zespołach, zwanych „podstołami", toczyły się właściwe spory o przyszłość Polski). Na koniec rozmów, solidarnościowo-opozycyjna „strona stołu" delegowała mnie do spisania ostatecznej treści uzgodnień i rozbieżności; strona przeciwna, czyli koalicyjno-rządowa, delegowała Krzysztofa T. Toeplitza. Obaj pracowaliśmy całą noc, a następnego ranka obie strony parafowały przygotowane przez nas protokoły.

Już wówczas uważałem, że – ogólnie rzecz biorąc – osiągnęliśmy za mało. My, to znaczy opozycja. Jednak przedmiotem niniejszej refleksji nie jest ocena tamtych wyników z dystansu dziesięciu lat. Chcę dziś przypomnieć tylko jedno (spośród wielu) ustalenie „Okrągłego Stołu" – to, które moim zdaniem miało największą rangę wtedy i zachowało je do chwili obecnej. Myślę o wymuszeniu na pezetpeerowcach (bo w istocie tylko ich decyzja się liczyła) zgody na stworzenie niezależnego pisma codziennego, docierającego wszędzie i do wszystkich jako prawdziwy głos wolnego społeczeństwa. Tak, od początku miał to być głos wolności i solidarności (tej ostatniej pisanej zarówno małą, jak i dużą literą). Miała to być prawdziwie niezależna gazeta, nie będąca organem żadnej partii, żadnego środowiska i żadnej grupy (a przecież ówczesna opozycja przeciw „władzy ludowej" składała się z wielu takich środowisk i grup).

Tak właśnie narodziła się idea niezwykłego dziennika, nazwanego później „Gazetą Wyborczą". Temu pismu pomagali wszyscy z "naszej strony" – i w sensie czysto roboczym, i w tym, co dziś zwie się promocją, i – przede wszystkim – w sensie moralnym.

Od początku mając do dyspozycji pióra świetnych (i przekonanych do wielkiego zadania) dziennikarzy, pomysły doświadczonych organizatorów i wsparcie najwartościowszych elit (nie mówiąc już o realnej pomocy PRL-owskiego państwa), zespół Adama Michnika mógł stworzyć wzór najrzetelniejszej i najuczciwszej gazety. Czy stworzył?

Na pewno powstał wówczas jedyny w swoim rodzaju fenomen medialny – największe w tej części Europy (może i nie tylko?) codzienne pismo opiniotwórcze, które bardzo szybko stało się w Polsce wyznacznikiem własnych norm dziennikarskich i politycznej poprawności: „Gazeta Wyborcza".

Przez przeciwników od dawna zwana „Wybiórczą”, gdyż bardzo szybko zasłynęła z charakterystycznego doboru informacji, ocen i komentarzy.

Nikt nie twierdzi, że „GW” nie ma zasług, Boże broń. Doskonale redagowana, skupia świetne pióra, podejmuje trudne tematy, walczy z wieloma polskimi wadami i śmiesznościami. Jest zjawiskiem trwale zapisanym w historii polskich mediów, godnym wielu różnoaspektowych monografii...

Otóż to! Czy wobec tego nie zastanawia, że jedyna, powtarzam, JEDYNA dotychczas w Polsce książka o ”Gazecie Wyborczej” (autorstwa jej byłego pracownika Stanisława Remuszki) została niemal całkowicie przemilczana? Nie odnotowały jej istnienia nawet pisma „Gazecie” niechętne. Co jeszcze ciekawsze i jakże znamienne, o książce nie wspomniano ani słowem na łamach samej „Gazety” (zawsze chętnej do wyszydzania i niszczenia ludzi o odmiennych poglądach). Nie ukazała się tam ani rzeczowa polemika, ani częste w podobnych przypadkach inwektywy.

Przypuszczam, że wiem dlaczego tak się dzieje. Oto dziś w Polsce bardzo niebezpiecznie jest zadzierać z przebogatym i niezwykle wpływowym koncernem Agora, który m.in. wydaje „Gazetę Wyborczą”. To jedno. A drugie – że istotnie trudno jest dyskutować z książką, która podaje pewne niewygodne fakty (ściśle udokumentowane), a zamiast ocen stawia niewygodne pytania. Lecz to milczenie pytanych sprawia, że pytania stają się niewygodne w czwórnasób.

Książka Stanisława Remuszki (dziennikarza dociekliwego, potwornie upartego, a nadto bardzo odważnego) jest właściwie zbiorem rozmaitych dokumentów opatrzonych komentarzami, zresztą niepełnym, jak każdy zbiór. Ale te dokumenty tworzą pewien konkretny, wyrazisty i plastyczny obraz, pewien krytyczny wizerunek „Gazety Wyborczej”. Naturalnie można się spierać o to, czy jest prawidłowy i trafny. Niestety, nie ma sporu, nie ma polemiki, nie ma dyskusji, zupełnie tak, jakby ktoś postanowił: zamilczeć Remuszkę na śmierć.

Może zatem właśnie takie – jak opisane w tej książce – działania grupy wydającej opiniotwórcze pismo są w naszych czasach właściwe i normalne, bo przede wszystkim nadzwyczaj skuteczne? „Gazeta” osiągnęła przecież swój główny cel: jest wielkim (chyba największym w Polsce) instrumentem politycznym i zarazem przedsięwzięciem niezwykle dochodowym. Zatem wszystko inne nie ma znaczenia?

Stanisław Remuszko swą karierę zawodową zaczynał w czasach, gdy o wolności słowa i etyce dziennikarskiej na ogół można było tylko marzyć. Może właśnie dlatego uważa, iż pewne sprawy i pewne wartości zawsze mają znaczenie pierwszorzędne – również wówczas, gdy z punktu widzenia politycznego celu i rynkowego sukcesu nie odgrywają nawet drugorzędnej roli.

Byłoby dobrze, gdyby w Polsce dyskutowano na takie tematy, przynajmniej w środowisku dziennikarskim. Jednak obawiam się, że nie ma co liczyć na taką dyskusję. Pozostaje liczyć na Czytelników, jak zawsze. Tylko od nich możemy (my, dziennikarze) dowiedzieć się, jakich mediów by naprawdę chcieli i jakich dziennikarzy naprawdę szanują.

Maciej Iłowiecki

Warszawa, październik 2000

Autor jest niezależnym publicystą. W latach 1989-93 był prezesem Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

Kto skontroluje kontrolera?

Masowe media tworzą dzisiaj chętnie swój własny, bardzo pozytywny wizerunek. Wielu ich właścicieli ukrywa się za należącym już w dużej mierze do przeszłości obrazem mediów jako instytucji, która w imieniu obywateli kontrolowała jedynie instytucje władzy. Tymczasem media partycypują dzisiaj w układzie władzy i to często z pozycji dominującej. Wyobraźmy sobie, jakie oburzenie budziłoby użycie Najwyższej Izby Kontroli do bieżącej walki politycznej. Media, w zamyśle ojców założycieli i teoretyków liberalnej demokracji, miały się stać jej Najwyższą Izbą Kontroli. I ta właśnie instytucja („czwarta władza") – zamiast kontrolować pozostałe trzy władze (ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą) – sama stała się dzisiaj dość powszechnie jednym z elementów czystej władzy politycznej.

Z problemem nieformalnej władzy masowych mediów borykają się dzisiaj zarówno stare demokracje, jak też kraje takie jak Polska, które dopiero wychodzą z komunizmu. Kraje zachodnie mają jednak istotny atut – jest nim ukształtowany rynek medialny, na którym istnieją silne, pluralistyczne pod względem ideowym i finansowym, konkurujące ze sobą media. Pierwsza zasada ratowania się przed nieformalną władzą masowych mediów brzmi bowiem: jedynym skutecznym kontrolerem wysokonakładowej gazety, popularnej rozgłośni radiowej lub chętnie oglądanej stacji telewizyjnej jest inna gazeta, rozgłośnia lub stacja o – co ma zasadnicze znaczenie dla skuteczności owej kontroli – podobnej sile.

Opisana przez Stanisława Remuszkę (w książce „Gazeta Wyborcza. Początki i okolice") choroba „Gazety Wyborczej", która uczyniła z niej przeciwieństwo gazety – skrzyżowanie biura politycznego z policyjną pałką dla niepokornych – ukazuje przede wszystkim poważną chorobę całego polskiego rynku medialnego. Bo to właśnie na polskim rynku mediów, w wyniku splotu niesprzyjających okoliczności i świadomych decyzji politycznych – nie istnieją dzisiaj media chcące lub zdolne kontrolować „Gazetę Wyborczą". Pierwszą próbą takiej kontroli okazuje się być właśnie książka Remuszki, wydana przez jej autora własnym nakładem i przemilczana przez większość polskich mediów zaprzyjaźnionych z "Wyborczą" lub bojących się jej siły.

Stanisław Remuszko cytuje co prawda prasowe polemiki i dossier ukazujące, zazwyczaj bardzo cząstkowo, pewne aspekty politycznego i inansowego fenomenu „Wyborczej". A jednak to dopiero on, w swoim „kalendarium" podzielonym na lata i przełomowe wydarzenia, opisuje proces,

który uczynił – z tej pierwszej niezależnej gazety w bloku wschodnim – narzędzie sprawowania niekontrolowanej władzy.

Owo kalendarium porządkowane jest głównie przez ewolucję samej Gazety. Jest to ewolucja od prawdy do manipulacji, od pluralizmu do jednolitości prezentowanych na łamach poglądów, od wspólnego przedsięwzięcia grupy ludzi ożywianych pewną misją – misją dostarczania czytelnikom uczciwej informacji o świecie – do spółki giełdowej, w której struktura władzy (absolutnej) i zysków (naprawdę niebagatelnych) została ustalona w sposób bardzo precyzyjny, choć utrzymywany w tajemnicy przed szeregowymi pracownikami „Gazety" oraz przed jej czytelnikami.

„Gazeta Wyborcza" jest dzisiaj najbardziej jednolicie redagowaną gazetą w Polsce. Właściwy wydźwięk ideowy, polityczny, biznesowy mają nawet najdrobniejsze notki w najmniej z pozoru istotnych rubrykach tematycznych. Z książki Stanisława Remuszki możemy dowiedzieć się o mechanizmach, które umożliwiły taką „konsekwentną strategię redakcyjną". Dowiadujemy się o trwającej przez całą dekadę eliminacji niepożądanych dziennikarzy i pracowników, o pracy nad językiem, o zmianie znaczenia pojęć i zmianach wizerunków osób stających się przyjaciółmi lub wrogami „Wyborczej".

Remuszko opisuje w swojej książce kilka przykładów ludzi, którzy sami mając ogromny społeczny autorytet stanęli na drodze autorytetowi „Gazety Wyborczej". Zbigniew Herbert, różniący się z Adamem Michnikiem stosunkiem do lustracji i dekomunizacji, był żegnany przez dominujący i orientujący się na „Gazetę Wyborczą" układ medialny milczeniem, kłamstwami lub insynuacjami na temat jego choroby psychicznej. Antykomunistyczny bohater-patriota, pułkownik Kukliński, został przedstawiony Polakom przez ten sam układ medialny jako postać dwuznaczna i groteskowa, jako podwójny agent – ktoś pomiędzy Jamesem Bondem a kapitanem Klossem.

Książka Remuszki, opisując głębokie patologie polskiej sfery publicznej, wywołuje u czytelnika poczucie równie głębokiego niepokoju. A jednak samo napisanie i opublikowanie tej książki jest wyrazem optymizmu jej autora. Wierzy on, jak sądzę, że monopolizowanie obiegu informacji i opinii nie jest procesem nieuniknionym, że wiele zależy tutaj od dziennikarzy, od polityków i – szerzej – od opinii publicznej, w tym sensie, w jakim nie sprowadza się ona jeszcze wyłącznie do opinii najsilniejszych mediów.

Jeśli Remuszko ma rację, i da się skutecznie zablokować proces tworzenia się monopolu medialnego, to w ciągu kilku najbliższych lat zobaczymy zapewne na polskim rynku duże krytyczne monografie poświęcone „Gazecie Wyborczej". Takie książki nie byłyby niczym nadzwyczajnym. We Francji sam tylko dziennik „Liberation" doczekał się kilku krytycznych książkowych monografii.

Jeśli Remuszko się myli, i w Polsce powstanie monopol medialny, towarzyszący monopolowi finansowemu czy politycznemu, to będziemy mogli czytać wyłącznie pochwalne panegiryki na cześć Adama Michnika, jako wielkiego promotora wolności mediów i wolności w ogóle.

W obu jednak wypadkach książka Stanisława Remuszki odegra rolę bez mała historyczną. Jest ona pierwszą istotniejszą próbą zrozumienia i opisania fenomenu „Gazety Wyborczej". Jest to próba skromna i nieraz nasycona dość wyraźnym rozgoryczeniem autora. Remuszko sam był kiedyś dziennikarzem „Wyborczej", a dzisiaj jest jednym z wielu ludzi, którzy wierzyli, że „ich gazeta" stanie się po prostu uczciwym źródłem informacji i miejscem wymiany opinii, ale przegrali walkę o taki jej kształt. Lecz dla każdego, kto pokusi się o szersze opracowanie historii „Gazety Wyborczej", dokumenty i informacje przedstawione w książce Remuszki będą nieocenionym źródłem wiedzy i tropów prowadzących do wiedzy jeszcze pełniejszej i bardziej pogłębionej.

Gdyby jednak polski system medialny i ustrojowy miał się „domknąć", to książka Stanisława Remuszki także pozostanie ważnym świadectwem – jednym z ostatnich ostrzeżeń przed powstawaniem nowego typu oligarchii. Oligarchii wyzwolonej od wszelkiej społecznej kontroli, oligarchii zaprzyjaźnionych ze sobą i przenikających się personalnie elit medialnych, finansowych oraz (najmniej w owym układzie istotnych) elit politycznych.

Cezary Michalski

Warszawa, listopad 2000

Cezary Michalski jest niezależnym publicystą, autorem kilku książek, m.in. bestselleru Ministerstwo Prawdy.

Dodatki do III wydania

Archiwum prywatne, 1996 (do str. 198)

Odtajniam

Przed dziesięciu laty 5 osób (spośród 36, do których się zwróciłem) odmówiło złożenia podpisu pod skierowanym do Sejmu apelem o zlustrowanie dziennikarzy. Przygotowując do druku pierwsze wydanie książki, w odruchu jakiejś fałszywej zawodowej solidarności ukryłem imiona i nazwiska tych osób pod inicjałami. Dziś widzę, że takie postępowanie nie miało najmniejszego sensu. Byli to przecież (nadal są) normalni, dorośli, wolni ludzie, żyjący w wolnym kraju, którzy zgodnie z własnym rozumem i sumieniem robią to, na co mają ochotę.

Oto te inicjały: **B**ohdan **T**omaszewski, Andrzej **M**ietkowski, **K**onstanty **G**ebert, **M**ieczysław **P**rószyński, **T**omasz **Ł**ubieński.

Stanisław Remuszko

Zapytanie nr 180

do ministra - członka Rady Ministrów, koordynatora ds. służb specjalnych, w sprawie działania na terenie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji tzw. komisji ds. zbiorów archiwalnych

W okresie od 12 kwietnia do 27 czerwca 1990 r. działała na terenie MSW tzw. komisja ds. zbiorów archiwalnych. W skład komisji wchodzili historycy Andrzej Ajnenkiel, Jerzy Holzer, Bogdan Kroll oraz ówczesny poseł i dziennikarz Adam Michnik. Z informacji prasowych wynika, że członkowie komisji byli dopuszczeni do materiałów operacyjnych SB. Jedynym efektem 2,5-miesięcznej pracy tego zespołu miało być dwustronicowe sprawozdanie. W związku z powyższym pragnę zadać następujące pytania:

1. Czy działalność tej komisji była zgodna z obowiązującym wówczas porządkiem prawnym?

2. Do jakich materiałów mieli dostęp członkowie komisji, a w szczególności czy mieli dostęp do teczek tajnych współpracowników SB?

3. Czy i jak kontrolowano poruszanie się członków komisji po archiwum, czy mieli możliwość sporządzania kopii, odpisów, bądź wynoszenia materiałów SB?

4. Czy w związku z publikacją w "Gazecie Wyborczej" z dnia 14-15 listopada 1998 r. artykułu "I ty zostaniesz konfidentem" można wykluczyć tezę, że opisane w artykule przykłady osób uwikłanych we współpracę z SB to efekt wiedzy, jaką posiadł red. Michnik w trakcie prac komisji? (27.10.98)

*Poseł **Mariusz Kamiński***

Odpowiedź ministra

W związku z pytaniem posła Mariusza Kamińskiego z dnia 27 listopada 1998 r. pragnę wyjaśnić, że opóźnienie w udzieleniu odpowiedzi wynikało z konieczności przeprowadzenia czynności, które okazały się ogromnie pracochłonne.

- W zbiorach archiwalnych UOP nie natrafiono na dokumenty wskazujące na podstawy działalności "Komisji ds. zbiorów archiwalnych", w związku z czym nie jest możliwa ocena zgodności działalności komisji z obowiązującym wówczas prawem.

- Nie odnaleziono dokumentów ani zapisków pozwalających na ustalenie katalogu materiałów, z jakimi zapoznali się członkowie komisji, a z relacji funkcjonariusza, który wówczas pracował w wydziale archiwalnym wynika, że członkowie komisji mieli dostęp do teczek tajnych współpracowników Służby Bezpieczeństwa.

- Według relacji członkowie komisji zapoznawali się z materiałami archiwalnymi w obecności funkcjonariusza. Do magazynów wprowadzani byli również przez ówczesnego dyrektora biura i naczelnika wydziału archiwalnego. Wówczas szeregowi pracownicy biura nie towarzyszyli członkom komisji. Funkcjonariuszowi, który wówczas pracował w wydziale archiwalnym, nie są znane przypadki wynoszenia materiałów poza pomieszczenia archiwum.

- Z uwagi na brak wykazu materiałów archiwalnych, które zostały udostępnione członkom komisji, niemożliwa staje się odpowiedź na pytanie, czy można wykluczyć tezę, iż opisane w artykule "I ty zostaniesz konfidentem" ("Gazeta Wyborcza" z dnia 14/15 listopada 1998 r.) przykłady osób uwikłanych we współpracę z SB, to efekt wiedzy, jaką posiadł redaktor Michnik w trakcie prac komisji. (07.01.99)

Minister ***Janusz Pałubicki***

W piątek 28 kwietnia 2000 "Gazeta Wyborcza" demonstracyjnie złożyła w sądzie pozew, domagając się sprostowania oraz publicznych przeprosin za straszliwą oszczerczą potwarz, jaką pod adresem Agory ogłosił w "Życiu" wicenaczelny tego dziennika Paweł Fąfara. *To ewidentne kłamstwo i pomówienie godzi w dobre imię i renomę Agory SA oraz "Gazety Wyborczej" i jej pracowników* - napisali wcześniej Piotr Niemczycki i Juliusz Rawicz, zapowiadając ukaranie bezpośrednich sprawców i wyegzekwowanie od "Życia" *wysokiego pieniężnego zadośćuczynienia.* A zarząd Agory dodał oficjalnie: *Jesteśmy to winni zarówno naszym pracownikom, którzy od 11 lat z trudem i mozołem budowali obecny sukces "Gazety", jak i naszym czytelnikom, którzy muszą być przekonani o wiarygodności naszych początków.*
Następnego dnia Paweł Fąfara zamieścił w "Życiu" swego rodzaju "odpowiedź na pozew", której najistotniejsze fragmenty (pod własnym tytułem) przytaczam niżej:

Granice hucpy

W tekście poświęconym Telewizji Familijnej ["Życie" z 18.03.00 - S.R.] odniosłem się do ataku przypuszczonego na tę pożyteczną inicjatywę przez "Gazetę Wyborczą". Polemizując z ostrymi tezami najbardziej opiniotwórczego i największego w Polsce dziennika, napisałem, że także historia "Gazety" oddaje poplątane polskie losy. Zauważyłem, że pismo, które było wartością i kapitałem całej solidarnościowej opozycji, po 10 latach stało się prywatną własnością grupy osób o wyraźnie określonych sympatiach politycznych.

Redaktorów "Wyborczej" najbardziej oburzyła opinia, że pieniądze na "Gazetę" były dane całej opozycji. Powołują się przy tym na wyrok w sprawie Jacka Maziarskiego sprzed kilku lat. Ale wyrok ten dotyczył całkiem innego wyrażenia, a więc i odmiennej sprawy!

Ja pisałem bowiem o pieniądzach danych na "Gazetę Wyborczą" - gazetę, która u zarania była dobrem całej demokratycznej Polski i posiadała ogromny kapitał zaufania społecznego u wszystkich ludzi związanych i sympatyzujących z opozycją, i tych z lewa, i tych z prawa. Było to równoznaczne z ogromnym kapitałem handlowym w postaci setek tysięcy ludzi kupujących codziennie "Gazetę" i płacących za nią żywą gotówką. Ludzie ci kupowali "Wyborczą" dlatego, że była ona jedynym [przez ponad rok - S.R.] ogólnodstępnym dziennikiem demokratycznej, wolnej Polski.

Tak więc podsumujmy:

1. Powstanie "Gazety Wyborczej" wynegocjowała solidarnościowa opozycja przy Okrągłym Stole. "Wyborcza" była dobrem całej demokratycznej opozycji i milionów Polaków wierzących w wolność. Był to dziennik dany **całej** wolnej Polsce. A my - ci z lewa i ci z prawa - kupując "Gazetę" dawaliśmy pieniądze na **naszą** gazetę, wówczas **najważniejszą instytucję zaufania publicznego**.

2. Przez pierwsze miesiące ukazywania się największą wartością i kapitałem "Gazety Wyborczej" było zaufanie społeczne i wiara ludzi, że kupując ją, wspierają cały ruch demokratyczny, rodzącą się wolną Polskę. Przy logo "Gazety" widniał napis *Nie ma wolności bez "Solidarności"*. Od strony czysto handlowej, to przede wszystkim zaufanie, wiara i właśnie ten znaczek zapewniały sprzedaż na poziomie setek tysięcy sztuk i odpowiedni do tego napływ gotówki. Zadziałał ten sam mechanizm, który w czerwcu 1989 zapewnił opozycji w wyborach parlamentarnych praktycznie wszystkie możliwe miejsca w Sejmie i Senacie.

3. Przez wiele pierwszych miesięcy "Gazeta" utrzymywała się niemal wyłącznie ze sprzedaży. Każdy z nas - i ten z lewa, i ten z prawa, w tym także ja - kupując "Wyborczą" utrzymywał **naszą** gazetę. Dopiero po miesiącach ludzie zaczęli orientować się, że pismo z przedsięwzięcia obywatelskiego i społecznego przeradza się w inicjatywę komercyjną i dominuje w nim jedna opcja.

Tyle wyjaśnień. Mimo że jest to wiedza powszechna i nikomu nie uwłacza, "Gazeta" podała "Życie" i mnie do sądu. Cóż... Rewolucja często pożera swoje dzieci. "Wyborcza", która powstała dla budowania demokracji i biła się o wolność słowa, może zacząć z wolnością słowa walczyć. Szkoda.

* * *

Wbrew opinii red. Fąfary, NIE JEST to wiedza powszechna, i owszem, niektórym BARDZO UWŁACZA. Właśnie dlatego "Życie" i jego wiceszef zostali podani do sądu. Ale to na marginesie.

Cóż po tych wyjaśnieniach Fąfary - wyjaśnieniach zaiste miażdżących - robi "Gazeta Wyborcza"? Kuli ogon i natychmiast wycofuje pozew. Dlaczego?

Mniemam, iż jacyś przytomni juryści zwrócili uwagę zacietrzewionemu kierownictwu "Gazety", że nawet najbezczelniejsza hucpa ma swoje granice. W takim procesie z "Życiem", podobnie jak przy publicznym badaniu afery Rywina, wyszłyby na jaw wszystkie, nazwijmy je, "niewygodne okoliczności" narodzin i niemowlęcego okresu "Gazety Wyborczej". *Poza tym świat się zmienia, orzecznictwo sądów też, w roku 2000. Maziarski wygrałby swój proces jak amen w pacierzu, my tylko ośmieszylibyśmy się, a cena akcji Agory spadłaby na łeb* - poufnie i dobitnie kładł do uszu pani Rapaczyńskiej jakiś rozsądny prawnik pospołu z jeszcze rozsądniejszym analitykiem giełdowym, i rozsądna pani Rapaczyńska ich posłuchała (tak to sobie wyobrażam).

Ściśle tajne

„R U C H" Spółka Akcyjna
ul. Wronia 23
00-840 Warszawa

Warszawa , dnia 14 marca 2001 r.

Pan
Stanisław Remuszko
dziennikarz
ul. Dunikowskiego 8
02-784 Warszawa

Ł.dz. ZMK/053/4/01

W odpowiedzi na Pana pismo z dnia 27 lutego br. w sprawie udostępnienia przez „RUCH" S.A. *pierwszej umowy kolportażowej zawartej pomiędzy RSW „Prasa –Książka – Ruch" a Agorą Sp. z o. o.* ówczesnym wydawcą „Gazety Wyborczej" , uprzejmie informuję , że w przedmiotowej sprawie zwróciłam się do wymienionej redakcji .

W odpowiedzi na moje pismo , Agora S.A. – wydawca „Gazety Wyborczej" nie wyraziła zgody na udostępnienie osobom trzecim treści cyt. umowy .

Wg oceny wydawcy , szczegółowe postanowienia powyższej umowy stanowią istotny element tajemnicy przedsiębiorstwa podmiotów będących stronami takiego kontraktu. Stosownie do treści art. 4 ust. 2 Prawa Prasowego , wynika możliwość odmowy udzielenia informacji ze względu m.in. na inną tajemnicę chronioną ustawą . Taką inną zaś tejemnicą chronioną ustawą jest tajemnica zawodowa , a w pierwszym rzędzie tajemnica przedsiębiorstwa sformuowana w art 11 ust. 4 Ustawy z dnia 16 kwietnia 1993 r. o zwalczaniu nieuczciwej konkurencji . Szczegółowa treść kontraktów handlowych zawieranych przez dany podmiot w ramach prowadzonej działalności gospodarczej jest istotnym elementem tajemnicy przedsiębiorstwa chronionej ustawą .

W świetle powyższego , z przykrością zawiadamiam , że nie możemy udostępnić Panu przedmiotowej umowy kolportażowej .

PREZES ZARZĄDU
Mirosława Nykiel

* * *

----- Original Message -----
From: Stanisław Remuszko
To: Marek Surmacz
Sent: Tuesday, May 09, 2006 11:36 AM
Subject: Kryterium Remuszki

Nic a nic w Polsce społeczno-gospodarczej się nie zmieni dopóty, dopóki nie zostanie uchwalone prawo, na mocy którego absolutnie wszystkie finansowe szczegóły kontraktów między instytucjami **publicznymi** a **prywatnymi** będą jawne i dostępne dla każdego obywatela. Dopóki dosłownie każda złotówka wydana z publicznej kieszeni nie będzie łatwo dostępna informacyjnie. Ta największa realna świętość panującego systemu, czyli tzw. **tajemnica handlowa w stosunkach publiczno-prywatnych**, jest główną przyczyną polskiej korupcji. Bez zmiany ustaw w postulowanym wyżej duchu nie uda się zbudować nawet **Rzeczpospolitej Trzeciej i Ćwierć**.

Pozdrawiam Pana Posła serdecznie i z respektem :-)

Stanisław Remuszko

P.S. Za parę godzin będę w Sejmie - może uda mi się Panu osobiście ukłonić?

W. Pan
Zbigniew Bujak
Prezes Głównego Urzędu Ceł

Wielce Szanowny Panie Prezesie!

Nazywam się Stanisław Remuszko, mam 53 lata i wykształcenie ścisłe (mat-fiz), z zawodu jestem dziennikarzem (prawie 30 lat stażu), a w latach 1989-1990, na osobiste zaproszenie Adama Michnika, etatowo towarzyszyłem narodzinom i niemowlęctwie „Gazety Wyborczej". Właśnie przygotowuję do druku - poszerzone i uzupełnione o szereg wypowiedzi i dokumentów - drugie wydanie mej książczyny pt. „»Gazeta Wyborcza«. Początki i okolice". W paru miejscach jest tam mowa - w formie retorycznych pytań - również o WSzPanu. Może Pan Prezes miałby ochotę odpowiedzieć na te kwestie? Ze swojej strony gwarantuję druk tych responsów w książce, oczywiście *in extenso.*

Oto zamieszczone w pierwszej edycji pytania do panów *Bujaka Paszyńskiego i Wajdy*:

1. Gdy wiosną 1989 roku zrzucili się Panowie po (dzisiejsze) 5 zł, zakładając formalnie spółkę „Agora" - czy Pan zrobił to **dla siebie** (lub dla konkretnej kilkunastoosobowej grupy osób), czy też - by zacytować pierwszą stronę pierwszego numeru „Wyborczej" - ***dla niekomunistycznej części polskiego społeczeństwa***, w przekonaniu, że tylko firmuje Pan przedsięwzięcie, które moralnie należy do ***całej strony opozycyjno-solidarnościowej***?

2. Pani redaktor Helena Łuczywo i pan dyrektor Grzegorz Lindenberg poinformowali nas (zespół redakcyjny „Wyborczej") w głośnym piśmie z 7 maja 1990, że: *Obecni właściciele Agory - Zbigniew Bujak, Aleksander Paszyński i Andrzej Wajda - zgodzili się 30 kwietnia na przekazanie większości udziałów osobom, które doprowadziły do powstania spółki i gazety, i dotychczas w niej pracują.* Skoro Panowie „zgodzili się", to ktoś musiał Panów o taką zgodę poprosić. **Kto to był** - w Pana przypadku? A także: **na czym polegało** *doprowadzenie do powstania spółki* **przez inne niż Panowie osoby**?

3. Czy z dniem 30 kwietnia 1990 poczuł się Pan już tylko prywatnym współwłaścicielem prywatnej firmy o nazwie Agora, z którą to własnością, bez pytania kogokolwiek o zgodę, miał Pan prawo zrobić co Mu się żywnie podoba - czy też nadal uważał się Pan za wyłącznie moralnego depozytariusza

dobra publicznego, należącego do „całej strony opozycyjno-solidarnościowej"? A może trochę tak i trochę tak?

4. Według „Rzeczpospolitej" z 8-9 maja 1999, ponad rok wcześniej zgodził się Pan, aby współwłaścicielami Agory zostało dodatkowe 75 osób. **Kto** - konkretnie - **Pana o to poprosił? W jakiej formie to się odbyło? Kim jest te 75 osób?**

5. Według tego samego artykułu w „Rzeczpospolitej", stał się Pan posiadaczem pakietu akcji Agory *wartego ponad milion dolarów.* **Czy to prawda?** Jeśli tak, to czy była to darowizna, czy też musiał Pan ów pakiet kupić? Ile to kosztowało i kto płacił podatki? Czy do dziś ma Pan nadal ten pakiet akcji nietknięty, czy też (i za ile) sprzedał Pan już może pewną jego część?

Mam to niezwykłe szczęście, że na część powyższych pytań odpowiedział mi podczas krótkiej fascynującej rozmowy w Sejmie - dosłownie kilka miesięcy przed swą jakże przedwczesną śmiercią - pan Aleksander Paszyński. Byłoby dla mnie (a przede wszystkim dla czytelników!) czystą żywą przyjemnością móc w drugim wydaniu przeczytać obok wypowiedzi ś.p. pana Aleksandra wypowiedź Pana Prezesa.

Z należnym respektem i dobrymi życzeniami

Stanisław Remuszko

Warszawa, 31 sierpnia 2001

* * *

Identyczny list wysłałem do Andrzeja Wajdy. Ale od żadnego z tych panów nigdy nie dostałem żadnej odpowiedzi.

POTWIERDZENIE NADANIA

na przesyłkę poleconą nr 4499

Adresat (imię i nazwisko lub nazwa instytucji)

ulica, nr domu, nr mieszkania, miejscowość

ozn. kodowe poczta

WARSZAWA

podpis

Pobranie zł .... gr .... Uwagi:

opłata zł .... gr ....

Patrz uwaga na odwrocie

Święcenie Agory

(fragmenty relacji Agnieszki Kublik)

W sobotę w nowej siedzibie "Gazety Wyborczej" odbyła się najprawdziwsza parapetówka. Prezydent Aleksander Kwaśniewski nazwał naszą "Gazetę" jedną z najważniejszych instytucji w Polsce, a ks. prof. Michał Czajkowski poświęcił nowy budynek. Świętowaliśmy razem z 600 najznamienitszymi gośćmi.

Tylu wybitnych ludzi ze świata polityki, kultury i biznesu zgromadziło się na warszawskim Mokotowie przy ulicy Czerskiej z jednego powodu - otwarcia nowego gmachu Agory. Nasz nowy dom stoi na hektarowej działce, ma kubaturę 170 000 m^3 i powierzchnię aż 37 000 m^2. Jego twórcy, to pracownia JEMS Architekci.

- *To jest nasz pierwszy dom* - mówiła Helena Łuczywo, zastępca redaktora naczelnego "Gazety" i wiceprezes zarządu Agory. - *Zbudowaliśmy już wiele rzeczy: 4 drukarnie, kilka rozgłośni, portal internetowy. Ale dziś odczuwam szczególną radość i szczęście.*

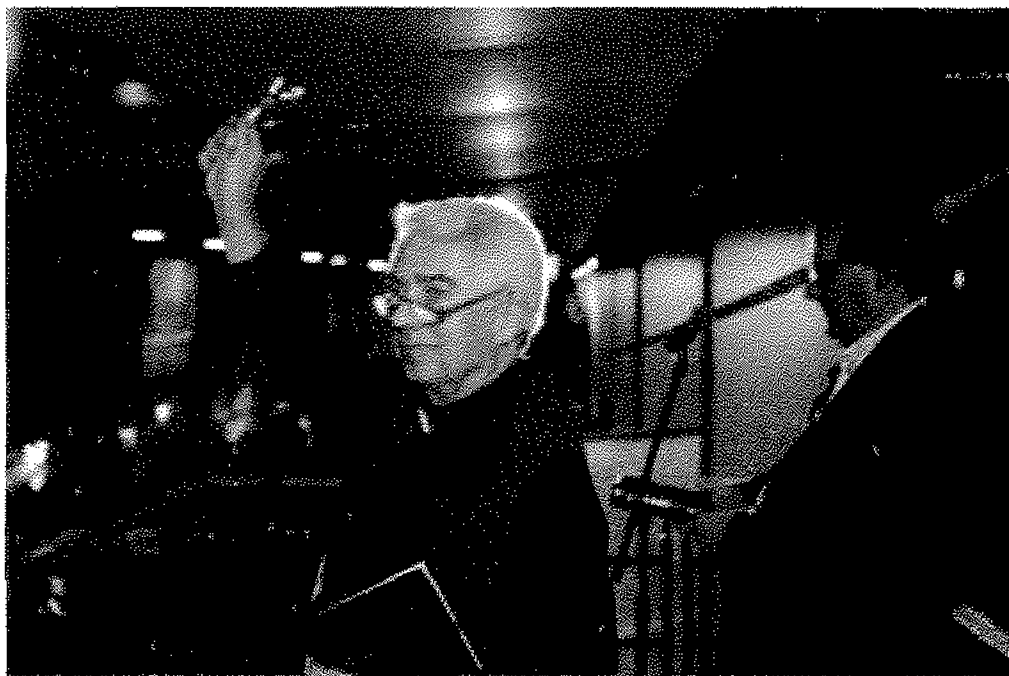
- *Być po 13 latach w takim gmachu to wydarzenie, które traktuję jako sukces tych ludzi, którzy "Gazetę", "Agorę" tworzyli, i wszystkich, którzy brali udział w tym od samego początku, ale także wybaczcie - będzie tu nuta państwowa - traktuję to jako wielki sukces naszych przekształceń po 1989 roku* - przemawiał Kwaśniewski. Szczególne podziękowania przekazał dwóm paniom (*to nie przypadek, że "Gazeta" jest rodzaju żeńskiego*): Wandzie Rapaczyńskiej, prezes Agory i Helenie Łuczywo. Do Michnika powiedział wyjaśniająco i przepraszająco zarazem: *Adamie, nas łączy męska przyjaźń, która jest szorstka.*

Potem Michnik powiedział: - *Człowiek, którzy dziś w Polsce jest człowiekiem-instytucją, mówi, że nieważne, jak się zaczyna, ale jak się kończy* [to aluzja do słów premiera Leszka Millera, że prawdziwego mężczyznę poznaje się nie po tym, jak zaczyna, ale jak kończy - red.], *dlatego teraz nasz budynek zostanie poświęcony przez ks. prof. Michała Czajkowskiego. To nasz przyjaciel, niezwykle odważny człowiek* - zaprezentował go naczelny. - *Mam nadzieję, że te pochwały nie znajdą się jutro w "Naszym Dzienniku"* - replikował ks. Czajkowski. Za ministranta posłużył mu ... Michnik, bo prezydent odsunął się na bok.

Ks. Czajkowski życzył nam, by, kiedy już "Gazeta" będzie dziennikiem całej zjednoczonej Europy, gościła u nas mądrość. - *Niech towarzyszy wszystkim waszym poczynaniom i wszystkim tym, którzy woleliby, by zamiast mszy odbywały się tu egzorcyzmy* - mówił ks. Czajkowski.

Michnik zapewnił, że te wartości będą w tym budynku respektowane i doceniane. - *W imię Boże, razem z prezydentem będziemy walczyć o Unię Europejską, a potem o euro* - mówił naczelny "Gazety". A na koniec zaapelował do licznie przybyłych ambasadorów, by przekazali swoim rządom, że są w miejscu, które jest dowodem na sukces Polski.

I przyszedł czas na bankiet. Ostatni goście, żegnali się z naszym gmachem grubo po północy...



Nowa siedziba Agory, 2 marca 2002. Od lewej: ks. prof. Michał Czajkowski (w latach 1960-1984 tajny współpracownik SB) oraz Adam Michnik. Fot. S. Kamiński

Szczególnie boleśnie postrzegane są przypadki, gdy nowe elity bez jakichkolwiek zahamowań (zapominając o pisanej małą literą solidarności) sięgają po ogromne korzyści w okolicznościach moralnie dwuznacznych.

Być może najbardziej spektakularnym tego przykładem była operacja "uwłaszczenia" przeprowadzona przez środowisko "Gazety Wyborczej". Redaktorzy uznali, że mogą podzielić między siebie ogromny majątek będący następstwem wielkiego sukcesu osiągniętego przez gazetę, która powstała jednak dzięki zwycięstwu całej antykomunistycznej opozycji. Co więcej, nic nie słychać, by beneficjenci założyli np. fundację działającą na rzecz tych, którzy do sukcesu dawnej opozycji się przyczynili, a dziś są na dnie.

W roku 1989 "Gazeta" - mając monopol - weszła na rynek. Było to możliwe dzięki kontraktowi Okrągłego Stołu. Ale ponad dekadę potem wpływowi ludzie "Gazety" pobrali na własność akcje Agory (w przypadku niektórych osób o wartości kilkunastu i więcej milionów dolarów). Potem były jeszcze zwolnienia podatkowe od sprzedaży tych papierów. Wszystko zgodnie z prawem.

["Rzeczpospolita", 24.08.02 i 23.08.05]

Ryszard Bugaj

* * *

- Elementem układu oligarchicznego w Polsce jest Agora, wydawca "Gazety Wyborczej" - mówił w sobotę w Poznaniu lider PiS Jarosław Kaczyński. Stwierdził, że naczelny "Gazety" Adam Michnik i wielu działaczy przeszło na drugą stronę, zostało dokooptowanych do oligarchii. - Jeżeli chodzi o Agorę, to tutaj prawnego problemu zdobycia majątku nie ma. Natomiast jest problem moralny. Agora powstała jako spółka prywatna, która miała wydawać "Gazetę Wyborczą". I "Gazeta" zaczęła funkcjonować na zasadzie monopolu - wtedy nikt inny gazety prywatnej wydawać nie mógł. To wymagało różnego rodzaju przydziałów, również kredytu z NBP, niezależnie od tego, że była też pomoc zagraniczna. W związku z tym czynienie z gazety własności prywatnej jest sprawą moralnie bardzo wątpliwą. To miało być pismo "S", więc powinno być albo własnością związku, albo jakiejś fundacji. Nie powinna być spółką prywatną, bo to było - jak to się mówi w prawie cywilnym - ogromne przysporzenie majątkowe. Prawo do wydawania pierwszej niezależnej gazety po tej stronie Łaby miało wartość majątkową. Nie przecząc w niczym zasługom Adama Michnika i środowiska, które tworzyło tę gazetę - inni też walczyli, a nikt im takich nagród nie dał.

Jarosław Kaczyński

[W rozmowie z Piotrem Bojarskim, "Gazeta Wyborcza", 20.06.04]

Zagadki

Adamie Drogi i Szanowny,

Odkąd się znamy, nigdy nie zachowałem się wobec Ciebie niegrzecznie, zawsze okazywałem Ci należny szacunek i traktowałem jak przyjaciela. Odwiedzałem Cię w szpitalu, pożyczałem pieniądze, z rewerencjami podejmowałem w swoim domu, a nawet, na Twe wyraźne życzenie, kiedyś próbowałem pomóc Ci w sprawach rodzinnych. Ostatnio (w środę 11 czerwca w Łazienkach), pragnąc wesprzeć Cię w kłopotach finansowych, za 1500 zł kupiłem od Ciebie prawa do składu; pamiętasz, jak Cię to mile zaskoczyło?

Dlatego Twoja obecna postawa jest dla mnie niepojęta.

Uprzejmie przypominam Szlachetnemu Panu, że na przełomie lutego i marca 2003 roku dwie poważne osoby - każda z własnej nieprzymuszonej woli - podjęły wspólne przedsięwzięcie: wydanie i sprzedaż książki „Gazeta Wyborcza" Początki i okolice". Umówiliśmy się, że Ty zajmiesz się sprawami edytorskimi, że moim honorarium autorskim będzie (*de facto*) połowa nakładu oraz że koszt reklamy podzielimy na pół.

Nie chcę tu wchodzić w szczegóły ani zajmować się drobiazgami. Nie chodzi nawet o to, że nadal jesteś mi winien 400 egzemplarzy oraz 2000 zł. I nawet nie o to, że nie wywiązujesz się z kolejnych obietnic. **Chodzi mi o to, że całkowicie zaprzestałeś odpowiadać na jakiekolwiek próby nawiązania z Tobą kontaktu.** Minęły właśnie dwa miesiące od sobotniego przedpołudnia, kiedy to z Agnieszką przez godzinę nadaremno czekaliśmy na Ciebie w naszym domu - a przecież Ty sam zaproponowałeś konkretny termin i miejsce tej ważnej rozmowy. Nie odpowiadasz na telefony, na mejle, na SMS-y, na listy, na faksy, ani na prośby o kontakt zostawiane w miejscach, gdzie bywasz. Od czerwca wysłałem do Ciebie dobre pół setki takich rozmaitych sygnałów - i nic. Co gorsza, nie można Cię również zastać ani w biurze ani w domu. Co się z Tobą dzieje?

Uważam, że w niczym nie zasłużyłem sobie na podobne traktowanie. Uważam też, że jeśli - z sobie tylko znanych przyczyn - postanowiłeś zerwać ze mną wszelkie relacje oraz uczynić to nagle i bez wyjaśnień, to powinieneś naprzód wywiązać się wobec mnie ze zobowiązań biznesowych.

Nie ukrywam, że czuję się mocno urażony Twoją postawą.

I mocno zaniepokojony. (29.08.03)

Staszek

Adamie,

Minęły dwa miesiące od chwili, gdy załączony na odwrocie list do Ciebie dotarł. Z różnych źródeł - także od osób, które Ci ów list osobiście wręczyły - wiem, że nie zwariowałeś (czego, prawdę mówiąc, poważnie się obawiałem).

Ostatni raz podejmuję próbę nawiązania z Tobą kontaktu - a Bóg mi świadkiem, że dotychczas zrobiłem w tej sprawie bodaj wszystko, co było możliwe.

Ten jeden jedyny raz (innych już nie będzie) użyję wobec Ciebie trybu warunkowego. Jeśli do Bożego Narodzenia nie odezwiesz się i nie wytłumaczysz jakoś ze swego postępowania - w przygotowywanym nowym wydaniu mej książczyny zamieszczę niniejszy i poprzedni list do Ciebie - po to, by czytelnik samodzielnie ocenił, czy prawdą jest, co mówią na mieście. A mówią, że Ty również zląkłeś się Agory.

Moje namiary masz w nagłówku. (11.11.03)

Staszek Remuszko

* * *

Cytowana jednostronna korespondencja ze znanym polskim wydawcą Adamem Borowskim ("Volumen") nie jest jedyną przykrą zagadką, która towarzyszy tej książce.

W roku 2000. nowojorski polonus Mark Ruszczynski ("Videofact") zaproponował mi promocję i sprzedaż w Ameryce kilkuset egzemplarzy pierwszego wydania "Gazety Wyborczej. Początków i okolic". Paczki na własny koszt wysłałem, ale z tego przedsięwzięcia w końcu nic nie wyszło. Jednak pan Ruszczynski namówił mnie tymczasem na zarobkową publicystyczną współpracę z innym panem, też Markiem, o nazwisku Bober, który okazał się być redaktorem naczelnym chicagowskiego "Kuriera Codziennego". Pan Bober przez kilka miesięcy zamawiał u mnie teksty, wydrukował ich bodaj dziesięć, lecz mimo wielokrotnych solennych obietnic nie zapłacił za nie ani centa, a potem i on, i pan Ruszczynski, podobnie jak Adam Borowski, definitywnie przestali się odzywać.

Z kraju i ze świata przez pewien czas zgłaszali się również dziwacy (eufemizm). Najgorsi byli zwłaszcza ci spoza Europy, ponieważ uważali, że skoro przemierzyli ocean, by wyżalić się na żydokomunę, to ja - autor krytycznej książki o "Gazecie" - mam psi patriotyczny chrześcijański oraz słowiański obowiązek ich wysłuchać. Wierzyć się nie chce, ale dobre kilkanaście razy do drzwi mojego prywatnego mieszkania na warszawskim Ursynowie pukali nie zapowiedziani nieznajomi ludzie, domagając się natychmiastowej gościny, uwagi i szacunku tylko dlatego, że przybyli z USA czy Kanady (a nawet - jak pewne małżeństwo - z RPA). O dziesiątkach telefonów w tym stylu nie warto opowiadać.

List do Księżniczki

(fragmenty)

(...)

Okrągłostołowej umowy nie zawarli Jaruzelski z Wałęsą, ani dwie wielkie Grupy Trzymające Władzę, tylko strona rządowo-koalicyjna ze stroną opozycyjno-solidarnościową. Mało tego: nawet one nie porozumiały się same przez się, i nie dla siebie ani swojego zaplecza, lecz - tak głoszono w kółko, do znudzenia, i tak zostało zapisane w historycznych protokołach - zrobiły to „W IMIENIU I DLA DOBRA CAŁEGO POLSKIEGO SPOŁECZEŃSTWA".

Fragmentem tego kontraktu była „Gazeta Wyborcza", na którą peerelowska władza dała SIŁY, czyli prawno-polityczną zgodę, oraz ŚRODKI (Papier, Kolportaż, Druk, Łączność, Lokal, Transport i Kredyty), a także zapewniła roczny MONOPOL. Zgłodniałe i spragnione społeczeństwo, poprzez codzienne zakupy tej duchowej witaminy, ufnie demonstrowało swoje bezcenne POPARCIE. [W ciągu pierwszych tygodni po starcie „Wyborczej" również najlepsze w Polsce publicystyczne PIÓRA pracowały dla wytęsknionego dziennika-symbolu z potrzeby serca i za darmo, no, ale nie bądźmy drobiazgowi] To są tzw. nagie fakty.

Zapiszmy ten bilans w postaci arytmetycznej: „Gazeta Wyborcza" = polityczne SIŁY + państwowe ŚRODKI + brak KONKURENCJI + społeczne POPARCIE + redakcyjny ZESPÓŁ.

Jeszcze raz: „GW" = SIŁY + ŚRODKI + MONOPOL + CZYTELNICY + REDAKCJA. Ile jest tych składników przyszłego fenomenalnego sukcesu medialnego? Pięć. Ale zachodzi oto znamienna asymetria: **w takich cudownych, jedynych i niepowtarzalnych historycznych warunkach nawet słaby zespół ludzki MUSI odnieść sukces (mniejszy czy większy), natomiast grupa i stu Michników - ale pozbawiona wspomnianych sił albo środków albo popytu - na sukces NIE MA ŻADNYCH SZANS!**

Wskutek tak unikatowego zestrzelenia się tak unikatowych okoliczności spółka Agora - założona formalnie przez Bujaka, Paszyńskiego i Wajdę za piętnaście złotych - zarabia w ciągu zaledwie kilku tygodni swój przysłowiowy „pierwszy milion" („pierwsze dziesięć milionów", „pierwsze sto milionów" - niepotrzebne skreślić). Pieniądze te zostają w następnych miesiącach i latach mądrze rozmnożone, a powstałym w ten sposób kapitałem wartym miliard dolarów (to nie pomyłka) symboliczni dotychczas właściciele Agory uwłaszczają się najzupełniej prywatnie. Już nie twierdzą, że robią to „W IMIENIU I DLA

DOBRA CAŁEGO POLSKIEGO SPOŁECZEŃSTWA", ale obruszają się, obrażają i oburzają, gdy ktoś im tę moralną grabież wytknie. Do dziś zresztą nie wiadomo, kim są, ponieważ nazwiska czołowej setki (to nie pomyłka) beneficjentów-milionerów szczelnie utajniono.

Fakty te mają dla „Gazety Wyborczej" znaczenie tak samo fundamentalne, jak dla Peerelu dogmat o kierowniczej roli partii albo przyjaźni ze Związkiem Radzieckim. Przypomnę, że kiedy tę rolę albo ten sojusz się przyjęło jako założenie do dyskusji, wówczas już WSZYSTKO udawało się komunistom uzasadnić. Podobnie z „Gazetą": gdy się etycznie usprawiedliwi pierwszy zwędzony milion, to tym samym zdejmuje się grzech pierworodny z WSZYSTKICH następnych dokonań Agory, ponieważ żadne takie dokonanie (złe czy dobre) nie byłoby możliwe bez kolejnych dziesiątków i setek milionów, które powstały z tego pierwszego. Nie widzę możliwości logicznego podważenia tego wywodu.

Jednak na temat tych samych faktów interpretowanych za pomocą tej samej logiki istnieją dwie skrajnie sprzeczne ze sobą opinie. Pierwszą z nich (że było to brzydkie złodziejstwo), sformułował już w roku 1990 niejaki Stanisław Remuszko, zarzucając na piśmie Michnikowi i jego towarzyszom ze spółki Agora komunistyczny nierząd („nomenklaturowe spółkowanie"). Co ciekawe, czternaście lat później (17 kwietnia 2004 w Poznaniu) w identycznym duchu wypowiedział się Kaczor Starszy - bodaj najbystrzejszy i najuczciwszy wśród najważniejszych polskich polityków.

Kradzież? Ale skądże, to był prezent Opatrzności! - odpowiadają na ten zarzut szefowie Agory, głosząc *unisono* (w dystansie pięcioletnim - Wanda Rapaczynski 18.01.99 oraz Ernest Skalski 19.04.04): *To, że byliśmy we właściwym miejscu i we właściwym czasie, to jest dar od Pana Boga.*

Nie znam procesów mentalnych, które doprowadziły Adama Michnika z konsortesami do wyżej prezentowanego poglądu. To zadanie (lepiej: wyzwanie) dla psychologów, socjologów, kapłanów i lekarzy. Nie umiem odwracać znaków etycznych i nie pojmuję, jak można interesowne czarne nazywać bezinteresownym białym nie wstydząc się tego. **Lecz jednocześnie jestem głęboko przekonany, że oni w swoją prawość wierzą.** Nie udają, nie oszukują, nie kłamią, tylko wewnętrznie naprawdę wierzą (przynajmniej dziś) w nieskazitelną czystość swych samouwłaszczeniowych kroków, które ja (ale za Panem Bogiem i faktami) nazywam grzechem przeciw siódmemu przykazaniu, a Jarosław Kaczyński w „GW" z 20.04.04 eufemistycznie określa *de iure*, jako nienależne „ogromne przysporzenie majątkowe" (m.in. dlatego Remuszko nie nadaje się na polityka).

(...)

Całkiem inaczej jest ze wspomnianym Adamem Michnikiem. Kradnąc „Gazetę Wyborczą", ten pan zawiódł mnie dubeltowo: jako osobistego druha-sługę wierzącego w ludzką uczciwość oraz jako patriotę wierzącego w demokratyczne ideały. Na dodatek sam jego czyn jest obrzydliwy potrójnie: jako rabunek *boni publici*, jako czerpanie prywatnych finansowych korzyści z tego skoku, oraz (to chyba najgorsze) jako nieprawe zdobycie władzy nad umysłami. Mój stosunek do takiego Michnika, mierzony w skali Celsjusza, wyraża jakaś duża dwucyfrowa liczba poniżej zera.

A co ten sam termometr mówi o Księżniczce? Michnikowi nie podskoczysz, to jasne, lecz słupek rtęci pokazuje mróz. Chodzimy po lodzie. Prószy drobny śnieg. To nie zima stulecia, na pewno, ale jednak porządny przedwojenny styczeń lub luty.

Ciebie i Michnika łączy jedno: **solenne i trwałe przekonanie o własnej niewinności**. Właśnie ta trwałość jest dla mnie największą zagadką, oznacza bowiem jakąś straszną wybiórczą autoprzeróbkę mózgu. Zejść na fatalną drogę, postąpić paskudnie, złamać etyczne zakazy, upaść nisko, zgrzeszyć śmiertelnie - rozumiem. Również z tego składa się (a nawet: również na tym polega) nasze człowieczeństwo. Ale usprawiedliwiać zło? Dorabiać mu ideologię? Szukać dlań tłumaczeń? Uparcie tkwić w grzechu wówczas, gdy nam go ktoś wytyka palcem? Nie mieć odwagi spojrzeć w lustro? Zamienić swój moralny kręgowy słup na leszczynową witkę?

(...)

Staszek

Ursynów, 20 czerwca 2004

Lustracji dziennikarzy nie będzie

Historia III Rzeczpospolitej wyraziście pokazała, zwłaszcza w ostatnich latach, iż wysokonakładowe pismo, chętnie słuchana rozgłośnia radiowa albo popularna telewizja mają na opinię społeczną (m.in. na decyzje wyborców) wpływ większy niż rozmaite autorytety, pierwszoplanowi politycy, a nawet całe partie. Widać też jasno, że – gdy idzie o rolę opiniotwórczą – nie ma między mediami publicznymi a prywatnymi różnic innych niż te, które wynikają z liczby odbiorców danej gazety, radia czy stacji telewizyjnej. **To jest racja rozumowa.**

Donoszenie na kolegów (pełnienie w danym środowisku funkcji obcego oka i ucha) zawsze było w polskiej i europejskiej kulturze oceniane wysoce nagannie. Wysługiwanie się niedemokratycznej władzy w niesuwerennym państwie tylko tę ujemną ocenę zaostrza. **To jest racja ideowo-moralna.**

Listy agentów UB i SB mogą być znane osobom formalnie nie należącym dziś do elit władzy, lecz dysponującym ogromnymi realnymi wpływami biznesowymi, powiązań gangstersko-mafijnych nie wyłączając. Jest też wysoce prawdopodobne, iż groźną wiedzę na temat tajnych współpracowników służb specjalnych PRL posiadają rozmaite Mossady, EmAjFajfy, KaGieBe, SiAjEj czy inne dyskrecjonalne formacje innych państw, niekoniecznie przyjaznych Polsce. **To jest racja obywatelsko-patriotyczna.**

Trzy powyższe racje przemawiają za lustracją w ogóle. Za lustracją dziennikarzy przemawia odpowiedź na pytanie, gdzie bezpieka na całym świecie lokuje swoich agentów przede wszystkim? Wśród **opozycji politycznej** (z przyczyn oczywistych) oraz wśród **żurnalistów** - ze względu na specyfikę tego zawodu, którą jest zbieranie i rozpowszechnianie informacji i opinii. Logika i statystyka podpowiadają zatem, że **odsetek sekretnych kooperantów specsłużb PO ZMIANIE USTROJU musi być wśród dawnych opozycjonistów oraz wśród dziennikarzy znacznie wyższy niż "środowiskowa przeciętna krajowa".**

W Polsce po roku 1989 o objęcie lustracją dziennikarzy starało się wielu członków tego środowiska. Dość przypomnieć skierowane do Sejmu głośne apele z 1996 i 1999 roku, a także złożony do laski marszałkowskiej projekt nowelizacji ustawy lustracyjnej z 2001 roku. Niestety, wszystkie te spontaniczne obywatelskie wysiłki nie powiodły się, ponieważ nie uzyskały wsparcia ani od mediów, ani od dziennikarskich organizacji, ani od ugrupowań politycznych.

W początkach 2005 roku, gdy za sprawą red. Wildsteina lustracja wróciła na pierwsze strony gazet, w ekspresowym tempie narodziło się bodaj pięć różnych projektów nowelizacji ustawy lustracyjnej. Te partie, które podług sondaży wkrótce przejmą władzę (PO + PiS), zamierzają lustracją objąć również „redaktorów naczelnych, ich zastępców, redaktorów, oraz kierowników oddziałów regionalnych" mediów publicznych i prywatnych. Gdyby to zostało uchwalone, taka kontrola objęłaby m.in. cztery gazety codzienne („Fakt", „Gazetę Wyborczą", „Rzeczpospolitą" i „Super Express") i cztery tygodniki („Newsweek", „Nie", "Politykę" i „Wprost") zajmujące w swych kategoriach ponad 90% rynku, oraz dwa najpopularniejsze prywatne radia („RMF", „Zet") i takież dwie telewizje („Polsat", „TVN").

Ale czy uchwalone będzie? Śmiem wątpić. **Jawną lub słabo skrywaną wrogość wobec propozycji ujawnienia tajnych współpracowników bezpieki demonstruje cały pookrągłostołowy układ sił i interesów.**

Oto wydarzenie drobne, lecz znamienne. Pod koniec lutego 2005 w warszawskiej siedzibie Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich odbywa się wielka debata na temat lustracji żurnalistów. Przychodzi (liczyłem) sto trzydzieścioro Koleżanek i Kolegów, nazwiska dyskutantów takie, że klękajcie narody: JE ksiądz metropolita Józef arcybiskup Życiński, prezes IPN profesor Leon Kieres, pani doktor Barbara Fedyszak-Radziejowska, obrady prowadzi Grzegorz Miecugow, atmosfera gorąca, sala z przejęciem słucha takich sław, jak Teresa Bochwic i Janina Jankowska, jak Maciej Iłowiecki, Tomasz Wołek i Piotr Zaremba, odczytują list od samego Stefana Bratkowskiego, a na okrasę swymi „praktycznymi uwagami" dzieli się wybitny znawca dziejów najnowszych prof. Andrzej Paczkowski. Radiowe magnetofony wszystko nagrywają, a telewizyjne kamery kręcą.

I co? I nic. Ani słowa. Ani w radiu, ani w telewizji, ani w gazetach, ani w tygodnikach. Owszem, kilka dni potem ogólnie o lustracji pisze „Przekrój", ale o lustracji... u naszych południowych sąsiadów. O lustracji pisze „Polityka" – ale o lustracji... duchownych. O dziennikarzach pisze „Newsweek" (piórem obecnej na spotkaniu pani redaktor Amelii Łukasiak), ale nie o ich lustracji, tylko o... weryfikacji w stanie wojennym. Kamień w wodę, czarna dziura, nos w sos, nogi w pierogi, nic nie było, temat tabu.

Powiem Państwu, co wyjdzie z lustracji dziennikarzy: **nici**. Dlaczego? **Ponieważ gra idzie o życie.**

Rozumuję tak. Demokrację monteskiuszowską (parlament, rząd, sądownictwo) w III Rzeczpospolitej coraz bardziej zastępuje oligarchia medialna – czyli ustrój oparty na niejawnych i nieformalnych układach biznesowo-politycznych, w którym ważny redaktor jest ważniejszy od posła,

ważny nadredaktor od ministra, a właściciele i dysponenci czołowych pism i anten od prezydenta, premiera i prymasa razem wziętych. To dla obywateli źle, bo dziennikarze oraz inni ludzie mediów nie pochodzą z demokratycznego nadania i za swą działalność nie ponoszą praktycznie żadnej odpowiedzialności. Nadto, według świadectw znających się na rzeczy Michnika i Siemiątkowskiego, tajni współpracownicy UB i SB wniknęli w środowisko żurnalistyczne tak głęboko i było ich w PRL tak wielu, że obecna lustracja mogłaby niejedną redakcję doprowadzić na skraj kadrowego bankructwa.

Same **media** nie kiwną palcem, by ów niedobry stan rzeczy zmienić (nikt nie podcina gałęzi, na której siedzi). Podobnie z **organizacjami dziennikarskimi**: dla zachowania pozorów chętnie uchwalą uchwałę albo nawet zwołają zebranie – i na tym poprzestaną. **Politycy** zaś w sezonie wyborczym nie uczynią niczego, czym mogliby mediom podpaść. I kółko się zamyka.

Lustracji dziennikarzy nie będzie. Ale trzeba zrobić bardzo dużo hałasu, aby wszystko zostało po staremu.

Stanisław Remuszko

P.S. Nie mam nic przeciwko poselskim pomysłom rozszerzenia lustracji na radnych, oficerów wojska i policji oraz radców prawnych (w sumie ponad 100 000 osób). Uważam jednak, **iż wszyscy oni razem wzięci nie mają na społeczeństwo takiego wpływu jak kilkusetosobowa, może nawet tylko kilkudziesięcioosobowa grupa dziennikarzy (oraz kierownictwo) najważniejszych mediów.**

oraz

"Głos", 22 października 2005

Otrzymaliśmy kopię listu Stanisława Remuszki do Zarządu Głównego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Red. Remuszko co parę lat wznawia energiczne - choć wciąż bezskuteczne - akcje na rzecz zlustrowania dziennikarzy. Oto jego najnowsze wystąpienie (red.)

Do ZG SDP

Lustracja dziennikarzy jest dla naszego środowiska sprawą o znaczeniu fundamentalnym. W styczniu 2005 Walny Zjazd Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich podjął dwie uchwały dotyczące lustracji. Projekty zmian w ustawie lustracyjnej – tak by objęła ona również dziennikarzy mediów prywatnych – sporządziły partie PiS i PO, które właśnie przejmują władzę w Polsce.

Uprzejmie proponuję, aby na temat lustracji dziennikarzy zorganizować w październiku na Foksal, z udziałem przedstawicieli IPN, PiS i PO, środowiskową debatę podobną do tej, która odbyła się siedem miesięcy temu. Uważam, że uczestnicy tej debaty powinni zostać poinformowani przez przedstawiciela ZG SDP o realizacji obu zjazdowych uchwał, a przez przedstawicieli PiS i PO o odnośnych planach legislacyjnych. Informacje te powinny znaleźć się również w najbliższym numerze „Forum Dziennikarzy".

Gdyby moja osoba mogła na coś się przydać (podać, przynieść, pozamiatać), to mogę od A do Z zorganizować całe spotkanie, a także je poprowadzić.

Pozdrawiam P.T. Zarząd serdecznie i z respektem, a Krysi M. dodatkowo rączki całuję (29.09.06)

Stanisław Remuszko

Do wiadomości:
1. Walne Zebranie OW SDP 2. Redakcja „Forum Dziennikarzy"

oraz

List do "Rzeczpospolitej"*, 27 maja 2006

„Czwarta władza do lustracji"

Andrzej Bober, Teresa Bochwic, Rafał Brzeski, Erazm Ciołek, Mirosław Chojecki, Bogdan Chrabota, Krzysztof Czabański, Marek Domagalski, Jan Dworak, Irena Dziedzic, Tadeusz Fredro-Boniecki, Andrzej Gelberg, Wojciech Giełżyński, Alina Grabowska, Maciej Iłowiecki, Piotr Jakucki, Andrzej Jeleński, Jacek Kaczmarski, Jakub Karpiński, Wojciech Klewiec, Jolanta Kucharska, Tomasz Lis, Jacek Łęski, Maciej Łętowski, Jolanta Łopuszyńska, Amelia Łukasiak, Maciej Łukasiewicz, Marek Markiewicz, Jacek Maziarski, Grzegorz Miecugow, Stanisław Michalkiewicz, Jacek Moskwa, Wanda Nadobnik, Elżbieta Narbutt, Maciej Orłoś, Łukasz Perzyna, Jan Polkowski, Józef Ptaczek, Wojciech Reszczyński, Agnieszka Romaszewska, Piotr Semka, Radek Sikorski, Maria Starkowska, Wojciech Starzyński, Maciej Strzembosz, Andrzej Urbański, Wiesław Walendziak, Antoni Zambrowski, Aleksandra Zawłocka, Rafał Ziemkiewicz, Małgorzata Ziętkiewicz - to tylko część ludzi pióra, mikrofonu i kamery, którzy w roku 1996, a potem w roku 1999 demonstracyjnie podpisali się pod skierowanymi do Sejmu apelami o objęcie lustracją dziennikarzy mediów publicznych i prywatnych.

O tych apelach mówiło wówczas całe środowisko, odbyły się konferencje prasowe oraz telewizyjne, radiowe i gazetowe dyskusje (łatwo sprawdzić), a późniejszym skutkiem tych działań był projekt nowelizacji ustawy lustracyjnej wniesiony wiosną 2001 do laski marszałkowskiej przez m.in. Ludwika Dorna, Jarosława Kaczyńskiego, Kazimierza Marcinkiewicza i Jana Olszewskiego. **O wszystkim tym doskonale wiedzieli dziennikarze, wiedziały stowarzyszenia dziennikarskie, wiedzieli wszyscy zainteresowani - tylko nie pan Jerzy Jachowicz, wieloletni redaktor "Gazety Wyborczej", ostatnio publicysta "Newsweeka", który w "Rzeczpospolitej" z 26 maja 2006 napisał ni mniej ni więcej:** *...Lustracja dziennikarzy przez wiele lat była tematem tabu. Nie tylko nikt nie ośmielał się mówić głośno, że przeszłość dziennikarzy z punktu widzenia ich ewentualnej współpracy z tajnymi służbami PRL powinna podlegać społecznej kontroli, ale nawet wśród zwolenników lustracji niewielu myślało o takiej potrzebie (...) Po raz pierwszy zaczęto nieśmiało przebąkiwać o konieczności lustracji ludzi mediów latem 2001 roku...*

Część sygnatariuszy tamtych apeli już nie żyje, część jest w podeszłym wieku i nie upomni się o szacunek należny im za okazaną wtedy odwagę cywilną i publicznie wyrażone poglądy. Szacunek zawsze należny prawdzie i faktom. Dlatego pozwalam sobie to zrobić w ich imieniu.

Stanisław Remuszko

---

*Redakcja "Rzeczpospolitej" odmówiła wydrukowania tego listu.

oraz

Archiwum Sejmu, 30 czerwca 2006

Komisja Nadzwyczajna
na ręce
Pana Przewodniczącego
Posła Stanisława Pięty

Równo dwa lata temu na telewizyjne zamówienie przygotowałem konspekt działań, które należałoby podjąć, aby nakręcić porządny dokumentalny film o "Gazecie Wyborczej". Ten ciekawy źródłowy tekst niżej załączam, ale najpierw przedstawiam wypływające zeń oczywiste bieżące praktyczne wnioski na temat lustracji dziennikarzy.

Jak wiadomo, model lustracji dziennikarzy przyjęty przez Wysoką Komisję opiera się na fundamentalnym założeniu, że główną rolę sprawczą w tym procesie odegra presja środowiskowa.

Skoro tak, to musi powstać łatwo i ogólnie dostępna "**Lista Dziennikarzy**", na której będzie się odznaczać tych, którzy wystąpili do IPN o zaświadczenie, oraz podawać, jaka jest tego zaświadczenia treść. Każdy internauta będzie mógł natychmiast dowiedzieć się, czy taki na przykład Grzegorz Gauden lub Miecugow, Bogdan Chrabota lub Rymanowski, Monika Luft lub Olejnik, Marek Barański lub Król, Krzysztof Czabański lub Kozłowski, a nawet Stanisław Michalkiewicz lub Remuszko poprosili IPN o wiadomą bumagę i co w niej stoi.

Prosty obowiązek ogłaszania publicznej informacji o takich zaświadczeniach można ustawowo nałożyć na IPN. Skąd jednak wziąć wspomnianą bazową listę dziennikarzy, aby z jej oglądu już na pierwszy rzut oka wynikało to, co trzeba?

Zarówno kwerenda wirtualna (Google) jak i wizyty w bibliotekach (Narodowa, uniwersyteckie, PAN) dają odpowiedź zaskakującą: **ta wiedza nie istnieje**. Poza cząstkowymi i wyrywkowymi, nie istnieją żadne spisy (słowniki, listy, księgi etc.) polskich dziennikarzy ani publicystów, i nie ma tego nawet sam słynny krakowski Ośrodek Badań Prasoznawczych ani prestiżowy miesięcznik "Press". Owszem, wiadomo wszystko i alfabetycznie o polskich parlamentarzystach, sędziach i adwokatach, także o docentach i profesorach, o pisarzach, lekarzach, księgowych i sportowcach oraz o członkach innych zawodowych korporacji - **z wyjątkiem dziennikarzy**.

Dzieje się tak dlatego, iż żurnaliści jako jedyna grupa społeczna posiadają naturalną (wrodzoną albo genetyczną, dokładnie jeszcze nie wiadomo) odporność na pokusy świata, za życiowy drogowskaz od maleńkości mając jeno sam Kamienny Dekalog. W szczególności nie biorą i nie dają, nie kłamią i nie kręcą, słyną z absolutnej dyskrecji, są wzorem obiektywizmu, nie należą do osławionych "czworokątów", stronią od personalnych rozgrywek, nie mają poglądów politycznych, brzydzą się każdą ideologią, na widok ABW odruchowo przechodzą na drugą stronę ulicy, zachowują wręcz przesadną niezależność od pracodawcy, a odbiorcom przekazują tylko czystą, żywą prawdę, na dodatek zawsze wysłuchując drugiej strony, oddzielając informacje od komentarza oraz bezzwłocznie drukując sprostowania. Ponieważ zaś dziennikarzem zostaje się w wyniku oddolnych demokratycznych wyborów i najwyżej na dwie kadencje; ponieważ dziennikarze na co dzień ryzykują karierą i majątkiem, natychmiast stając przed sądem środowiskowym lub powszechnym za swoje brzydkie czyny; ponieważ wreszcie wpływ gazet, radia i telewizji na obywateli jest mizerny - nie ma potrzeby, aby na temat ludzi mediów gromadzić jakieś usystematyzowane informacje. Tym bardziej, że takie gromadzenie oczywiście godziłoby jaskrawo w wolność słowa, byłoby

sprzeczne z Powszechną Deklaracją Szczęśliwości, a także naruszało wprost Ustawę Zasadniczą RP...

Ironizuję po to, by uwypuklić problem. Koń jaki jest, każdy widzi.

W tym konkretnym kontekście aż prosi się, by wrócić do głośnego pomysłu sprzed paru miesięcy, czyli do powołania Instytutu Medialnego, który - jeśli dobrze zrozumiałem poselskie intencje - kosztowałby podatników tyle co nic, pracował głównie na zasadach białego wywiadu, sporządzał rozmaite żurnalistyczne bryki, kompendia i analizy, a także inicjował, prowadził, obserwował i sprawozdawał dyskusje nie tylko nad nowym Prawem Prasowym, lecz również nad ustrojowo nową pozycją środków społecznej komunikacji w Polsce.

[Notabene, dożyliśmy czasów, gdy Monteskiusza z jego staromodnym trójpodziałem władzy coraz częściej zastępuje prężna oligarchia medialna – czyli system realnej władzy oparty na niejawnych i nieformalnych układach biznesowo-politycznych, w którym ważny redaktor jest ważniejszy od posła, ważny nadredaktor od ministra, a właściciele i dysponenci kilkunastu czołowych pism i anten od prezydenta, premiera i prymasa razem wziętych. Podobne rzeczy, z różną częstością i natężeniem, dzieją się zresztą w innych krajach, i stara demokracja nie bardzo wie, czy i jak temu przeciwdziałać. Osobiście uważam, że ten newralgiczny obszar życia społeczno-politycznego nie powinien w IV Rzeczpospolitej pozostawać praktycznie poza kontrolą państwa i prawa, w szarej strefie nieodpowiedzialności regulowanej ustawą z 1984 roku. Gdy kiedyś dojdzie (daj Boże!) do powołania sejmowej Komisji Prawdy i Sprawiedliwości, z pewnością jednym z głównych wątków jej prac będzie wyjaśnienie trzymanych wciąż w ścisłym sekrecie szczegółów transformacji rynku medialnego wartej grube miliardy (narodziny "Gazety Wyborczej", sprzedaż "Rzeczpospolitej", uwłaszczenie majątkiem RSW, pierwsze koncesje RTV etc.). To wszakże temat na inną (bardzo ważną) rozmowę.]

Wracając do punktu wyjścia, czyli do "**Listy Dziennikarzy**": powinien to być rezultat fachowej kwerendy zszywek i roczników (wyższość "spisu z natury" nad sprawozdawczością redakcyjną i stowarzyszeniową). Listę tę może szybko i sprawnie przygotować postulowany Instytut Medialny, a jeszcze szybciej i sprawniej niżej podpisany, ponieważ dokładnie wie, co i jak miałby robić, a zacząć dałoby się niemal od jutra. Jestem gotów 1 października 2006 przedstawić Sejmowi weryfikowalną co do kropki imienną listę wszystkich dziennikarzy - redaktorów i autorów - pracujących i publikujących w latach 1989-2006 we wszystkich ogólnopolskich i regionalnych dziennikach oraz we wszystkich opiniotwórczych tygodnikach i miesięcznikach - z całą bazą

również w postaci elektronicznej (na przykład pod Excelem). Zresztą wszystko jedno, kto to zrobi, byle zrobił porządnie i szybko.

W dobrej katońskiej tradycji pozwolę sobie powtórzyć na koniec, iż **redaktor naczelny powinien mieć ustawowe prawo do wystąpienia o lustrację każdej publikującej u niego osoby oraz że razem wzięci radni, oficerowie wojska i policji, nauczyciele oraz radcy prawni nie mają na społeczeństwo takiego wpływu jak kilkusetosobowa, może nawet tylko kilkudziesięcioosobowa grupa dziennikarzy, redaktorów i właścicieli najważniejszych mediów.**

Z głębokim respektem i dobrymi życzeniami

Stanisław Remuszko

* * *

Odpowiedź na zadane mi pytania
czyli moja opinia na temat tego
od czego powinien zacząć ktoś
kto chciałby taki film realizować

Film o „Gazecie Wyborczej"

(zarys projektu źródłowych kwerend i opracowań)

W krajach uchodzących za ojczyzny wolnej prasy – we Francji, Stanach Zjednoczonych, Niemczech czy Anglii - największe publikatory doczekały się na swój temat już całkiem sporych biblioteczek, zawierających także prasoznawcze prace magisterskie, a niekiedy nawet doktorskie. W dobie internetu łatwo sprawdzić, ile pozycji na temat „The Washington Post" albo CNN zawiera Biblioteka Kongresu, ile rozpraw napisano o radiu BBC lub dzienniku „Le Monde", a także który tytuł uzbierał więcej monografii: „Time" czy „The Times".

W Polsce najpotężniejszym medium prywatnym, takim nadwiślańskim „New York Timesem", jest powstała w 1989 roku „Gazeta Wyborcza". W dość powszechnej (i słusznej) ocenie, redagowany przez Adama Michnika dziennik uchodzi za bezprecedensowy fenomen medialny w całej historii światowej żurnalistyki. Jak zgodnie twierdzą życzliwi i nieżyczliwi „Gazecie" obserwatorzy, pismo jest jednym z najważniejszych demiurgów przemian w III Rzeczpospolitej. Zajmując wśród ogólnopolskich dzienników niemal połowę czytelniczego rynku, „Wyborcza" pozostaje nie tylko najpopularniejszym, lecz i, siłą rzeczy, najbardziej opiniotwórczym pismem w Polsce. Wreszcie, wejście Agory na giełdę częściowo ujawniło potęgę finansową tego medialnego

koncernu (kilkadziesiąt lokalnych dzienników i rozgłośni, udziały w telewizji, inwestycje w internecie); jego wartość eksperci oceniają na 2-3 miliardy złotych.

Wydawałoby się, że po piętnastu latach istnienia tak wyjątkowej i tak ważnej instytucji opracowania zwarte na jej temat (książki, broszury, analizy, studia), a także większe audycje i nagrania filmowe, zajmują przynajmniej całą półkę, a może nawet cały regalik. Otóż – nie. Wprost wierzyć się nie chce, ale w katalogu polskiej narodowej książnicy figuruje tylko jedna jedyna pozycja, opisująca (zresztą też tylko w jednym aspekcie) narodziny i dziecięce lata sławnej „Gazety".

Wszystko to sprawia, że o „Wyborczej" można nakręcić film niemal w każdej klasycznej kategorii. Sensacja? Dokument? Epos? *Political fiction*? Proszę bardzo! Dziewica jest nietknięta i czeka na swojego kawalera.

Rozumuję tak:

1. Bez względu na to, kto, z kim i dla kogo ten film zrealizuje (scenarzysta, reżyser, producent), i bez względu intencje twórców (panegiryk, paszkwil, neutrum), i bez względu na przyjętą konwencję filmu - **ZAWSZE i KAŻDEMU będą potrzebne rzetelne uporządkowane materiały źródłowe: A. Faktografia, B. Autorzy, C. Organizacja, D. Kierownictwo, E. Finanse**. Bez tego ani rusz.

2. Takie kompendium powinno być stworzone przede wszystkim na podstawie analizy roczników dziennika (wyższość zasady *scripta manent* nad osobistymi relacjami). **Koordynatorem-analitykiem projektu nie może być nikt związany z Agorą.**

3. Uważam, że takie kompendium może powstać w ciągu kilku miesięcy za nieduże pieniądze. Wiem, kto się do tego nadaje (i byłby gotów wykonać tę robotę).

Ad **A.** Naturalnym merytorycznym fundamentem jest faktografia, czyli kalendarium najważniejszych publikacji „GW" - z uwzględnieniem rozmaitych (społecznych, politycznych, kulturalnych, gospodarczych etc.) okoliczności towarzyszących. Niemal w każdym takim przypadku w grę wchodzi nie samotny artykuł czy wywiad, ale całe serie tekstów i wypowiedzi, liczące niekiedy kilkadziesiąt pozycji.

Uważam, że najlepszym autorem takiej analizy byłby nie historyk, i nie polityk, i nie prasoznawca, tylko kompetentny dziennikarz.

Do przejrzenia jest *circa* 4500 numerów „Gazety Wyborczej". Poświęcając każdemu numerowi 4-5 minut i pracując 4-5 godzin dziennie przez 4-5 dni w tygodniu (około 100 godzin miesięcznie), dobry zawodowiec mógłby - teoretycznie - przeprowadzić w miarę porządną kwerendę całości w trzy miesiące pracy *non stop*. Jednak, ponieważ koniecznie trzeba robić przerwy

odświeżające umysł, w praktyce zajęłoby mu to 4-5 miesięcy. Ale dwie takie osoby, dzieląc się rocznikami, dałyby radę dwakroć szybciej.

Rezultat tych prac należy dla kontroli zestawić z klasycznymi kalendariami wydarzeń w Polsce i na świecie - choćby tymi publikowanymi pod koniec każdego roku przez czołowe tygodniki i agencje. A potem dobrze byłoby to opracowanie pokazać twórcom „GW" i poprosić ich o ewentualne krytyczne uwagi.

Ad **B**. Przez „Gazetę Wyborczą" przewinęło się w latach 1989-2004 kilkanaście, a może i kilkadziesiąt tysięcy autorów. Nas jednak obchodzi - również jako ważny przyczynek do historii polskich mediów - tylko główne wydanie dziennika i tylko niezarchiwizowany komputerowo okres 1989-91. **Warto byłoby dowiedzieć się, kto pisał dla „Gazety" w pierwszych latach (zwłaszcza miesiącach) jej istnienia oraz co później z nim się stało.**

To jest mrówcza biblioteczna robota dla studentów z laptopami wpisującymi dane do specjalnie stworzonej wirtualnej bazy (znam świetnego specjalistę w tej dziedzinie), oraz dla oblatanego znawcy środowiska, który wyniki owej bezludnej (ponieważ czysto statystycznej) obróbki personaliów, pseudonimów, liczb i dat porówna fachowo z dzisiejszym składem kierownictwa oraz zespołów redakcyjnych czołowych ogólnopolskich mediów. **Wnioski mogą być bardzo ciekawe.**

Tak czy inaczej, co innego słyszeć od czasu do czasu to i owo o jednym czy drugim, a co innego dysponować rzetelną (konkretną, precyzyjną i wyczerpującą) wiedzą o nie poznanym dotychczas zjawisku.

To robota na dwa-trzy miesiące.

Ad **C, D** i **E** (C-E na pewno nie opóźni A-B).

Organizacja. Chodzi zwięzłe zebranie usystematyzowanej wiedzy o formalnej ewolucji gazety: nakład, druk, kolportaż, *layout*, działy, rubryki, dodatki, reklama etc.

Kierownictwo. Naprzód trzeba zrobić wypisy z każdej weekendowej redakcyjnej stopki. Potem zobaczyć, jak to się układa latami i czy coś z tego wynika. A potem jeszcze podpytać kogo trzeba.

Finanse. Pierwsze dziesięciolecie może być znane tylko z fragmentarycznych szacunków i relacji (choć niektóre rzeczy dają się zmierzyć i policzyć bardzo dokładnie). Natomiast od 1999 roku (wejście Agory na giełdę) główne biznesowe wskaźniki dotyczące „GW" są jawne - choć niekoniecznie czytelne dla zwykłego śmiertelnika. Ale znam giełdowych ekspertów, którzy mogą to zrozumiale opisać.(11.07.04)

Stanisław Remuszko

List do udziałowców „Gazety Polskiej"

Drugie narodziny

Wolna prasa jest pierwszym i najważniejszym gwarantem innych wolności. Dzięki swobodnemu słowu, wyrażanemu drukiem, dźwiękiem czy obrazem, w krajach starej demokracji nie da się już ograniczyć wolności i praw człowieka i obywatela – jak kolejno wylicza Konstytucja RP – osobistych, politycznych, ekonomicznych, socjalnych i kulturalnych.

Czym jest wolne słowo w praktyce? To bardzo konkretne pojęcie, dające się zmierzyć i wystandaryzować. To przede wszystkim „pluralizm materialny", wyrażający się mnogością gazet, radyj i stacji telewizyjnych o bardzo różnej orientacji, zasięgu i liczbie odbiorców; to realny dostęp przedstawicieli różnych opcji do mediów publicznych; to antykoncentracyjne prawo, uniemożliwiające skupianie zbyt wielu mediów prywatnych w jednym ręku; to wreszcie rzetelne dziennikarstwo, którego kardynalne spośród naczelnych zasad są bodaj trzy: informować o wszystkim (brak tematów *tabu*), oddzielać wiadomości od komentarza, udzielać głosu drugiej stronie.

Czy w wolnej Polsce mediami można sterować? Czy „mimo demokracji" można u nas skutecznie ograniczać wolność słowa? Niestety, można. Skoro nie wchodzą w grę metody administracyjne, robi się to po cichu, w białych rękawiczkach, głównie za pomocą osławionej poprawności politycznej oraz nieformalnej cenzury. Jej istotę arcytrafnie określił Ernest Skalski *(Nieszczęście z cenzurą nie polega na tym, że dziennikarze czegoś nie napiszą, nie powiedzą i nie pokażą, lecz na tym, że obywatele czegoś nie przeczytają, nie usłyszą i nie zobaczą)* oraz Ryszard Bugaj *(Dramat dla wolności słowa zaczyna się nie wtedy, gdy jedne media jakąś sprawę nagłaśniają, inne zaś ją przemilczają, lecz wtedy, gdy zdecydowana większość mediów to samo nagłaśnia i to samo przemilcza).*

Ton i ramy debacie publicznej nad Wisłą od lat nadawała „Gazeta Wyborcza". Istniały wprawdzie inne wysokonakładowe pisma, istniały popularne radia i telewizje, ale jakimś przedziwnym zbiegiem okoliczności żadne z nich nigdy (*scripta manent!*) nie spierało się z „Wyborczą" w sprawach dla Polski zasadniczych (np. dekomunizacja, lustracja, UE), nigdy także żadne z nich nie krytykowało Agory ani jej kręgów. W „rozsądnych" granicach można było się różnić, ale na pewne tematy i nazwiska obowiązywał absolutny cenzorski zapis,

i tak działo się od lewicy do prawicy, na zasadzie cichego, lecz skutecznego porozumienia ponad podziałami, które pod koniec minionej dekady obejmowało już dobre 90% ogólnopolskiego prasowego rynku. Jednak gdy do tej medialnej *familii* „Gazety" jakiś czas temu dołączył Piotr Wierzbicki ze swoim sławnym tygodnikiem – wraz z wieloma kolegami po piórze uzna-liśmy to za koniec świata. „Polska" pod rękę z „Wyborczą"?

Bystry obserwator naszej sceny politycznej Rafał A. Ziemkiewicz przypomniał niedawno („Rzeczpospolita 16.07.05), że założyciele-udziałowcy „Gazety Polskiej" powierzali jej swoje pieniądze nie dla zysku, lecz po to, by z przyczyn ideowych sprzeciwić się środowiskom, *które wybielały komunę, wykpiwały starania o lustrację i dekomunizację, a „prawicowych oszołomów" rugowały z publicznej debaty. Tymczasem Piotr Wierzbicki tę linię zasadniczo zmienił. Jego gazeta najpierw przestała protestować przeciwko kłamstwom o „polskich obozach koncentracyjnych", choć swego czasu robiła to jako pierwsza, zarabiając na „salonach" etykietkę pisma antysemickiego. Skończyły się ataki na „Gazetę Wyborczą" i Adama Michnika* (Wierzbicki sam zaczął pisywać w „Wyborczej"! – S.R.). *W kwestii lustracji, niegdyś dla pisma sztandarowej, zaczęło ono dziwne piruety...*

Okazało się jednak, że Pan Bóg czuwa nad „Polską", tak jak nad Polską czuwał przed kilkunastu laty, kiedy to na naszych oczach następowały wydarzenia absolutnie przecież niemożliwe: czerwony oddał władzę, runął berliński mur i rozpadł się Związek Radziecki. Nie upieram się, że drugie narodziny „Gazety Polskiej" w czerwcu 2005 to wydarzenie tej samej rangi, lecz przecież to dobry znak dla naszej wolności słowa! Może rozpadnie się dotychczasowy niepisany poprawnościowy układ w środkach masowego przekazu?

Dlatego uważam, że powinniśmy nowej „Gazecie Polskiej" pomóc na zasadzie patriotycznego pospolitego ruszenia. Dać jej to, co mamy najlepsze. My, dziennikarze, możemy przede wszystkim pisać ciekawe teksty, a także pozyskiwać dobrych autorów, robić życzliwą reklamę wśród przyjaciół i znajomych, przekazywać rady i pomysły.

Po prostu zróbmy to!

Stanisław Remuszko

P.S. Po czerwcowych zmianach, w kierownictwie redakcji i jej wydawnictwa zaczęły się dziać rzeczy dziwne. Jako cywil, nie biorę w tym udziału, ale przecież nie oślepłem ani nie ogłuchłem. Wysłuchajcie, proszę, prywatnej opinii starszego pana (z ponad trzydziestoletnim stażem w pismaczym zawodzie), który w swoim życiu, pod wpływem argumentów, potrafił zmienić zdanie, ale nigdy nie zmienił wyznawanych wartości moralnych i obywatelskich.

Piotr Wierzbicki dramatycznie zawiódł ojców-fundatorów „Gazety Polskiej" oraz najwierniejszych, by tak rzec, czytelników-założycieli – i dlatego nie może być redaktorem naczelnym odrodzonego pisma. Nie jestem pewien, czy może być nim najbliższy wieloletni współpracownik i uczeń Wierzbickiego, pan Tomasz Sakiewicz, skoro publicznie oskarżył swego szefa o czyny haniebne i jednocześnie... zaprosił go do dalszej współpracy na łamach tygodnika („GP" z 15.06.05).

Uważam, po pierwsze, że trzeba jasno zdecydować, o co idzie bój. O lepszą pozycję „Gazety Polskiej" w zbudowanym przez Agorę nieformalnym ładzie największych mediów, czy też o opuszczenie tego układu, więc o prawdziwą niezależność?

Ostrzegam, po drugie, że potężne i wpływowe siły zrobią wszystko, aby przywrócić marnotrawną redakcję na jedynie słuszne łono. Mówiąc językiem powieści sensacyjnych, użyty zostanie podstęp, prowokacja, dywersja i sabotaż, worki ze złotem, agentura oraz siły specjalne. Wyłom w murze i wyrwę w tamie trzeba zlikwidować, zanim będzie za późno. Wolność jest bowiem strasznie zaraźliwa. (10-VIII-2005)

Komentarz napisany dla "Ozonu", ale ta redakcja nie miała ochoty go zamieścić

Osiem procent!

To - i w zasadzie tylko to - jest prawdziwym zaskoczeniem. Nie samo zwycięstwo, lecz jego rozmiary. Takiego sukcesu NIKT nie przewidział, NIKT się nie spodziewał, NIKT nawet nie wróżył - a jeśli jest inaczej, to proszę wskazać weryfikowalne źródło SPRZED wyborów.

Przypomnijmy, o czym informowały sondaże między I a II turą. Otóż na wyprzódki informowały one o stale utrzymującej się kilkuprocentowej przewadze Tuska nad Kaczorem. Dlaczego sondaże się myliły? Głównie dlatego, że sporo respondentów ukrywało przed ankieterami swoje rzeczywiste preferencje. Czemu respondenci to robili? Temu, że taka jest natura człowieka: zachowywać się poprawnie. Skąd zwykli ludzie wiedzą, co jest poprawne, a co nie jest? Nasamprzód z różnych popularnych telewizji (zwłaszcza TVP, TVN i Polsat), potem z popularnych lub prestiżowych gazet (przede wszystkim "Wyborcza" i "Rzeczpospolita"), a potem samo się nakręca. Dlaczego czołowe media były w tej kampanii, generalnie rzecz biorąc, dość stronne? Aaa, tu już otwiera się obszerny i niesłychanie doniosły temat przeobrażeń naszej demokracji w ostatnich latach - ale o tym kiedy indziej.

Moją pociechą na starość jest to, że po 16 latach III Rzeczpospolitej większość aktywnych obywatelsko rodaków nie dała sobie zrobić wody z mózgu i opowiedziała się za zmianą, przeciw kontynuacji. Tak jak to wyłożyłem pod adresem www.remuszko.pl, dokąd uprzejmie zapraszam.

Próby wmówienia społeczeństwu, że Kaczor zjada dzieci (czytaj: wszystko zniszczy i zburzy, a naród podzieli i skłóci), wyraziście nie powiodły się, skoro tych Czarnych Pijarów nie posłuchało aż 8 257 468 wyborców, jak Polska długa i szeroka. Przewaga kaczyzmu nad tuskizmem wynosi dziś w kraju 1 235 149 szabel (tylu mieszkańców liczy Warszawa). Jeśli, oczywiście, wierzyć panu sędziemu Ferdynandowi Rymarzowi z PKW.

Czy to klęska wolnego słowa? Nie, raczej zwycięstwo samodzielnego myślenia i chłopskiego rozumu. Także nauka dla publicystów, redaktorów i dziennikarzy oraz *mane tekel fares* dla kierownictwa i właścicieli największych mediów.

Stanisław Remuszko

Jego Wielebność
Ks. Tadeusz Rydzyk
Dyrektor Radia Maryja

Wielce Szanowny Księże Dyrektorze,

Miło wspominam naszą wczorajszą rozmowę. Już sam osobisty telefon od Księdza był dla mnie swego rodzaju wydarzeniem. Szczerze cieszę się również z przedłożonych propozycji. Z wielką ciekawością zaznajomię się z funkcjonowaniem zarówno Rozgłośni, jak i Wyższej Szkoły Komunikacji Społecznej i Mediów. Chętnie opowiem słuchaczom WSKSiM o różnych nie znanych opinii publicznej sprawach. Z przyjemnością wystąpię na antenie Radia. Jeszcze raz serdecznie dziękuję za życzliwe zainteresowanie tematami, które dla mnie – jako dziennikarza, jako obywatela i jako Polaka – są szczególnie ważne.

Zanim jednak dojdzie do mojej wizyty w Toruniu (wczoraj Ksiądz był łaskaw wspomnieć o sobocie 7 stycznia 2006), powinienem wyraźniej powiedzieć o dwóch generalnych kwestiach, które wczoraj na gorąco tylko sygnalizowałem. Chodzi mi, po pierwsze, o to, aby Ksiądz Dyrektor podejmował decyzje wiedząc o mnie kilka istotnych rzeczy. Po drugie, abyśmy – przed moimi ewentualnymi „występkami" – spróbowali nieco dokładniej określić ich charakter i warunki organizacyjne.

(29.12.05, po powrocie ze szpitala) Powtórzę zatem, że – z wiary - jestem racjonalistycznym agnostykiem (choć z bardzo katolicką proweniencją; moimi księżmi prefektami w dzieciństwie byli Jerzy Chowańczak oraz obecny duszpasterz więzienny Jan Sikorski, dziś siwy jak gołąbek, wówczas zwany „Rudym"). Tym swoim światopoglądem nie wymachuję niczym sztandarem, uważam go za prywatną, bardzo osobistą sprawę, ale też wiary się nie zaprę (choć dopiero wtedy, gdyby kto pytał). Delikatność materii polega na tym, iżby nie oczekiwano po mnie ani wspólnych modlitw, ani nawet pozdrowień w rodzaju „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus" – „Na wieki wieków amen", bo w towarzystwie katolickim są one wprawdzie czymś naturalnym i normalnym, ale w ustach heretyka-apostaty musiałyby zabrzmieć fałszywie, a nawet obłudnie. Byłoby mi również przykro, gdyby z mojego powodu Ksiądz Dyrektor miał mieć czynione jakiekolwiek wstręty (zwłaszcza ze strony ideowych druhów, że tak powiem).

Niestety, to właśnie zdarzyć się może, ponieważ – *secundo* – od trzech lat jestem w sądowym sporze o „Gazetę Wyborczą" z ośmioma czołowymi

polskimi tytułami prasowymi, w tym również z „Naszym Dziennikiem". Fascynujące szczegóły znajdzie Ksiądz na stronach 41-61 mojej „Kobiałki", którą załączam (z dedykacją). To w głowie się nie mieści, że Ewa Sołowiej broni Adama Michnika ramię w ramię z „Polityką" i „Wprostem" – ale też mogę Księdzu Dobrodziejowi wyjawić, iż pani nadredaktor robi to z jedynie słusznych, ponieważ arcykatolickich pozycji (a przynajmniej głosi, że tak jest). Widzi teraz Ksiądz jasno, iż wpuszczenie Remuszki do rozgłośni, to mocno ryzykowna impreza, i dostać można cięgi od naprawdę potężnych szermierzy.

No i *tertio*: Radia Maryja słuchałem dotąd parę razy po parę minut, ostatni raz jeszcze w poprzednim stuleciu. Inna rzecz, że ja na co dzień w ogóle nie słucham niemuzycznego radia.

Więcej grzechów nie pamiętam. Jeśli Radio Maryja przez to przebrnie i takiego rozmówcę strawi, to dalej zapewne będzie z górki.

Co zaś drugich generaliów się tyczy, to mam na myśli komfort, bez którego starszy pan nie tyle nie może, co nie chce. W planie psychiczno-intelektualnym komfort ów oznacza dla mnie absolutną swobodę wypowiedzi (choć tematy, oczywiście, pozostają do wcześniejszego uzgodnienia), w planie zaś psychiczno-materialnym chodzi o przewóz samochodem w obie strony, nocleg w cichym jednoosobowym pokoju z ubikacją, chrześcijańską porę mej toruńskiej aktywności, zarysowany ogólny plan wizyty oraz jakieś skromne honorarium (o czym przypomina mi ukochana żona). Oba komforty być muszą również ze względu na mój stan zdrowia: trzy zawały, jeden udar oraz bajpasy.

O czym mógłbym mówić z pasją? Nie tylko o „Gazecie Wyborczej", chyba o wielu sprawach, i tu z przekonaniem polecam uwadze Księdza Dyrektora moją szczupłą stronę internetową www.remuszko.pl - a na niej osobliwie „Sprawy Publiczne", o których części, przypuszczam, nie tylko redaktorzy i słuchacze RM, ale w ogóle prawie nikt w Polsce i na świecie nie ma bladego pojęcia. Uprzejmie sugeruję Księdzu kliknięcie także w czwarty i ostatni na tej stronie link, czyli „Varia", gdzie jest o Stanisławie Remuszce detalicznie (sercowo, turystycznie i politycznie) oraz w kolorze.

Na dobry początek posyłam Księdzu Dyrektorowi jeden z najważniejszych artykułów, jaki w życiu napisałem, czyli „Dług honorowy" - wraz z kopią (identycznego w każdym przypadku) „listu wiodącego" do redaktorów naczelnych (tu: do pani Ewy Sołowiej), oraz ze smutną wiadomością, że zamieszczenia tego tekstu odmówiło dwadzieścia czołowych krajowych tytułów, z „Naszym Dziennikiem" znów na czele...

Łączę wyrazy szacunku i dobre życzenia :-)

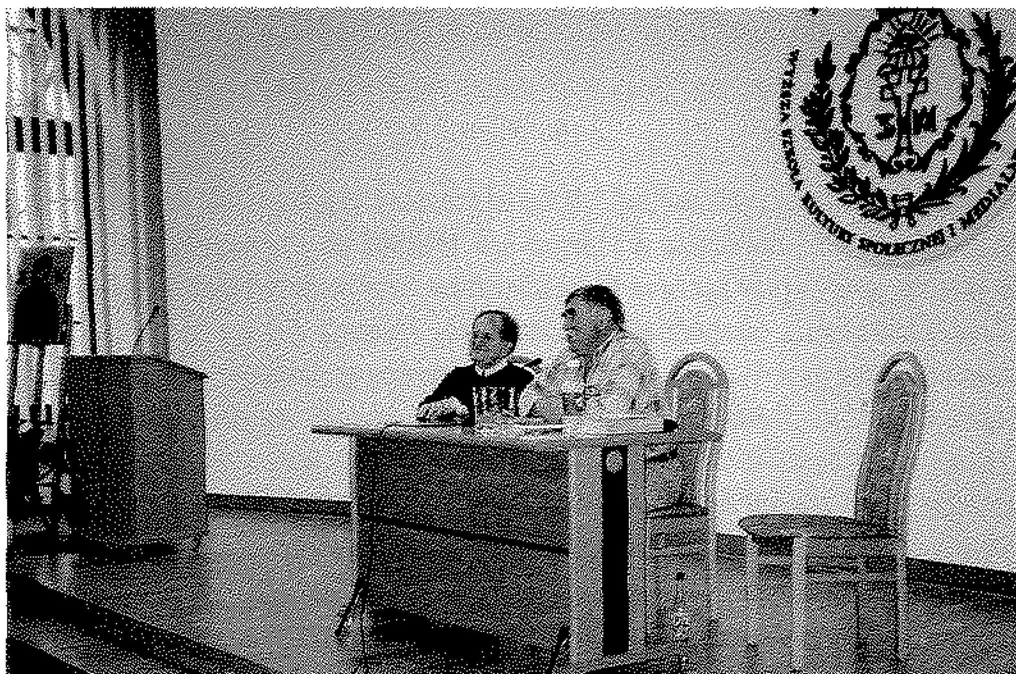
Stanisław Remuszko

P.S. Rzecz jasna, zarówno zdechłe psy wieszane na RM, jak i Gęba przyprawiana personalnie Księdzu Dyrektorowi przez „Gazetę Wyborczą", nie zrażają mnie do Instytucji; odwrotnie, raczej budzą moje do niej zaufanie. (11.12.05)

* * *

Starszy pan wiele w życiu widział, ale takiej gościnności jeszcze nie. Podczas mowy do prawie dwustu studentów w głównej auli WSKSiM po prawej ręce miałem Ojca Dyrektora, po lewej zaś poczucie bezpieczeństwa, czyli pomocną Małżonkę. Po wykładzie młodzi ludzie niespodzianie urządzili nam *standing ovation* (może taki mają zwyczaj wobec gości?), a gdy w uczelnianej stołówce zjadaliśmy zwykły (smaczny) obiad, Gospodarz znienacka spytał: – *Tak patrzę na państwa porozumiewanie się bez słów, ale tego nie rozumiem. Skąd na przykład pani wie czego mężowi akurat w danej chwili trzeba?* Agnieszka (rezolutnie): – *Po trzydziestu latach małżeństwa nie jest to takie trudne.* Ojciec Dyrektor był wyraźnie poruszony: – *To jakieś straszne uzależnienie jednej osoby od drugiej, ja bym tak nie wytrzymał...*

A potem wziął nas za ręce i zaczęło się niesłychane zwiedzanie imperium księdza Rydzyka (jak by powiedziała "Gazeta Wyborcza"). We trójkę objechaliśmy pół Torunia, obejrzeliśmy wszystkie budynki, i te stare, i te nowe, i te jeszcze w budowie, ale nie tak zwyczajnie, tylko od środka, i nie "wszedł-popatrzył-wyszedł", tylko od strychu do piwnic albo na odwrót, z przejętymi objaśnieniami Gospodarza, pokoje w internacie, małe studia radiowe i ogromne telewizyjne, część hotelową, pomieszczenia administracji, kanciapy sprzątaczek, garaż z wozem transmisyjnym, kuchnie, suszarnie i toalety, magazyny z jakimiś częściami, skomputeryzowane sale księgowości, ośrodek dokumentacji z dziesiątkami szuflad wypełnionych kolorowymi teczkami (– *Tu na przykład mamy wyniki badań słuchalności; a tu wycinki prasowe, życzliwe i nieżyczliwe, może państwo chcieliby przejrzeć?*), jakieś tajemnicze wielkie urządzenia mrugające światełkami (nadajnik?), i pokoje do nauki, i sale do ćwiczeń, i Ojciec Dyrektor zaprosił nas do sławnej kaplicy z białym posążkiem Matki Boskiej w złotych koronach i ze złotymi różami (– *Z tymi koronami i z tymi różami było tak...*), i robiłem wiele pamiątkowych zdjęć, i rozmawialiśmy z osobami, które akurat przebywały w zwiedzanych pomieszczeniach (zakonnicy-redaktorzy, studenci, także siostry-nazaretanki), i PO TRZECH BITYCH GODZINACH zaczęło nam trochę plątać się w głowach, ale na szczęście okazało się, że na Gospodarza (wciąż tryskającego energią!) czekają od kwadransa jacyś ważni umówieni goście, i pożegnaliśmy się serdecznie, i pan Adam Grześkowiak odwiózł nas, oszołomionych, spod toruńskiej siedziby Radia Maryja pod nasz dom na warszawskim Ursynowie, i cały ten niezwykły dzień pamiętam jak dziś, mimo że upłynął już prawie rok...





* * *

Dostojny Ojcze Dyrektorze,

Mam nadzieję, że siostra Augustyna przekazała Ojcu nasze szczere podziękowania za jakże miłą gościnę, które wysłałem niemal natychmiast po powrocie z Torunia; nie chciałbym uchodzić za człeka bez kindersztuby :-)

Dziś natomiast piszę o kilku pomysłach, które, być może, uzna Ojciec za warte realizacji, a przynajmniej rozważenia.

1. Bardzo sympatycznie wspominamy z żoną to spotkanie ze studentami. To w ogóle jakby inni ludzie, porządniejsi, czystsi duchowo, lepiej wychowani; przynajmniej takie sprawili na nas wrażenie. Gdybym w przyszłości miał im o czymś opowiedzieć, to ze swojej strony widziałbym dwa takie tematy:

a) „Media jako system" – o szczegółach i mechanizmach jednolitej orkiestry (trafne porównanie!), czyli o systemie naczyń połączonych albo Niepisanym Porozumieniu Ponad Podziałami. Tu można by wspomnieć także o usłużnej otoczce: o powołanej przez pracodawców (!) Radzie Etyki Mediów, o stowarzyszeniach dziennikarskich, także o dziennikarskich nagrodach oraz o prasie prasoznawczej. Tak skonstruowany i tak funkcjonujący system medialny jest filarem naszej współczesnej oligarchii, jest, tak naprawdę, nie żadną tam Czwartą, lecz realną Pierwszą Władzą – niedemokratyczną, niekontrolowaną i nieodpowiedzialną.

b) „Badania opinii publicznej". To temat-morze, wdzięczne pole dla medialno-politycznych manipulacji, a tematykę znam na wylot, bowiem od 16 lat jestem właścicielem małej (ale bardzo porządnej!) firmy socjometrycznej, którą prowadzę wespół z żoną i (w porywach) prawie dwustu ankieterami z całej Polski. Mógłbym studentom powiedzieć ciekawe rzeczy i pokazać palcem.

2. Wiąże się z tym możliwość zorganizowania – na przykład przy WSKSiM – własnego ośrodka sondażowego. Robiłem przymiarki, testowałem rozwiązania, i można by zrobić coś, czego nie ma na pewno nikt w Polsce: wiarygodne badania nietelefoniczne w ciągu 24 godzin od zamówienia do wyników!

Rzecz jasna, na ten temat musielibyśmy obszerniej i konkretniej porozmawiać. Na razie odsyłam Ojca do stron 213-216 książki „Gazeta Wyborcza. Początki i okolice" (wydanie drugie, to z białą okładką), także do „Wyborów parlamentarnych '2001" (załączona niebiesko-różowa ulotka) oraz do krótkiego, lecz niesłychanie ważnego tekstu „Sondaże dobre i złe", który też dołączam.

3. Lustracja dziennikarzy. To już raczej nie jako wykład, lecz jako debata radiowa i telewizyjna. Jestem tym jedynym człowiekiem w Polsce, który o lustrację pismaków samotnie dobijał się od początku i wie wszystko na ten temat. Jak pisałem w „Długu honorowym", te rzesze radnych, adwokatów, posłów, sędziów, oficerów etc., etc. razem wzięte nie mają na społeczeństwo takiego wpływu, jak kilkusetosobowa, może nawet tylko kilkudziesięcioosobowa grupa dziennikarzy i kierownictwo czołowych mediów. Dlatego to dla Polski sprawa tak niesłychanie ważna – i zarazem tak wdzięczna do publicznej debaty.

Notabene, zechce Ojciec Dyrektor zauważyć, że cztery dni temu (13 stycznia) Zarząd Główny Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich podjął (kolejną bezskuteczną, niestety) uchwałę o lustracji, co jest jak wół napisane czerwonym drukiem na stronie www.sdp.pl – ale o tej uchwale, jak media mnogie i zróżnicowane, cicho, sza! Wiem świetnie, jak taką debatę zorganizować, które aspekty poruszyć, kogo zaprosić – i służę w tym względzie wszelką radą oraz informacjami i materiałami. RM i TT mają ogromną szansę zrobienia FURORY na takiej debacie.

4. Wspominałem Ojcu o tym projekcie podczas obiadu, ale gdzieś mi się zapodziała kartka ze szczegółami, którą teraz odnalazłem i posyłam. To też jest znakomita okazja na FURORĘ, zwłaszcza wśród młodzieży, tylko nie wolno dać się wyprzedzić. Mam na myśli futbolowe mistrzostwa świata, które tym razem odbędą się w Niemczech (i blisko, i ta sama strefa czasowa!), i które śledzić będą miliony Polaków, i dlatego powinien zostać ogłoszony ten fenomenalny konkurs RM, TT i ND. Na tej kartce jest wszystko napisane tak, jak to przedstawiłem Polsatowi i jego tygodnikowi „Kurier TV" przy okazji poprzednich mistrzostw, ale wtedy nic z tego nie wyszło, bo mieli już inne plany i umowy. To jest gotowiec – choć, oczywiście, detale można zmienić.

5. Film o Gazecie Wyborczej. Proszę, niech Ojciec zwróci uwagę na „Ad B", na drugiej stronie. Uważam, że to jest genialny pomysł na pracę(e) licencjacką(ie) - także później prace magisterskie, doktorskie; tak! - dla studentów WSKSiM. To jest *tabula rasa* oraz *terra incognita*, wspominałem o tym podczas swojego wykładu, i dopiero „Gazetka" miałaby się z pyszna, gdyby takie prekursorskie medialno-historyczno-polityczne opracowania, wnoszące oryginalną, niesłychanie ciekawą i całkiem nie znaną dotychczas wiedzę o naszych dziejach najnowszych, powstały nie na Uniwersytecie Warszawskim, Jagiellońskim czy nawet Toruńskim, lecz w Szkole Ojca Dyrektora! Pomogę bezinteresownie.

6. Dla porządku przesyłam oba teksty, które (w stu egzemplarzach każdy) rozdałem studentom po wykładzie. Do „Długu honorowego" dołączony

jest przykładowy „list wiodący" do redaktora naczelnego (tu: ks. Boniecki). „Trup w szafie, czyli akta Bolka" będą wkrótce opublikowane; na razie zadałem dodatkowe pytania panom ministrom Dornowi, Wassermannowi i Ziobrze, i czekam na ich odpowiedź (tę informację niech Ojciec łaskawie zachowa dla siebie).

Postrafjam fszistkih Polakuff... Jakież to symympatyczne :-)

Stanisław Remuszko

P.S. Zostawionymi 40 egzemplarzami swej książczyny dysponuję tak oto: 20 sztuk „Kobiałki" ofiarowuję Ojcu Dyrektorowi (na prezenty?), a drugie 20 do sukcesywnego sprzedawania studentom - ale po 10 zł sztuka i bez pośpiechu.(17.01.06)

* * *

List do Krewnych i Znajomych Królika

Ponieważ już trzy osoby (spośród kilkunastu, które entuzjastycznie zawiadomiłem o planowanym wystąpieniu na toruńskiej antenie) zadzwoniły z pytaniem, czemu mnie nie było – poniższą relację sporządzam hurtem dla wszystkich ewentualnie zainteresowanych.

Zaproszenie do udziału w programie na żywo w TV Trwam i Radiu Maryja dostałem na sześć dni przed planowaną debatą. **Wraz z Wojciechem Reszczyńskim i Krzysztofem Wyszkowskim*, miałem w poniedziałek 13 marca 2006 mówić na temat lustracji dziennikarzy.** Nie chwaląc się, przypuszczam, że w tej kwestii jestem najlepiej zorientowaną i „zasłużoną" w środowisku osobą w Polsce.

W następnych dniach wymieniłem z wielebnymi gospodarzami kilka rzeczowych postów i telefonów (a także złożyłem imieninowe życzenia ojcu redaktorowi Benedyktowi).

Przygotowywałem się bardzo skrupulatnie.

W piątek powiadomiłem ojców o proponowanych szczegółach mej wizyty. Również w piątek odpytałem Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich w sprawie realizacji uchwał lustracyjnych. Tegoż dnia w trybie alarmowym moją chorą nogę zechciał poza kolejnością naprawić sam sławny doktor Jung. W sobotę poszedłem do fryzjera oraz uprałem koszulę i spodnie, a w niedzielę wyprasowałem je. W sobotę i w niedzielę spędziłem kilka godzin netto na przeglądaniu swoich archiwów, papierowych i komputerowych. Wydrukowałem kilkanaście stron i zgromadziłem kilkanaście "pomocy naukowych". Zrobiłem dość szczegółowe notatki. Wypunktowałem hierarchicznie najważniejsze kwestie, a nawet wybrałem parę anegdot i bon motów. W niedzielę podjąłem

z bankomatu 100 zł na pociąg i taksówkę, spakowałem koszyk i torbę, spisałem listę czynności do zrobienia na poniedziałek rano oraz zamówiłem taksówkę na poniedziałek na 12.15. Także wysłałem do Torunia dwa mejle z kilkoma materiałami na temat lustracji dziennikarzy.

Liczyłem na honorarium takie jak przedtem: 200 zł - 300 zł (tyle kwestura na uczelni Ojca Dyrektora wypłaciła mi 7 stycznia 2006 po półtoragodzinnym wykładzie dla studentów). Tymczasem w niedzielę o 21.00 dowiedziałem się, że – cytuję – *Istnieje możliwość zwrotu kosztów podróży, tak jak mówiłem telefonicznie, a ponieważ nie ma zwyczaju wynagradzania naszych gości, tak więc z przykrością muszę poinformować, że nie można liczyć na nawet najbardziej skromne honorarium.* Na co odpowiedziałem odruchowo i natychmiast: *Wielce Szanowny Ojcze, wobec tego uprzejmie proszę uznać moją jutrzejszą wizytę za nieaktualną. Pozdrawiam serdecznie i z respektem :-) Stanisław Remuszko.*

Gdy patrzę na to z refleksyjnej już perspektywy 48 godzin, jestem nie tylko nadal **zdziwiony**, lecz również **zmartwiony**.

Dziwię się dlatego, że kompletnie nie pojmuję przyczyn, dla których miałbym pracować za darmo. Politycy i inni ludzie publiczni, którzy przyjeżdżają do Torunia, nie kłopoczą się codziennie, jak przeżyć do pierwszego, i mają swój prosty cel: pokazać się wyborcom oraz zdobyć trochę punktów dla swojej sprawy lub ugrupowania. Studenci toruńskiej uczelni medialnej, którzy *gratis* pomagają przy realizacji programów radiowych i telewizyjnych, robią to poniekąd w ramach uczelnianych zajęć. Ja natomiast miałem przyjechać zwyczajnie do roboty, jak hydraulik czy inny stolarz. Pomyślcie: ubogi starszy pan (schorowany i sterany) przez dwa dni starannie przygotowuje się do wystąpienia, potem telepie się 200 km w jedną stronę, potem przez kilka godzin wytęża uwagę, by jak najlepiej „wydać" odbiorcom swoją unikatową (tak!) wiedzę, doświadczenie i umiejętności, następnie nocuje (skoro program kończy się około 24.00), potem wraca do Warszawy, co w sumie zajmuje mu ponad dobę), i za cały ten swój rzetelny trud spodziewa się marnych 200-300 złotych.

Czy to oczekiwanie jest nienaturalne? A może wygórowane? Czy to nie Pismo mówi: *Godzien jest robotnik zapłaty swojej* oraz *Nie zawiążesz gęby wołowi młócącemu?*

Powiem też jasno: gdyby wybuchła wojna, gdyby rozgorzała rewolucja, gdyby wydarzyła się katastrofa żywiołowa, albo gdyby trzeba było wystąpić w obronie ludzi słabych, cierpiących, skrzywdzonych i bezbronnych – wtedy, oczywiście, zasuwałbym za friko od rana do wieczora (nie pierwszy i zapewne nie ostatni raz w życiu). Ale w tym przypadku żadne takie terminalne okoliczności nie wchodziły, zdaje się, w rachubę?

Moje zaś prywatne obywatelskie zmartwienie wynika z poczucia traconych szans, czasu i okazji. Polska demokracja bowiem coraz bardziej wyradza się w oligarchię medialną, w której ważny redaktor jest ważniejszy od posła, nadredaktor od ministra, a czołowe gazety, radia i telewizje wiąże niepisane porozumienie ponad podziałami. Celem tego kartelu nie jest żadne tam dobro kraju czy społeczeństwa, lecz ochrona własnych władczych interesów, zresztą przy żywej kooperacji z pozostałymi uczestnikami osławionego „czworokąta" dra Tomasza Żukowskiego. Medialni oligarchowie nie są demokratycznie obierani i za nic nie ponoszą odpowiedzialności. Stare prawo prasowe nie działa. Sądy cywilne – istna tragedia. **Uważam, że tym groźnym ustrojowym zjawiskom, które krok po kroku podkopują fundamenty państwa (konstytucyjny trójpodział władzy), trzeba wyraziście, przekonująco i skutecznie się przeciwstawić.** Jak mało kto znam się na tym i nie boję się formułować niepoprawnych politycznie sądów. Mam nowatorskie pomysły i propozycje. Umiem zaprezentować mocne logiczne argumenty. Nie należę do żadnego (!) układu. Przypuszczam (z pewną przesadą), że akurat w tej sprawie mógłbym zacząć robić w polskiej skali to, co na świecie w innej sprawie zrobił Norman Finkelstein ze swoim „Przedsiębiorstwem Holocaust". Niestety, nie mam gdzie tego robić...

Wszystko to mówię z patriotycznym żalem – ale bez pretensji ani urazy do RM i TVT. Każdy mebluje sobie własny dom tak, jak mu się podoba, i włazić tam z butami byłoby niegrzecznością. (15.03.06)

Stanisław Remuszko

---

* Krzysztofa Wyszkowskiego w ostatniej chwili zastąpił chyba poseł Paweł Kowal (PiS), podówczas przewodniczący sejmowej Komisji Kultury i Środków Przekazu.

* * *

"Gazeta Wyborcza", 19 lipca 2006

Kardynał nie odwiedził Rydzyka

Kardynał Zenon Grocholewski, watykański minister edukacji, od 28 czerwca wypoczywa w Ciechocinku w sanatorium Pod Tężniami. To 15 kilometrów od Torunia. Jutro hierarcha wraca do Watykanu. Mieszka tam od 1966 r. Od siedmiu lat jest prefektem Kongregacji ds Wychowania Katolickiego i Wielkim Kanclerzem Papieskiego Uniwersytetu Gregoriańskiego. Nadzoruje ponad 1,3 tys. uniwersytetów katolickich na całym świecie, seminaria duchowne i 200 tys. szkół katolickich, do których chodzi 45 mln uczniów.

Choć pobyt kardynała w Polsce ma charakter prywatny, w jego programie pełno jest oficjalnych spotkań. W Ciechocinku został honorowym obywatelem miasta i honorowym członkiem koła łowieckiego Jeleń. Uczestniczył też w Festiwalu Piosenki Młodzieży Niepełnosprawnej, który objął swoim patronatem. Odsłonił pomnik Jana Pawła II, wmurował kamień węgielny pod nowy obiekt balneologiczny sanatorium. W poniedziałek hierarcha odwiedził Toruń. Duchowni, z którymi rozmawialiśmy przed wizytą, zastanawiali się, czy kardynał pojedzie do Radia Maryja.

Po śmierci Jana Pawła II to właśnie kardynał Grocholewski jest najwyższym rangą polskim duchownym w Stolicy Apostolskiej. Gdyby odwiedził rozgłośnię redemptorystów, przysporzyłoby to ojcu Rydzykowi dużego prestiżu. Nie jest tajemnicą, że mediom o. Rydzyka od miesięcy krytycznie przygląda się Watykan. Ale redemptorystom bardziej zależało na przyciągnięciu kardynała do swojej uczelni - Wyższej Szkoły Kultury Społecznej i Medialnej. Nie ma ona oficjalnie statusu katolickiej, ale bardzo o to zabiega. Wizyta watykańskiego ministra edukacji uwiarygodniłaby szkołę mającą opinię mocno upolitycznionej.

Kardynał ominął jednak imperium ojca Rydzyka wielkim łukiem. Wolał spotkać się z prorektorem Uniwersytetu Mikołaja Kopernika prof. Andrzejem Radzimińskim i porozmawiać z prezydentem miasta Michałem Zaleskim (Stowarzyszenie Ordynacka). Znalazł też czas na zwiedzanie toruńskiej Starówki i wysłuchanie koncertu organowego w katedrze.

W rozmowie z "Gazetą" hierarcha zachowywał wstrzemięźliwość: - Kiedyś, kiedy była u mnie reprezentacja Wyższej Szkoły Kultury Społecznej i Medialnej, powiedziałem, że chętnie ich odwiedzę. Tylko że teraz jesteśmy mocno ograniczeni czasem - tłumaczył.

- Czy otrzymał ksiądz oficjalne zaproszenie od o. Rydzyka?

- Takie bardzo ogólne, jak ojciec rozmawiał ze mną w Rzymie. Formalnie nie przysłał jednak zaproszenia na piśmie.

Toruńscy duchowni anonimowo komentują: - To porażka o. Rydzyka. Nie pierwsza z resztą i nie największa. Już w 1999 r. Jan Paweł II goszczący w Toruniu pominął Radio Maryja. Redemptoryści bardzo to przeżyli.

Jacek Hołub, Marcin Kowalski

pokołoruj sobie
na czerwono

gówno
PRAWDA

Złośliwy rysunek satyryczny krążący od lat w internecie

„Nasz Dziennik", 20 lipca 2006

Kardynał Grocholewski w Radiu Maryja

- Katolicy muszą być obecni w mediach - mówił wczoraj w Toruniu ksiądz kardynał Zenon Grocholewski, prefekt Kongregacji ds. Wychowania Katolickiego przy Stolicy Apostolskiej, goszczący w Wyższej Szkole Kultury Społecznej i Medialnej oraz Radiu Maryja i Telewizji Trwam. Spotkanie, jak sam przyznał, zostało wywołane niekompetencją prasy, a konkretnie "Gazety Wyborczej".

W Wyższej Szkole Kultury Społecznej i Medialnej, Radiu Maryja i Telewizji Trwam gościł wczoraj ksiądz kardynał Zenon Grocholewski, prefekt Kongregacji ds. Wychowania Katolickiego przy Stolicy Apostolskiej. Ksiądz kardynał przebywa w Ciechocinku, niedaleko Torunia, na urlopie. Odpoczynek zakłócają mu jednak nierzetelne informacje pojawiające się w prasie.

- Odwiedziłem waszą szkołę, ponieważ wchodzi to w zakres moich kompetencji, ale ściśle mówiąc, nie jest to wasza zasługa, że właśnie dzisiaj odwiedziłem waszą uczelnię - żartował ksiądz kardynał. - Jest to "zasługa" "Gazety Wyborczej", która napisała bardzo tendencyjny artykuł, interpretując moją wizytę w Toruniu jako pewnego rodzaju afront dla waszej uczelni, dla waszego zgromadzenia, co oczywiście nie ma żadnego uzasadnienia - mówił wczoraj dostojny gość. - Powoływanie się na anonimowych duchownych, zamiast sprawdzenia genezy i natury mojej wizyty, wskazuje na nieprofesjo-

nalność i tendencyjną interpretację "Gazety Wyborczej". Dlatego czułem się zobowiązany przybyć dzisiaj, by moja osoba nie była instrumentalizowana w celach, które są mi obce - tłumaczył ks. kard. Grocholewski i zaraz dodał, że cieszy się z przybycia do Wyższej Szkoły Kultury Społecznej i Medialnej, gdyż prawdopodobnie przybyłby tu i tak innym razem.

Wizytę wywołał artykuł we wczorajszej "Gazecie Wyborczej", w którym insynuowano, że prefekt Kongregacji ds. Wychowania Katolickiego z premedytacją ominął Radio Maryja i powstałe przy nim dzieła. "Po śmierci Jana Pawła II to właśnie kardynał Grocholewski jest najwyższym rangą polskim inistra edukacji uwiarygodniłaby szkołę mającą opinię mocno upolitycznionej. Kardynał ominął jednak imperium ojca Rydzyka wielkim łukiem. Wolał spotkać się z prorektorem Uniwersytetu Mikołaja Kopernika prof. Andrzejem Radzimińskim i porozmawiać z prezydentem miasta Michałem Zaleskim (Stowarzyszenie Ordynacka). Znalazł też czas na zwiedzanie toruńskiej Starówki i wysłuchanie koncertu organowego w katedrze" - takie insynuacje snuła wczorajsza "Wyborcza".

- Jestem u was z wielką przyjemnością, cieszę się, że ten ośrodek się rozwija i życzę całym sercem, by była to uczelnia solidna, by zdobywała coraz wspanialszych profesorów, by przygotowywała solidnych ludzi dla mediów, solidnych ludzi dla pracy społecznej w naszym kraju, także dla aktywności politycznej, ponieważ od ludzi, od ich solidności, od ich moralności, zależy bardzo dużo, zależy przyszłość, zależy dobro naszego kraju. Życzę wam, żeby ta uczelnia miała jak najwięcej sukcesów - mówił ks. kard. Grocholewski. - Katolicy, którzy udzielają się w życiu społecznym, powinni być profesjonalistami wielkiej klasy - dodał gość.

W spotkaniu z ojcami redemptorystami posługującymi w Radiu Maryja i Telewizji Trwam oraz władzami uczelni ksiądz kardynał zwrócił także uwagę na integralny wymiar wychowania. - Uczelnia winna nie tylko dostarczać wiedzy, ale formować człowieka - podkreślił, co ucieszyło wykładowców WSKSiM, gdyż tak właśnie starają się czynić.

- Cieszę się z tego pięknego rozwoju, zwłaszcza uczelni. Dzisiaj są potrzebne tego rodzaju uczelnie, by przygotowywać dla mediów ludzi uczciwych, solidnych, którzy nie instrumentalizują innych, tylko starają się szukać prawdy - dodał na zakończenie spotkania ks. kard. Grocholewski.

Katarzyna Cegielska

* * *

Układ medialny

W początkach maja 2006 zadzwoniła do mnie Julia Jaskólska z "Nowego Dziennika" i potem - jeszcze tego samego dnia - rozmawialiśmy pół godziny w celach wywiadowczych. Nazajutrz pani Julia przysłała mi wywiad do autoryzacji (miał ukazać się 8 maja), ale ja nie wiedzieć czemu uznałem, iż przerzuca się na mnie całą redakcyjną robotę, i wycofałem tę rozmowę. Kilka dni później zreflektowałem się i przeprosiłem (patrz końcowy mejl) - no, ale już było po ptokach. Skoro dziś ten roboczy tekst zamieszczam, to pani Julia dostanie ode mnie honorarium. (Tytuł - S.R.)

Nasz Dziennik: Andrzej Gwiazda powiedział 3 maja po odebraniu z rąk prezydenta Kaczynskiego Orderu Orła Białego, że w Polsce nie ma wolności prasy, że ten postulat nie został zrealizowany. Nie widzi Pan w tym przesady?

Stanisław Remuszko: Nie ma co prawda cenzury państwowej, nikt nikogo dziś policyjnie nie ściga za wolne słowo, ale jednocześnie z całą pewnością istnieje coś, co się nazywa układem medialnym. To właśnie ten układ pełni rolę nieformalnego cenzora, określającego standardy politycznej poprawności oraz tematy, które należy przemilczać. Głównym celem tego układu jest obrona oligarchii III Rzeczypospolitej. Za wszelką cenę nie wolno dopuścić do zmian, które by godziły w wykształcony przez ostatnie kilkanaście lat system powiązań osławionego „czworokąta". Pod tym względem czołowe media nie różnią się między sobą.

ND: Czy cieniem kładzie się tutaj nieprzeprowadzenie lustracji dziennikarzy?

SR: W sposób zdecydowany tak! Coś wiem na ten temat, po prostu pamiętam, że wielokrotnie koledzy i ja sam staraliśmy się o przeprowadzenie tej lustracji, chodziliśmy do Sejmu, pisaliśmy projekty ustaw …

ND: Właśnie, Pan jako pierwszy wystąpił z apelem w sprawie lustracji dziennikarzy, dokument z podpisami złożył Pan w Sejmie w październiku 1996 roku. Minęło 10 lat i nic?

SR: To jest dowód na to, że wszystko można zrobić tylko nie dotykać dziennikarzy. To jest sprawa, o którą się potykały kolejne rządy choćby te awuesowsko- solidarnościowe. To musi być straszliwa przeszkoda. I prawdopodobnie gdyby tę lustrację jednakże przeprowadzono, to wiele redakcji miałoby poważne kłopoty kadrowe …

ND: „Rzeczpospolita" w zeszłym roku odmówiła druku tego apelu z 96 r. w sprawie lustracji czwartej władzy. Dlaczego? Przecież werbalnie popiera lustrację.

SR: Za tymi postawami antylustracyjnymi - statystycznie oczywiście, nie mówię o nikim konkretnym- stoi śmiertelny strach o własną skórę. To najczęstszy powód owego sprzeciwu. Dlaczego w ogóle lustrujemy dziennikarzy? Dlatego, że oni w odróżnieniu od 99 proc innych zawodów mają przemożny wpływ na ludzkie opinie i postawy, wynika to z samej istoty zawodu - przekazywanie informacji, formułowanie opinii.

ND: To swoisty paradoks, że posłowie wypełniają oświadczenie lustracyjne, a dziennikarze nie.

SR: Ważny dziennikarz jest ważniejszy od posła, ważny nadredaktor od ministra czy członka rządu, a właściciele czy kierownicy najważniejszych mediów to jest kilkadziesiąt czy może kilkaset osób ważniejszych razem wziąwszy z punktu widzenia wpływu na opinię publiczną od prezydenta, prymasa i premiera. Racja przemawiająca za lustracją w ogóle jest taka, że dziennikarze mają wpływ na sprawy państwowe, gdy kształtuje się opinie. Większy wpływ mają niż adwokaci, większy niż sędziowie. Jeśli stacja telewizyjna ma milionową widownię choćby, to żaden sąd nie ma miliona wiernych słuchaczy, więc z całą pewnością jest to ogromny zasięg wpływów. Zgadzaja się co do tego zresztą zwolennicy i przeciwnicy lustracji. Gdzie w rezimie bezpieka lokuje swoich agentów?

ND: W mediach, w opozycji...

SR: Najpierw w opozycji politycznej, to oczywiste, żeby wiedzieć to co knują gdzieś przeciwko władzy oraz oczywiście wśród żurnalistów. Z tego prostego względu logika i statystyka mówią w sposób oczywisty, że odsetek tajnych współpracowników musi być wyższy w mediach niż taka środowiskowa przeciętna. Pamiętam, że pan Siemiątkowski, któremu trudno nie wierzyć, bo to przecież był minister spraw wewnętrznych z ramienia słusznego Sojuszu Lewicy Demokratycznej mówił publicznie w latch 90. , że jest zakoczony liczbą dziennikarzy pozostających na usługach, to dla niego był szok. No ale powiedział też, że nic więcej nie może powiedzieć bo to jest tajemnica.

ND: „Wyborcza" jednak nie dba tu nawet w odróżnieniu od „Rzeczpospolitej" o pewne pozory. Dlaczego z taką chorobliwą zaciekłością atakuje lustrację?

SR: To wynika z ich paradygmatu. Słowo trudne, ale to ich ideowy paradygmat!

ND: A nie z wynika to z przypadku Maleszki i Skalskiego i być może innych, o których nie wiemy?

SR: Toteż oni uzasadniają swoje „nie" dla lustracji, ja tu sobie przypominam słowa Stanisława Lema, że uzasadnić można absolutnie wszystko, tylko trzeba się przyłożyć . „Wyborcza" ma do tego bardzo zdolnych ludzi. „Wyborcza" prawdopodobnie miałaby największe kłopoty w swoim

środowisku z lustracją, to jest również odpowiedz na to pytanie .

ND: Czy „Gazeta Wyborcza" jest dziennikiem opiniotwórczym, czy patrząc na wyniki ostatnich wyborów bardziej ogłoszeniowo- reklamowym?

SR: Co do wyborów tu istotnie nastąpił cud. I tak jak ja to widzę w żadnym wielkim medium nie ukazało się wiarygodne wytłumaczenie fenomenu, jakim było wygranie wyborów przez formację PiS-owską wbrew mediom. Ja bardzo starannie tego szukałem i nigdzie tego nie znalazłem, uważam że to jest jakiś fenomen i on czeka na swoją eksplikację. Co się tyczy pytania – czy „Wyborcza" jest opiniotwórcza, to w dużej mierze tak. Opiniotwórczość nie upada z dnia na dzień, to są upadki ciągnące się. I zdaje się, że jesteśmy świadkami takiego upadku . Ludzie zobaczyli, że można wbrew mediom cos zrobić i nabrali odwagi samodzielnego myślenia, w związku z tym niekoniecznie, że to co im się podpowie w sposób nawet inteligentny , nawet na wysokim perswazji jak „Wyborcza" będzie miało znaczenie.

ND:Niezbyt inteligentne jednak były te napaści na Radio Maryja- czołówka na ten temat „Gazety Wyborczej" plus obok „ewangelia" Judasza. To już zresztą nie tylko „Wyborcza", ale wspólny front- TVN, TVP, „Rzeczpospolita"...

SR: To prawda. No ale dlaczego ten układ medialny się wściekł? To jest tak samo jak z Adamem Michnikiem dlaczego się wściekł, z tych samych powodów. Przychodzi Rywin do Michnika i jak powiedział, że przychodzi w imieniu grupy tzrymajacej władzę to wszystko się od tego zaczęło, od tych nieszczęsnych słów. Jakto? - zaryczał Michnik. Jakiej grupy trzymającej włądzę? Przecież to ja trzymam władzę! Żyła mu wyszła i od tego się zaczęło.

ND: Cała draka od tego?!

SR: Gdyby tych słów nie powiedział w ogóle nie byłoby sprawy. Z tego samego powodu ten układ medialny o którym mówimy wściekł się. Dlatego że ojciec Tadeusz Rydzyk i Radio Maryja i telewizja Trwam i Wyższa Szkoła Komunikacji Społecznej i Medialnej , to wszystko co jest dziełem Ojca Dyrektora nie pragnie wygryźć jednego z elementów istniejącego układu, lecz zamierza być niezależne od tego układu. Nooo, proszę pani, takiej strasznej groźby to nikt nie zniesie! W związku z tym ten układ się wściekł. To nie jest żaden spisek. Nie jest tak, że zeszło się dwudziestu redaktorów w jakiejś ciemnicy i uradzili, że trzeba będzie przywalić temu radiu i każdy ma rozdane role. Nic z tego! Czy pani pamięta ze szkoły jak działa układ odpornościowy w człowieku?

ND: Nie bardzo poza tym, że wytwarza przeciwciała.

SR: To przypomnę- jak w organizmie pojawia się obce białko, to w organizmie działają przeciwciała, które natychmiast je rozpoznają, nie pytając przy tym mózgu czy je z prawej zajść czy z lewej. Rozpoznają obce ciało

i niszczą. Podobnie jest tu- to jest obce ciało, dziennikarze należący do układu medialnego, kilkaset osób z poprawnościowymi umysłami, oni nie naradzają się, nie cyzelują sposobów walki z Radiem Maryja . Bez żadnej synchronizacji, doboru sposobów atakują, tak jak obce białka w są niszczone w organizmie bez żadnego pytania mózgu o radę

ND: Dlatego, że radio przełamało po prostu monopol?

SR: Monopol to jest jedno – przełamało monopol układu medialnego, głosi prawdę i to tę prawdę, której nie głoszą pozostałe czołowe media – to jest jedna oczywista przyczyna atakowania. No a druga, ze Radio Maryja nie chce wejść na miejsce kogoś z tego układu, ale chce być i jest niezależne od układu. To coś strasznego! To podważa przecież w ogóle sens całego układu.

ND: Zatem zniknęła tylko cenzura prewencyjna, a jako taka ciągle nie?

SR: Cenzura realna jest dalej , no ale na nią są realne środki zaradcze. Wolność słowa, jedna z najwyższych wolności jaką człowiek w ogóle ma i która jest gwarancją szeregu innych wolności również np wolności religijnej, to nie jest pojęcie puste i można je łatwo określić w sposób bardzo wymierny i m.in. do tych wolności słowa należy realny pluralizm medialny tzn. taki gdzie istnieją rzeczywiste wpływowe, liczące nie jeden procent, lecz kilkanaście- kilkadziesiąt procent odbiorców, czyli poważne redakcje pokazując różne punkty widzenia. Tu chciałbym zacytować bardzo wyraziste i dobre określenie pana Bugaja, który powiedział że dramat dla wolności słowa zaczyna się nie wtedy gdy jedne redakcje coś nagłaśniają, a inne coś przemilczają, ale dramat zaczyna się wtedy gdy większość redakcji to samo nagłaśnia i to samo przemilcza . To jest wtedy dramat społeczny i dramat dla społeczeństwa.

ND: W ten nurt wpisuje się ostatni „półkownik" TVP. Mam na myśli film o Lechu Wałesie zamówiony przez TVP 3 u reżysera Grzegorza Brauna. Ponieważ jednak zdaje się z obrazu aż nadto wynika, że Wałęsa to donoszący bezpiece „Bolek" telewizja filmu nie pokaże. Komu zależy na ratowaniu sfatygowanej „legendy"?

SR: Napisałem tekst „Trup w szafie czyli akta »Bolka«". Pan Grzegorz Braun z którym rozmawiałaem parę dni temu powiedział, że w jego filmie nie ma w zasadzie wiele więcej niż w moim artykule - z tym że film ma oczywiście ładne sceny, choćby jak Wałęsa drze papiery. Ja jeszcze zresztą walczę o odtajnienie pewnych akt, które mogłyby być puentą do tego tesktu…

ND: Komuś jednak zależy, by sprawa nie przedostała się do szerokiego kręgu…

SR: Nie chcę wymieniać nazwisk, ale ludzie zacni skądinąd, z kręgu ZChN , którym przedstawiłem ten swój tekst, ludzie, których uważam za uczciwych i mam do nich osobiste zaufanie powiedzieli mi tak – Staszku drogi,

właściwie to niewiadomo co jest ważniejsze, czy prawda, czy dobro „legendy", „mitu", postaci historycznej jaką jest Lech Wałęsa, czy naga prawda, choćby była przykra ?

ND: Co to jednak za legenda budowana w oparciu o fałsz, choćby i miły dla ucha?

SR: Wielu ludzi może mieć jednak ten dylemat...

ND: Tu nie ma dylematu!

SR: Ależ jestem za tym, poznajcie prawdę, a prawda was wyzwoli, jak nauczał Chrystus. Ja w tej sprawie nie mam żadnej wątpliwości. Jeśli prawda jest niekorzystna trzeba ponieść jakąś odpowiedzialność , ale żeby ją przymykać w imię rzekomo wyższych wartości, którą miałoby być w przypadku „legendy solidarności" dobro narodowe, to ja się z tym nie zgadzam i tyle.

ND: Czy tu jednak nie daje znowu o sobie znać ten układ medialny, o którym Pan mówił, spotykam się dziś na okrągło z powtarzaniem zarzutu, m.in. w TVN pod adresem Radia Maryja, ze rzekomo oskarżyło Wałęsę o agenturalność. Pomijam już to, że wcale nie oskarżyło, ale nikt nie docieka jaka jest prawda, co wynika z archiwów IPN.

SR: Przypuszczam, że chodzi tu o lojalność tego układu wobec człowieka, który obiecywał różne rzeczy, ale obietnic nie dotrzymał, przyklepał stary układ i zapewnił komunistom bezpieczne, miękkie lądowanie.

ND: W szczególności 4 czerwca 1992 i teraz TVP „w hołdzie bohaterowi" nie pokaże ani filmu pana Brauna o „Bolku", ani pewnie po raz kolejny „Nocnej zmiany", chociaż aż by się prosiło. Reżimowa telewizja?

SR: Rzymianie mówili scripta manent , czyli napisane zostaje. Otóż dzisiaj mało komu chce się iść do biblioteki i wyciągać zszywki gazet, a ja bym radził komuś kto jest mocno zainteresowany zobaczyć co wypisywano czwartego, piątego, szóstego czerwca 92 r., dzisiaj by się wydawało, że jest to niemożliwe żeby ktoś uprawiał taką propagandę. ***ND: Dziś ma miejsce to samo, tyle że w bardziej zawoalowany może sposób, jak w telewizji publicznej...***

SR: Oglądała pani Fakty TVN 3 maja?

ND: Tak.

SR: I co?

ND: Fakty, jak Fakty, momentami bardziej lewackie aniżeli Wiadomości w TVP.

SR: Każdy, kto zna najnowsze dzieje naszej Ojczyzny, wie, jaką rolę odegrali Anna Walentynowicz i Andrzej Gwiazda, i w jakiej znamiennej opozycji do Lecha Wałesy pozostawali po Okrągłym Stole. Uhonorowanie tych ludzi w Pałacu Prezydenckim orderem Orła Białego w dniu narodowego święta było historycznym wydarzeniem-symbolem i oczywistym hitem

medialnym. A co w swoich „Faktach" robi TVN? Przez pierwsze kilka minut nadaje relację z weekendowej sytuacji na drogach, potem opowiada o kryzysie w służbie zdrowia, i bodaj w dziesiątej minucie rozpoczyna się felieton na temat... nieróbstwa prezydenta Kaczyńskiego, ilustrowany zresztą głównie archiwalnymi zdjęciami. O tym, że właśnie odznaczył on bohaterów pierwszej „Solidarności", TVN informuje pod koniec, mimochodem, w parosekundowej migawce. Tak nierzetelnego dziennikarstwa jeszcze w życiu nie widziałem

ND: Dziękuję za rozmowę.

Julia M. Jaskólska

* * *

----- Original Message -----
From: Stanisław Remuszko
To: Julia Jaskólska
Cc: Ewa Sołowiej
Sent: Tuesday, May 16, 2006 5:51 PM
Subject: Od Remuszki

WSzPani Julio, przypadkiem powtórnie przeczytałem tekst, który Pani ponad tydzień temu przysłała do autoryzacji, i pragnę Panią Redaktor przeprosić za tamtą moją ocenę - po części niesprawiedliwą i krzywdzącą, jak teraz z pewnym zaskoczeniem widzę. Porównałem wtedy Pani tekst do surowego mięsa, ale przesadziłem: to jest mięso oczyszczone z błon, umyte, pokrojone i przyprawione, i tylko trzeba jeszcze włożyć je do brytfanny, podlać i upiec (też sztuka!). Nie wycofuję się całkiem, bo ja na pewno nie dałbym tekstu w tej postaci do autoryzacji, no, ale ja jestem językowym perfekcjonistą i pedantem, co wcale nie musi być zaletą. Nie miałem racji, używając tak ostrych sformułowań. Jeszcze raz przepraszam za wyrządzoną przykrość. Ponieważ zaś wygłosiłem tamte swoje sądy w elektronicznej przytomności pani Nadredaktor - w tych samych warunkach powinienem je odszczekać, co niniejszym czynię.

Z respektem :-)

Stanisław Remuszko

P.S. Prawdę mówiąc, dziś nie mam pojęcia, czemu mnie to wtedy odrzuciło AŻ TAK. Mogłem swoje zdanie wyrazić łagodniej - i w większej zgodzie z rzeczywistością, niestety...

Pan
Adam Michnik
Redaktor Naczelny
„Gazety Wyborczej"
Czerska 8/10
00-732 Warszawa

Szanowny Panie Redaktorze,

Nazywam się Stanisław Remuszko, mam 58 lat, jestem dziennikarzem (teraz już raczej seniorem, nr leg. SDP 240), przygotowuję obszerną publikację dokumentalno-historyczną i do tych celów potrzebuję odpowiedzi na takie pytanie: **w których zakładach karnych i w jakich okresach (lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte ubiegłego stulecia) przebywał Adam Michnik – czołowa postać ówczesnej opozycji politycznej**?

Nie chodzi mi o żadne (liczne) tymczasowe zatrzymania czy areszty, lecz o pozbawienie wolności na mocy wyroku sądowego. Rzecz jasna, zdaję sobie również sprawę, iż może Pan aż tak szczegółowo nie pamiętać wydarzeń sprzed kilkudziesięciu lat; zresztą zawsze lepiej, gdy takie dane podaje nie sam zainteresowany. Dlatego identyczne pytanie zadałem Centralnemu Zarządowi Służby Więziennej, ale odpowiedzieli mi (załączam kserokopię), że na udzielenie tej informacji potrzebna jest pisemna zgoda Pana Redaktora. **O taką zgodę uprzejmie proszę.**

Sądzę, że opublikowanie, właśnie przeze mnie, źródłowej wiarygodnej informacji o dokładnych okresach i miejscach uwięzienia Pana przez wymiar sprawiedliwości PRL definitywnie rozwiałoby pojawiające się tu i ówdzie rozmaite wątpliwości i spekulacje na ten temat. (11.05.06)

Z respektem

Stanisław Remuszko

Na ten list nie dostałem żadnej odpowiedzi.

Kto sieje wiatr...

Chrzanów, 5 lipca 2006

Szanowny Panie Redaktorze,

Podobnie jak Pana życie, tak i moje życie w jakimś sensie zmieniła „Gazeta Wyborcza".

Mam dopiero 23 lata. Jednak nigdy nie zapomnę 27 grudnia 2002 roku. Można powiedzieć, że po lekturze artykułu *Przychodzi Rywin do Michnika* przejrzałem na oczy. Wprawdzie zawsze nie podobał mi się stosunek „Gazety Wyborczej" do lustracji czy ciągła gloryfikacja Żydów połączona z nieustannym oskarżaniem Polaków o antysemityzm, jednak uznawałem, że pewnie wynika to z wielu krzywd, jakich doznał w przeszłości Adam Michnik. Ale 27 grudnia 2002 zmienił moje życie. Straciłem wówczas ostatnią krztę zaufania do tego środowiska, pozbyłem się dziecięcej naiwności. *Kręcą, łżą, są w układzie* - powtarzałem wzburzony.

Nagle dostrzegłem propagandową spójność tego, co pisze „Wyborcza". Zauważyłem, jak niektórzy „myślą Michnikiem", jak zwalczane jest wszystko co Michnikiem nie jest, co sprzeczne jest z oglądem świata prezentowanym przez „GW". Wszystko stało się dla mnie jasne. Spostrzegłem w „Gazecie Wyborczej" wszystkie obce mi elementy: wiernopoddańczy stosunek wobec Unii Europejskiej, sprzeciw wobec lustracji, gloryfikację „wolności diabelskiej" (jak mówi Piotr Skarga), czy też „wolności od" (popieranie związków homoseksualnych, aborcji, eutanazji, narkotyków). Najbardziej przeraził mnie jednak fenomen skuteczności tych zabiegów. Inteligentni, wykształceni ludzie, którzy jak gąbka chłoną michnikową sieczkę. Oczywiście nie dotyka to wszystkich. Wykładający na moim wydziale dr Krzysztof Szczerski uważa, że krytyka ze strony „GW" oznacza samodzielność myślenia osoby krytykowanej. Całkowicie popieram ten pogląd.

Wracając do mnie. Po wyjściu na jaw tych układów, tej ciemnej gry, w której brała udział „Gazeta Wyborcza", coś się we mnie ruszyło. Zobaczywszy jak na dłoni ten fałsz i zakłamanie, w marcu 2003 związałem się z Młodzieżą Wszechpolską, organizacją, która dla „GW" jest chyba wcielonym złem na polskiej ziemi. Otóż śmiem twierdzić, że to "Gazeta" wykreowała Młodzież Wszechpolską! Dziś jestem członkiem Rady Naczelnej i prezesem Okręgu

Małopolskiego tej organizacji. To, że się zaangażowałem po przeciwnej stronie barykady, to wybitna zasługa „Wyborczej".

Wiem, że nie jestem jedyną taką osobą. W ubiegłym roku przeczytałem **Salon kłamców** Waldemara Łysiaka. Tam po raz pierwszy usłyszałem o Panu Redaktorze. Niedawno też postanowiłem, że moją pracę magisterską poświęcę Adamowi Michnikowi i środowisku „Gazety Wyborczej". Zastanawiam się nawet, co można by nazwać takim środowiskiem. Poza zespołem redakcyjnym są też ludzie o „zawsze zbieżnych poglądach". Na pewno gdzieś w kręgu „GW" będzie nie tylko krakowski „Tygodnik Powszechny", ale i znakomita większość działaczy Partii Demokratycznej, czy choćby abp Józef Życiński oraz wiele postaci tzw. światka kulturalnego (Marek Kondrat, Andrzej Grabowski, Piotr Bałtroczyk, Hubert Leszczyński, Andrzej Strzelecki, Lech Janerka, Kazimiera Szczuka, Muniek Staszczyk, Kuba Wojewódzki, Grzegorz Turnau, Adam Hanuszkiewicz, Kazimierz Kutz, Krzysztof Zanussi itd.).

Tak czy inaczej „Wyborcza" stanowi środowisko szerokiego oddziaływania, szczególnie na tzw. elity intelektualne. Stąd przy pisaniu tej pracy postanowiłem się zwrócić do Szanownego Pana Redaktora z kilku powodów. Po pierwsze jest Pan autorem książki, która będzie mi w pisaniu tej pracy wręcz niezbędna. Z pańskiej strony internetowej dowiedziałem się, że niedługo będzie nowy nakład uzupełniony książki *Gazeta Wyborcza. Początki i okolice.* Interesuje mnie choćby ksero. Obojętne. Chciałbym, aby praca była jak najlepsza. Zebrałem już około stu pozycji bibliograficznych, ale będę wdzięczny Panu Redaktorowi za wszelkie wskazówki. Chciałbym napisać pracę dobrą, która kompleksowo podsumuje poglądy ideowo-polityczne, a także działanie środowiska "Gazety". Wychodząc od tego, jak formowało się to środowisko (rok `68 czy doświadczenie KOR i „Solidarności", a potem okrągłego stołu). Będę zatem wdzięczny za jakąkolwiek pomoc.

Z poważaniem

Marcin Stroński
student IV roku politologii UJ

* * *

Młody Wszechpolaku, dziękuję za list i zaufanie. Chętnie Panu pomogę. Udało mi się znaleźć piwniczny (nieco uszkodzony) egzemplarz pierwszego wydania wiadomej książczyny i zaraz wyślę go Panu zwykłą pocztą. Po drugie, dam Panu krzyżyk na magisterską drogę - czyli życzliwą radę.

Skoro o słuszną sprawę walczy Pan na barykadzie - niech Pan używa najlepszej amunicji i strzela celnie. Zamiast obrzucać wroga granatami epitetów (okrzyki-petardy, zgniłe jaja i europejskie pomidory-sześciany), niech Pan posłuży się orężem wiedzy i logiki. Z bogatego arsenału musi Pan starannie dobrać broń palną i białą (fakty, daty, wydarzenia, argumenty, związki przyczynowo-skutkowe, cytaty) i użyć jej precyzyjnie - tak, by naturalne emocje nie górowały nad racjami, a już na pewno ich nie zastępowały. Wrażego zaplecza intelektualnego nie ma Pan wytłuc co do nogi, lecz sprawić, by przeszło rozumowo na Pana stronę. Tak uważam.
Niech Pan ukłoni się ode mnie dr. Szczerskiemu. Niech Pan napisze dobrą, oryginalną pracę magisterską.
Z respektem i dobrymi życzeniami :-)
Stanisław Remuszko

(Tytuł mój - SR)

P.T.
Zarząd Agory S.A.
Czerska 8/10
00-732 Warszawa

Szanowni Państwo,

Przygotowuję do druku trzecie (przebudowane i uzupełnione) wydanie swojej książki "Gazeta Wyborcza. Początki i okolice" i chciałbym tam zamieścić dwie informacje odnoszące się do "wydarzeń najnowszych".

Pierwsza ma związek z "Oświadczeniem" wydanym przez Państwa 10 sierpnia 2006. Czytamy w nim między innymi, iż *Agora jako spółka publiczna działa w oparciu o **najwyższe standardy przejrzystości**,* a nadto systematycznie publikuje ***powszechnie dostępne** sprawozdania finansowe oraz raporty dotyczące działalności spółki i jej **struktury właścicielskiej**.*

8 maja 1999 roku w "Rzeczpospolitej" napisano, *iż akcje wchodzącej na giełdę Agory otrzymało około 1600 pracowników, jednak 96 spośród nich, będących kluczowymi pracownikami firmy, posiada pakiety znacznie wyższe. Przypadło im w udziale ponad 19 milionów akcji o wartości prawie miliarda złotych.*

Oto i pierwsze moje pytanie: **kim są, z imienia i nazwiska, ci "kluczowi pracownicy"**?

Ta sama "Rzeczpospolita" 18 sierpnia 2006 podała, iż - wyrokiem Wojewódzkiego i Naczelnego Sądu Administracyjnego, a także zdaniem Komisji Papierów Wartościowych i Giełd - *wynagrodzenia członków zarządu i rad nadzorczych muszą być podane do publicznej wiadomości. Nie może to być kwota łączna, ale konkretna, przypisana do konkretnych osób.*

Przeczytałem staranie dostępne w internecie roczne sprawozdanie Agory za ubiegły rok, ale nic tam na ten temat nie znalazłem. Stąd kwestia druga: **ile wynoszą zarobki każdego z czterech członków Zarządu Agory oraz każdego z pięciu członków jej Rady Nadzorczej**?

Byłbym wdzięczny za możliwie szybką odpowiedź.

Z poważaniem (19.08.06)

Stanisław Remuszko

Jawność jawnością, przejrzystość przejrzystością, standardy standardami, ale właścicielstwo właścicielstwem, więc bez przesady. Nazwiska około stu głównych giełdowych właścicieli Agory od samego początku w 1999 roku utajniono (patrz również str. 180 i 216), i dla opinii publicznej nadal mają pozostać w sekrecie, o czym uprzejmie powiadomiła mnie - w odpowiedzi na powyższy list - miła pani Katarzyna Rydzik (Asystentka Pani Prezes Wandy Rapaczyńskiej - tak w oryginale, S.R.).
Co się tyczy natomiast aktualnych indywidualnych zarobków kierownictwa koncernu, to proszę bardzo, każdy może je sobie obejrzeć w internecie (tylko trzeba poszukać, ale pani Katarzyna mi pomogła), więc uprzejmie informuję PT Czytelników, że w roku 2005 przeciętny dzienny zarobek poszczególnych członków Zarządu Agory wynosił:: Wanda Rapaczynski (tak w oryginale, S.R.), Piotr Niemczycki i Jarosław Szaliński - po około 1500 zł oraz Zbigniew Bąk - prawie 2200 zł. O niespełna dwustuzłotowych dietach członków Rady Nadzorczej nawet wspominać nie warto...

Dług honorowy

Podobna sytuacja wydarzyła się już raz, we Francji, sto jedenaście lat temu, kiedy to kapitan sztabu generalnego Alfred Dreyfus w wyniku fałszywych oskarżeń spreparowanych przez służby specjalne został osądzony i skazany. W Polsce, pięć lat temu, wiceminister obrony Romuald Szeremietiew w wyniku wspólnej akcji służb specjalnych i mediów został zdymisjonowany i oskarżony, a teraz rozpoczął się jego sądowy proces. We Francji prawda wyszła na jaw dopiero po dwunastu latach, kiedy to Dreyfusa ostatecznie oczyszczono i zrehabilitowano. Jak długo będzie wychodziła na jaw prawda o Szeremietiewie?

Przypomnijmy elementarne fakty. W lipcu 2001 roku w dzienniku „Rzeczpospolita" ukazał się artykuł pióra Bertolda Kittla i Anny Marszałek pt. „Kasjer z ministerstwa obrony", stawiający Romualdowi Szeremietiewowi szereg zarzutów, które dyskwalifikowały go jako człowieka i jako osobę publiczną. Te i następne doniesienia natychmiast zostały nagłośnione przez bodaj wszystkie ogólnokrajowe gazety, radia i telewizje, wskutek czego premier zawiesił oskarżonego wiceministra, prokurator wszczął śledztwo, a fiskus wziął małżeństwo Szeremietiewów pod rentgen i mikroskop. W ciągu następnych tygodni i miesięcy rzekomą aferę wałkowano na wszelkie możliwe sposoby.

Romuald Szeremietiew od początku wskazywał na fałszywość oskarżeń. Udowadniał czarno na białym, że nie zgadzają się podane w „Rzeczpospolitej" fakty, daty i liczby, że przywoływani świadkowie w rzeczywistości nie istnieją, że kluczowe zdarzenia miały inny przebieg, że twierdzenia autorów artykułu są wzajemnie sprzeczne. Ale te argumenty nigdy nie przebiły się do opinii publicznej. Media wydały na Szeremietiewa zbiorowy wyrok, a redaktor Marszałek w nagrodę za swe dokonania została ogłoszona „Dziennikarką Roku".

Po latach okazuje się, że zarzuty „Rzeczpospolitej" były co do jednego wyssane z palca. Szeremietiew nie brał ani nie dawał łapówek, nie zdradzał tajemnic, nie ustawiał przetargów, nie wydawał więcej niż zarabiał, fundusze na kampanie Wałęsy i AWS zbierał legalnie, a nadto nie kręcił, nie kłamał i nie oszukiwał. Akt oskarżenia rodził się w męczarniach przez trzy lata i zmieniał się jak w kalejdoskopie, podobnie zresztą jak prowadzący tę sprawę prokuratorzy. Z jednych pierwotnych wątków prokuratura sama wycofała, inne umorzyła z braku jakichkolwiek dowodów, jeszcze inne upadają przed sądem. Urząd Skarbowy prawomocnie orzekł, że państwo Szeremietiewowie są majątkowo

i podatkowo czyści jak łza. Ale tych wiadomości próżno by szukać w mediach, które przedtem odsądziły Romualda Szeremietiewa od czci i wiary.

Obserwatorzy od dawna nie wątpią, że za tamtą serią artykułów w „Rzeczpospolitej" stały potężne siły i interesy, zresztą nie tylko polskie. Wiceminister Szeremietiew, odpowiadając w MON za największe w historii naszej armii zakupy uzbrojenia, przygotowywał i forsował koncepcje zasadniczo inne niż te, które po jego zdymisjonowaniu zostały zrealizowane. W grę wchodziły kontrakty (m.in. na samolot wielozadaniowy, rakietę przeciwpancerną i kołowy transporter) warte kilka miliardów dolarów. Aby te pieniądze wydać na sprzęt „właściwy", trzeba było nie tylko odsunąć Szeremietiewa od przetargów, lecz przede wszystkim podważyć jego fachowość i odebrać mu wiarygodność – tak, by jako oczywisty przestępca nie mógł zabierać głosu, alarmować opinii publicznej, dobijać się prawdy. To zadanie zostało wykonane na piątkę z plusem.

* * *

Jak wiadomo, spiskowa teoria dziejów głosi fałsz z jednego przynajmniej powodu: tego nie da się zrobić. Wielu by chciało, i w starożytności pewnie było to nawet możliwe, ale od dawna już nie jest, ze względu na złożoność społeczeństwa oraz stopień komplikacji hipotetycznego nim sterowania. Jednak w skali lokalnej i regionalnej - poczynając od bloku mieszkalnego czy zakładu pracy, poprzez miasto czy gminę, a kończąc na suwerennym państwie - rozmaite spiski, podchody i knucia są wciąż częstą metodą „walki o byt". Wciąż jedni w cichym porozumieniu z drugimi starają się wygryźć tych trzecich po to, by opanować jakąś niszę gospodarczą, polityczną, albo ideową, zagwarantować sobie w danej dziedzinie jak największy wpływ na rzeczywistość i jak największe profity.

W III Rzeczpospolitej działaniom takim sprzyja wysoki stopień oligarchizacji państwa. Oligarchia, podług słownikowej definicji, to rządy stosunkowo niewielkiej grupy ludzi połączonych wspólną cechą lub interesem. W dzisiejszej potocznej polszczyźnie powiedzielibyśmy, że chodzi po prostu o osławioną GTW, czyli o grupę (lub grupy) ludzi trzymających władzę, działających dyskretnie i skutecznie, z pozornym zachowaniem reguł demokracji. Jednak ostatnie lata wyraziście pokazały, co jest głównym składnikiem współczesnego systemu oligarchicznego: **niepisany kartel większości środków masowego przekazu**. Parafrazując arcytrafne określenie Ryszarda Bugaja, *dramat dla demokracji zaczyna się nie wtedy, gdy jedne media jakąś sprawę nagłaśniają, inne zaś ją przemilczają, lecz wtedy, gdy zdecydowana większość mediów to samo nagłaśnia i to samo przemilcza.*

Na naszych oczach demokrację monteskiuszowską (parlament, rząd sądownictwo) coraz bardziej zastępuje **oligarchia medialna** – czyli ustrój

oparty na niejawnych i nieformalnych układach biznesowo-politycznych, w którym ważni redaktorzy są ważniejsi od posłów, ważni nadredaktorzy od ministrów, a właściciele i dysponenci czołowych pism i anten od prezydenta, premiera i prymasa razem wziętych. Czołowe media (choć z wyjątkami) coraz częściej i coraz bardziej demonstracyjnie zachowują się w sposób urągający starej dziennikarskiej deontologii. Oto ich grzechy główne: gangstersko-mafijne metody działania („anonimowi informatorzy", „tajemnica dziennikarska", „dziennikarskie śledztwa", oczywiste przypadki współpracy ze służbami specjalnymi), cuchnące i bezkarne personalne nagonki prasowe, niedrukowanie sprostowań, stałe gwałcenie zasady *audiatur et altera pars*, wydarzenia i tematy *tabu*, itp., itd. Innymi słowy, zamiast pełnić rolę informacyjno-kontrolną, środki masowego przekazu biorą bezpośredni udział w sprawowaniu realnej władzy. Ale to władza dla demokratycznego państwa szczególnie groźna, ponieważ nie pochodzi z wyboru, praktycznie za nic nie ponosi odpowiedzialności, a niemal wszyscy politycy boją się jej jak diabeł święconej wody.

* * *

Jestem głęboko przekonany, że IV Rzeczpospolitej nie uda się zbudować bez ograniczenia władzy mediów. Jak to zrobić, aby nie ograniczyć wolności słowa, która jest fundamentalnym gwarantem wszystkich innych wolności? Sądzę, że trzeba zrobić trzy rzeczy:

Po pierwsze, trzeba wreszcie **zlustrować dziennikarzy**. Nie przy-padkiem ta kluczowa grupa zawodowa wciąż pozostaje – mimo wielu środowiskowych apeli i legislacyjnych przymiarek - poza zasięgiem ustawy. Najnowsze poselskie projekty przewidują rozszerzenie lustracji również na radnych, oficerów wojska i policji oraz radców prawnych (w sumie ponad 100 000 osób). Proszę bardzo. Uważam jednak, iż wszyscy oni razem wzięci nie mają na społeczeństwo takiego wpływu jak kilkusetosobowa, może nawet tylko kilkudziesięcioosobowa grupa dziennikarzy (oraz kierownictwo) najważniejszych mediów.

Po drugie, trzeba tak **zmienić prawo,** aby osoby skrzywdzone wskutek dziennikarskiej nierzetelności mogły w rozsądnym czasie wyprocesować od redakcji milionowe odszkodowanie - również wówczas, gdy oznaczałoby to bankructwo wydawcy (w przypadku recydywy). Tak jest w Ameryce, światowej ojczyźnie ludzkich i obywatelskich praw i swobód.

Po trzecie, trzeba **przywrócić kontrolę nad służbami specjalnymi** – zwłaszcza wykluczyć możliwość samodzielnego uprawiania przez nie polityki. Musi to być sprawa niezwykłej wprost wagi, niemal racja stanu, skoro rozbiła się o nią koalicja PiS i PO. Przypomnę, że pięć lat temu minister

sprawiedliwości polecił wszcząć śledztwo w sprawie przecieków ze służb specjalnych do mediów. Niestety, gdy ośmielił się aresztować kapitana UOP, został natychmiast zdymisjonowany. Pewną pociechą jest to, że ów minister nazywał się Lech Kaczyński.

* * *

Wyliczone trzy kroki trzeba uczynić szybko, w ciągu najbliższych paru miesięcy – przede wszystkim dlatego, że potem, jak uczy historia, zapewne to już się nie uda. Ale co można zrobić – od razu, natychmiast, teraz – dla Romualda Szeremietiewa?

W pierwszej kolejności należy **odtajnić jego sądowy proces**. Podług mojej najlepszej wiedzy nie ma tam absolutnie nic, co należałoby chronić sekretem ze względu na interes państwa. Odwrotnie: bezpodstawna tajność chroni interes rzeczywistych autorów całej tej rzekomej afery. Na sprokurowanie „sprawy Szeremietiewa" wydano, według szacunków, grube miliony złotych. Czas, by opinia publiczna poznała szczegóły i okoliczności tych wydatków oraz nazwy i nazwiska płatników.

Jeżeli sąd bez uzasadnienia oddali kolejny wniosek obrony o odtajnienie (do czego ma formalne prawo), wówczas tym bardziej **powinno się zapewnić jakąś zewnętrzną bezstronną kontrolę nad tym bezprecedensowym procesem.** Taką kontrolę mogłaby dać obecność na rozprawach na przykład delegata Rzecznika Praw Obywatelskich albo przedstawiciela niezłomnego Komitetu Helsińskiego czy obserwatora z ramienia zasłużonej antykorupcyjnej *Transparency International*. O prawo do monitorowania procesu mogłoby też wystąpić – w ramach swej szlachetnej statutowej misji - obywatelskie Stowarzyszenie Wolnego Słowa.

Wreszcie, gdy reformatorskie deklaracje nowego rządu o usprawnieniu wymiaru sprawiedliwości staną się ciałem, proces nie będzie ciągnął się w nieskończoność. Szeremietiew czekał trzy lata na akt oskarżenia, potem rok na pierwszą rozprawę, a teraz mają odbywać się tylko dwie rozprawy w miesiącu? Przy takim tempie i trybie pracy sądu **resztki zarzutów pod adresem byłego wiceministra przedawnią się za trzy lata**. Może komuś właśnie o to chodzi. Miejmy nadzieję, że nowy prokurator generalny skutecznie zapobiegnie takiej ewentualności.

* * *

Przestudiowałem rozmaite materiały, przeczytałem setki stronic, rozmawiałem z wieloma ludźmi; mam też sporo wiedzy i doświadczenia (ponad trzydzieści lat w dziennikarskim zawodzie). **Na tej podstawie pragnę publicznie oświadczyć: Romuald Szeremietiew jest niewinny.** Oczywiście

zadecyduje o tym sprawiedliwy proces, ale ja uważam za swój obywatelski obowiązek powiedzieć to już teraz. Że wywieram nacisk na niezawisły trybunał? Skądże! *Każdego uważa się za niewinnego, dopóki jego wina nie zostanie stwierdzona prawomocnym wyrokiem sądu* – głosi konstytucja Rzeczpospolitej Polskiej.

Rzeczpospolita Polska, która dziś obchodzi Święto Niepodległości, jest coś dłużna Romualdowi Szeremietiewowi. To za nią siedział w więzieniu w latach 1981-1984 jako współzałożyciel KPN, to jej służył jako wiceszef MON w rządzie Jana Olszewskiego, to dla niej zrobił doktorat i habilitację (temat: kierowanie obronnością państwa i bezpieczeństwo narodowe), to z myślą o niej wziął się za modernizację armii po zwycięstwie AWS w 1997 roku. Patriotyzmu nie wybiła mu z głowy nawet „Rzeczpospolita". Mówi o sobie, że jest żołnierzem. Trochę dokucza mu serce. Właśnie skończył 60 lat. (11.11.05)

Stanisław Remuszko

P.S. W każdej chwili jestem gotów do szczegółowej polemiki z serią publikacji sprzed czterech lat – gdyby ktoś zechciał takiej polemice poświęcić czas i miejsce. W tym kontekście uprzejmie informuję P.T. Czytelników, że sam tylko "wiodący" materiał "Rzeczpospolitej" z 7-8 lipca 2001 liczył ponad dwadzieścia stron znormalizowanego maszynopisu i składał się z dziewięciu odrębnych tekstów ilustrowanych siedmioma zdjęciami. Potem wydrukowano dosłownie kilkadziesiąt artykułów, not i komentarzy rozmaitej objętości, "rozwijających i pogłębiających temat". Eryści doskonale pojmują, że poważna merytoryczna dyskusja z takim materiałem musi zająć minimum kilkanaście stronic, i to poświęconych wyłącznie konkretnym spornym kwestiom. Dlatego "Dług honorowy" zawiera – w tym zakresie - tylko syntetyczną konkluzję.

Próby opublikowania „Długu honorowego" w czołowych mediach okazały się bezskuteczne (zamieszczenia tego tekstu odmówiły w listopadzie 2005 następujące dzienniki: **„Fakt"**, **„Gazeta Wyborcza"**, **„Nasz Dziennik"**, **„Nowy Dzień"**, **„Rzeczpospolita"**, **„Super Express"**, **„Trybuna"** i **„Życie Warszawy"**, oraz tygodniki: **„Angora"**, **„Gazeta Polska"**, **„Głos"**, **„Nasza Polska"**, **„Newsweek"**, **„Ozon"**, **„Polityka"**, **„Przegląd"**, **„Przekrój"**, **„Tygodnik Powszechny"**, **„Tygodnik Solidarność"** i **„Wprost"**).

Artykuł
dotychczas w Polsce nie publikowany
(w sierpniu 2000. propozycję zamieszczenia
odrzuciły „Rzeczpospolita" i „Życie")

Trup w szafie, czyli akta „Bolka"

4 czerwca 1992 roku zostaje ujawniona sławetna lista Macierewicza. Cała Polska ogląda transmisję z Sejmu. W pewnym momencie na trybunę wchodzi poseł Kazimierz Świtoń i dramatycznym głosem oznajmia, że w spisie tajnych współpracowników dawnej komunistycznej bezpieki znajduje się nazwisko obecnej głowy państwa oraz ówczesny pseudonim agenta: „Bolek". Kancelaria prezydenta wydaje oświadczenie, że Lech Wałęsa w latach siedemdziesiątych istotnie „coś podpisał", ale godzinę później wycofuje tę wiadomość. Tego samego dnia w nocy przeciwnikom lustracji - posłom głównie Unii Demokratycznej i SLD - udaje się obalić rząd Jana Olszewskiego. Wkrótce nowym ministrem spraw wewnętrznych zostaje zaufany prezydenta, Andrzej Milczanowski. Znacie? Znamy. No to posłuchajcie.

Mój list do „Rzeczpospolitej" (redakcja odmówiła jego druku): *Red. Anna Marszałek w dzisiejszym (17/18 lipca 1999) numerze podaje, iż o słynną teczkę „Bolka" poprosił osobiście Lech Wałęsa, kiedy był prezydentem. Gdy po zakończeniu jego kadencji teczka wróciła do UOP, „stwierdzono w niej brak kilkudziesięciu dokumentów, m.in. zobowiązań do zachowania w tajemnicy rozmów z oficerami SB i pokwitowań odbioru pieniędzy".*

Red. Marszałek informuje nadto, iż Prokuratura Krajowa chce umorzyć śledztwo w tej sprawie ze względu na zmianę przepisów kodeksu karnego. Cytuję: „Obecnie odpowiedzialność grozi jedynie za ujawnienie tajemnicy państwowej. Ponieważ Lech Wałęsa jako prezydent miał prawo dostępu do tajnych materiałów, nie popełniono przestępstwa - twierdzi prokuratura".

Jeśli to prawda, to wypada prokuraturze przypomnieć, że nikt nigdy nie zarzucał Wałęsie, iż nielegalnie oglądał dokumenty zgromadzone w teczce „Bolka". Nie adresowany personalnie, ale też i nie kwestionowany przez nikogo zarzut dotyczy tylko „zniknięcia" części tych dokumentów. To zaś uznawane jest za przestępstwo pod rządami zarówno starego (art. 268), jak i nowego kodeksu karnego. Obowiązujący dziś artykuł 276 k.k. stanowi jednoznacznie: Kto (...) usuwa lub ukrywa dokument, którym nie ma prawa wyłącznie rozporządzać, podlega karze grzywny, ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat dwóch!

Według ustaleń „Rzeczypospolitej", dokumenty z teczki „Bolka" przekazywali Wałęsie szefowie UOP Konieczny i Czempiński oraz minister SW Milczanowski. Jak to możliwe, by prokuratura (w ciągu trzech lat!) nie była w stanie wykryć, kto z wymienionych czterech osób w jakim stopniu ponosi odpowiedzialność za zaginięcie tych najściślej tajnych dokumentów? Jako obywatel uważam, że opinii publicznej należy się wiarygodne wyjaśnienie tej bulwersującej sprawy.

Śledztwo w sprawie tajemniczego zaginięcia tajemniczych akt - z przesłuchaniem Milczanowskiego, Koniecznego i Czempińskiego - przeprowadziła warszawska Prokuratura Okręgowa. Zastępca jej szefa, prokurator **Zbigniew Goszczyński** w rozmowie ze mną 24 sierpnia 2000 potwierdził: - *Istotnie, śledztwo zostało prawomocnie umorzone. Uzasadnienie postanowienia o umorzeniu jest tajne, więc nic więcej nie mogę panu wyjawić...*

Nie poznamy zatem odpowiedzi na najbardziej frapujące pytanie: dlaczego prokuratura nie wszczęła w tej sprawie śledztwa przeciwko samemu Lechowi Wałęsie? Mało tego: dlaczego go w ogóle nie przesłuchała? A przypomnijmy, że Wałęsa w 1999 roku był od czterech lat (i nadal pozostaje) - pod względem prawnym - zwykłym obywatelem, nie chronionym przez żaden immunitet.

Jedyną osobą w państwie, ustawowo upoważnioną do nakazania wznowienia prawomocnie umorzonego śledztwa, jest prokurator generalny. Obecnie urząd ten sprawuje Lech Kaczyński. Czy podejmie on taką decyzję?

Sędzia Paweł Rysiński (przewodniczący składu orzekającego sądu lustrującego Lecha Wałęsę): *Nie ma żadnego dowodu, który potwierdzałby fakt współpracy Lecha Wałęsy z byłą SB jako tajnego współpracownika o pseudonimie „Bolek", lub też podawał by w wątpliwość prawdziwość złożonego przez pana Lecha Wałęsę oświadczenia lustracyjnego. Materiał dowodowy, który został przez sąd w tej sprawie zgromadzony, pozwala na graniczące z pewnością stwierdzenie, że najprawdopodobniej materiały oryginalne nigdy nie istniały.* („Gazeta Wyborcza" z 12/13 sierpnia 2000).

Marcin D. Zdort (w sprawozdaniu z procesu): *Zastępca rzecznika interesu publicznego Krzysztof Kauba domagał się przesłuchania jeszcze kilku świadków (osób biorących udział w 1992 roku w transporcie teczki „Bolka" z Gdańska do Warszawy), którzy znali treść dokumentów mających obciążać Wałęsę - m.in. Adama Hodysza* (oraz Wojciecha Nachiły i Krzysztofa Bolina - S.R.). *Sąd jednak odrzucił ten wniosek, twierdząc, iż owi świadkowie nie wniosą do sprawy nic nowego* („Rzeczpospolita" z 12/13 sierpnia 2000).

Wypadałoby w tym miejscu spytać sędziego Rysińskiego, na jakiej to mianowicie rzeczowej podstawie oparł swą niezłomną wiarę, że ludzie,

którzy widzieli oryginały dokumentów „Bolka", nie wniosą do sprawy niczego nowego? Czy dowód z zeznań świadka (więcej: kilku świadków! jeszcze więcej: świadków tak „oczywiście ważnych", że bardziej być nie może!!!) jest dla sędziego Rysińskiego *a priori* niewiarygodny? Dlaczego sędzia Rysiński chętnie słuchał, co mają do powiedzenia wierni Wałęsie do końca dawni funkcjonariusze SB (obecny generał G. Czempiński i dawny podporucznik A. Żaczek), odmówił zaś poświęcenia choćby chwili uwagi „naocznym" relacjom legendarnego Adama Hodysza, który ubytek w tajnych dokumentach wykrył i którego Wałęsa wyrzucił z pracy? Dlaczego sąd nie przesłuchał ministra Andrzeja Milczanowskiego, który polecił przekazać Wałęsie teczkę „Bolka" oraz szefa UOP Jerzego Koniecznego, który to polecenie osobiście wykonał?

Czemu wreszcie sąd nie wezwał na rozprawę współautora odczytanego na niej, poruszającego dokumentu SB z 1985 roku, starszego inspektora Wydziału II Biura Studiów SB, mjr. A. Stylińskiego? Czemu nawet nie próbował ustalić, czy ów „koronny" świadek żyje?

Opinia publiczna powinna poznać tajemnicze motywy zaskakującego postanowienia sądu o zakneblowaniu, przepraszam, o pominięciu w procesie kluczowych, wydawałoby się, świadków. Chyba w tej sprawie sędzia Rysiński osobiście nie ma nic do ukrycia?

Piotr Semka w felietonie „Sierpniowe *deja vu*": *Gdy upadł komunizm, po paru latach zachłystnięcia się wolnością zauważyłem ze zdumieniem nowy, nie znany mi wcześniej gatunek dziennikarzy. Dziennikarzy, których absolutnie nie interesowało, jak było naprawdę. To nieprzyjemne wrażenie wróciło, gdy przeglądałem sprawozdania z werdyktu sądu lustracyjnego. Jak wynikało z gazet, nikt nie pytał Lecha Wałęsy o okoliczności wypożyczenia przezeń akt „Bolka" i zniknięcia dużej liczby dokumentów. Ani sąd, ani prasa nie pytały byłego prezydenta, czy ma jakiekolwiek akta na swój temat. Nikt nie zapytał Wałęsy, co podpisał w 1970 roku.*

Nikt wreszcie nie zanalizował dokumentu z 1985 roku, w którym jak byk znajduje się stwierdzenie, że Wałęsa to „Bolek", a następnie zaznaczające: ostatnie doniesienie „Bolka" pochodziło z 1970 roku (ewidentna pomyłka: chodzi o rok 1976! - SR). *Jako publicysta nie potrafię nie zauważyć, że sąd opierał się na zeznaniach jedynej osoby, której autorytet sprawowanego przez nią urzędu posłużył do wyniesienia z archiwów swoich akt i zniknięcia ich części.* („Życie" z 18 sierpnia 2000).

Niżej znajduje się odredakcyjny dopisek: *Prezentowane przez autora stanowisko radykalnie odbiega od stanowiska redakcji. Jutro polemika Roberta Krasowskiego.* Można na marginesie spytać, co to znaczy stanowisko

redakcji w takiej sprawie? Uchwala się je przez głosowanie, czy jak? No, ale zobaczmy, jakie kontrargumenty przeciw redaktorowi Semce wytoczył redaktor Krasowski:

Robert Krasowski w felietonie „Koniec podejrzeń": *Komunikat Semki jest przejrzysty: sąd sądem, ale ja swoje wiem. Wyznam, że w ustach zwolennika lustracji ta logika mnie oburza. Przecież przez lata domagając się lustracji dowodziliśmy, że tylko jej brak podtrzymuje lustracyjne spekulacje. I dziś musimy dotrzymać słowa. Jest wyrok sądu, sprawa zostaje zamknięta.*

Cenię Semkę i daleki jestem od lekceważenia jego rozterek. Jednak łamie on oczywiste ustalenia. Otóż to przeciwnicy lustracji kontestują orzeczenia Sądu Lustracyjnego, a zwolennicy okazują im szacunek. Oczywiście każdy może mieć wątpliwości, ale nie powinien się nimi publicznie dzielić. Chyba że ma dowody. Ale wtedy niech je przedstawi. I nie Czytelnikom, ale Sądowi Lustracyjnemu („Życie" z 19/20 sierpnia 2000).

Mam za sobą już ponad 50 lat życia (w tym ponad ćwierć wieku w dziennikarskim zawodzie) i myślałem, że mnie już nic nie zdziwi - a jednak. Okazuje się, że można się spierać nie podejmując sporu! Mało tego: jeden dziennikarz poucza drugiego, aby ten swoimi logicznymi i faktograficznie uzasadnionymi wątpliwościami broń Boże nie dzielił się z czytelnikiem, lecz złożył donos wymiarowi sprawiedliwości!

Przecie żaden z faktów przytoczonych przez Semkę i żadne z wysuniętych przez niego zastrzeżeń nie zostało przez Krasowskiego w najmniejszym stopniu zakwestionowane. Mimo to Krasowski zarzuca swemu adwersarzowi, że *łamie on oczywiste ustalenia*. O jakich ustaleniach mowa? Kto je poczynił? Czy redaktor Krasowski wierzy w nieomylność sądów tak jak katolicy wierzą w nieomylność papieża? Czy redaktor Krasowski słyszał o II instancji Sądu Lustracyjnego? A o instytucji kasacji? A czy zdaje sobie sprawę, że Piotr Semka nie ujawnił Czytelnikom niczego nowego, tylko - jak rasowy dziennikarz - w odpowiednim momencie przypomniał (*scripta manent*) stare medialne wiadomości o kluczowym merytorycznym znaczeniu?

I wreszcie: czy Robert Krasowski nie rozumie, że - ze względu na przytoczone okoliczności - sprawa lustracji Wałęsy (tylko i wyłącznie Wałęsy!) zasadniczo, fundamentalnie i kardynalnie różni się od lustracji kogokolwiek innego?

A może to ja, Stanisław Remuszko, mam do Wałęsy jakieś prywatne uprzedzenia, może jestem w powyższych refleksjach odosobniony? Tak? To popatrzmy, co w tej samej gazecie można było przeczytać tydzień później:

Przegląd prasy „Po wyroku na Lecha Wałęsę (komentarze prawicowych tytułów)": **Monika Rotulska, „Nasz Dziennik"** - *Wiele się tu nie zgadza. Jeśli kiedyś miałam jakieś wątpliwości, to proces jeszcze je pogłębił.* **Piotr Bączek, „Głos"** - *W tychże właśnie dokumentach, na które powołują się obrońcy Wałęsy, zawarte jest wyraźne stwierdzenie, że TW „Bolek" to Lech Wałęsa i że chodzi tu o przedłużenie współpracy. Te same dokumenty raz więc są uważane za wiarygodne, a raz za niewiarygodne?* **Piotr Zaremba, „Nowe Państwo"** - *Czy znamy inny kraj demokratyczny, gdzie prezydent wyjąłby z własnej teczki tajne dokumenty, a nikt nie miał ochoty go o to zapytać?* („Życie" z 25 sierpnia 2000).

I obok znamienny głos profesora **Bogusława Wolniewicza** (list do redakcji): *Sąd lustracyjny nie tylko nie wyjaśnił, ale nawet nie podjął okoliczności dla p. Wałęsy najbardziej obciążającej: „wypożyczenia" przez jego prezydencką kancelarię tzw. akt „Bolka" i zwrotu potem tych akt w stanie zdekompletowanym. Replika waszej Redakcji jest niezadowalająca i wyraźnie tendencyjna. „Jest wyrok sądu, sprawa zostaje zamknięta", a to, że „sąd czegoś tam nie sprawdził, czegoś nie uwzględnił", nie ma jakoby większego znaczenia. Otóż ma, i to duże, bo rzecz dotyczy nie „czegoś tam", lecz głównej okoliczności obciążającej.*

Wyrok Sądu Lustracyjnego, który taką okoliczność pomija, nie tylko nie zamyka sprawy p. Wałęsy, ale, co gorsza, otwiera sprawę nową: bezstronności i rzetelności samego tego sądu.

Moim (Stanisława Remuszki) zdaniem chyba było tak. Lech Wałęsa, jako dwudziestolatek, został przez bezpiekę w ten czy inny sposób nakłoniony do tajnej kolaboracji. Kilka lat później znalazł jednak w sobie dość siły, by tę współpracę zerwać, a przez następne kilkanaście lat z nadwyżką odkupił ów polityczny „grzech młodości". Potem, już jako głowa państwa, wykorzystał to najwyższe stanowisko do zatarcia śladów własnej agenturalnej przeszłości. Udało mu się to całkiem nieźle, ale pozostawił z kolei nazbyt wiele nazbyt oczywistych śladów owego zacierania.

Dlaczego tak brzydko postąpił jako prezydent? Dlaczego ukrywa prawdę również dziś? Dlaczego, tyle uczyniwszy dla Polski, nie potrafi przyznać się do błędu sprzed ćwierć wieku? Są to pytania do psychologów i spowiedników oraz przyjaciół i hagiografów Wałęsy, przede wszystkim zaś - do niego samego. Natomiast sędziów, prokuratorów i obywateli demokratycznego państwa obowiązują ustawy. W tym - ustawa lustracyjna. Podlegają jej wszyscy kandydaci na prezydenta Rzeczypospolitej. Także legendarny przywódca „Solidarności", człowiek-symbol, Lech Wałęsa.

Sierpniowy komunikat Centrum Badania Opinii Społecznej: Reprezentatywnej próbie 1036 Polaków zadano pytanie, co powinno się stać, *jeśli jakiegoś wysokiego urzędnika państwowego lub posła podejrzewa się o kłamstwo lustracyjne, czyli zatajenie współpracy z tajnymi służbami PRL*? Aż 92% ankietowanych odparło, że ludzie tacy powinni odejść ze stanowiska (55% – że po prawomocnym wyroku sądu, a 37% – że już wtedy, gdy stawia się im sam zarzut kłamstwa).

Polacy znani są z tego, że chętnie wybaczają. Nie trzeba padać na kolana, wystarczy po prostu przyznać się do winy i powiedzieć zwykłe „przepraszam". Ale moi rodacy, z czego jestem bardzo dumny, organicznie nie cierpią kłamstwa (zwłaszcza u osób, którym zaufali). Czemu? Pewnie dlatego, że nad inne wartości przedkładają tę elementarną: prawdę.

Termin złożenia apelacji w sprawie Wałęsy upływa 5 września 2000. Co zrobi Rzecznik Interesu Publicznego? (31-VIII-2000)

Stanisław Remuszko

* * *

Mimo chwalebnej powściągliwości prokuratora Goszczyńskiego, udało mi się dotrzeć do tajnych akt tamtej sprawy (sygn. V Ds 177/96), i jest w nich (reprodukowane obok) postanowienie prokuratora warszawskiej prokuratury wojewódzkiej pani mgr. Małgorzaty Nowak z 28-XI-1996, które tu skrótowo zacytuję w najistotniejszym fragmencie: *...po rozpoznaniu zawiadomienia szefa UOP* [Andrzeja Kapkowskiego – S.R.] *z 28-X-1996 nr Z-01472/I/96 – na podstawie art. 257 § 1 kpk postanawia wszcząć śledztwo w sprawie przekroczenia uprawnień oraz niedopełnienia obowiązków przez funkcjonariuszy MSW oraz UOP polegających na przekazywaniu w latach 1992–1994 Prezydentowi RP dokumentów tajnych specjalnego znaczenia dotyczących jego osoby w sposób sprzeczny z przepisami, co doprowadziło do usunięcia tych dokumentów z dyspozycji właściwych organów Państwa* (...) Po otwarciu zwróconych do UOP materiałów stwierdzono brak dokumentów znajdujących się w teczkach od nr I do XII.

Śledztwo to pod rządami AWS zostało ostatecznie umorzone, a w uzasadnieniu można przeczytać, iż nie da się przedstawić zarzutów ze względu na chroniący Lecha Wałęsę... immunitet prezydencki!

[Notabene, bracia Kaczyńscy braćmi Kaczyńskimi, IV Rzeczpospolita IV Rzeczpospolitą, ale ktoś wciąż ma długie ręce, skoro w.w. akta sprawy, które przez lata spokojnie leżały w archiwum, gdy tylko zacząłem (8-III-2006) oficjalnie starać się o dostęp do nich - w nagłym trybie zostały zabrane z warszawskiej Prokuratury Okręgowej do Prokuratury Krajowej (4-IV-2006). Przedziwnym zbiegiem okoliczności, akurat w tym samym czasie rozpoczął się spektakularny proces, który Lech Wałesa wytoczył Krzysztofowi Wyszkowskiemu za to, iż ten publicznie nazwał go "Bolkiem"...]

Sygn. akt V Ds. 177/96

POSTANOWIENIE
O WSZCZĘCIU ŚLEDZTWA

Dnia 28 listopada 1996 r.

Małgorzata Nowak - prokurator
(imię, nazwisko i stanowisko)

Prokuratury Wojewódzkiej w Warszawie

po rozpoznaniu zawiadomienia Szefa Urzędu Ochrony Państwa

z dnia 28.10.1996 r. nr Z-01472|I|96

na podstawie art. 257 § 1 kpk.

postanowił

wszcząć śledztwo w sprawie przekroczenia w latach 1992-1994 w Warszawie uprawnień oraz niedopełnienia obowiązków służbowych przez funkcjonariuszy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych oraz Urzędu Ochrony Państwa, polegających na przekazywaniu w latach 1992-1994 Prezydentowi Rzeczypospolitej Polskiej dokumentów tajnych specjalnego znaczenia, dotyczących jego osoby w sposób sprzeczny z przepisami o obiegu tych ~~tj. o przestępstwo z art.~~ dokumentów, co doprowadziło do ich usunięcia z dyspozycji właściwych organów Państwa

popełnione na szkodę

tj. o przestępstwo z art.246 §1 kk oraz art. 268 kk

UZASADNIENIE

W dniu 28 października 1996 r. do Prokuratury Wojewódzkiej w Warszawie wpłynęło doniesienie Szefa Urzędu Ochrony Państwa nr Z-01472|I|96 w sprawie stwierdzenia w archiwum Urzędu Ochrony Państwa

braku dokumentów dotyczących Lecha Wałęsy wytworzonych przez b.Służbę Bezpieczeństwa.
Na podstawie nadesłanych materiałów wynika, iż w latach 1992-1994 powyższe dokumenty były wypożyczane ówczesnemu Prezydentowi Rzeczypospolitej Polskiej- Lechowi Wałęsie. Po otwarciu zdeponowanych w UOP dokumentów stwierdzono brak dokumentów znajdujących się w teczkach od nr I do XII.

Z uwagi na powyższe zachodzi uzasadnione podejrzenie zaistnienia przestępstwa z art.245 § 1 kk oraz art.268 kk.
Z tych względów postanawiam jak na wstępie.

P R O K U R A T O R
Prokuratury Wojewódzkiej
mgr Małgorzata Nowak

Zarządzenie:

....

....

....

....

Zawiadomić o wszczęciu śledztwa składającego zawiadomienie o przestępstwie*) ....

....

....
(podpis)

*) niepotrzebne skreślić

* * *

List do RIP

Wielce Szanowny Panie Sędzio,

Właśnie kończę pisać spory artykuł na temat ewentualnej agenturalności Lecha Wałęsy w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia, bardzo starałem się zachować bezstronność i rzetelność, zrobiłem porządną kwerendę faktograficzno-dokumentalną, i byłbym wielce rad, gdybym mógł dostać odpowiedź na jedno jedyne pytanie, które mi publicystycznie zostało: **czemu w 2000. roku Rzecznik Interesu Publicznego nie apelował od wyroku pierwszej instancji sądu lustracyjnego (sędzia przewodniczący Paweł Rysiński)**?

Może po prostu był Pan pewien, że jest to wyrok słuszny? Może miał Pan podejrzenia, ale nie potrafił ich Pan przełożyć na materiał dowodowy? Może uznał Pan, że nie zawsze należy działać tylko i wyłącznie w imię bezdusznej prawdy, ponieważ obok niej istnieją jeszcze inne wielkie wartości? A może z jakiegoś innego powodu?

Bardzo proszę, aby powyższych czysto teoretycznych spekulacji nie traktował Pan Sędzia jako sugestię czegokolwiek. Ja tylko zwyczajnie pytam.

Czuję się w elementarnym obowiązku dziennikarskim (i towarzyskim!) wysłać niniejszy list naraz do obu Dostojnych Panów Sędziów: Rzecznika i jego Zastępcy. Jestem do dyspozycji pocztowej, osobistej i telefonicznej. Pozdrawiam serdecznie i z głębokim respektem (16.03.06)

Stanisław Remuszko

* * *

Wstukuję na żywo, ze świeżej pamięci – żeby nie zapomnieć (choć w trakcie rozmów robiłem również odręczne notatki). Wczoraj (20-III-2006 ok. 10.00) wyczerpująca telefoniczna rozmowa z sędzią Bogusławem Nizieńskim, dziś o podobnej porze z sędzią Krzysztofem Kaubą, który jako zastępca RIP prowadził tamtą sprawę.

Obaj sędziowie „zeznali" zgodnie: zasadniczym powodem niezłożenia apelacji była chęć przestrzegania prawa. Jakiego prawa? Ano, samej Konstytucji. Gdyby bowiem apelacja została złożona i gdyby Sąd Lustracyjny ją uwzględnił, to musiałby wyrok I instancji uchylić i przekazać do powtórnego rozpoznania. Z nieubłaganą pewnością nie dałoby się tego zrobić w terminach wyborczych – więc tym samym RIP uniemożliwiłby obywatelowi Wałęsie

Lechowi skorzystanie z biernego prawa wyborczego. Taka postawa RIP byłaby – zdaniem sędziów - nie do pogodzenia z Konstytucją, zwłaszcza jej artykułem 2 (RP jest państwem prawnym). Byłaby wręcz naruszeniem Konstytucji.

Ustawa lustracyjna - mówili dalej sędziowie - nakazuje wyczerpanie wszystkich dowodów. Ale tych dowodów nie było, ponieważ sąd I instancji odrzucił wnioski dowodowe (m.in. o przesłuchanie majora Adama Hodysza). Wtedy RIP złożył kolejny wniosek: o umorzenie sprawy z art. 22. ust. 2 zdanie 2, czyli bez orzekania, czy lustrowany był agentem, czy nie był. Sąd tego też nie uwzględnił i wydał wyrok, że oświadczenie Wałęsy jest zgodne z prawdą.

Pytałem, czemu w takim razie nie ograniczono apelacji do powtórnego złożenia wniosku z 22/2/2. Pan sędzia Kauba odparł, że owszem, można to było zrobić, ale byłaby to sztuka dla sztuki, bo przeciętny obywatel nie dostrzega tych subtelnych różnic (z jakiego powodu sprawa zostaje umorzona).

Tyle obaj sędziowie.

Na mój obywatelski rozum to nie są twarde prawne powody-argumenty, lecz ich pozór, surogat, substytut, czyli namiastka. Uważam, że – skoro w okresie między składaniem przez RIP wniosków podczas rozprawy pierwszoinstancyjnej a terminem wniesienia apelacji NIC nie zmieniło się merytorycznie – apelacja bezwzględnie powinna zostać złożona. O resztę, czyli o ewentualne skutki tego kroku, mógłby martwić się Sąd Lustracyjny, Sąd Najwyższy, Państwowa Komisja Wyborcza, Trybunał Konstytucyjny, ewentualnie parlament – tylko nie Rzecznik Interesu Publicznego. Tak ja, Stanisław Remuszko, pojmuję logikę i prawo.(21.03.06)

* * *

Niedługo potem miałem okazję rozmawiać z wybitnym warszawskim adwokatem (wcześniej wyjawił mi, że uważa się za narodowca). Gdy zrelacjonowałem mu stan moich dociekań, mecenas spytał: - *I po cóż pan grzebie w tym wszystkim?* Odparłem z wiarą - *Szukam prawdy. Ona nas wyzwoli.* Lecz mecenas rzekł surowo: - *Bez przesady, panie Stanisławie, bez przesady. Nie wszystko z Pisma trzeba brać dosłownie. Cóż jest prawda? Przecie prócz prawd materialnych istnieją prawdy świętej wiary, a także prawdy narodowe, jest Bóg, Honor i Ojczyzna, jest też pełna złotych legend Tradycja i dla milionów rodaków są to wartości tak ważne, jak polskie Barwy albo Hymn. Lud chce widzieć w Wałęsie swego Króla Lecha, i to, czy ćwierć wieku temu patriotycznie skoczył przez płot, czy też został agenturalnie przywieziony motorówką, dla tych milionowych rzesz nie ma już żadnego znaczenia. Powiedzmy, że udowodnisz pan czarno na białym, że z Wałęsą było inaczej. I co? I nic. Pańska prywatna prawda tylko osłabi moc Narodowego Ducha. Dlatego jako szczery Polak radzę: lepiej niech zostanie, jak jest...*

Rozmowa z generałem Czesławem Kiszczakiem
(sierpień 2006)

• Średnie i starsze pokolenie Polaków oczywiście dobrze wie, kim Pan jest, a zwłaszcza kim Pan był. Ludziom młodym wyjaśnię, że - z punktu widzenia najnowszej historii Polski - generał broni Czesław Kiszczak jest jednym z głównych architektów obecnej Trzeciej Rzeczpospolitej, czyli tego państwa, w które w 1989 i 1990 roku przekształciła się Polska Rzeczpospolita Ludowa. Dzień dobry Panu.

- Dzień dobry, panie redaktorze. Dziękuję za tak postawione pytanie, które jest jednocześnie oceną mojej osoby i moich dokonań. Negowanie tego, co robiłem dla Polski i Polaków, po siedemnastu latach spowodowało, że wielu ludzi nie pamięta mojej roli w dokonaniu transformacji ustrojowej. Ale też wielu ludzi „solidnie popracowało", ażeby o mnie zapomniano. Śmieszyły mnie zdjęcia z obrad Okrągłego Stołu, na których Wałęsa konferował wyłącznie z Geremkiem albo Kwaśniewski z Mazowieckim. Może Kiszczaka tam w ogóle nie było?

Trochę czytam historycznej literatury i znam ludzkie zachowania w przełomowych czasach. W Polsce po 1989 roku po stronie rządowej obrodzili reformatorzy i ojcowie Okrągłego Stołu, po stronie zaś opozycji obficie posiało wszelkiej maści kombatantami, z szerokimi piersiami pod ordery.

• Pan nigdy nie narzucał się mediom, ale od dłuższego czasu w mediach w ogóle Pana nie widać i nie słychać. Media nie chcą z Panem rozmawiać czy Pan nie chce rozmawiać z mediami?

- Media może by i chciały, ale ja nie bardzo mam ochotę. Istotą współczesnego dziennikarstwa jest pogoń za sensacją. To się liczy, za to płacą. Przy obecnej wrzawie lustracyjnej, przy ujawnianiu agentury, większość pytań dotyczyłaby kwestii, kim jest „Bolek" lub „Lolek", jak pozyskano „Delegata" czy innego „Skrzata". Na takie pytania nikt nigdy żadnej odpowiedzi ode mnie nie usłyszy.

Może mi pan zarzucić, że jestem w tych sprawach niekonsekwentny, że latem 1991 wspólnie z dwoma krakowskimi dziennikarzami Witoldem Beresiem i Jerzym Skoczylasem napisałem książkę pt. "Generał Kiszczak mówi prawie wszystko". Tak, napisałem, ale są to opowiastki, które nikomu nie szkodzą, nikogo nie kompromitują, a u podłoża leżał brak środka lokomocji. Premier Tadeusz Mazowiecki przydzielił mi samochód z kierowcą do końca życia. Następny szef rządu, Krzysztof Bielecki, samochód mi zabrał. Wtedy wziąłem się za wspomnianą książkę. Sprzedała się w bardzo dużym nakładzie. Wystarczyło na skromny samochód i na chleb na wiele lat.

• Pan i ja pochodzimy z zupełnie innych obozów politycznych, mamy całkiem odmienne ideowe korzenie i życiorysy. Jednak chciałbym, abyśmy - na użytek tego wywiadu - przyjęli podobny punkt widzenia: historyczny dystans, głębszy oddech, życiową refleksję. Proszę, niech Pan powie, ale tak z ręką na sercu: czy przed siedemnastu laty miał Pan pojęcie, dokąd zaprowadzi Okrągły Stół?

- Zanim odpowiem, poczynię uwagę, że pan, wyciągając mnie na takie zwierzenia, wie o mnie, jako osobie publicznej, prawie wszystko, a ja o panu nie wiem nic. Znam pana nazwisko, znam pańską przeuroczą małżonkę i nic poza tym. Znam pana od piętnastu lat, a nic o panu nie wiem. Poza jednym: budzi pan zaufanie. Przypuszczam, że jest pan dobrym człowiekiem.

Przygotowując rozmowy z opozycją, wiedziałem, że współtworzę nową historię, że wypuszczam przysłowiowego dżina z butelki, do której nikt go już więcej nie wsadzi. Wiedziałem, że Polska po tych rozmowach będzie inna, na pewno lepsza.

W drugiej połowie lat osiemdziesiątych nikt w Polsce, nikt na świecie, w najmądrzejszych ośrodkach naukowo-badawczych, nie zakładał, że komunizm w Polsce, w Europie Środkowo-Wschodniej i w Związku Radzieckim upadnie. Organizując Okrągły Stół, wszyscy wchodziliśmy na teren nieznany.

Moim zamiarem było ucywilizowanie polskiej sceny politycznej. Zaproponowałem opozycji współrządzenie krajem, 161 miejsc poselskich, reformy gospodarcze i polityczne, półwolne wybory do parlamentu. Przez cztery lata opozycja miała uczyć się rządzenia a w 1993 r. miały się odbyć w pełni demokratyczne wybory i krajem miał rządzić ten, kto je wygra. Dałem opozycji więcej niż chciała.

Oczywiście wówczas nawet mi w głowie nie zaświtało, że - w dalszym następstwie tych przeobrażeń - Polska wejdzie do struktur europejskich i do NATO.

• Panie Generale, wciąż żyjemy w Trzeciej Rzeczpospolitej, ale bracia Kaczyńscy konsekwentnie budują Czwartą. Czy im się uda?

- Z panem Lechem Kaczyńskim współpracowałem dość długo w Magdalence w dochodzeniu do Okrągłego Stołu i potem przy tym meblu. Pamiętam go z dobrej strony, jako spokojnego i rzeczowego mediatora. Z panem Jarosławem zapoznał mnie jego brat Lech. Błysnął wówczas autentycznym, zdrowym politycznym humorem.

Zdecydowana większość planów i zamiarów braci Kaczyńskich odnośnie budowy IV Rzeczypospolitej wielu ludziom odpowiada. Świadczą o tym wyniki wyborów do parlamentu, wybory prezydenckie i aktualne notowania. Jeżeli zachowają umiar i rozsądek, to wróżę im powodzenie.

• Jest Pan dziś jedynym żyjącym na świecie człowiekiem, który kierował, oczywiście w różnych latach, wszystkimi czterema podstawowymi służbami specjalnymi państwa: wojskowym i cywilnym wywiadem oraz wojskowym i cywilnym kontrwywiadem. Można wobec tego przypuszczać, iż ma Pan wyjątkowo dobrą i zasobną pamięć.

- To prawda. Jeśli do wymienionych funkcji dodać kierowanie Służbą Bezpieczeństwa i Techniką Operacyjną, dowodzenie Wojskami Ochrony Pogranicza z ich własnym wywiadem i kontrwywiadem, Nadwiślańskimi Jednostkami Wojskowymi z kontrwywiadem, rozległym Biurem Ochrony Rządu, ochroną przemysłu, strażą pożarną, strażą bankową, stutysięczną milicją z własnymi organami rozpoznania itp. - to faktycznie, moja władza i wiedza była rozległa. Aha, byłem jeszcze szefem wpływowego Komitetu Rady Ministrów d/s Przestrzegania Prawa, co dawało mi możliwości ingerowania w sprawy sięgające daleko poza resort.

Niedawno czytałem wywiad z panem wicepremierem Ludwikiem Dornem. Z niejakim smutkiem - takie mam wrażenie - stwierdził on, iż ostatnim poprzednim ministrem spraw wewnętrznych, który naprawdę kierował resortem, był generał Kiszczak.

Pyta pan o zasobność mojej pamięci. Z tym bywa różnie. Choroby i wiek ją nadwyrężają. Czasem muszę pomęczyć głowę, żeby sobie jakiś szczegół przypomnieć. Żona i bliscy mi ludzie twierdzą, że nie jest ze mną najgorzej. Jeżeli nie mówią tego przez grzeczność, to się cieszę.

• Piętnaście lat temu spotkaliśmy się w szlafrokach pod pracownią EKG w anińskim Instytucie Kardiologii. Rozmawiałem wtedy z Panem pierwszy raz w życiu i opowiedział mi Pan, jak trafił Pana zawał, gdy wracał Pan samotnie samochodem z Katowic, z pogrzebu generała Gruby. Jak teraz u Pana ze zdrowiem?

- Pamiętam tamto spotkanie z panem! Pamiętam też, że w szpitalu odwiedził mnie wówczas Adam Michnik, który wobec mnie zachował się i nadal zachowuje bardzo porządnie.

No cóż, po tamtym zawale wiele razy leżałem w różnych klinikach. Przeszedłem dwa udary mózgu, w wyniku czego utraciłem słuch w jednym uchu, czasami mam zaburzenia pamięci. Niedawno wszczepiono mi również rozrusznik serca. Mimo tego prowadzę żołnierski tryb życia, dużo się ruszam, i na złość wrogom jeszcze żyję.

• Panie Generale, dlaczego został wprowadzony stan wojenny?

- Po blisko półtorarocznych strajkach, gospodarka kraju była bliska ruinie. Gwałtownie spadała produkcja dóbr rynkowych i przemysłowych, bardzo niebezpiecznie zwiększał się wypływ pieniędzy bez pokrycia. Sklepy

były puste, magazyny opróżnione, a opozycja oskarżała władze że ukrywają towary. Organizowano marsze głodnych puszystych pań. Kraje socjalistyczne usztywniły swoje stanowisko w sprawie handlu z Polską. Związek Radziecki jesienią 1981 roku zapowiedział radykalne zmniejszenie dostaw ropy naftowej i gazu do Polski, co przy spadku wydobycia węgla o 38 milionów ton, przy mroźnej zimie, groziło Polsce klęską biologiczną. Rozchwiała się dyscyplina społeczna, gwałtownie rosła przestępczość i malała wykrywalność.

Historia nie zna takiego przypadku, aby duży europejski kraj przez półtora roku był targany nieustannymi strajkami z powodu i bez powodu, aby walka polityczna odbywała się w zakładach pracy, aby nagminnie łamano prawo, a anarchia nasilała się i rozprzestrzeniała na niemal wszystkie dziedziny życia. Nawet gdyby nie było groźby wejścia wojsk Układu Warszawskiego, to postępujący gwałtownie rozpad państwa, ruina gospodarki i bierność władzy w pełni uzasadniały potrzebę wprowadzenia stanu wojennego.

Na 17 grudnia 1981 opozycja zaplanowała ogromny wiec w Warszawie i kilku innych miastach, co miało być sygnałem do siłowego przejęcia władzy. Wcześniej spowodowano atak na Wyższą Szkołę Pożarniczą podległą MSW, docierano do jednostek wojskowych, namawiając do nieposłuszeństwa. Gdy zatrzymano pracownika Generalnej Prokuratury za wyniesienie tajnych dokumentów, "Solidarność" zagroziła w jego obronie ogólnokrajowym strajkiem generalnym. Zwolniono go. Odbiór tego faktu był jednoznaczny - wyprotestować w Polsce można wszystko.

Zarazem narastały różnorodne naciski sojuszników na Polskę. Polscy przywódcy nie byli w stanie określić, czy te naciski nie przerodzą się w interwencję. Czuliśmy, że są granice, których przekroczenie otworzy drogę do działań zbrojnych. Bardzo dobrze pamiętaliśmy o "braterskiej pomocy" w Berlinie i na Węgrzech, w Czechosłowacji i w Afganistanie.

Wprowadzenie stanu wojennego było zgodne z podpisanym przez Polskę "Międzynarodowym Paktem Praw Człowieka" i jego artykułem nr 4. Pakt ten dopuszcza wprowadzenie stanu wyjątkowego w takiej sytuacji, w jakiej była Polska pod koniec 1981 roku. Dopuszcza ograniczenie szeregu praw obywatelskich.

● **A obawa przed wojną domową?**

- Obawa przed wybuchem wojny domowej była bardzo realna. Mieliśmy na uwadze zwłaszcza doświadczenia Węgier, gdzie wojna domowa rozpoczęła się od pokojowej demonstracji nieuzbrojonego tłumu przed pomnikiem gen. Bema. Pamiętaliśmy o tragicznym żniwie w postaci tysięcy ofiar, o tysiącach uciekinierów, o gruzach Budapesztu. Pamiętaliśmy o późniejszych

rozprawach sądowych, o skazaniu na śmierć premiera Imre Nagy, generała Maletera i kolegów.

Mieliśmy własne doświadczenia, z Poznania 1956 roku, gdzie tłum szybko zdobył broń i doszło do tragedii. Nie zapomnieliśmy o wydarzeniach na Wybrzeżu w grudniu 1970 roku, gdzie strajkujący też mogli wejść w posiadanie broni, w tym ciężkiej.

Pamiętaliśmy o wojnie domowej w Hiszpanii, która spowodowała wielką liczbę zabitych i rannych. Zniszczono miasta, domy, fabryki i kościoły. W lecie 1936 roku zamordowano 13 biskupów, 4184 księży, 2365 zakonników i 283 zakonnice. Według opinii historyków, wojna domowa jest najgorszą z wojen. Poczucie krzywd przenosi się z pokolenia na pokolenie. Ja pamiętałem o elementach wojny domowej w Polsce w latach czterdziestych.

• Wróćmy do wspomnianych "sojuszniczych nacisków". Jakoś nie odnaleziono dotąd żadnych dokumentów, które wskazywałyby na plany radzieckiej interwencji pod koniec 1981 roku.

- Myli się pan. Znaleziono i opublikowano takie dokumenty na terenie byłej Czechosłowacji i NRD. A co się tyczy ZSRR, to do interwencji w Polsce z całą pewnością przygotowywały się wydzielone siły Armii Radzieckiej, szczególnie Północna Grupa Wojsk w Legnicy, a także wyspecjalizowane siły KGB. I choć rzeczywiście w Moskwie nie ujawniono na ten temat żadnych archiwalnych materiałów, to jest wiele oficjalnych wypowiedzi wysokiej rangi generałów i oficerów radzieckich, którzy opisują, jak przygotowywano wojska do wejścia do Polski. Jak w przebraniu przyjeżdżali do Polski i rozpoznawali obiekty, które mieli opanować. Wielu wybitnych zachodnich polityków nie ma co do tego cienia wątpliwości. A na konferencji w Jachrance w dniach 8-10 listopada 1997 roku, poświęconej polskim wydarzeniom lat 1980-1982, służby USA ujawniły część swoich danych wywiadowczych, z których wynikało, że takie zagrożenie pod koniec 1981 roku było jak najbardziej realne.

• Dlaczego dekret Rady Państwa o wprowadzeniu stanu wojennego nosi datę 12 grudnia 1981, skoro głosowanie w tej sprawie odbyło się po godzinie pierwszej w nocy 13 grudnia?

- Żeby usankcjonować działania MSW i wojska, które rozpoczęły się nieco wcześniej. Artykuł 61 tego dekretu wyraźnie mówi, że obowiązuje on od chwili jego uchwalenia, czyli od 12 grudnia 1981.

• Kto podjął merytoryczną decyzję, którą potem Rada Państwa tylko formalnie zatwierdziła? Samotny generał Jaruzelski? Kto ponosi największą osobistą odpowiedzialność - przed Narodem i Historią - za to „mniejsze zło"?

- Tu się różnimy w ocenie stanu wojennego. W moim najgłębszym przekonaniu był to krok, który uratował Polskę przed kolejną tragedią narodową. Przed typowo polskim: "byle zacząć powstanie, a potem jakoś to będzie". Jakoś by było. Z tysiącami nieboszczyków.

Generał Jaruzelski sprawy związane z planowaniem stanu wojennego uzgadniał z wysokimi funkcjonariuszami Komitetu Centralnego PZPR: Mirosławem Milewskim, Stefanem Olszowskim, Kazimierzem Barcikowskim, z wicepremierem Mieczysławem Rakowskim i paroma innymi osobami. Kilka merytorycznych rozmów przeprowadził także z Przewodniczącym Rady Państwa profesorem Henrykiem Jabłońskim, uzyskując jego zapewnienie o uchwaleniu wprowadzenia stanu wojennego. Wiem na pewno o rozmowie w dniu 8 grudnia 1981; zakładam, że rozmawiali również 12 grudnia. Ja byłem zwolennikiem wprowadzenia stanu wojennego o jedną dobę wcześniej - nie z soboty na niedzielę, lecz z piątku na sobotę. Chodziło mi o to, ażeby przez weekend społeczeństwo miało więcej czasu na ochłonięcie.

Ostateczną merytoryczną decyzję o wprowadzeniu stanu wojennego podjęli w gabinecie prezesa Rady Ministrów czterej generałowie - szef rządu i zarazem minister Obrony Narodowej Wojciech Jaruzelski, szef Sztabu Generalnego WP Florian Siwicki, minister Spraw Wewnętrznych Czesław Kiszczak oraz szef Urzędu Rady Ministrów Michał Janiszewski. W sobotę 12 grudnia rano premier zarządził odprawę w tym gronie, na której przedstawiono krótkie rzeczowe informacje o sytuacji w partii i w państwie, w wojsku i w MSW, oraz wnioski. Wszyscy byliśmy zgodni, że dalej ciągnąć sprawy nie możemy, że trzeba wprowadzić stan wojenny. Postawiłem warunek, że MSW musi mieć zgodę najpóźniej do godziny drugiej po południu. Tyle czasu potrzeba mi było na uruchomienie działań 49 komend wojewódzkich MO i ogniw centralnych.

Około godziny 13.50 zadzwonił do mnie generał Jaruzelski, któremu zameldowałem o nie rokujących żadnych nadziei na porozumienie „wojennych" nastrojach w Stoczni Gdańskiej, gdzie obradowało najwyższe gremium "Solidarności". Jaruzelski zezwolił na rozpoczęcie akcji. Zaraz zatelefonował do generałów Siwickiego i Janiszewskiego oraz uruchomił działania na Radę Państwa.

• Czy ma Pan świadomość, że w grudniu 1981 roku uczestniczył Pan w - cytuję Instytut Pamięci Narodowej - „zorganizowanym związku przestępczym o charakterze zbrojnym"?

- To bzdura. Moje działania były w pełni zgodne z prawem, zgodne z Konstytucją. Mówienie, że stan wojenny był nielegalny jest nieporozumieniem.

Stan wojenny mogła wprowadzić wyłącznie Rada Państwa i wprowadziła go w oparciu o własne rozpoznanie stanu zagrożenia wewnętrznego i zewnętrznego. Każdy członek Rady głosował jak chciał. Ryszard Reiff był przeciwny, profesor Jan Szczepański wstrzymał się od głosu, pozostali byli za. Nieobecni podpisali się z własnej woli w dniach następnych, co miało już tylko znaczenie symboliczne.

Owszem, do uchwały o stanie wojennym nie było rozporządzeń wykonawczych. Uchwaliła je Rada Państwa, czego, według Konstytucji, czynić nie powinna. Z tego powodu Sejm w dniu 25 stycznia 1982 zatwierdził wszystkie te akty prawne Rady Państwa nie jakąś porządkową uchwałą, lecz specjalną ustawą. A dziewięć lat później Sąd Najwyższy - w wyroku z 27 września 1990 - dał wykładnię, że ściganie i karanie w oparciu o dekrety może mieć miejsce dopiero od daty ich ogłoszenia w Dzienniku Ustaw, a więc od 17 grudnia 1981. Dlatego też wiele wyroków anulowano

W latach dziewięćdziesiątych specjalna komisja sejmowa przez dwie kadencje badała zasadność wprowadzenia stanu wojennego. Gromadzono dokumenty w kraju i za granicą, słuchano świadków. Sejm uchwałą z 23 października 1996 orzekł w końcu, że wprowadzenie stanu wojennego było uzasadnione stanem wyższej konieczności. Członków Rady Państwa i byłych członków WRON od winy uwolnił. Nie ma żadnych nowych dowodów, które by uzasadniały podjęcie tej sprawy ponownie przez IPN. Powaga Sejmu oraz rzeczy osądzonych wymaga, ażeby te najwyższe decyzje-wyroki były szanowane.

• W 1981 roku zginęło dziewięciu górników w kopalni „Wujek", w roku 1982 w Nowej Hucie Bohdan Włosik, w Warszawie w 1983 roku Grzegorz Przemyk, a pod Włocławkiem w 1984 roku ksiądz Jerzy Popiełuszko. Dlaczego?

O tych tragediach napisano tysiące artykułów i dziesiątki książek. Niewiele można dodać.

Jedno dla mnie jest bezsporne: kierownictwo Ministerstwa Spraw Wewnętrznych nigdy nie dawało przyzwolenia bezprawnym działaniom. Przez dziewięć lat, kiedy byłem ministrem, nigdy i nikomu nie dałem zgody na użycie broni palnej, nawet gdy jej użycie było uzasadnione. Ponoszę prawną, moralną i polityczną odpowiedzialność za wszystko, co wtedy działo się w resorcie. Ale powtórzę: nigdy nie zezwoliłem na działania sprzeczne z prawem.

MSW, podobnie jak każdy "resort siłowy" w każdym państwie, z pewnością nie było instytucją świętą. Ale jest ono również oskarżane fałszywie - o zamordowanie w stanie wojennym przeszło stu osób. Takie oskarżenie padło z trybuny sejmowej i było badane przez słynną tzw. komisję Rokity. Zarzuty nie potwierdziły się. Kilka razy pisałem do Marszałka Sejmu, aby Prokurator

Generalny - też oficjalnie, z trybuny sejmowej - rozliczył ową setkę rzekomych zbrodni. I żeby rozliczył imiennie. Minęło wiele lat i żadnej odpowiedzi nie dostałem. A Marszałkowie Sejmu nadal te kłamstwa powtarzają.

• W 1982 roku umiera Breżniew, w 1984 Andropow, w 1985 Czernienko, i wtedy sekretarzem generalnym KC KPZR zostaje młody, zaledwie 54-letni Michaił Gorbaczow. Po dwunastu miesiącach dochodzi do katastrofy w Czarnobylu, w następnym roku na Placu Czerwonym ląduje awionetką niemiecki nastolatek Mathias Rust, a jeszcze rok później Sowieci zaczynają wycofywać się z Afganistanu. W tym samym 1988 roku w Polsce komunistyczne władze poważnie przymierzają się - z Pana osobistą kierowniczą rolą - do rozmów z opozycją. Dzięki komu Okrągły Stół stał się ciałem: dzięki Rosjanom czy Polakom?

- Nie chciałbym umniejszać roli i dokonań Michaiła Gorbaczowa, ale na początku był to klasyczny radziecki przywódca w starym stylu. Zainteresowanych odsyłam do jego wystąpienia na X Zjeździe PZPR w Warszawie w czerwcu 1986 roku.

Wbrew pana sugestii, nasze przymiarki do rozmów z opozycją nie zaczęły się pod koniec lat osiemdziesiątych. Już w połowie grudnia 1981 odbyłem długą koncyliacyjną rozmowę z wysłannikiem Episkopatu Polski, kardynałem Franciszkiem Macharskim. Wkrótce nawiązałem kontakty z arcybiskupem Bronisławem Dąbrowskim, z księdzem dyrektorem Alojzym Orszulikiem, z wieloma innymi biskupami i księżmi. Bardzo wcześnie zaproponowałem im rozmowy na temat uwolnienia więźniów politycznych. Uważałem, ze nie może być żadnego porozumienia z opozycją w sytuacji, kiedy ich koledzy przebywają w więzieniach. Bliscy sukcesu byliśmy na wiosnę 1984 roku w czasie rozmów w Chylicach z aresztowaną czołówką „Solidarności" i KPN oraz ich doradcami. Próba ta nie powiodła się wskutek nieustępliwej postawy Adama Michnika.

Zapewne mogłem "więcej, śmielej i dalej" - ale tak wydaje mi się dziś. Wtedy nie znałem granic, których przekroczyć nie mogę, choć miałem wrażenie, że się do nich niebezpiecznie zbliżam. Warunki wewnętrzne i zewnętrzne nie były sprzyjające. Bardzo pomagało mi zaufanie i wsparcie generała Jaruzelskiego.

Wreszcie, we wrześniu 1986 roku, po częściowej amnestii, na mój pisemny wniosek Prokurator Generalny podjął decyzję o niezwłocznym bezwarunkowym uwolnieniu wszystkich więźniów politycznych. Prócz tego, na moje polecenie, oficerowie MSW przeprowadzili jednego dnia około pięciu tysięcy rozmów z aktywistami „Solidarności", członkami podziemia, którym ujawniono wiedzę, jaką zebrano o ich nielegalnej działalności. Kilku aresztowanych za działalność na pograniczu terroru skierowaliśmy -

wspólnie z Kościołem i przedstawicielami opozycji (profesorem Wiesławem Chrzanowskim i mecenasem Janem Olszewskim) - "na leczenie" za granicę, z prawem powrotu do kraju. Publicznie oświadczyłem, że więcej nikogo w Polsce za działalność polityczną nie będziemy aresztować. Słowa dotrzymałem.

Ta inicjatywa była wyłącznie polska. W krajach socjalistycznych był to szok, tam więzienia były nadal pełne. Przypomnę, że Vaclava Havla skazano na kilka lat pozbawienia wolności w dniu otwarcia obrad naszego Okrągłego Stołu.

Polska była prekursorem zmian w całym obozie socjalistycznym. Jacek Kuroń twierdził, że Okrągły Stół to pokojowa nagroda Nobla. Profesor Mikołaj Kozakiewicz głosił zaś, że Okrągły Stół należy cenić wyżej od Konstytucji 3 Maja, która nie dała Polsce nic i była aktem spóźnionym.

● Potem szybko dzieją się istne cuda: powstaje „Gazeta Wyborcza", tworzy się rząd Mazowieckiego, wali się mur berliński, likwidacji ulega cenzura, rozwiązuje się PZPR, Rzeczpospolita odzyskuje dawną nazwę i orła w koronie, prezydentem zostaje Wałęsa, odbywają się wolne wybory do Sejmu i Senatu, wreszcie rozpada się Związek Radziecki - i wszystko to w ciągu zaledwie trzech lat 1989-1991...

- Istotnie polski zapalnik okrągłostołowy miał niesamowitą moc. Przemiany w innych krajach socjalistycznych potoczyły się lawinowo. I wszędzie spokojnie, no, poza Rumunią.

Wierzyliśmy, że Polska będzie inna, będzie lepsza - choć nikt nie wiedział, jak to się rozwinie, jak to się skończy. Nadto przez dłuższy czas nie było pewności, że te przeobrażenia są trwałe. Rząd Mazowieckiego-Balcerowicza obiecywał społeczeństwu zbyt wiele i to się nie spełniało. Pojawiła się tęsknota za PRL. Jednak przez cały rok prezydent Wojciech Jaruzelski, minister obrony Florian Siwicki i minister spraw wewnętrznych Czesław Kiszczak ochraniali ten kruchy rząd, którego szef tak łatwo przegrał wybory prezydenckie z nieznanym w Polsce człowiekiem - Stanem Tymińskim. Gdyby nie było naszego parasola, rząd ten najprawdopodobniej upadłby wcześniej.

Tęsknota za poprzednim systemem odżywała zresztą nie tylko w Polsce. W Związku Radzieckim w sierpniu 1991 roku próbowano zegar historii zatrzymać siłą, gdy wiceprezydent Janajew, minister obrony Jazow, szef KGB Kriuczkow i inni uwięzili Gorbaczowa, ogłosili w całym państwie stan wyjątkowy i wyprowadzili na ulicę czołgi. Ten pucz na szczęście się nie udał, ale do końca życia nie zapomnę bardzo nerwowych zachowań ówczesnego polskiego kierownictwa z prezydentem Wałęsą na czele, ich nagłych telefonów do mnie, do generała Jaruzelskiego - obu już emerytów. Obecni dekomunizatorzy w tamtych dramatycznych dniach siedzieli bardzo cichutko.

• W latach 1990-91 pojawiły się pierwsze konkretne pomysły dekomunizacyjne. Proponowano, aby kilku tysiącom czołowych prominentów PRL zakazać na jedną sejmową kadencję piastowania kilku tysięcy najważniejszych publicznych stanowisk w odradzającej się demokratycznej Rzeczpospolitej. Wskutek, nazwijmy to, oporu materii, zamierzeń tych nie udało się zrealizować. Czy dzisiaj, z perspektywy lat, ocenia Pan, że dobrze wówczas się stało?

- W latach 1989-1991 Polską rządzili spokojni umiarkowani politycy wywodzący się z "Solidarności". Oni zarazem głęboko "czuli" PRL. A tych czterdziestu pięciu lat życia nie da się wykreślić, ot tak, z historii Polski, z istnienia Narodu. To było prawie pół wieku aktywnej pracy i nauki. Co by mówić o PRL, o jej wypaczeniach i zbrodniach - historycznie był to okres korzystny dla Polski. Tylko taka Polska mogła uzyskać poparcie ZSRR i Stalina dla granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej. Tylko w tym systemie, w tej dyscyplinie społecznej, tak szybko można było odbudować kraj ze zniszczeń wojennych, zlikwidować analfabetyzm i wykształcić społeczeństwo, przeprowadzić elektryfikację i zbudować przemysł, wprowadzić powszechną opiekę zdrowotną, dać ludziom mieszkania i przywileje socjalne.

Na dodatek w Polsce nigdy nie było prawdziwego "komunizmu" czy "socjalizmu". Istniał silny Kościół, kilkaset tysięcy drobnych zakładów i rzemieślników, prywatne rolnictwo itd. Poza tym przecież to "komuniści" dobrowolnie przekazali opozycji władzę w 1989 roku, to dzięki głosom 65% „posłów rządowych" uchwalono reformy Balcerowicza i dano prawne podstawy do ustrojowych zmian w Polsce.

Dlatego wszelkie zamiary dekomunizacyjne uważałem i uważam za niesłuszne.

A już dekomunizacja siedemnaście lat po „obaleniu komunizmu", to czyste szaleństwo. Trzeba myśleć przede wszystkim o rozwoju Polski, o przyszłości. Jak długo można żyć przeszłością, rozdrapywać rany? Bierzmy przykład z Hiszpanii, z Grecji, z Nikaragui, gdzie po tragediach wojen domowych ich dzisiejsze społeczeństwa żyją zgodnie.

• Panie Generale, z małym i krótkim wyjątkiem rządu Jana Olszewskiego żaden następny gabinet w ciągu minionych siedemnastu lat nawet nie próbował ujawnić tajnych współpracowników UB i SB ani funkcjonariuszy tych służb. W Polsce tymczasem nastąpiła zmiana nie przywódcy i nie ekipy, lecz całego ustroju, i to zmiana jego kardynalnych zasad, najgłębszych państwowych fundamentów moralno-ideowo-politycznych. Taka zmiana, że większej i bardziej nieodwracalnej być nie może. Zmienił się też światowy układ sił. Czarne stało się białym, a białe

czarnym. Skoro tak, to w imię jakich wartości przez tyle lat chroniono brzydką agenturę i jej jeszcze brzydszych mocodawców?

- Rozumiem ten stan ducha i świeże emocje byłych opozycjonistów, których ze strony części tajnych współpracowników spotkały określone nieprzyjemności. To również dzięki agenturze opozycjoniści byli prześladowani, siedzieli w więzieniach. Ale, z drugiej strony, działacze opozycji świadomie naruszali ówczesne prawo. To prawda, historia im przyznała rację, oni są dziejowymi zwycięzcami. Ale ta dzisiejsza racja nie jest tożsama z ówczesnym prawem karnym. Niewinnych nikt nie represjonował.

W Trzeciej Rzeczpospolitej i w tworzącej się Czwartej tajnych współpracowników pozyskuje się w taki sam sposób, jak w PRL. Oni piszą takie same zobowiązania, donoszą na kolegów i przyjaciół, wskazują ich słabości, wsadzają do więzienia. Nic nowego pod słońcem. Wywiad, kontrwywiad, policja polityczna, to jeden z najstarszych zawodów na świecie. I czy nam się to podoba lub nie będzie istniał także w IV i w V Rzeczypospolitej.

Ale wszędzie i zawsze są to sprawy bardzo starannie chronione. Francuzi chronią nazwiska polskiej agentury z czasów rozbiorów. Anglicy nie ujawnili dokumentów dotyczących śmierci generała Sikorskiego, z czego wynika, że to nie NKWD go zamordowało. Ja rozumiem, że agentura może wielu estetom się nie podobać - ale bez niej żyć się nie da. Bez niej każde państwo będzie słabe i bezbronne. Wszystkie stare zachodnie wielkie demokracje mają policję, wywiady i kontrwywiady oparte o szeroko rozbudowaną agenturę.

Przypomnę też, że w zasadzie tajnych współpracowników pozyskiwano na motywach patriotycznych. Byli pozyskiwani dla Polski. Agentura wywiadu umożliwiła w PRL zbudowanie całych gałęzi narodowego przemysłu. Kontrwywiad naprawdę bronił Polski przed obcym wywiadem. Mówienie, że tajni współpracownicy, że służby specjalne były na usługach ZSRR, nie odnosi się do lat po 1956 roku.

● Tym razem mamy do czynienia z wyjątkowo silną determinacja i wolą polityczną. Nowelizując ustawę o Instytucie Pamięci Narodowej, zjednoczeni parlamentarzyści koalicji i opozycji uchwalili ją stosunkiem głosów 9:1...

- Społeczeństwo polskie jest cierpliwe, a nawet czasami rozbawione igrzyskami związanymi z próbami dekomunizacji i ujawnieniem „Beat" i „Bolków". Redaktor Wildstein ujawnił listę tajnych współpracowników, sądy lustrują, ludzie kłamią i nic się nie zmienia. Można jeszcze ujawnić kilkanaście tysięcy oficerów służb specjalnych, ale to niczego nie da, w niczym nie poprawi życia Polski i Polaków. Jaki to ma sens po siedemnastu latach - poza zabawą i zarobkami paru panów?

Każdy zawód ma swoją etykę. Wywiad i kontrwywiad także. Cieszę się, że moi koledzy podzielają taki pogląd i dochowują przyrzeczenia, które dawali tajnym współpracownikom, że nigdy ich nazwisk nie ujawnią. Przecież tych ludzi pozyskiwano do współpracy w imieniu Polski i dla Polski. Dla mnie od dłuższego już czasu nie miało znaczenia, jaki ta Polska ma przymiotnik. Odnoszę wrażenie, że dzisiaj nikt, w żadnym charakterze, nie ma prawa podważać jednego z filarów państwa polskiego, jakim są służby specjalne.

• Co dziś robi na co dzień człowiek, który przez wiele lat był jednym z najpotężniejszych ludzi PRL, a potem współtworzył III RP?

- Sam odsunąłem się od wszelkiej działalności zawodowej i społecznej. Nie przyjąłem dobrze płatnej synekury, którą mi proponował premier Mazowiecki. Czas spędzam w prokuraturach i w sądach, a ostatnio w prokuraturze IPN. W przerwach jestem bywalcem szpitali i lekarzy, i jakoś mi czas leci. Uważam, że to, co miałem zrobić dla Polski, już zrobiłem. Moje historyczne pięć minut mam za sobą. Staram się czytać, a książek zaległych jest sporo.

Do polityki się nie wtrącam, chociaż od niej nie uciekam. Spotykam się z moimi dawnymi kolegami-ministrami i stwierdzam, że jestem od niektórych lepiej przygotowany do życia bez adiutantów. Podobnie moja Żona, która w tym roku zaprzestała naukowo pracować na wyższej uczelni.

Dużo czasu spędzam w lesie na Mazurach. Zbieram jagody i grzyby. Z polowaniem musiałem się pożegnać ze względu na zdrowie. Żona dużo pływa. Odwiedzają nas córka i syn z mężem i żoną oraz troje przemiłych wnuków i wnuczka. Nie mam z nich wielkiej pociechy - na spacery chodzić nie chcą

• Wkrótce skończy Pan 82 lata. Czego można Panu życzyć?

- Postarza mnie pan, skończę „dopiero" 81 lat. W tym wieku jeden rok to duża różnica. Czego mi życzyć? Tylko zdrowia. I świętego spokoju.

• Panie Generale, bardzo dziękuję za tę rozmowę.

Rozmawiał
Stanisław Remuszko

Członek honorowy

Odpowiadam Maciejowi Wężowi ze środy 2 sierpnia 2006, 10:22

Teraz mogę powiedzieć tyle: Stefan Bratkowski to wielki i sławny publicysta, bardzo też zasłużony dla polskiej żurnalistyki, czego dowodem było przyznanie mu – przez aklamację – tytułu honorowego przewodniczącego SDP na naszym zjeździe po Okrągłym Stole, i pamiętam, że sam z przekonaniem klaskałem w Auditorium Maximum.

Z drugiej strony, Bratkowski w moich oczach ma patriotyczną pozycję zbliżoną do Michnika – w tym sensie, że to, co dobre, dał z siebie w czasach PRL, a potem mu przeszło.

Odnośnie do korporacyjności. W ogóle panuje taka moda, że ogłasza się głośno i tytułowo: SDP protestuje (popiera)!, a gdy spojrzeć z bliska, to zazwyczaj okazuje się, że nie żadne tam SDP, ani też jego Zarząd, tylko samotna pani prezes Krysia Mokrosińska albo po prostu Stefan Bratkowski.

W Kościele Katolickim jest instytucja odnawiania ślubów (małżeńskich, kapłańskich, zakonnych) – bardzo godna naśladownictwa wśród ludzi publicznych. Gdybym był Bratkowskim, to po tylu latach, gdy termin politycznej ważności dawno minął, próbowałbym swój honorowy ślub z SDP odnowić. Jako Remuszko przypuszczam jednak, że w tym wypadku uroczystość zakończyłaby się raczej rozwodem, udzielonym zresztą też przez aklamację.

Stanisław Remuszko

* * *

Stefan Bratkowski w "Rzeczpospolitej" z 8 października 2006 napisał ni mniej ni więcej: ***Najpierwszym obowiązkiem dziennikarzy jest strzeżenie demokracji.*** To nieprawda. Albo, jak powiedziałby niezapomniany ksiądz Tischner, *trzecia góralska prawda* (ilustracja na str. 285).

Studentom pierwszego roku żurnalistyki uprzejmie przypominam, że pierwszy, prymarny, najważniejszy (potem długo, długo nic) obowiązek dziennikarzy, to nie żadna tam obrona demokracji czy inne ulepszanie ludzkości, lecz INFORMOWANIE. Przekazywanie wiadomości. Komunikacja społeczna. Wieści pod strzechy. Nowiny do odbiorców.

Młodym ludziom – adeptom pióra (komputerowej klawiatury), mikrofonu i kamery – dam dobrą życiową radę: polityka ALBO dziennikarstwo. Może być zresztą jedno po drugim (w dowolnej kolejności). **Ale nigdy naraz.**

Jubileusz

Równo za pół roku – 17 października 2006 – Adam Michnik skończy sześćdziesiąt lat.

Ten wybitny Polak, człowiek ogromnych talentów i niezwykłej osobowości, przez ponad czterdzieści lat służył rodakom, Ojczyźnie i światu jak umiał, dawał co miał najlepsze, nie szczędził duchowych oraz fizycznych sił, i teraz pora na wdzięczny symboliczny rewanż od narodu i społeczeństwa. Ogłaszam wielki konkurs na pomysł Jubileuszowego Prezentu.

Co to ma być? Order Orła Białego? Szóstka w totolotka? Honorowe obywatelstwo? Obiad z papieżem? Uniwersytet, szpital, ulica albo liceum imienia? Medialne stypendia dla najzdolniejszych uczniów Mistrza? Kopiec? Europejska gala na cześć w paryskiej Olimpii? Szlachecki dworek? Film Wajdy? Obfitująca w spotkania z czytelnikami roczna podróż dookoła świata? Krypta na Wawelu? Koncert Trzech Tenorów ku czci w Sali Kongresowej? Randka w ciemno z Miss Universum? Nadredaktorostwo „Gazety Wyborczej"? A może ufundowanie międzynarodowej Nagrody Michnika – w jakiej dziedzinie?

Startować można w dwóch kategoriach: pomysłów realnych i pomysłów nierealnych (byle ciekawych i dowcipnych). Nagroda w każdej kategorii jest jedna i wynosi minimum 100 zł (tyle obiecuję dać sam, ale może uzbieram więcej). Wyniki konkursu zostaną ogłoszone na miesiąc przed Jubileuszem, czyli 17 września 2006.

Miłej zabawy!

Stanisław Remuszko

Warszawa, Wielka Noc '2006

* * *

Najpierw wiadomość najlepsza z możliwych: nasz Jubilat jest, Bogu dzięki, zdrów jak rydz, koń oraz ryba! Nie ma raka, gruźlicy, cyklofrenii, AIDS ani żadnych innych chorób, które masowo i anonimowo (jakże by inaczej?) nieżyczliwi ludzie przypisywali Mu na rozmaitych internetowych forach po tym, gdy pani Łuczywo dwa lata temu oznajmiła światu, że - cytuję co do kropki informację z 15.10.04 - *Adam Michnik, redaktor naczelny "Gazety Wyborczej", jest chory i wróci do pracy najwcześniej za trzy miesiące. W czasie jego nieobecności redakcją pokierują jego zastępcy.* Przeprowadziłem w tej sprawie własne dziennikarskie śledztwo i natychmiast dzielę się z Państwem jego radosnymi wynikami. Sto lat, Panie Redaktorze!

Wracając zaś do konkursu: ogłosiłem go wiosną na swojej stronie www i do końca lata napłynęło ponad pięćdziesiąt propozycji - w ogromnej większości okołoszubienicznych albo tylko złorzeczących, więc ani realnych, ani dowcipnych. Było też kilka pomysłów bardzo do śmiechu - ale z kolei tak złośliwych, że nie mam sumienia ich tu omawiać. Lecz słowo się rzekło i stówę - w kategorii pomysłów nierealnych - dostaje pani Hanna Sikorska z Warszawy (za "Kukułkę").

Drugą stówę - w kategorii pomysłów realnych - otrzymuje niezrównana Ela Makowska z Karnic (mówię tak poufale, bo to moja dawna znajoma), od której wszyscy dostaliśmy prezent-niespodziankę co się zowie! Jest to odszukane przez Elę w jej prywatnym archiwum zdjęcie sprzed ponad pół wieku z II klasy warszawskiej szkoły podstawowej TPD nr 21 przy ulicy Mokotowskiej. Widać na nim Elę, widać panią wychowawczynię Wandę Powierżę, i widać (bardzo wyraziście) przyszłego redaktora naczelnego "Gazety Wyborczej", małego Adasia Michnika. Który to? Przyjemność rozwiązania tej zagadki zostawiam Czytelnikom...

[Notabene, hasła „Michnik" nie ma w żadnym z polskich wydań „Who's who" (1984, 1989, 1993, 2001). Encyklopedie, nawet te wielkie, dają typowo encyklopedyczne skróty. Macierzysta gazeta Jubilata zamieszcza życiorys wyjątkowo wybiórczy. Sławna wyszukiwarka GOOGLE pokazuje wprawdzie ponad dwieście tysięcy linków w wersji polskiej i prawie dwa razy tyle w wersji globalnej – ale przegląd pierwszych kilkudziesięciu z nich jasno dowodzi, iż w tym zakresie jedyną naprawdę wartościową pozycją biograficzną jest Wikipedia. Co powoduje tę niezwykłą informacyjną szczupłość?]



Dziękuję!

Kiedyś ta zawartość starego pudła trafiłaby na makulaturę, ale dziś musi pójść do pieca ze względu na ochronę danych osobowych, które widnieją na setkach listów, faksów i pocztówek, jakie dostałem po ukazaniu się grudniu 1999 pierwszego wydania tej książczyny. Ostatnio, w ramach gruntownych XXI-wiecznych porządków, Żona wyciągnęła to pudło z antresoli i kategorycznie zażądała, abym je natychmiast usunął z domu. Małżonka oczywiście ma rację, ale gdzie ja dziś znajdę w Warszawie czynną kotłownię?

Zanim (jakiś) żar spopieli wkrótce ostatnie skrawki tej bezcennej korespondencji, pragnę bardzo szczerze i bardzo serdecznie podziękować wszystkim jej nadawcom za życzliwe (w ogromnej większości) komentarze i uwagi, przede wszystkim zaś za to, że zechcieli mi ofiarować rzecz najdroższą: **chwilę swego prywatnego czasu**. Pamiętam, że wówczas każdą kartkę czytaliśmy z żoną bardzo starannie; pragnę też zapewnić, że nie inaczej będzie i teraz - jeśli, rzecz jasna, Czytelnicy zechcą cokolwiek napisać. Pragnę też - przed nieuchronnym ognistym pożegnaniem - wymienić imiennie choć kilku "wybitniejszych" autorów tamtego przemiłego czytelniczego odzewu sprzed siedmiu lat: pana Jarosława Synowca z Iławy, panią Magdalenę Schułę z Krakowa, pana Krzysztofa Darowskiego ze Starego Sącza, pana Antoniego Kazimierczuka z Dębna Lubelskiego, państwa Alicję i Henryka Kuberskich z Wrocławia, pana Jacka Sygnarskiego ze szwajcarskiego Bourguillon, a także pana profesora Jacka Trznadla, księdza Jacka Dunin-Borkowskiego i pana Michała Orzechowskiego z Warszawy. Inna warszawianka, podówczas studentka dziennikarstwa, dziś pewnie już pani redaktor Anna Orłowska, nadesłała cały esej o "Wyborczej" (niezmiernie ciekawy), a pan Czesław Olczyk z niemieckiego Flensburga ofiarował mi tomik swoich wstrząsających więziennych relacji z Gułagu. Sprzątanie sprzątaniem, ale akurat te listy zachowam sobie na zawsze.

Frapującą merytorycznie opowieść pani Wandy Pilch z Opola specjalnie przekażę wnukom (albo oddam do Muzeum Epistolografii). W epoce komputerowej mało kto posługuje się długopisem, wieczne pióro zdarza się jak rarytas, ale moja opolska Korespondentka przysłała istne przedwojenne kaligraficzne arcydzieło: dwie strony własnoręcznie skreślone czarnym inakustem na kremowym papierze i ani jednej literówki! *...patrzcie, patrzcie, młodzi, może ostatnia, co tak piórem wodzi?*

Ze względu zaś na wzruszającą i miejscami bardzo bliską mi treść, reprodukuję niżej list od pani Haliny Kopanieckiej-Żyluk z Gdyni. Wielce

Szanowna Pani Halino, wraz z cytowanym we "Wstępie" panem Grzegorzem Wszelaczyńskim stworzyli Państwo piękną klamrę, która spina tę książkę. Całuję Pani ręce z ogromnym respektem i wdzięcznością. Pani bursztyny Agnieszka zakłada tylko na zupełnie wyjątkowe okazje.

Stanisław Remuszko

Gdynia kwiecień [illegible]

Szanowny Panie Stanisławie
W dowód uznania za odwagę prawo-mówność, uczciwość pisarską, chylę czoła, moje serdeczne gratulacje. Potrzeba nam więcej takich ludzi, którzy demaskują złodziei, szubrawców, awanturowców okradających naród Polski nie tylko z dóbr materialnych, ale z dziedzictwa narodowego, polskiej kultury, uczuć patriotycznych i chrześcijańskich.
Kiedy słucham tv lub radia, nie potrafię wyrazić słowami to wszystko co w moim sercu wzbudza oburzenie, wstręt i pogardę dla te przewrotne kłamstwa i tumanienie narodu polskiego, zwłaszcza że wywodzę się z domu o tradycjach patriotycznych gdzie o tą Polskę walczyli mąż, ojciec i dziadowie.
Jestem już starą kobietą mogłabym być Pana matką, cieszy mnie że został Pan wychowany w duchu patriotycznym w miłości do prawdy i ojczyzny, córkę swoją wychowałam podobnie, (mąż umarł gdy miała 2 lata)
Dziękuję za książkę, Serdecznie Pana pozdrawiam i całą Rodzinę.
W załączeniu z nad morza dla Pana pięknej żony przesyłam korale z bursztynu. Pana pięknie się kłaniam

Halina Kopaniecka Żyłka
Komandorska 87
81-376 Gdynia tel. [illegible]

P.S. przepraszam za treść nieudolną nie umiem ładnie pisać, ona za pismo mam kłopoty z chwytaniem długopisu
[illegible]

Wybory samorządowe, 12 listopada 2006

Wybór Polski

Ja, Stanisław Remuszko, będę głosował na Prawo i Sprawiedliwość - z pięciu powodów.

Po pierwsze dlatego, że odpowiada mi ich wizja generalna.

Chcę żyć w nowoczesnej Polsce moich przodków, czyli w kraju, który imponuje rozwojem gospodarki, nauki i edukacji, równie wysoko ceniąc tradycję i patriotyzm. Chcę żyć w Polsce solidarnej, w której prawo i instytucje tak samo służą obywatelom ubogim jak zamożnym. Chcę wreszcie żyć w Unii Europejskiej rozumianej jako Europa Ojczyzn - a nie w ponadnarodowym państwie, którego jedno z województw nazywa się polskie.

Będę głosował na PiS także ze względu na zwykłą ludzką solidarność.

Plan budowy Czwartej Rzeczpospolitej stanowi śmiertelne zagrożenie dla mafijnych układów i grup trzymających władzę (politycy, media, biznes, służby specjalne). Przeciwko PiS-owi zjednoczyli się wszyscy beneficjenci osławionej grubej kreski. Takich seansów nienawiści w prasie, radiu i telewizji (zwłaszcza Polsat i TVN) nie było nawet za propagandowych czasów Jerzego Urbana. W tej przełomowej chwili obywatele powinni wesprzeć swojego szeryfa. Nie umiemy bić się ani strzelać, ale możemy dać mu chwilę wytchnienia i parę łyków wody: nasze głosy wyborcze.

Po trzecie, będę głosował na PiS ze względu na logikę polityczną.

Cudów nie ma. Nigdzie, nikomu i nigdy nie udało się - bez użycia przemocy - dokonać ważnych państwowych reform w ciągu kilku, czy nawet kilkunastu miesięcy. Na to potrzebne są lata, i to minimum dwa. Po dwóch latach każdy we własnym rozumie i sumieniu będzie już mógł racjonalnie ocenić przynajmniej to, czy sprawy idą w dobrym kierunku. I na tyle - na dwa lata - opiewa również mój kredyt zaufania wobec PiS. Te dwa lata miną za rok.

Po czwarte, będę głosował na PiS dlatego, że chcę wspomóc Opatrzność.

Cuda są. Właśnie jesteśmy ich świadkami. Niewątpliwym patriotycznym cudem jest to, że - mimo szesnastu lat poOkrągłostołowych, i wbrew totalnej propagandzie polityczno-medialnej - wybory i parlamentarne i prezydenckie w ubiegłym roku wygrało Prawo i Sprawiedliwość. Cudem widomym jest też to, że - przy tak straszliwym oporze materii - partia ta wciąż rządzi. Żeby te korzystne dla Polski procesy wzmocnić i utrwalić - trzeba dać szansę Panu Bogu i kupić los. Najlepiej zrobić to w lokalu wyborczym 12 listopada 2006.

Na koniec: będę głosował na PiS dlatego, że tych dzielnych ludzi znam osobiście.

Pierwszy raz w życiu znam prywatnie prezydenta i premiera, marszałków i wicemarszałków, większość ministrów i posłów (z wieloma od lat jestem na "ty"!) - i za ich nadzwyczajną uczciwość i głębokie umiłowanie Ojczyzny mogę ręczyć głową. Jarosław i Lech Kaczyńscy to niezwykli mężowie stanu, ludzie najwyższej moralnej próby, prawdziwi tytani politycznej myśli i czynu. Ludwik Dorn, Marek Jurek, Radosław Sikorski i Zbigniew Ziobro, to osobowości wyjątkowe, imponujące wybitną inteligencją i rozległą wiedzą, szczerą ideowością i wprost niesłychaną pracowitością. A Tadeusz Cymański i Przemysław Gosiewski? Mariusz Kamiński i Elżbieta Kruk? Ryszard Legutko i Maria Nowak? Krzysztof Putra i Marek Surmacz? Marek Suski i Jan Szyszko? Krzysztof Tchórzewski i Artur Zawisza? Wymieniać mógłbym długo... To wielkie szczęście, że w tak licznej kompanii na tak wysokich stanowiskach służą naszemu państwu tak zdolni i tak porządni ludzie.

Napisałem to, co czuję, w co wierzę, za czym opowiadam się w obywatelskim rozumie i sumieniu. Dla niektórych środowisk słowa "patriotyzm", "ojczyzna" czy "naród" są niemodne, a nawet wstydliwe. Ja jednak kocham Polskę - nie "ten kraj", lecz mój kraj - i jestem z tego dumny.

Podobnie myślących rodaków pozdrawiam serdecznie i z respektem :-)

(12.10.06)

Stanisław Remuszko

Po siedmiu latach

Mówią, że kiedy Pan Bóg chce kogoś ukarać, to mu rozum odbiera, i przypuszczam, że tak było w przypadku - jak to zgrabnie ujął Cezary Michalski - *króla i tyrana* Adama Michnika, któremu u szczytu potęgi, w grudniu 2002, nawet przez myśl nie przeszło, że afera Rywina dramatycznie osłabi imperium Agory i zmiecie rządy pokomunistów, a w konsekwencji upadnie III Rzeczpospolita. Tymczasem cała Polska niespodziewanie poznała przerażającą prawdę o układach władzy. Cała Polska dowiedziała się, jak człowiek nazywany wiceprezydentem zmienia od jednego telefonu porządek obrad Rady Ministrów. Cała Polska zobaczyła i usłyszała, jak ten sam człowiek wypomina sądowi na procesie: *Sąd jest wobec mnie nielojalny!* [Agnieszka uważa, że nie chodzi tu o intelektualną karę boską, lecz o szatańską pychę prowadzącą do utraty kontaktu z rzeczywistością]

Starym i nowym Czytelnikom winien jestem relację z dalszych, zupełnie niezwykłych dziejów tej książczyny, które w poprzedniej edycji zostały sprawozdane do stycznia 2001 (str. 224).

Wiosną 2003 ukazało się drugie, praktycznie nie zmienione wydanie „Gazety Wyborczej. Początków i okolic". Chciałem, by reklamował je inserat, który mogą Państwo przeczytać na IV stronie okładki. Wtedy wydarzyła się rzecz - wydawałoby się - w wolnym kraju całkiem niemożliwa: **najważniejsze redakcje jak jeden mąż odmówiły druku tego płatnego ogłoszenia!** Szczegóły zawiera niżej publikowany (we fragmentach) list otwarty do dziennikarzy i polityków - z marca 2003.

„Kobiałka", Oficyna „Rękodzieło" 2004, str. 46-50

Nadwiślański Matrix

(...) Pierwsze wydanie tego niewielkiego (220 stron) dokumentalno-publicystycznego tomiku ukazało się na przełomie 1999 i 2000 roku. W ciągu dwóch miesięcy sprzedano (według ksiąg podatkowych) 10 000 egzemplarzy. Książka zajęła pierwsze miejsce na liście bestsellerów w dziedzinie literatury faktu. **Mimo to o jej zaistnieniu (nie chodzi o recenzje) nie powiadomiły swoich czytelników, radiosłuchaczy i telewidzów prawie żadne czołowe polskie media**. Personalno-redakcyjne szczegóły tej znamiennej ciszy – a także braku reakcji społecznych mechanizmów bezpieczeństwa – znaleźć można na stronach 238-244 drugiego (uzupełnionego) wydania, które zostało wydrukowane w połowie marca 2003.

Jak w ostrzegawczym artykule wskazywał niedawno Ryszard Bugaj, **dramat dla wolności słowa zaczyna się** nie wtedy, gdy jedne media jakąś sprawę nagłaśniają, inne zaś ją przemilczają, lecz **wtedy, gdy zdecydowana większość mediów to samo nagłaśnia i to samo przemilcza**. Właśnie z taką sytuacją – odnoszącą się do książki „Gazeta Wyborcza. Początki i okolice" – mieliśmy do czynienia przed trzema laty. Najnowsze wydarzenia dowodzą, iż w ciągu tych trzech lat, w już złym stanie polskiej demokracji (IV władza), nastąpiły wyraziste zmiany na gorsze. **W roku 2000 „tylko" nie informowano czytającego społeczeństwa o książce. W roku 2003 roku seryjnie odmawiano druku płatnych ogłoszeń, które o jej istnieniu miały informować.**

W Rzeczpospolitej Polskiej cenzura nie tylko ma negatywną konotację moralną, lecz także jest surowo zakazana przez prawo (artykuł 54 Konstytucji). W marcu 2003 roku do anonimowego grona zasłużonych cenzorów PRL doszlusowali redaktorzy naczelni następujących pism (według alfabetu): Jerzy Baczyński (**„Polityka"**), Marek Chyliński (**„Dziennik Zachodni"** – największa gazeta regionalna), Aleksander Korab (**„Metropol"** – gazeta rozdawana w warszawskim metrze), Marek Król (**„Wprost"**), Maciej Łukasiewicz (**„Rzeczpospolita"**), Ewa Sołowiej (**„Nasz Dziennik"**), Piotr Wierzbicki (**„Gazeta Polska"**), Tomasz Wróblewski (**„Newsweek"**) i Marek Zagórski (**„Życie Warszawy"**).

Wszyscy oni odmówili druku niewielkiego płatnego ogłoszenia (cena takiego anonsu wynosi – w zależności od pisma, miejsca w piśmie oraz daty – od tysiąca do kilku tysięcy złotych).

Odmowę uzasadniano dwojako. W pierwszym przypadku w ogóle nie podawano motywów, a próby dowiedzenia się, o co chodzi, kwitowano mniej więcej taką odpowiedzią: „Jesteśmy medium prywatnym i nikomu nie musimy tłumaczyć się ze swoich decyzji". Jedyną racjonalną przyczyną takich odmów – wypływającą z jakiejś wspólnoty interesów? porozumienia ponad podziałami? – wydaje się zatem chęć ochrony stereotypowego autoportretu Adama Michnika i „Gazety Wyborczej", wobec których książka jest wysoce krytyczna.

Drugim powodem był strach przed bliżej nie określonym odwetem Agory („wie pan, oni mają długie ręce i dobrą pamięć, a my wolimy nie mieć kłopotów"). Zimno mi się robiło, gdy mi to mówiono lub dawano do zrozumienia, bo przeżyłem PRL i dobrze pamiętam lęk zwykłych szarych ludzi przed rzekomą wszechmocą bezpieki: *nie pójdę głosować, to paszportu nie dadzą, z pracy wyrzucą, dziecko w szkole będzie miało nieprzyjemności*... Gdy w maju 1989 roku ukazał się pierwszy numer

„Wyborczej" – chyba nikomu przez myśl nie przeszło, że po czternastu latach „Gazeta" będzie budziła podobne obawy. I to wśród dziennikarzy, a więc ludzi dobrze wykształconych, bardziej świadomych rzeczywistego stanu rzeczy, lepiej zorientowanych w świecie polityki i biznesu. Zresztą – może właśnie dlatego wśród dziennikarzy?

To odkrycie wciąż pozostaje dla mnie szokiem. **Sam nie boję się Agory, ale – jako obywatel – ogromnie bałbym się społecznego, a zwłaszcza medialnego strachu przed nią...**

W tej książce nikt nie przeklina, nie ma w niej erotycznych scen, szpiegowskich afer ani gangsterskich porachunków – głosi umieszczony na okładce fragment recenzji. Dodajmy, że nie ma tam również żadnych tzw. epitetów politycznych („czerwonych komuchów", „solidarnościowych oszołomów", „starych esbeków", „prawicowych ekstremistów", „pachołków Moskwy" ani „sługusów Michnika"). Nie ten styl. Nie ten język.

O czym w takim razie jest ta książka? To przede wszystkim autorski reportaż z narodzin i wczesnego dzieciństwa „Gazety Wyborczej". Autorski – więc z pewnością osobisty, subiektywny i nie wyczerpujący tematu. Ale to akurat jest jasno powiedziane we wstępie, komentarze są typograficznie oddzielone od komunikatu, a cytowane teksty i reprodukowane dokumenty ukazują fakty i wydarzenia zapomniane, przemilczane lub wręcz skrywane przed środowiskową opinią. Nie bez powodu hasło reklamowe brzmiało: *Prawda o „Gazecie Wyborczej". Nieznane dokumenty. Świadkowie...*

Jeśli dodać, że – w epilogu książki – życzliwe gwarancje jej poziomu i przyzwoitości dają swymi nazwiskami Maciej Iłowiecki i Cezary Michalski – to może przyczyną odmowy druku inkryminowanej reklamy była jej treść? Proszę, niech Czytelnik sam to oceni [IV strona okładki – S.R.]

Zadajmy teraz proste rzeczowe pytanie: **w jaki sposób informacje i opinie o społecznie ważnych faktach, zjawiskach i wydarzeniach mają docierać do wolnych obywateli wolnego kraju?**

Oto powstała dokumentalno-publicystyczna książka, która krytycznie opisuje początki budowy sławnej Agory, najpotężniejszego dziś w bodaj całej Europie narodowego koncernu medialnego. Filar tego imperium – „Gazeta Wyborcza" – ma tak wielkie wpływy polityczne, że jej redaktor naczelny często bywa nazywany polskim wiceprezydentem. Relacje i faktografia przedstawione w książce nie są znane szerszej opinii publicznej. Pytam: jak dotrzeć z tą wiedzą do odbiorcy? Lub skromniej: **jak przekazać obywatelom przynajmniej samą informację o istnieniu książki, która taką wiedzę zawiera?**

W normalnym demokratycznym kraju robi się to za pośrednictwem mediów, które – zależnie od atrakcyjności tematu – dają naprzód krótkie doniesienia o samej edycji albo od razu zamieszczają recenzje (życzliwe, neutralne czy miażdżące – wszystko jedno). W Polsce AD 2000 coś z normalnością lub demokracją musiało być nie tak, skoro fakt ukazania się pierwszej (pierwszej w ogóle!) książki o „Gazecie Wyborczej" został przez media, jak wspomniałem, solidarnie przemilczany. Trzy lata później, gdy autor próbował złamać tę blokadę przy pomocy płatnych ogłoszeń, pisma zajmujące ponad 90% rynku równie solidarnie odmówiły druku tych inseratów.

Przykro rzec, ale w moim państwie znów skutecznie działa – choć nieoficjalnie i w demokratycznych szatach – peerelowskie Ministerstwo Prawdy. Uważam ten stan rzeczy za groźny dla polskiej demokracji. Jak temu zaradzić? Nie wiem. Ale jako obywatel i jako dziennikarz biję na alarm. (13.05.03)

Stanisław Remuszko

* * *

Żebym wiedział, ile to będzie mnie kosztowało czasu, nerwów i pieniędzy, to bym tego nie zrobił, ale nie wiedziałem, i 12 czerwca 2003 w warszawskim Sądzie Okręgowym złożyłem osiem jednobrzmiących pozwów przeciwko ośmiu w.w. redakcjom, żądając sądowego nakazu publikacji załączonego płatnego ogłoszenia. Zarazem wystąpiłem do Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, Rady Etyki Mediów, Koleżeńskiego Sądu, Fundacji Helsińskiej, Rzecznika Praw Obywatelskich i może nawet do wszystkich świętych – z prośbą o interwencję w obronie wolności słowa.

Matko Boska, co zaczęło się dziać!

TUTAJ tego nie opowiem, ale mam zupełnie fantastyczny materiał na nową książkę, w zasadzie gotowy gotowiec, tylko trzeba obrobić, żeby czytało się sensacyjnie, smacznie i potoczyście. Będą gołe cytaty, będzie po nazwiskach i będzie bez litości, a jako mały przykład podam, że – uwaga, uwaga – ***negatywne treści na temat Adama Michnika redaktora naczelnego Gazety Wyborczej oraz wydawcy tej gazety Agory S.A. są sprzeczne z zasadami współżycia społecznego***, co 26 września 2005 czarno na białym (tak jest, właśnie tymi słowami!) orzekł w pisemnym wyroku Wysoki Sąd w imieniu Rzeczpospolitej Polskiej (sygn. III C 1225, sędzia przewodnicząca Agnieszka Matlak). Jeszcze lepsze są pisemne odpowiedzi REM, RPO, KH oraz SDP (wprost wierzyć się nie chce!), i w nowej książce z przyjemnością przytoczę je *expressis verbis* wraz z detalicznymi personaliami i didaskaliami, ale teraz proszę o cierpliwość.

Dodam, że wynik sądowo-prasowego meczu między Remuszką a resztą świata w listopadzie 2006 wynosi 4:1 (prawomocnie wygrałem z „Gazetą Polską", „Metropolem", „Naszym Dziennikiem" i „Wprost", przegrałem zaś z „Polityką", ale przegrani złożyli kasacje, które przyjął do solennego rozpoznania Sąd Najwyższy). 11. zaś stycznia 2007 o godzinie 11.00 w sali 622 warszawskiego Sądu Okręgowego odbędzie się n-ta rozprawa przeciwko „Rzeczpospolitej", na którą serdecznie zapraszam Koleżanki i Kolegów Dziennikarzy oraz, oczywiście, wszystkich P.T. Miłych Czytelników :-)

Że co? **Że nic Państwo nie wiedzą o tych precedensowych procesach? Pozwane redakcje przez ponad trzy lata nie pisnęły o nich ani słówka?** A przecież ważni redaktorzy ogłosili (poniekąd), że Michnik upadł, „Gazeta Wyborcza" robi bokami, Agory zaś nie chroni już dotychczasowy układ:

My, dziennikarze, powinniśmy zrobić wszystko, by odtąd już nigdy w Polsce nie narodził się nowy publiczny Michnik albo nowa Agora – czyli żeby nie powstała żadna instytucja zdolna tak skutecznie i tak długo zdominować tak bardzo życie medialne (zresztą nie tylko medialne). Podkreślę z naciskiem, że nie chodzi o to, by nowym hegemonem stał się „Dziennik" albo „Nasz Dziennik". Nowego hegemona MA NIE BYĆ. – nazwał rzecz po imieniu Wojciech Reszczyński podczas dyskusji o stanie mediów zorganizowanej przez Klub Myśli Politycznej w Ursusie 30 września 2006.

Przez ostatnie kilkanaście lat w Polsce obowiązywał bowiem jeden język i jeden pogląd. Wszyscy ci, którzy ośmielali się mieć inne zdanie na temat kierunku zmian w Polsce po Okrągłym Stole, byli odsądzani od czci i wiary. Ton nadawany przez „Wyborczą" całymi latami absolutnie dominował w polskich mediach. Podobna retoryka obowiązywała w dziennikach, tygodnikach, stacjach radiowych i telewizyjnych – napisał Igor Janke w „Rzepie" z 3 października 2006 w artykule pod znamiennym tytułem „Utrata rządu dusz i wściekłość »Gazety«", i trudno TO wyrazić celniej i zwięźlej.

Chyba że się jest Robertem Krasowskim z „Dziennika" (15 października 2006): *Nowa cenzura medialna – polegająca na tym, że jakieś informacje ukrywano przed Polakami, bo ich ujawnienie nie pasowało zaprzyjaźnionym z redakcją politykom czy samym redaktorom – była jedną z największych patologii Trzeciej Rzeczpospolitej. Praktyk tych nie mamy zamiaru kontynuować. Zrobimy wszystko, żeby nie powróciły.*

Szanowni Koledzy, nie zapomnę tych ocen i tych deklaracji. Pamiętając wszakże o wskazówkach Pisma *(Po owocach ich poznacie je)* oraz PiS *(Czyny, nie słowa).*

P.S. Na koniec kawał o krwi i kości – niestety, zrozumiały chyba tylko dla zawodowców. Zaczyna się jakiś program w telewizorze, bodaj „Lonża Prasowa", i prowadząca dama przedstawia szerokie spektrum gości: redaktor Skalski z „Rzeczpospolitej", redaktor Żakowski z „Polityki", redaktor Niemczycki z Międzynarodowego Instytutu Prasy, redaktor Najsztub z „Przekroju" – no i, dla równowagi, redaktor Pacewicz z „Gazety Wyborczej"...

Personalia

W książce występuje 581 osób. W poniższym ich spisie zaznaczono tłustym drukiem nazwiska wymienione przynajmniej dwukrotnie.

Marek **EDELMAN** •

Wanda FALKOWSKA • Paweł **FĄFARA** • Barbara FEDYSZAK-RADZIEJOWSKA • Dariusz **FIKUS** • Władysław **FINDEISEN** • Władysław FISZDON • Zofia **FLORJAŃCZYK** • Andrzej FOLAND • Władysław FRASYNIUK • Tadeusz **FREDRO-BONIECKI** •

Wacław **GAJEWSKI** • Waldemar GASPAR • Grzegorz GAUDEN • Konstanty GEBERT • Andrzej **GELBERG** • Bronisław **GEREMEK** • Jerzy **GIEDROYC** • Aleksander GIEYSZTOR • Wojciech **GIEŁŻYŃSKI** • Mieczysław **GIL** • Adam GLAPIŃSKI • Józef **GLEMP** • Władysław GOMUŁKA • Przemysław GOSIEWSKI • Zbigniew GOSZCZYŃSKI • Grzegorz **GÓRNY** • Małgorzata GÓRSKA • Krzysztof GÓRSKI • Alina **GRABOWSKA** • Andrzej GRABOWSKI • Zdzisław GREMSKI • Zenon **GROCHOLEWSKI** • Hanna GRONKIEWICZ-WALTZ • Adam GRZEŚKOWIAK • Alicja GRZEŚKOWIAK • Zbigniew GRZONKA • Andrzej GWIAZDA • Andrzej GZYŁO •

Marek HALBERDA • Aleksander **HALL** •Adam HANUSZKIEWICZ • Stanisław HARTMAN • Grażyna HELSZER • Andrzej HENNEL • Zbigniew **HERBERT** • Gustaw **HERLING-GRUDZIŃSKI** • Maurycy HERLING-GRUDZIŃSKI • Czesław HERNAS • Przemysław HNIEDZIEWICZ • Adam HODYSZ • Agata HOLENDER-STANISZEWSKA • Jerzy **HOLZER** • Jacek HOŁUB • Anna HUSARSKA •

Maciej **IŁOWIECKI** • Elżbieta ISAKIEWICZ • Henryk JABŁONOWSKI •Henryk **JABŁOŃSKI** • Jerzy **JACHOWICZ** • Andrzej JAGODZIŃSKI • Alfred JAHN • Aleksandra JAKUBOWSKA • Piotr **JAKUCKI** • Lech JANERKA • Jerzy JANIK • Maria **JANION** • Michał JANISZEWSKI • Igor JANKE • Janina JANKOWSKA • Janusz JAROS • Wojciech **JARUZELSKI** • Julia **JASKÓLSKA** • Tomasz **JASTRUN** • Andrzej **JELEŃSKI** • Cezary JÓZEFIAK • Marek JUREK •

Jacek **KACZMARSKI** • Andrzej KACZYŃSKI • Jarosław **KACZYŃSKI** • Lech **KACZYŃSKI** • Damian KALBARCZYK • Włodzimierz KALICKI • Mariusz **KAMIŃSKI** • Wojciech **KAMIŃSKI** • Andrzej KAPKOWSKI • Jakub **KARPIŃSKI** • Rafał **KASPRÓW** • Iwona KATARASIŃSKA • Krzysztof **KAUBA** • Antoni KAZIMIERCZUK • Marek KEMPSKI • Andrzej KERN • Krystyna KERSTEN • Jan KIELANOWSKI • Stefan **KIENIEWICZ** • Leon KIERES • Andrzej T. KIJOWSKI • Edward KIRPLUK • Czesław **KISZCZAK** • Bertold KITTEL • Maciej KLEDZIK • Wojciech **KLEWIEC** • Jan KOFMAN • Aleksander **KOJ** • Lena KOLARSKA-BOBIŃSKA • Leszek KOŁAKOWSKI • Włodzimierz **KOŁOS** • Marek KONDRAT • Jerzy KONIECZNY • Tadeusz **KONWICKI** • Halina KOPANIECKA-ŻYLUK • Maria KOPEĆ • Łukasz **KOROLKIEWICZ** • Janusz **KORWIN-MIKKE** • Marek KOSSAKOWSKI • Marek KOTAŃSKI

• Paweł KOWAL • Jacek KOWALCZYK • Janusz R. KOWALCZYK • Marcin KOWALSKI • Jolanta KOZAK • Mikołaj KOZAKIEWICZ • Mecenas KOZIOŁ • Krzysztof **KOZŁOWSKI** • Hanna KRALL • Robert **KRASOWSKI** • Edmund KRASSOWSKI • Rafał KRAWCZYK • Bogdan **KROLL** • Marcin KRÓL • Marek **KRÓL** • Stanisław KRÓLAK • Edward **KRZEMIEŃ** • Wojciech **KRZEMIŃSKI** • Elżbieta KRUK • Alicja KUBERSKA • Henryk KUBERSKI • Marcin **KUBIAK** • Agnieszka **KUBLIK** • Jolanta **KUCHARSKA** • Tomasz **KUCZBORSKI** • Ryszard **KUKLIŃSKI** • Władysław **KUNICKI-GOLDFINGER** • Zofia **KURATOWSKA** • Jacek **KURCZEWSKI** • Roman KURKIEWICZ • Jacek **KUROŃ** • Józef KUŚMIEREK • Kazimierz KUTZ • Tomasz KWAST • Aleksander **KWAŚNIEWSKI** •

Anatol **LAWINA** • Ryszard LEGUTKO • Stanisław **LEM** • Krzysztof **LESKI** • Hubert LESZCZYŃSKI • Zdzisław LIBERA • Grzegorz **LINDENBERG** • Jarosław **LINDENBERG** • Jan J. LIPSKI • Jan B. **LIPSZYC** • Tomasz **LIS** • Teresa LISZCZ • Jan LITYŃSKI • Monika LUFT • Witold **LUTOSŁAWSKI** •

Andrzej ŁAPICKI • Paweł ŁAWIŃSKI • Wojciech ŁĄCZKOWSKI • Tadeusz ŁEPKOWSKI • Jacek **ŁĘSKI** • Ewa ŁĘTOWSKA • Maciej **ŁĘTOWSKI** • Filip ŁOBODZIŃSKI • Andrzej ŁOMANOWSKI • Jolanta **ŁOPUSZYŃSKA** • Jerzy ŁOŚ • Tomasz ŁUBIEŃSKI • Helena **ŁUCZYWO** • Amelia **ŁUKASIAK** • Maciej **ŁUKASIEWICZ** • Waldemar ŁYSIAK •

Franciszek MACHARSKI • Mirosław MACHNACKI • Antoni **MACIEREWICZ** • Elżbieta MAKOWSKA • Jan MALANOWSKI • Lesław MALESZKA • Kazimierz MARCINKIEWICZ • Jacek MARCZEWSKI • Marek **MARKIEWICZ** • Anna **MARSZAŁEK** • Ewa MAZIARSKA • Jacek **MAZIARSKI** • Tadeusz **MAZOWIECKI** • Bolesław MAZURKIEWICZ • Andrzej MICEWSKI • Stanisław **MICHALKIEWICZ** • Cezary **MICHALSKI** • Marek MICHALSKI • Adam **MICHNIK** • Antoni MICHNIK • Stefan MICHNIK • Grzegorz **MIECUGOW** • Andrzej MIETKOWSKI • Artur **MIĘDZYRZECKI** • Andrzej **MILCZANOWSKI** • Ewa **MILEWICZ** • Jerzy MILEWSKI • Mirosław MILEWSKI • Leszek MILLER • Czesław MIŁOSZ • Grażyna MINKOWSKA • Andrzej **MLECZKO** • Krystyna **MOKROSIŃSKA** • Dominik MORAWSKI • Ilona MORŻOŁ-OGÓREK • Edward MOSKAL • Jacek **MOSKWA** • Aleksander MÜLLER •

Wojciech NACHIŁO • Wanda **NADOBNIK** • Zdzisław NAJDER • Piotr NAJSZTUB • Elżbieta **NARBUTT** • Jerzy NAUMANN • Magdalena NIEDEK • Piotr **NIEMCZYCKI** • Czesław NIEMEN • Stefan **NIESIOŁOWSKI** • Bogusław **NIZIEŃSKI** • Małgorzata NOWAK • Jan NOWAK-JEZIORAŃSKI • Mirosława NYKIEL •

Michał OGÓREK • Czesław OLCZYK • Monika OLEJNIK • Józef **OLEKSY** • Jan **OLSZEWSKI** • Stefan OLSZOWSKI • Janusz **ONYSZKIEWICZ** • Marian **ORLIKOWSKI** • Anna ORŁOWSKA • Józef ORZEŁ • Maciej **ORŁOŚ** • Jerzy OSIOWSKI • Alojzy ORSZULIK • Michał ORZECHOWSKI • Lidia OSTAŁOWSKA •

Piotr **PACEWICZ** • Andrzej **PACZKOWSKI** • Janusz **PAŁUBICKI** • Jan **PARYS** • Witold PASEK • Aleksander **PASZYŃSKI** • Antoni **PAWLAK** • Jan PAWŁOWSKI • Włodzimierz PAŹNIEWSKI • Andrzej PELCZAR • Łukasz **PERZYNA** • Bolesław **PIASECKI** • Michał PIETRZAK • Stanisław PIĘTA • Jerzy PILCH • Wanda PILCH • Elżbieta PIOTROWSKA • Leszek PIOTROWSKI • Walery PISAREK • Jan PLESZCZYŃSKI • Jerzy **POKSIŃSKI** • Jan **POLKOWSKI** • Jerzy POMIANOWSKI • Jerzy **POPIEŁUSZKO** • Wanda POWIERŻA • Arkadiusz PRUSINOWSKI • Roma PRZYBYŁOWSKA • Dorota PRZYPKOWSKA • Mieczysław **PRÓSZYŃSKI** • Grzegorz PRZEMYK • Józef **PTACZEK** • Krzysztof PUTRA • Mieczysław PUZEWICZ •

Maria RADOMSKA • Andrzej RADZIMIŃSKI • Konstanty **RADZIWIŁŁ** • Jacek RAKOWIECKI • Mieczysław RAKOWSKI • Marek RAPACKI • Wanda **RAPACZYNSKI (RAPACZYŃSKA)** • Juliusz **RAWICZ** • Jerzy REDLICH • Ryszard REIFF • Janusz REITER • Agnieszka REMUSZKO • Anna REMUSZKO • Maciej REMUSZKO • Mieczysław REMUSZKO • Stanisław **REMUSZKO** • Wojciech **RESZCZYŃSKI** • Jan M. **ROKITA** • Agnieszka **ROMASZEWSKA** • Zbigniew ROMASZEWSKI • Marek **ROSTWOROWSKI** • Monika ROTULSKA • Joanna RUSZAR • Mark RUSZCZYNSKI • Ignacy RUTKIEWICZ • Katarzyna RYDZIK • Tadeusz **RYDZYK** • Bogdan RYMANOWSKI • Ferdynand RYMARZ • Paweł **RYSIŃSKI** • Marcin **RYSZKIEWICZ** • Lew **RYWIN** • Edward RZEPKA • Jan RZEWUSKI •

Tomasz SAKIEWICZ • Jacek SALIJ • Henryk **SAMSONOWICZ** • Andrzej **SCHINZEL** • Magdalena SCHUŁA • Piotr **SEMKA** • Ryszard **SEMKA** • Wanda SĘKULSKA • Andrzej **SICIŃSKI** • Zbigniew **SIEMIĄTKOWSKI** • Hanna SIKORSKA • Jan SIKORSKI • Radek (Radosław) **SIKORSKI** • Jerzy S. SITO • Sławomir SIWEK • Florian **SIWICKI** • Marek SIWIEC • Władysław **SIŁA-NOWICKI** • Ernest **SKALSKI** • Barbara **SKARGA** • Jerzy SKOCZYLAS • Zbigniew SKUPIŃSKI • Olena SKWIECIŃSKA • Andrzej SKWORZ • Jadwiga SKÓRZEWSKA-ŁOSIAK • Janusz SŁAWIŃSKI • Janina **SŁUSZNIAK** • Józef **SMAK** • Elżbieta SMOLEŃSKA • Paweł **SMOLEŃSKI** • Włodzimierz SOCHACKI • Jadwiga SOKOLNICKA • Magdalena **SOKOŁOWSKA** • Ewa **SOŁOWIEJ** • Michał SOŁOWIOW • Wojciech SOPOREK • Elżbieta **SPRUSIŃSKA** • Jadwiga **STANISZKIS** • Barbara STANOSZ • Maria **STARKOWSKA** • Wojciech **STARZYŃSKI** • Piotr STASIŃSKI • Muniek STASZCZYK •

Andrzej **STELMACHOWSKI** • Jerzy **STEMBROWICZ** • Jerzy STĘPIEŃ • Kazimierz **STĘPIEŃ** • Marcin STROŃSKI • Andrzej STRZELECKI • Adam **STRZEMBOSZ** • Maciej **STRZEMBOSZ** • Tomasz STRZEMBOSZ • Tomasz STRZYŻEWSKI • Stanisław STUPKIEWICZ • Major A. STYLIŃSKI • Hanna SUCHOCKA • Marek **SURMACZ** • Marek SUSKI • Jacek SYGNARSKI • Jarosław SYNOWIEC • Tomasz SYPNIEWSKI • Jerzy SZACKI • Jarosław SZALIŃSKI • Klemens **SZANIAWSKI** • Henryk SZARSKI • Jan **SZCZEPAŃSKI** • Jan J. **SZCZEPAŃSKI** • Andrzej SZCZEPKOWSKI • Krzysztof SZCZERSKI • Joanna SZCZĘSNA • Jerzy SZCZĘSNY • Kazimiera SZCZUKA • Mariusz SZCZYGIEŁ • Andrzej **SZCZYPIORSKI** • Ozjasz SZECHTER • Romuald **SZEREMIETIEW** • Jerzy SZPERKOWICZ • Wacław SZUBERT • Jacek SZYMANDERSKI • Wisława SZYMBORSKA • Jan SZYSZKO • Jerzy ŚLASKI • Krzysztof **ŚLIWIŃSKI** • Jan ŚPIEWAK • Paweł ŚPIEWAK • Kazimierz ŚWITOŃ •

Krzysztof TCHÓRZEWSKI • Józef **TISCHNER** • Wojciech TOCHMAN • Krzysztof T. TOEPLITZ • Bohdan TOMASZEWSKI • Janusz TOMASZEWSKI • Wojciech TOPIŃSKI • Witold TRZECIAKOWSKI • Jacek **TRZNADEL** • Tadeusz TUORA • Grzegorz TURNAU • Jerzy **TUROWICZ** • Łukasz A. TURSKI • Donald **TUSK** • Stanisław TYMIŃSKI • Bolesław TWARÓG •

Jerzy URBAN • Andrzej **URBAŃSKI** •

Andrzej **WAJDA** • Wiesław **WALENDZIAK** • Anna WALENTYNOWICZ • Lech **WAŁĘSA** • Zbigniew WASSERMANN • Ewa **WASZCZYŃSKA-PACZKOWSKA** • Bożena WAWRZEWSKA • Maciej WĄŻ • Andrzej WERNIC • Aleksander WIECZORKOWSKI • Andrzej WIELOWIEYSKI • Bolesław WIERZBIAŃSKI • Piotr **WIERZBICKI** • Tomasz **WIERZEJSKI** • Maciej WIERZYŃSKI • Bronisław WILDSTEIN • Wojciech WŁODARCZYK • Bohdan WŁOSIK • Edmund WNUK-LIPIŃSKI • Nina WOJCIECHOWSKA • Kuba WOJEWÓDZKI • Bogusław WOLNIEWICZ • Tomasz **WOŁEK** • Kazimierz **WÓYCICKI** • Zygmunt WRZODAK • Andrzej K. **WRÓBLEWSKI** • Grzegorz **WSZELACZYŃSKI** • Henryk **WUJEC** • Paweł WUJEC • Krzysztof WYSZKOWSKI •

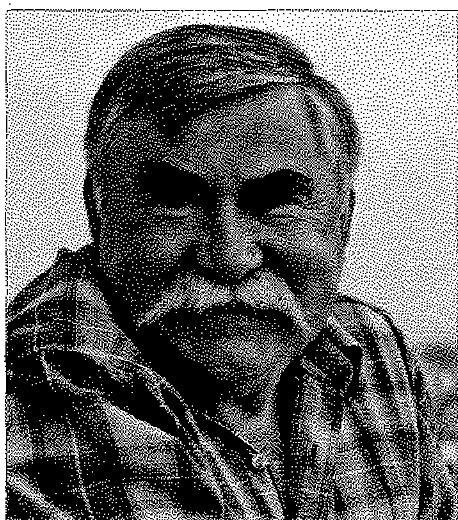
Krystyna ZACHWATOWICZ • Adam ZAGAJEWSKI • Marek ZAGÓRSKI • Andrzej **ZAHORSKI** • Michał ZALESKI • Luiza **ZALEWSKA** • Maciej **ZALEWSKI** • Antoni **ZAMBROWSKI** • Krzysztof ZANUSSI • Piotr ZAREMBA • Andrzej ZARĘBSKI • Sobiesław ZASADA • Andrzej **ZAWADA** • Artur ZAWISZA • Aleksandra **ZAWŁOCKA** • Barbara **ZBROŻYNA** • Marcin D. ZDORT • Rafał A. **ZIEMKIEWICZ** • Małgorzata **ZIĘTKIEWICZ** • Zbigniew ZIOBRO • Janusz **ZIÓŁKOWSKI** • Podporucznik A. ŻACZEK • Jacek **ŻAKOWSKI** • Roman ŻELAZNY • Tomasz ŻUKOWSKI • Juliusz **ŻUŁAWSKI** • Józef **ŻYCIŃSKI**

Wszelkie uwagi „na temat", zwłaszcza o charakterze krytycznym, będą mile widziane i zostaną starannie rozważone przed drukiem przygotowywanego IV wydania

Uwagi te można przekazywać listownie, telefonicznie, faksem lub e-mailem pod adresem: Stanisław Remuszko, Dunikowskiego 8, 02-784 Warszawa, tel./fax (22) 648-1948, remuszko@neostrada.pl

Autor zachęca do kontaktu szczególnie byłych i obecnych pracowników Agory, samej „Gazety Wyborczej", albo jej dodatków branżowych lub lokalnych

Absolutna anonimowość gwarantowana


Fot. Marek Borawski

Stanisław Tadeusz Antoni (z chrztu), Piotr (z bierzmowania) **Remuszko** - wzrost 173 cm, waga 90 kg, IQ 120-130, ciemny szatyn, oczy piwne. Dziennikarz, publicysta, socjometra. Syn Tadeusza i Jadwigi (z Modrowskich), brat Mieczysława. Żona Agnieszka (z Przypkowskich), córka Anna (1979), syn Maciej (1980).

Urodzony w Warszawie 30 stycznia 1948 roku w rodzinie inteligenckiej. Po maturze zdanej w wieku 17 lat, studiuje bez powodzenia astronomię na Uniwersytecie Warszawskim, by ostatecznie w roku 1972 ukończyć z bardzo dobrym wynikiem nauczycielskie studia matematyczno-fizyczne na tej uczelni.

Następne dziesięć lat pracuje jako dziennikarz – naprzód w tygodniku „Zorza", potem w gazecie „Słowo Powszechne". Zaraz po wprowadzeniu stanu wojennego wyrzucony z pracy za napisanie krytycznego listu otwartego. Przez półtora roku bezrobotny, w latach 1983-89 zatrudniony w charakterze kustosza w Głównym Urzędzie Statystycznym, publikuje cały czas w prasie podziemnej (patrz: *Słownik pseudonimów pisarzy polskich*). Na osobiste zaproszenie Adama Michnika, wiosną 1989 roku podejmuje pracę w powstającej „Gazecie Wyborczej". Wskutek rozczarowania polityczną ewolucją pisma i postawą moralną jego kierownictwa, latem 1990 roku manifestacyjnie odchodzi z redakcji. Jest twórcą i właścicielem unikatowego Biura Badania Opinii Ulicznej „Sonda", które trafnością przedwyborczych sondaży wyprzedza inne ośrodki. W latach dziewięćdziesiątych jako wolny strzelec publikuje w wielu mediach, regularniej współpracując m.in. z „Czasem Krakowskim", „Kurierem Polskim", Radiem WAWa, „Tygodnikiem Solidarność", „Nowym Państwem" i redakcją polską Szwedzkiego Radia.

Pomysłodawca i założyciel kilku rejestrowanych stowarzyszeń – między innymi *Towarzystwa Poczty Podziemnej* (zbieracze walorów filatelistycznych wydawanych nielegalnie w stanie wojennym), *Towarzystwa Hobbitycznego* (miłośnicy Tolkiena), *Towarzystwa Amatorów Niektórej Twórczości Stanisława L.* (Lema). Inicjator wielu obywatelskich przedsięwzięć, autor szeregu listów otwartych i apeli w sprawach publicznych. Zdecydowany zwolennik lustracji (zwłaszcza dziennikarzy) i cywilizowanej dekomunizacji. Mówi o sobie: *ideowe serce mam po prawej stronie (choć nie aż pod pachą)*. Polityczną poprawność uważa za zabobon (ułożył głośną Kartę Zasad Klubu Niepoprawnych).

Przyszłej żonie oświadczył się po tygodniu znajomości (i został przyjęty). W ćwierćwiecze poznania (2 października 1997) na mazurskiej szosie napisał sprayem: *Agnieszko! Kocham Cię już 25 lat!* Żonę uznaje za największy skarb swojego życia, dzieci zaś za największy życiowy dorobek. Jego dewiza, to sześć słów: *ciekawość, uczciwość, tolerancja – rozumieć, umieć, kochać*. Nigdy nie kłamie. W młodości wyżej cenił inteligencję od dobroci; teraz na odwrót. Nie należy do żadnej partii, związku zawodowego, ani „środowiska". Dla zachowania własnej niezależności jest gotów poświęcić fortunę, karierę i pozycję towarzyską. Jako urodzony Wodnik, ma poczucie misji i lubi pomagać innym. Szczyci się brakiem wrogów (przynajmniej nic o nich nie wie). Bardzo ceni sobie wierne przyjaźnie, uwielbia intelektualne dysputy przy suto zastawionym stole (sam gotuje). Papierosy rzucił, alkohol pija umiarkowanie.

Majątek: trzypokojowe lokatorskie mieszkanie 63 m^2 w bloku na warszawskim Ursynowie. Nigdy nie miał samochodu. Życiowe marzenie: mieć kiedyś tyle pieniędzy, aby móc wyruszyć z żoną w podróż dookoła świata.

Ulubiona zupa: rosół, kwiat: konwalia, kolęda: *Cicha noc*, kraj (poza Polską): Kanada i Szwajcaria, sport: lekkoatletyka, pora roku: jesień, owoc: gruszka, dzień tygodnia: sobota, liczba: czwórka, kolor: zielony, posiłek: śniadanie, język obcy: angielski.

[Fragmenty życiorysu napisanego latem 2000 roku dla Polonusów w USA]

Fot. Maciej Remiszko



Chroniąc Agorę i Michnika (lub ze strachu przed nimi) druku powyższego płatnego ogłoszenia odmówiły
– od prawej do lewej –
„Gazeta Polska" i „Dziennik Zachodni"
„Rzeczpospolita" i „Wprost"
„Nasz Dziennik" i „Polityka"
„Metropol", „Newsweek" i „Życie Warszawy"

ISBN 83-913056-8-6

Ta książka wchodzi na rynek 1 grudnia 2006.
Nakład wynosi tylko 1000 (tysiąc) egzemplarzy.
Tę książkę można kupić jedynie w dwóch miejscach:

– w sławnej warszawskiej księgarni im. Bolesława Prusa (Krakowskie Przedmieście 7, naprzeciw uniwersytetu; tel. 826-18-35)

– w internecie (www.remuszko.pl)

Kto pierwszy, ten lepszy.